

Deborah Feldman

Unorthodox

JAK PORZUCIŁAM ŚWIAT
ORTODOKSYJNYCH ŻYDÓW

Bestseller
New York
Timesa

*„Niezwykła historia o tym,
jak cenna jest wolność”*

 **Paradnia K**



Deborah Feldman

Unorthodox

Jak porzuciłam
świat ortodoksyjnych Żydów

Przełożyła Kamila Sławinski

 **Poradnia K**

Od autorki

Satu Mare (po węgiersku Święta Maria) albo w języku jidysz Satmar to miasto na pograniczu Węgier i Rumunii. Jak doszło do tego, że chasydzka sekta wywodzi swą nazwę od chrześcijańskiej świętej? Otóż węgierski Żyd, prawnik i dziennikarz Rudolf Kasztner, który podczas drugiej wojny światowej uznał za swą misję uchronienie prominentnych Żydów od niechybnej śmierci, uratował rabina z tego miasta. Ten wyemigrował później do Ameryki i zyskał wielką rzeszę zwolenników wśród innych ocalałych oraz założył chasydzką sektę, którą nazwał na cześć swego rodzinnego miasta. Inni ocaleni rabini także zaczęli nazywać swoje sekty na cześć miasteczek, z których pochodzili, chcąc w ten sposób przechować pamięć o sztetlach i wspólnotach unicestwionych przez Holokaust.

Amerykańscy chasydzi z entuzjazmem powrócili do swej cudem uratowanej spuścizny – zaczęli nosić tradycyjne stroje i komunikować się, jak ich przodkowie, wyłącznie w jidysz. Wielu z nich z rozmysłem sprzeciwiało się utworzeniu państwa Izrael w przekonaniu, że ludobójstwo dokonane na Żydach było karą za asymilację i syjonizm. Co jednak najbardziej istotne, chasydzi skupili się na reprodukcji, pragnąc w ten sposób zrekompensować śmierć licznych ofiar Zagłady i na nowo pomnożyć swoje szeregi. Do dzisiaj społeczności chasydzkie rozrastają się dynamicznie, co ich członkowie postrzegają jako ostateczną zemstę na Hitlerze.

. Imiona i szczegóły pozwalające zidentyfikować postaci występujące w tej książce zostały zmienione. Opisane w niej wydarzenia są prawdziwe, ale niektóre zostały skrócone, skondensowane lub przedstawione w zmienionej kolejności, by chronić prywatność osób biorących w nich udział lub zachować płynność narracji. Dialogi odpowiadają rozmowom, które naprawdę się odbyły, na tyle, na ile mogłam je wiernie przywołać.

Deborah Feldman



Prolog

W przeddzień moich dwudziestych czwartych urodzin przeprowadzam wywiad z moją matką. Spotykamy się w wegetariańskiej restauracji na Manhattanie, która reklamuje się jako ekologiczna i korzysta ze świeżych, lokalnych produktów. Z przyjemnością myślę o prostej kuchni, jaką tu obiecują, mimo że ostatnio bez opamiętania zjadam się wieprzowiną i owocami morza. Kelner, który nas obsługuje, wygląda demonstracyjnie nieżydowsko ze swymi rozczochranymi blond włosami i niebieskimi oczami. Traktuje nas jak księżniczki, ponieważ znajdujemy się na Upper East Side i jesteśmy gotowe wyłożyć sto dolarów za lunch składający się głównie z warzyw. Wydaje mi się ironią, że nie wie, iż jesteśmy nietutejsze, i odruchowo akceptuje naszą obecność. Nie przypuszczałam, że to się kiedykolwiek zdarzy.

Zanim się spotkałyśmy, powiedziałam matce, że chcę jej zadać kilka pytań. Pomimo że ostatnio spędziłyśmy razem więcej czasu niż wtedy, gdy byłam nastolatką, do tej pory unikałam rozmów o przeszłości. Może nie chciałam wiedzieć. Albo może nie chciałam się przekonać, jak wiele z informacji o matce, którymi mnie karmiono, było nieprawdą – a może właśnie prawdą. Tak czy inaczej, upublicznienie historii mojego życia wymaga uczciwości, i to nie tylko z mojej strony.

Dokładnie rok temu na dobre odeszłam ze społeczności chasydzkiej. Mam dwadzieścia cztery lata i wciąż całe życie przed sobą. Przyszłość mego syna kipi miriadami możliwości. Czuję się, jakbym przybyła na start wyścigu tuż przed rozpoczynającym go wystrzałem. Patrząc na moją matkę, dostrzegam, że mamy wiele wspólnego, ale różnice między nami są jaskrawsze niż kiedykolwiek. Gdy odeszła, była starsza niż ja teraz – i nie zabrała mnie z sobą. Jej losy świadczą o tym, że walczyła bardziej o poczucie bezpieczeństwa niż o szczęście. Marzenia unoszą się nad naszymi głowami jak chmury: moje są większe i bardziej kłębiaste niż jej, wiotkie cirrusy zawieszono wysoko na zimowym niebie.

Odkąd pamiętam, zawsze chciałam od życia jak najwięcej – pragnęłam wszystkiego, co tylko mogłam dostać. Tym różnię się od tych, którzy potrafią poprzestać na małym. Nie mieści mi się w głowie, jak ludzie, mając tak nieskończone możliwości, mogą zadowolić się małymi pragnieniami, mieć ograniczone i ciasne ambicje. Nie znam matki na tyle, by rozumieć jej marzenia, wiem jednak, że dla niej są wielkie i ważne, i chcę to uszanować. Jakkolwiek wiele nas różni, mamy ze sobą coś wspólnego, jest między nami nic porozumienia: obie zdecydowałyśmy się na zmianę na lepsze.

Matka urodziła się i wychowała w Anglii, w społeczności niemieckich Żydów. Jej rodzina była religijna, ale nie chasydzka. Była dzieckiem z rozbitego małżeństwa, wspomina więc dzieciństwo jako lata, w których czuła się zagubiona, niedopasowana i nieszczęśliwa. Mówi mi, że miała niewielkie szanse na zamążpójście, a tym bardziej dobrą partię. Kelner stawia przed nią talerz frytek z polentą z czarnej fasoli. Matka nadziewa frytkę na widelec.

Między kęsami jedzenia opowiada, że gdy nadarzyła się jej okazja poślubienia mego ojca, wydawało się jej to spełnieniem marzeń. Jego rodzina była zamożna i zdesperowana, by jak najszybciej znaleźć mu żonę. Jego rodzeństwo czekało, kiedy się

zaręczy, bo dopiero wtedy mogło zacząć żyć własnym życiem. Miał dwadzieścia cztery lata – stanowczo za dużo jak na dobrego żydowskiego chłopca, który nie powinien już być kawalerem. Im byli starsi, tym mniejsza stawała się szansa, że w końcu się ożenią i odejdą z domu. Rachel, moja mama, była dla ojca ostatnią szansą.

Mama wspomina, że wszyscy wokół niej byli wniebowzięci, że tak jej się ułożyło. Miała wyjechać do Ameryki! Obiecano im nowiutkie, w pełni umeblowane mieszkanie. Rodzina ojca zaoferowała pokrycie wszystkich kosztów! Czekwały na nią ładne ubrania i biżuteria, no i gromada szwagrów i szwagierek, już spragnionych jej towarzystwa.

– Więc byli dla ciebie mili? – pytam, mając na myśli moje ciotki i wujków, którzy, jak pamiętam, z niejasnych dla mnie powodów zawsze patrzyli na mnie z góry.

– Z początku tak – odpowiada mama. – No wiesz: byłam nową angielską zabawką, szczupłą, ładną panną ze śmiesznym akcentem.

Uratowała ich wszystkich, tych młodszych. Gdyby nie ona, zestarzeliby się jako stare panny i wieczni kawalerowie. Z początku byli więc wdzięczni, że oszczędzono im tego losu i że ich brat znalazł żonę.

– Zrobiłam z niego mężczyznę – mówi mama. – Dzięki mnie zawsze wyglądał porządnie, jak *mensch*. Nie potrafił sam zadbać o siebie, wszystko robiłam za niego. Dzięki mnie wyglądał schludniej. Nie musieli się już tak za niego wstydzić.

Jedyne uczucie związane z ojcem, jakie pamiętam, to wstyd. Gdy go znałam, zawsze był niechlujny i brudny, do tego zachowywał się dziecinnie i niestosownie.

– Co dzisiaj myślisz o ojcu? – pytam. – Jak sądzisz, co z nim było nie tak?

– Och, nie wiem. Przypuszczam, że był psychicznie chory, miał urojenia.

– Naprawdę uważasz, że to wszystko wyjaśnia? Nie wydaje ci się, że był po prostu upośledzony umysłowo?

– Cóż, był raz u psychiatry, zanim się pobraliśmy, i ten psychiatra powiedział mi, że jest niemal pewien, że twój ojciec cierpi na jakieś zaburzenia osobowości, ale ponieważ pacjent odmówił współpracy i dalszych badań oraz nie pojawił się więcej, nigdy nie zostało to stwierdzone.

– No nie wiem – powątpiewam. – Ciotka Chaja powiedziała mi kiedyś, że w dzieciństwie zdiagnozowano u niego niedorozwój. I że jego IQ wynosiło sześćdziesiąt sześć. Niewiele się z tym da zrobić.

– Ale oni nawet nie próbowali! – upiera się mama. – Powinni byli go jakoś leczyć! Przytakuję.

– No więc z początku byli mili. A co stało się potem?

Pamiętam, jak moje ciotki obgadywały matkę za jej plecami, mówiąc okropne, nienawistne rzeczy.

– Cóż, gdy już kurz opadł, zaczęli mnie ignorować. Robili, co chcieli, nie informując mnie o niczym. Spoglądali na mnie z góry, bo byłam z biednej rodziny, podczas gdy oni wszyscy urodzili się zamożni, bogato się wydali i żyli w całkiem innym świecie. Twój ojciec nie był w stanie zarabiać, ja też nie, więc twój dziadek nas utrzymywał. Ale był skąpy, wyliczał nam na jedzenie absolutne minimum. Twój *zajde*^[1] był bardzo sprytny, ale nie rozumiał ludzi. Kompletnie bez poczucia rzeczywistości.

Do dziś czuję ukłucie w sercu, gdy ktoś źle mówi o mojej rodzinie – jakbym

musiała ich bronić.

– Za to wiem, że twoja *bube* zawsze mnie szanowała. Nikt jej nigdy nie słuchał, ale była z pewnością inteligentniejsza i bardziej otwarta, niż ktokolwiek był skłonny przyznać.

– Och, pełna zgoda! – jestem uradowana, że przynajmniej jednego członka rodziny postrzegamy tak samo. – Mnie też tak traktowała: szanowała mnie nawet wtedy, gdy cała reszta uważała, że jestem wielkim utrapieniem.

– Tak, cóż... ale nie miała żadnej władzy.

– To prawda.

Ostatecznie matka nie miała nic, co by ją tam trzymało. Ani męża, ani rodziny, ani domu. Za studenckich czasów „żyła”, miała poczucie sensu i kierunku, w którym zmierza. Jak nie ma po co zostać, to się odchodzi – tam, gdzie można się na coś przydać, gdzie czuje się akceptowanym.

Kelner podchodzi do stolika z czekoladowym brownie z wetkniętą w nie świeczką.

– Sto lat, sto lat – śpiewa cicho matka, przez moment jej wzrok spotyka mój. Opuszczam oczy, czując, jak się czerwienię.

– Zdmuchnij! – nalega mama, wyjmując aparat.

Chce mi się śmiać. Idę o zakład – kelner pewnie myśli, że jestem jak każda inna dziewczyna obchodząca urodziny z mamą. Że co roku idziemy świętować na mieście, tak jak dzisiaj. Czy przyszyłoby mu do głowy, że matka przegapiła większość urodzin mojego dzieciństwa? Jak ona to robi, że zachowuje się jak gdyby nigdy nic? Nie czuje się z tym niezręcznie? Bo ja i owszem.

Obie pochłaniamy nasze brownie, a gdy kończymy, matka milknie i wyciera usta. Mówi, że chciała mnie zabrać ze sobą, ale nie mogła. Była bez grosza. Rodzina ojca groziła, że jeśli spróbuje mnie wziąć, zgotują jej piekło. Mama mówi, że najgorsza była Chaja, najstarsza z ciotek.

– Gdy przychodziłam cię odwiedzić, traktowała mnie jak śmiecia, jakbym nie była już twoją matką, mimo że cię urodziłam. Jakim prawem? Nawet nie była z naszej krwi.

Mama wspomina, że Chaja wyszła za najstarszego brata ojca i natychmiast zaczęła się rządzić. Zawsze musiała wszystkim dyrygować, wszystko ustawiać, wszędzie wtrącać swoje trzy grosze.

Gdy matka na dobre odeszła od ojca, Chaja zaczęła dyrygować także mną. Zdecydowała, że będę mieszkać u dziadków, że pójdę do satmarskiej szkoły, że poślubię dobrego chasydzkiego chłopca z pobożnej rodziny. Ostatecznie jednak to właśnie Chaja nauczyła mnie, jak wziąć swój los we własne ręce, jak stawiać twardo na swoim jak ona, jak nikomu nie pozwalać się unieszczęśliwiać.

To Chaja przekonała *zajde*, by pogadał ze swatką, mimo że miałam ledwie siedemnaście lat. To ona w rzeczywistości nią była, to ona zdecydowała, za kogo mam wyjść za męża. Chciałabym obarczyć ją odpowiedzialnością za wszystko, przez co przeszłam – ale jestem na to za mądra. Wiem, jak działa nasz świat; wiem, że potężny prąd pradawnej tradycji potrafi porwać ludzi i ponieść ich z sobą.

Nowy Jork,
sierpień 2010



W poszukiwaniu mej ukrytej mocy

Matylda pragnęłaby, żeby jej rodzice byli dobrzy, kochający i pełni zrozumienia, musiała jednak pogodzić się z tym, że tacy nie byli. Nie było to łatwe, ale nowa gra, którą wymyśliła, karania jednego z nich lub obojga za każdym razem, kiedy byli dla niej okrutni, sprawiała, że życie stało się bardziej znośne. [...] Będąc bardzo małą dziewczynką, górowała nad pozostałymi członkami rodziny jedynie siłą swojego umysłu.

Roald Dahl, *Matylda*^[2]

Ojciec trzyma mnie za rękę, grzebiąc kluczem w zamku drzwi magazynu. W tej przemysłowej części Williamsburga ulice są niepokojąco puste i ciche. Gwiazdy blade migocą ponad naszymi głowami, od czasu do czasu słysząc szum samochodu pomykającego autostradą jak widmo. Spoglądam w dół, na moje buciki ze skóry patentowej, postukujące niecierpliwie po chodniku, i przygryzam wargi, żeby powstrzymać impuls. Czuję wdzięczność, że tu jestem. Nie co tydzień Tate zabiera mnie z sobą.

Jednym z wielu dorywczych zajęć mego ojca jest włączanie pieców koszernej piekarni Beigela po zakończeniu szabasu. Na czas szabasu wszystkie żydowskie biznesy się zamykają, a prawo wymaga, by osoba uruchamiająca je na nowo była Żydem. Przy tak minimalnych wymaganiach ojciec ma pełne kwalifikacje do tej pracy. Nieżydowscy pracownicy już pracują, kiedy dociera na miejsce, przygotowują ciasto, formując z niego bułki i bochenki. Ojciec idzie przez wielką halę, przyciskając przełączniki wprawiające w ruch maszyny, których szum i klekot narasta, w miarę jak przemierzamy wielkie fabryczne pomieszczenia. To jeden z tych tygodni, kiedy zabiera mnie z sobą. Podnieca mnie otaczający nas harmider i myśl, że to mój ojciec jest sprawcą całego poruszenia; że wszyscy ci ludzie muszą czekać na jego przybycie, by móc powrócić do swych zwykłych zajęć. Czuję się ważna, wiedząc, że on też jest ważny. Gdy przychodzi, pracownicy pozdrawiają go skinieniem głowy, uśmiechają się, nawet gdy się spóźnia, poklepują mnie po głowie dłońmi schowanymi w oprószonych mąką rękawicach. Gdy ojciec kończy obchodzić pierwszą halę, cała piekarnia pulsuje dźwiękami mieszadeł i pasów transmisyjnych. Cementowa podłoga wibruje lekko pod moimi stopami. Patrzę, jak blachy zsuwają się z taśmociągów do piekarników, a po drugiej stronie wynurzają się pełne rumianych bułek ułożonych rządkiem – a mój ojciec przez ten czas rozmawia z pracownikami i pogryza swój jajeczny kichel.

Bube uwielbia kichel. Zawsze przynosimy jej kilka ciastek z naszych wypraw do piekarni. Przy wejściu stoją półki pełne zapakowanych i zalakowanych pudeł z różnymi wypiekami, przygotowanych na poranną dostawę. Wychodząc, zabieramy ich z sobą tyle, ile tylko zdołamy unieść. Słynne koszerne „kapkejki” z różnokolorową posypką, czekoladowa albo cynamonowa babka, siedmiowarstwowy przekładaniec, ciężki od margaryny, miniaturowe czarno-białe ciasteczka, z których smakuje mi tylko czekoladowa część. Cokolwiek ojciec wybierze, wylądowuje później w domu dziadków,

rzucone na stół w jadalni jak piracki łup – i wszystkiego będę mogła spróbować.

Co się może równać z tym bogactwem, z taką obfitością wszelkich słodczy, rozsypanych na adamaszkowym obrusie jak fanty na licytacji? Dziś zasnę z łatwością, czując smak kremu i polewy wciąż między zębami, z okruszkami rozplływającymi się w zagłębieniach po obu stronach wnętrza ust.

To jedne z nielicznych dobrych momentów dzielonych z ojcem. Zwykle niewiele mi daje powodów do dumy. Jego koszule mają żółte plamy od potu pod pachami, mimo że Bube prawie wszystko mu pierze; jego uśmiech jest zbyt szeroki i głupkowaty jak u kłowna. Gdy ojciec przychodzi mnie odwiedzić w domu Bube, przynosi mi oblane czekoladą batoniki lodowe Kleina i kiedy jem, patrzy na mnie z wyczekiwaniem, żeby usłyszeć słowa pochwały. Musi myśleć, że na tym polega bycie ojcem – na dostarczaniu mi przysmaków. Odchodzi tak samo niespodziewanie, jak przybywa, spiesząc do kolejnych „obowiązków”.

Ludzie dają mu zajęcie z litości, wiem o tym. Zatrudniają go, żeby był ich szoferem, doręczycielem pakunków – robił cokolwiek na tyle prostego, by był w stanie to wykonać bez potknięć. On nic nie rozumie, wydaje mu się, że oferuje innym cenne usługi.

Ojciec wykonuje wiele prac, ale jedyne, w których pozwala mi uczestniczyć, to okazjonalne wyprawy do piekarni lub jeszcze rzadsze na lotnisko. Wyprawy na lotnisko są bardziej ekscytujące, ale jest ich ledwie kilka w roku. To dziwaczne, że samo bycie na lotnisku sprawia mi przyjemność, przecież wiem, że nigdy nie wsiądę do samolotu, ale to dla mnie frajda stać obok ojca czekającego na osobę, którą ma odebrać, i przyglądać się tłumom ludzi z głośno poskrzypującymi walizkami u boku, spieszącym tu i tam, ze świadomością, że wszyscy gdzieś jadą, że mają jakiś cel w tej podróży. Myślę sobie: cóż to za niezwykły świat, w którym ptaki lądują na moment, by zaraz pojawić się, jak zaczarowane, na innym lotnisku, na drugim końcu świata. Jeśli mogłabym spełnić jedno życzenie, chciałabym podróżować non stop, z lotniska na lotnisko. Uwolnić się z więzienia bezruchu.

Mogę nie zobaczyć ojca przez jakiś czas po tym, jak odwiezie mnie do domu – może przez parę tygodni. No chyba że wpadnę na niego na ulicy, a wtedy ukryję twarz i będę udawać, że go nie widzę, żeby nie musieć podchodzić, kiedy mnie zawoła i przedstawi osobie, z którą akurat rozmawia. Nie znoszę tych pełnych zaciekawienia i litości spojrzeń, jakimi obdarzają mnie ludzie, gdy dowiadują się, że jestem jego córką.

– To twoja *majdele*? – pomrukuje protekcyjnym tonem, szczypiąc mój policzek lub unosząc mój podbródek zakrzywionym palcem. Potem przyglądają mi się z bliska, poszukując dowodów, że faktycznie jestem córką tego człowieka, by później móc powiedzieć: „*Nebach*, co za biedne stworzenie, cóż ona winna, że się urodziła? Nawet z jej twarzy widać, że coś z nią nie w porządku”.

Bube to jedyna osoba, która wierzy, że jestem w stu procentach w porządku. Widzę, że nigdy nie miała co do tego wątpliwości. Bube nie ocenia ludzi. Nawet w przypadku mego ojca nie doszła do kategorycznych wniosków – ale może nie chce przyznać, jak jest naprawdę. Kiedy opowiada historie o ojcu, gdy był w moim wieku, prezentuje go jako uroczego psotnika. Zawsze był za chudy, więc robiła, co mogła, by jadł. Dostawał, co chciał, ale nie wolno mu było wstać od stołu, dopóki talerz nie był

czysty. Kiedyś, chcąc uniknąć siedzenia godzinami przy stole podczas gdy inne dzieciaki bawiły się na dworze, przywiązał kawałek sznurka do udka kurczaka i spuścił je za okno, żeby podwórzowe koty je zjadły. Gdy Bube wróciła, wskazała pusty talerz, pytając: „A gdzie kości? Nie mogłeś zjeść z kośćmi” – tak przejrzała ten podstęp.

Chciałabym móc podziwiać pomysłowość ojca, ale moja дума pęka jak bańka mydlana, gdy Bube mówi, że nie był na tyle bystry, by planować – wciągnąć sznurek z powrotem i położyć świeżo ogryzione kości na talerzu. Jako jedenastolatka życzyłam sobie, by ten potencjalnie znakomity plan doczekał się lepszego wykonania.

Gdy ojciec osiągnął wiek nastoletni, niewinność psotnika nie była już czarująca. Nie potrafił wysiedzieć spokojnie w jesziwie, więc Zajde wysłał go na obóz szkoleniowy Gershoma Feldmana na północ stanu Nowy Jork. To była jesziwa dla dzieci z problemami – w zasadzie jak normalna jesziwa, tyle że z karami cielesnymi dla nieposłuszných. Ale to nie wyleczyło ojca z jego dziwaczných zachowań.

Może dzieciom łatwiej wybacza się ekscentryczność. Jak jednak wytłumaczyć dorosłego, który miesiącami gromadzi ciastka i trzyma je, aż smród pleśni jest nie do wytrzymania? Jak wytłumaczyć wypełniające lodówkę rzędy butelek pełnych różowego syropu z antybiotykiem dla dzieci, który ojciec popija codziennie, upierając się, że pomaga to na urojoną chorobę, której jakoś żaden lekarz nie może się doszukać?

Bube ciągle stara się dbać o niego. Specjalnie dla ojca gotuje wołowinę, której Zajde nie jada od czasu tego skandalu dziesięć lat temu, gdy okazało się, że część koszernego mięsa wcale nie była koszerne. Bube wciąż gotuje dla wszystkich swoich synów, nawet dla tych żonatyh. Ich żony się nimi zajmują, ale oni i tak ciągle przychodzą na obiad, a Bube zachowuje się, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. O ósmej wieczorem wyciera do czysta blaty kuchenne i oznajmia żartem, że „restauracja nieczynna”.

Ja też tu jadam, i przez większość czasu nocuję, bo matki już jakoś nie widuję, a na opiekę ojca nie można liczyć. Pamiętam, że gdy byłam malutka, matka czytała mi przed snem – historie o głodnych gąsienicach i wielkim czerwonym psie o imieniu Clifford. W domu Bube z książek są tylko modlitewniki. Przed zaśnięciem zmawiam modlitwę *Szma Jisroel*.

Chciałabym znów czytać – chwile, gdy mama mi czytała, to jedyne, które wspominam jako szczęśliwe – ale mój angielski jest słaby i nie ma mowy, żebym mogła samodzielnie zdobyć książki. Zamiast tego zajadam kapkejki i jajeczny kichel od Beigela. Bube uważa jedzenie za niezwykle przyjemne i ekscytujące, więc chcąc nie chcąc, zaczynam podzielać jej entuzjazm.

Kuchnia Bube jest jak centrum świata. To tu wszyscy zbierają się, by pogadać, poplotkować – ona w tym czasie wrzuca składniki do elektrycznego miksera albo miesza coś w garnku stojącym na kuchence; to nieodłączny kuchenny rekwizyt. Poważne rozmowy Bube i Zajde odbywają się za zamkniętymi drzwiami, ale dobrymi wiadomościami wszyscy dzielą się w kuchni. To małe, wyłożone białymi kafelkami pomieszczenie, często zasnute oparami gotowanych potraw, przyciągało mnie, odkąd pamiętam. Jako niemowlak przeczołgałam się kiedyś z naszego mieszkania na drugim piętrze do babcinej kuchni na pierwszym. Ostrożnie balansowałam na każdym

z pokrytych linoleum stopni, schodząc w dół na moich pulchnych, dziecinnych nóżkach, mając nadzieję, że za ten wysiłek czeka mnie nagroda w postaci wiśniowej galaretki. To w kuchni zawsze czułam się bezpiecznie. Nie potrafiłam wyartykułować, od jakich niebezpieczeństw mnie ona chroniła – ale tylko w kuchni opuszczało mnie poczucie zagubienia w obcym kraju, którego językiem nie władam. W kuchni czułam się jak w miejscu, z którego pochodzę, i nie chciałam nigdy więcej wychodzić w chaos na zewnątrz.

Zwykle przysiadam na pokrytym skórą stołeczku, wciśniętym między stół a lodówkę, przyglądam się, jak Bube miesza masę na ciasto czekoladowe, i czekam, aż da mi łyżkę do wylizania, co zawsze robi. Przed szabasem Bube wciska drewnianym kołkiem całe wątroby wołowe do maszynki do mięsa, co jakiś czas dorzucając trochę smażonej cebuli i przytrzymując miskę, do której spływa kremowa mielona wątróbka. W niektóre poranki Bube miesza w garnuszku delikatesowe holenderskie kakao z tłustym mlekiem i gotuje mi gorącą czekoladę, którą słodzę cukrem w kostkach. Babcina jajecznica pływa w maślanym sosie; jej bundas – węgierska wersja francuskiego tostu – zawsze jest rumiany i chrupiący. Lubię patrzeć, jak Bube gotuje, nawet bardziej niż jeść to, co ugotowała. Uwielbiam, gdy dom wypełniają zapachy – jak przepływają powoli przez amfiladowe mieszkanie, wnikać do każdego kolejnego pomieszczenia jak ulotny, aromatyczny pociąg. Gdy rano budzę się w moim pokoiku na drugim końcu mieszkania, węszyć niecierpliwie, próbując zgadnąć, co też Bube dzisiaj pichci. Babcia zawsze wstaje wcześniej: gdy otwieram oczy, przygotowania do posiłku już idą pełną parą.

Jeśli Zajde nie ma w domu, Bube śpiewa. Cienkim, delikatnym głosem nuci melodie bez słów, umiejętnie wlewając do miski wielką górę puchatej masy bezowej. Mówi mi: to walc wiedeński, a to węgierska rapsodia; melodie, które pamięta z dzieciństwa spędzonego w Budapeszcie. Przestaje nucić, jak tylko Zajde wraca. Wiem, że kobietom nie wolno śpiewać przed obcymi, ale nie przed rodziną. Mimo to Zajde pozwala śpiewać tylko w szabas. Mówi, że od czasu zniszczenia świątyni jerozolimskiej nie powinniśmy słuchać muzyki ani śpiewać, chyba że przy wielkiej okazji. Czasami Bube wyjmuje stary magnetofon kasetowy, który dostałam od ojca, i puszcza w kółko taśmę z muzyką ze ślubu mojej kuzynki – cichutko, żeby móc usłyszeć, gdy ktoś idzie. Jeśli usłyszy choćby szelest w korytarzu, zaraz wyłącza.

Bube przypomina mi, że jej ojciec był kohenem. Jego genealogia sięga aż do kapłanów Świątyni. Kohenowie słyną z pięknych głębokich głosów. Zajde nie ma za grosz talentu wokalnego, ale uwielbia piosenki, które śpiewał jego ojciec jeszcze w Europie – tradycyjne szabasowe melodie, które w dziadkowym wykonaniu brzmią jak pełna fałszywych dźwięków paplanina, zniekształcona jego monotonnym głosem. Za każdym razem, gdy Zajde próbuje śpiewać, Bube tylko z uśmiechem kręci głową. Dawno już przestała przyłączać się do niego: kto by nie próbował, przy dziadku wszyscy brzmią fałszywie, jego trele zagłuszają wszystkie inne głosy, aż melodia całkiem ginie w tej kakofonii. Bube twierdzi, że tylko jeden z jej synów odziedziczył piękny głos, cała reszta jest jak ich ojciec. Mówię jej, że zostałam wybrana na solistkę w szkolnym chórze, że może i ja odziedziczyłam mocny, czysty głos jej przodków. Chcę, żeby była ze mnie dumna.

Bube nigdy nie pyta, jak mi idzie w szkole. Nie interesuje jej, co robię. Całkiem jakby nie chciała mnie poznać naprawdę. Do wszystkich się tak odnosi. Pewnie dlatego, że cała jej rodzina została wymordowana w obozach koncentracyjnych. Bube nie ma już siły, by nawiązywać nowe więzi emocjonalne.

Jedyne, co ją obchodzi, to czy jem wystarczająco dużo. Wystarczająco wiele kromek żytniego chleba, grubo posmarowanego masłem, wystarczająco wiele talerzy pożywnej zupy jarzynowej, wystarczająco wiele kawałków wilgotnego, połyskliwego strudla z jabłkami. Babcia nieustannie stawia przede mną jedzenie, nawet w najbardziej niestosownych momentach. Spróbuj pieczonego indyka na śniadanie. Skosztuj surówki coleslaw o północy. Do jedzenia jest zawsze to, co akurat gotuje. W spiżarni nie ma chipsów ani nawet płatków śniadaniowych. Cokolwiek podaje się u Bube w domu, musi być świeżo przygotowane od zera.

To Zajde pyta, jak mi idzie w szkole, ale zwykle tylko po to, by się dowiedzieć, czy jestem grzeczna. Wszystko, co chce usłyszeć, to że zachowuję się jak trzeba, żeby nikt nie gadał, że ma nieposłuszną wnuczkę. Tydzień temu, przed Jom Kippur, przykazał mi żałować za grzechy, abym mogła zacząć wszystko od nowa i cudem przemienić się w pokorną i bogobojną dziewczynkę. To mój pierwszy post; mimo że Tora mówi, iż stanę się kobietą w wieku lat dwunastu, dziewczynki zaczynają pościć jako jedenastolatki, na próbę. Gdy tylko wkroczę z dzieciństwa w wiek dorosły, czeka mnie cała masa nowych reguł i obowiązków. W tym roku to dopiero rozgrzewka.

Tylko kilka dni dzieli nas od kolejnego święta, Sukkot. Mam pomóc Zajde budować kucznię, drewniany szałas, w którym spędzimy osiem dni, uczując. Potrzebuje czyjejś pomocy, by położyć dach: w tym celu trzeba mu podać ciężkie belki bambusa, które, stojąc na szczycie drabiny, przetoczy po świeżo umocowanej krokwi. Kołki klekoczą głośno, gdy belki ładują na właściwych miejscach. Jakoś tak się składa, że zawsze ja dostaję tę robotę i nudzę się, tkwiąc godzinami u stóp drabiny, podając kolejne bambusowe pręty do rąk Zajde, czekającego na górze.

Mimo to lubię czuć, że jest ze mnie pożytek. Belki bambusa pachną świeżo i słodko, choć mają dziesięć lat i przez cały rok leżały w piwnicy. Obracam je w dłoniach; ich powierzchnia jest chłodna w dotyku, wypolerowana przez lata używania. Zajde podnosi każdą powoli, z rozmysłem. Niewiele jest skłonny robić w gospodarstwie, ale zawsze ma czas na prace związane z przygotowaniem do świąt. Sukkot to jedno z moich ulubionych, bo spędza się je na dworze w piękną jesienną pogodę. Gdy dni zaczynają być krótsze, w każdej wolnej chwili grzeję się w resztkach słońca na babcinym ganku – nawet jeśli wymaga to opatulenia się w kilka warstw swetrów dla ochrony przed zimmem. Leżę na łożu z zestawionych razem drewnianych krzeseł, wystawiając twarz do słońca, którego promienie padają to tu, to tam przez wąskie zaułki, między ciągiem stojących rzędem czynszowych kamienic. Nic mnie tak nie koi jak blady blask jesiennego słońca na skórze. Siedzę tak, aż promienie znikną za ponurym, zamglonym horyzontem.

Sukkot to długie święto, ale co najmniej cztery środkowe dni nie wymagają specjalnych obchodów. Prawo nie zabrania jeździć samochodem ani wydawać pieniędzy przez ten czas – nazywany Chol Hamoed, albo półświęta – więc spędza się go jak każdy inny weekend, poza tym, że nie wolno wykonywać żadnej pracy; większość ludzi urząda

sobie wtedy rodzinne wycieczki. Moje kuzynki zawsze gdzieś jadą w Chol Hamoed; jestem pewna, że uda mi się zabrać z którąś z nich. W zeszłym roku byliśmy na Coney Island. Mimi mówi, że w tym roku pójdziemy na ślizgawkę w parku.

Mimi jako jedna z nielicznych w rodzinie jest dla mnie miła. Pewnie dlatego że jej ojciec jest rozwodnikiem. Jej matka jest teraz żoną innego mężczyzny, który nie należy do naszej rodziny, ale Mimi nadal często przychodzi do domu Bube, by zobaczyć się z ojcem, moim wujem Synajem. Mam czasem wrażenie, że nasza rodzina jest podzielona na dwie części: jedna to ludzie z problemami, druga – chodzące ideały. Rozmawiają ze mną tylko ci z problemami. Tak czy inaczej Mimi to doskonała towarzyszka. Chodzi do liceum, może sama podróżować i modeluje swoje miodowe włosy na lata sześćdziesiąte, z lokami ku górze.

Przez dwa dni pomagam Bube serwować świąteczne potrawy, nosząc talerze na tacy z kuchni do szafasu i z powrotem, i czekam niecierpliwie na nadejście Chol Hamoed – aż wreszcie się doczekuję. Mimi przychodzi po mnie rano. Jestem ubrana i gotowa, dokładnie tak, jak mnie poinstruowała. Mam na sobie ciepłe pończochy, a na nich grube skarpety, ciepły sweter włożony na bluzkę, by nie zmarznąć, a do tego wielkie rękawice i czapkę. Czuję się dziwnie, jak napompowana, ale jestem ubrana odpowiednio. Mimi ma na sobie szykowne wełniane palto w kolorze grafitu, z welwetowym kołnierzem i rękawiczkami. Z zazdrością patrzę na jej elegancję. Ja nijak do niej nie pasuję: wyglądam jak małpa, z ramionami komicznie zwieszonymi pod ciężarem rękawic.

Jazda na ślizgawce jest jak z bajki. Na początku kiwam się niepewnie na wypożyczonych łyżwach, trzymam się mocno ściany, próbując złapać równowagę – ale szybko chwytam, co robić, i od tej chwili czuję się, jakbym latała. Odpycham się nogą za nogą i zamykam oczy, by poczuć miękki poślizg; trzymam plecy proste, tak jak Mimi kazała. Nigdy nie czułam się tak wolna.

Słyszę śmiechy, ale ich dźwięk brzmi jak z bardzo daleka, ginie w pędzie powietrza szumiącego w uszach. Najdonośniejszy jest odgłos łyżew skrobiących po lodzie, gubię się w jego rytmie. Poruszam się monotonna, jak w transie, chciałabym czuć się tak już zawsze. Za każdym razem, gdy otwieram oczy, spodziewam się być całkiem gdzie indziej.

Mijają dwie godziny i umieram z głodu. To całkiem nowy rodzaj apetytu, może ten płynący z rozkosznego rodzaju zmęczenia, wewnętrznej pustki, która nareszcie sprawia mi przyjemność. Mimi ma dla nas koszerne kanapki. Pożeramy je, siedząc na ławce obok lodowiska.

Jem z entuzjazmem kanapkę z żytniego chleba z tuńczykiem, gdy mój wzrok pada na sąsiedni stół piknikowy, a dokładniej na siedzącą przy nim dziewczynkę, chyba w moim wieku. W przeciwieństwie do mnie, jest znakomicie ubrana do jazdy na łyżwach, w dużo krótszą spódniczkę i grube, kolorowe rajstopy. Ma nawet nauszniaki z futerka.

Zauważa, że na nią patrzę, i zeskakuje z ławki. Wyciąga do mnie zaciśniętą dłoń, a gdy ją otwiera, widzę, że to czekoladka w błyszczącym srebrnym papierku. Nigdy wcześniej nie widziałam takich słodyczy.

– Jesteś Żydówką? – pytam, by upewnić się, czy to aby koszerne.

– Yhy – odpowiada. – Nawet uczę się hebrajskiego i w ogóle. Znam żydowski

alfabet. Mam na imię Stephanie.

Z wahaniem przyjmuję od niej czekoladkę. Jest na niej napisane „Hershey’s”. W jidysz *hersz*^[3] znaczy jeleń. To także popularne imię dla chłopców. Z przyklejonym „ey” brzmi jak czułe zdrobnienie. Zastanawiam się, co to za człowiek ten Hershey – czy jego dzieci są dumne, widząc jego nazwisko na papierkach od cukierków? Och, co to by było za szczęście mieć takiego ojca. Zanim jednak mam szansę odpakować czekoladkę i zobaczyć, jak wygląda w środku, Mimi patrzy na mnie z dezaprobatą i potrząsa ostrzegawczo głową.

– Dziękuję – mówię do Stephanie, zaciskając dłoń na batoniku, aż znika z jej oczu. Zadziera głowę i biegnie z powrotem do swojego stołu.

Gdy tylko Stefanie oddała się na tyle, by nie słyszeć, Mimi oznajmia:

– Nie możesz zjeść tej czekoladki. Nie jest koszerna.

– Ale to Żydówka, sama mi powiedziała! Dlaczego nie?

– Bo nie wszyscy Żydzi przestrzegają koszeru. A ci, co przestrzegają, też nie zawsze wystarczająco dokładnie. Widzisz, co jest napisane na tym papierku? OUD. To znaczy, że z koszernej nabiału, ale niekoniecznie Cholov Yisroel. To znaczy, że mleko nie było przygotowane pod kontrolą rabina. Zajde byłby przerażony, jeśli byś to przyniosła do jego domu. – Mimi wyjmuję mi batonik z ręki i wyrzuca do pobliskiego kosza. – Dostaniesz ode mnie inną czekoladkę. Koszerną. Jak wrócimy. Możesz dostać wafelka La-Hit. Lubisz je, prawda?

Mile polechtana, kiwam potakująco głową. Kończąc kanapkę, rozmyślam, przyglądam się, jak Stephanie zeskakuje na lód z pokrytego gumą chodnika. Za każdym razem, gdy ląduje, ząbkowane przody jej łyżew wydają głuchy odgłos; ma idealną postawę. Zastanawiam się, jak można być Żydem i nie przestrzegać koszeru. Jak można znać hebrajski alfabet i jeść batoniki Hershey’s? Czy nie powinna tego wiedzieć?

Ciocia Chaja przybiera najbardziej pełną dezaprobaty minę ze swego repertuaru. Siedzi obok mnie przy świątecznym stole i poucza, jak jeść zupę, nie siorbiąc. Jej wzrok jest na tyle przerażający, że zachęca do szybkiej i skutecznej nauki. Żyję w strachu, że ściągnę na siebie jej uwagę: to nigdy się dobrze nie kończy. Ciotka Chaja ciągle podejmuje wszystkie istotne dla mojego życia decyzje, mimo że nie widuję jej tak często jak kiedyś. Mieszkałam z nią przez jakiś czas, krótko po tym, jak matka na dobre odeszła, odjeżdżając swoją małą czarną hondą, odprowadzona wzrokiem gapiów wystawiających głowy z okien. Możliwe, że była pierwszą kobietą na Williamsburgu prowadzącą samochód.

Byłam bardzo nieszczęśliwa, kiedy mieszkałam z Chają. Krzyczała na mnie zawsze, gdy płakałam; im bardziej próbowałam przestać, tym bardziej zdradzieckie łzy napływały mi do oczu. Błagałam, by mi pozwolono zamieszkać z Bube, mimo że dziadkowie byli starzy i dawno już odchowali własne dzieci, i w końcu mi pozwolono. Zajde do tej pory radzi się Chai w kwestiach mojego wychowania. Zastanawiam się, co daje jej status eksperta, skoro jej własne trzy córki przestały nosić rajstopy ze szwami, jak tylko skończyły szkołę, i ledwie wyszły za mąż, zaraz wyprowadziły się do Borough Park.

Przed Sukkot Bube wysłała mnie do mieszkania Chai, na trzecim piętrze, żebym pomogła przy świątecznych porządkach. Pomimo wizyt deratyzatora, który przychodził

co dwa tygodnie, mieliśmy problem z myszami – zresztą jak niemal wszyscy na Williamsburgu – więc Chaja rozstawiała w mieszkaniu pułapki na myszy. Zawsze smaruje lepkie, żółte tacki dodatkowo masłem orzechowym i wsuwa pod meble. Gdy przybyłam, właśnie sprawdzała, co się złapało. Wymiotła pułapkę spod kuchenki – była w niej mysz, popiskująca żałośnie i szamocząca się w desperackiej próbie uwolnienia się z lepkiej tacki. Uświadomiłam sobie, że skoro już się złapała, nie ma mowy, by dało się ją odkleić, ale miałam nadzieję na jakieś miłosierne rozwiązanie – jak wtedy, gdy łapie się w mieszkaniu owada i wypuszcza na zewnątrz. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Chaja podniosła pułapkę obiema rękami i jednym szybkim jak klaps gestem złożyła ją w pół, miażdżąc mysz na śmierć.

Stałam przez chwilę z rozdziawioną buzią. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zabicie myszy sprawiało komuś taką przyjemność. Kiedy Bube znajdowała mysz, najczęściej ta była już martwa, więc babcia zawijała ją w foliową torebkę i wносиła do śmietnika przed domem. Kilka miesięcy temu otworzyłam szufladę komody i znalazłam tam mysią rodzinę, gnieźdzącą się na moim złożonym w kostkę swetrze: dziewięć wiercących się różowych stworzeń wielkości mego kciuka, wesoło buszujących w stercie skrawków folii aluminiowej i papieru, które zapewne przyniosła im matka. Pozwoliłam im zostać przez tydzień, nie dzieląc się z nikim moim odkryciem. Pewnego dnia zniknęły. Przez moją głupotę pozwoliłam kolejnym dziesięciu myszom grasować po domu, podczas gdy Bube bezustannie próbowała się ich pozbyć.

Nie żebym lubiła myszy. Po prostu nie znoszę zabijania żywych stworzeń. Zajde uważa, że taki rodzaj współczucia jest niestosowny i źle ukierunkowany. To tak, jakby umiejętność współczucia była zaletą, ale ja stosuję ją niewłaściwie, czy coś w tym rodzaju. Żal mi stworzeń, nad którymi nie powinnam się litować. Dziadek mówi, że powinnam raczej współczuć tym, którzy próbują mnie wychować. Powinnam bardziej starać się dać mu powód do dumy.

Mam wrażenie, że wszyscy wujowie i ciotki są surowi wobec swoich dzieci. Krzyczą na nie, karcą je i upokarzają. Na tym polega *chinuch*, właściwe wychowanie według reguł Tory. Duchowym obowiązkiem rodziców jest dopilnowanie, by dzieci wyrosły na bogobojnych, posłusznych Prawu Żydów. Wszelkie metody karcenia są dozwolone, jeśli taki cel im przyświeca. Zajde często mi przypomina, że jeśli upomina jakieś dziecko szczególnie surowo, robi to wyłącznie z poczucia obowiązku. Nie wolno unosić się prawdziwym gniewem, ale z uwagi na *chinuch* można udawać, jeśli się musi. W naszej rodzinie nie całuje się i nie przytula. Nie prawi się komplementów. Zamiast tego czujnie obserwujemy się nawzajem, zawsze w pełnej gotowości, by wytknąć komuś każde duchowe lub materialne potknięcie. Chaja mówi, że to jest prawdziwe współczucie: dbałość o duchowe dobro innych.

Z całej rodziny Chaja najbardziej dba o moje duchowe dobro. Kiedy tylko odwiedza Bube, śledzi mnie jastrzębim wzrokiem, co chwila wytykając mi, co robię nie tak. Kiedy jestem w jej pobliżu, serce bije mi szybciej; jego rytm dudni mi w uszach, zagłuszając głos ciotki. Owszem, pozostali członkowie rodziny też mnie krytykują. Ciotka Rachel zawsze patrzy na mnie, jakbym była umorusana na twarzy i zapomniała się wytrzeć. Wuj Synaj bije mnie po głowie, gdy wchodzę mu w drogę. Ale Chaja zawsze

patrzy prosto na mnie i krzywi usta w gniewnym grymasie, którego znaczenia do końca nie rozumiem. Ciotka zawsze ma na sobie drogie garsonki oraz pasujące do nich buty i zawsze jakimś cudem unika ubrudzenia czy zagniecenia ubrania, nawet przy podawaniu do stołu albo sprzątanii. Jeśli zdarzy mi się przy jedzeniu leciutko poplamieć kołnierzyk zupą, Chaja cmoka głośno na znak dezaprobaty. Czuję wyraźnie, że wywoływanie u mnie lęku sprawia jej przyjemność, daje jej to poczucie władzy. Inni nie zwracają uwagi na to, jakie budzą we mnie uczucia, ale Chaja wie, że się jej boję, i podoba jej się to. Czasami udaje, że chce być miłą, mówi głosem aż lepkim od słodyczy – ale błysk w jej zwężonych niebieskich oczach wskazuje na coś całkiem innego. Pyta mnie, czy chcę jej pomóc piec placek z wiśniami, a potem obserwuje mnie krytycznie, gdy zagniatam ciasto, tylko czekając na choćby najmniejsze potknięcie.

Chaja jest jedyną naturalną blondynką w rodzinie. Mam dwie inne ciotki noszące blond peruki, ale wszyscy wiedzą, że ich własne włosy przedwcześnie posiwiały, jeszcze zanim wyszły za mąż. Tylko Chaja jest prawdziwą blondynką: ma równą, jasną karnację i oczy koloru zabarwionego na błękit lodu. Na Williamsburgu rzadko się widuje naturalne blondynki i wiem, że Chaja jest dumna ze swej urody. Czasami wyciskam na głowę sok z cytryny i rozprowadzam go po pasemkach włosów, z nadzieją, że je to rozjaśni, ale efektu jakoś nie widać. Kiedyś posmarowałam w jednym miejscu wybielaczem i to zadziałało, ale zbyt mocno rzuciło się w oczy i martwiłam się, że ktoś zauważy – włosów nie wolno farbować. Nie zniósłabym plotek, jakie mogłyby się roznieść, gdyby ktoś podejrzliwie popatrzył na moje nowe blond pasemka.

Chaja przekonała Zajde, że powinien mnie zbadać kolejny psychiatra. Byłam już u dwóch – ortodoksyjnych Żydów z gabinetami w Borough Park. Pierwszy orzekł, że jestem normalna. Drugi powtórzył Chai wszystko, co mu powiedziałam, więc zamknęłam się w sobie i odmówiłam dalszych rozmów z nim – dlatego się poddał. Teraz Chaja wynalazła psychiatrę kobietę. Rozumiem, dlaczego powinnam pójść do lekarza od wariatów. Spodziewam się, że też mogę być stuknięta. Tylko czekam, aż któregoś dnia obudzę się z pianą na ustach, jak moja cioteczna babka Ester, która ma padaczkę. Chaja najwyraźniej sugeruje, że to w rodzinie matki są problemy. Jasne, z moimi kiepskimi genami mam małe szanse na zdrowie psychiczne. Ale czegoś tu nie rozumiem: jeśli ci lekarze mogą komuś pomóc, dlaczego nie zaprowadzono do nich moich rodziców? A jeśli ktoś tego próbował i im to nie pomogło, dlaczego miałyby pomóc mnie?

Kobieta ma na imię Szifra. Trzyma przed sobą kartkę z diagramem, który nazywa enneagramem. To klasyfikacja dziewięciu typów osobowości. Lekarka tłumaczy mi, że osoba może mieć jeden dominujący typ osobowości ze „skrzydełkami” w innych – można być piątką ze skrzydełkami w czwórce i szóście.

– Czwórka to indywidualista. Ty jesteś czwórką – mówi mi.

Jakże szybko przykleja mi etykietkę: poznała mnie ledwie dziesięć minut temu. I co jest złego w byciu indywidualistą, osobą skrytą i samowystarczalną, jak mnie opisuje? Czy to jest ta nerwica, z której Chaja chce mnie leczyć, żebym była bardziej jak ona: sztywna, zdyscyplinowana – i przede wszystkim społecznie dostosowana?

Wybiegam z gabinetu przed końcem sesji. Jasne, lekarka uzna, że to dowód na istnienie problemu, który należy rozwiązać, na zaburzenie osobowości, które trzeba

naprawić. Chodzę po Szesnastej Alei tam i z powrotem, gapiąc się na kobiety z dziewczynkami u boku, robiące szabasowe zakupy. Z brudnych rynsztoków unosi się zapach starych śledzi, od którego marszczę nos z niesmakiem. Nie pojmuję, dlaczego nie mogę być jak inne dziewczynki – ich skromność jest tak mocno zakorzeniona, że mają posłuszeństwo we krwi. Nawet ich myśli są pokorne i ciche, widzę to. Ja nie potrafię ukryć własnych myśli. Nawet jeśli nie wyrażam ich głośno, wszyscy widzą, że myślę o czymś zakazanym. Tak się składa, że właśnie przyszła mi do głowy zakazana myśl. Nikt się nie spodziewa zobaczyć mnie z powrotem na Williamsburgu przez co najmniej następne półtorej godziny, a kilka ulic stąd jest biblioteka publiczna – tyle razy koło niej przechodziłam. Łatwiej mi będzie wkraść się do tutejszej biblioteki, w której nikt mnie nie zna. Nie muszę się tak bardzo obawiać, że ktoś mnie rozpozna.

W bibliotece panują cisza i spokój, a moje myśli szybują tak wysoko, jak tylko pozwala strzelisty sufit. Bibliotekarka układa książki w sekcji dziecięcej, w której szczęśliwie nie ma nikogo. Lubię tę część biblioteki, bo jest tam gdzie usiąść i nie trzeba prosić o przyniesienie książki z półki. Bibliotekarze zawsze uśmiechają się na mój widok; ich oczy wyrażają cichą zachętę.

Nie mam karty bibliotecznej, więc nie mogę wypożyczać książek. Bardzo bym chciała móc je zabrać do domu: czytanie daje mi taką radość i poczucie wolności, że jestem przekonana, iż moje życie byłoby o wiele znośniejsze, gdybym zawsze miała książki pod ręką. Czasami mam wrażenie, że ich autorzy mnie rozumieją, że spisali swoje historie z myślą o mnie. Bo jak inaczej wyjaśnić analogie między mną a postaciami z książek Roalda Dahla: nieszczęśliwymi dziećmi, urodzonymi nie w porę, których durne rodziny i koledzy nienawidzą i zanedbują?

Po lekturze *Kuby i ogromnej brzoskwini* przyśniło mi się, że kręcę się w łonie wielkiego owocu z babcinego ogrodu. Wydawało mi się, że w książkach traktujących o losach dzieci – dzieci takich jak ja, niezwykłych i nierozumianych – prędzej czy później dzieje się coś, co odmienia ich życie, przenosi do bajkowych światów, w których jest ich prawdziwe miejsce. Wtedy uświadamiają sobie, że poprzednie życie było pomyłką, że od początku były niezwykle, powołane do wyższych celów. Sama w sekrecie spodziewam się wpaść w głąb króliczej nory do Krainy Czarów albo przewędrować przez wnętrze szafy do Narnii. Co innego mogę zrobić? Z pewnością w tym świecie nigdy się nie zadomowię.

Zakładam nogę na nogę w rozkoszonym oczekiwaniu, czytając, jak pewnego dnia w trakcie szkolnej lekcji Matylda odkrywa swą szczególną moc – to jeden z tych przełomowych momentów, jak we wszystkich opowieściach: wydaje się, że już nie ma żadnej nadziei – aż nagle widać światło w tunelu, płynące z najmniej oczekiwanej strony. Czy i ja odkryję w sobie kiedyś moc, o której istnieniu nie wiedziałam? Czy może tkwi we mnie tu i teraz, ukryta, uśpiona? Wszystko, co mnie spotyka, nabrałoby sensu, gdybym jak Matylda na końcu powędrowała do domu z panną Miodek.

Książki dla dzieci zawsze dobrze się kończą. Ponieważ nie doszłam jeszcze do lektur dla dorosłych, przyjmuję tę konwencję za oczywistość. To naturalne prawo w fizyce wyobraźni: dziecko potrafi zaakceptować tylko świat, w którym regułą jest sprawiedliwość. Tak jak postacie w tych wszystkich historiach długo czekałam, by ktoś

przyszedł mnie uratować. Gorzka to była pigułka, gdy uświadomiłam sobie, że nikt nie podniesie zgubionego przeze mnie szklanego pantofelka.

„Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny”. Nieustannie słyszę to powiedzenie, od Chai, od nauczycieli w szkole, wyczytuję je z podręczników w jidysz. Im więcej kobieta robi hałasu, tym większe prawdopodobieństwo, że nosi w sobie duchową pustkę, dźwięczącą wibrującym echem jak pusta misa. Pełne naczynie nie wydaje dźwięku, znajdująca się w nim zawartość uniemożliwia drżenie ścianek. Powtarzano mi w dzieciństwie wiele podobnych przysłów, ale to jedno kłuje w serce wyjątkowo mocno.

Staram się, ale nie jestem w stanie opanować naturalnego impulsu odezwania się. Wiem, to niemądre, by próbować zawsze mieć ostatnie słowo. To sprowadza kłopoty, których łatwo można było uniknąć – gdybym tylko nauczyła się trzymać buzię na kłódkę. Nie potrafię jednak zignorować pomyłek innych. Czuję się zobligowana wytykać nauczycielom błędy gramatyczne i niepoprawne cytaty – jakby to był mój niepojęty obowiązek wobec prawdy. Zyskałam w ten sposób opinię *mechitsef*, bezczelnej.

Uczęszczam teraz do satmarskiej szkoły. Chaja zdecydowała, na jakie lekcje będę chodzić, jest tam dyrektorką podstawówki. Z początku koleżanki mi zazdrościły, zakładając, że gwarantuje mi to taryfę ulgową w karaniu za przewinienia, ale prawda jest taka, że to tylko daje Chai kolejną możliwość monitorowania wszystkiego, co robię, i donoszenia dziadkom o wszystkich wpadkach. Chaja mówi, że wybrała dla mnie klasę ze zdolnymi dziećmi, żeby to było dla mnie wyzwanie. Szkoła liczy dwanaście klas szóstych; każda z nich ma jakąś szczególną cechę. Dziewczynki w mojej klasie są zaangażowane w naukę i pilne, kompletnie nie rozumieją mojej potrzeby ekscytacji.

Cichutko postukuję ołówkiem o ławkę, słuchając, jak nauczycielka swym monotonnym głosem omawia cotygodniowy fragment Tory. Po prostu nie jestem w stanie wysiedzieć przez te niekończące się godziny jej mdłego gadania. Gdybyż chociaż spróbowała to trochę ubarwić, może siedzenie spokojnie w miejscu przez cały czas nie byłoby dla mnie taką męczarnią. Cóż, jeśli ona nie ma zamiaru dostarczyć rozrywki, zrobię to za nią.

Dwa tygodnie wcześniej ktoś znalazł pod kaloryferem zdechłą mysz. Na tę wieść wszyscy naraz próbowali wybiec z klasy, co spowodowało dzikie zamieszanie. Smród był nie do wytrzymania. Pamiętam, że nawet Chaja zeszła ze swojego gabinetu na czwartym piętrze, żeby zobaczyć, o co tyle hałasu. Stukot jej kwadratowych obcasów niósł się głośnym echem po drewnianej podłodze, gdy szła ku tyłowi pomieszczenia, z ramionami splecionymi za idealnie wyprostowanymi plecami. Zanim pochyliła się nad kaloryferem, zarzuciła koniec skrywającej jej krótko przyciętą blond perukę chustki za ramię. Gdy się wyprostowała, z jej ręki, okrytej rękawiczką, zwisał jakiś wyschnięty, wyleniały szary trupek. Ktoś obok mnie z wysiłkiem zdławił krzyk. Twarz Chai wykrzywił grymas niezadowolenia, gdy z obrzydzeniem rzucała trupka do strunowej torebki. Nawet nauczycielka wyglądała na wstrząśniętą, była blada na twarzy. I tylko mnie jednej nie zamurowało.

Nie wiem, jak wytłumaczyć postępowanie ciotki. Nie jest z mojej krwi, niewiele wiem o jej przeszłości. Jej dzieci są równie dziwaczne jak ona. Wszystkie są takie chłodne

i tak samo sztywne, fizycznie i psychicznie. To dla Chai powód do dumy i chce, żebym też taka była. Jakby jej się wydawało, że to wystarczy, bym nigdy nie czuła bólu i zawsze spełniała wszelkie pokładane we mnie oczekiwania. Czasem myślę, że ma rację – ale nie jestem gotowa zrezygnować z szansy na choćby odrobinę radości w życiu. Życie jak ona oznaczałoby rezygnację z wszelkich uczuć. Jestem przekonana, że to moja głęboka wrażliwość czyni mnie wyjątkową; to mój bilet do Krainy Czarów. Oczekuję, że lada chwila na moim nocnym stoliku pojawi się buteleczka z karteczką z napisem „Wypij mnie”. Zanim to jednak nastąpi, jestem uziemiona w tej klasie, więc konieczne jest znalezienie metody, by czas upływał mi szybciej.

Gdybyż tak znowu znaleziono mysz! Leciutko postukując ołówkiem, czuję, jak w mojej głowie dojrzewa pomysł; dreszcz ekscytacji biegnie mi po plecach. A gdyby tak... och, nie, nie mogę. Ale może jednak?... Eee, nie, za duże ryzyko. Twierdzić, że widzę mysz, której naprawdę nie ma? A jeśli nawet to zrobię, kto i co mi udowodni? Czy to jakaś zbrodnia przstraszyć się, kiedy mysz przemyka po podłodze tuż obok? Trudno nawet mówić o jakiejś premedytacji. W rękach i nogach czuję mrowienie z nerwowego podniecenia. Jak by to wykonać? Wiem: upuszczę ołówek! A gdy schylę się, by go podnieść, podskoczę na krześle z okrzykiem zgrozy: „MYSZ!”. I to powinno wystarczyć.

Żołądek mi się kurczy, gdy powoli popycham ołówek do krawędzi ławki i przyglądam się, jak ze stukotem turla się po podłodze; staram się zachować przy tym senny i znudzony wyraz twarzy. Sięgam pod ławkę, żeby go podnieść, i na moment zamieram w pozycji pełnego udręki wahania, zanim wskoczę na krzesło.

– AAA! – krzyczę. – Mysz! Widziałam mysz!

W ułamku sekundy w klasie aż dudni od wrzasku. Dziewczynki wskakują na ławki, próbując ukryć się przed straszliwym gryzoniem. Nawet nauczycielka wygląda na przerażoną. Wysyła dyżurną po dozorcę. Dopóki ten nie przyjdzie, nie obejdzie klasy i nie orzeknie, że – jak od początku wiedziałam – nie ma w niej żadnej myszy, lekcja nie będzie kontynuowana.

Ale i tak wypytuje mnie o mysi szlak i próbuje wyśledzić, w jakiej dziurze mogła się ukryć, nie kwestionując ani na moment tego, że faktycznie ją widziałam. Czy to dlatego, że nawet mu do głowy nie przyjdzie, że grzeczna chasydzka dziewczynka mogłaby uknuć coś podobnego? Może dlatego że strach i szok, malujące się na mojej twarzy, są po części prawdziwe? Sama jestem pod wrażeniem swojej bezczelnej śmiałości.

Na przerwie koleżanki tłoczą się wokół mnie, z chorobliwą ciekawością dopytując o szczegóły tego, co widziałam.

– Ależ blada jesteś! – komentują. – Wyglądałaś na całkiem przerażoną.

Nieźla ze mnie aktorka! Nie tylko wrzasnęłam, ale i pobladłam, i zadygotałam. Aż miło pomyśleć, czego jeszcze mogę dokonać z takim talentem do udawania przed innymi emocji, których naprawdę nie czuję!

Kiedy później Bube i Zajde dowiadują się o tym incydencie od Chai, tylko się śmieją. Chaja patrzy na mnie podejrzliwym okiem, ale nic nie mówi. Pierwszy raz doświadczam uczucia triumfu i patrzę na nią z opanowaniem. No więc to jest moja ukryta moc. Może nie potrafię, jak Matylda, przesuwać przedmiotów siłą woli, ale mogę udawać,

grać tak przekonująco, że nikt nigdy nie dowie się prawdy.

– Bube, co to znaczy „dziewica”?

Bube patrzy na mnie sponad żeliwnego blatu, na którym zagniatą ciasto na kreplach. Wilgotno dzisiaj, znakomita pogoda, by ciasto wyrosło. Para znad garnków skrapla się na pomazanych deszczem szybach. Moje upačkane mąką dłonie zostawiają ślady na butli z oliwą – na etykiecie widnieje kobieta, misternie wyginająca się obok słów „extra virgin”.

– Skąd znasz to słowo? – pyta babcia. Wyraz jej twarzy zdradza, że powiedziałam coś bardzo niestosownego, więc nerwowo wyjąkuję:

– Nnno nie wiem, Bube, nie pamiętam... – Odwracam butelkę z oliwą etykietą do ściany.

– Małe dziewczynki nie powinny znać tego słowa – mówi Bube i wraca do zagniatania gołymi rękami miękkiego ciasta z mąki ziemniaczanej. Różowy turban przekrzywił się jej na głowie, tak że lśniący dżet zdobiący jego węzeł zsunął się do prawego ucha i spod spodu wystaje kosmyk siwych włosów. Kiedy wyjdę za mąż, będę nosić modne frotowe turbany, upięte elegancko w kwadratowy węzeł na czubku głowy. I będę golić szyję aż do gołej skóry, mimo że Bube skarży się, że szyja ją śwędzi za każdym razem, gdy zgoli ją dokładnie.

Bube uwielbia opowiadać, jak to Zajde poprosił, żeby zaczęła golić głowę. To było dwa lata po ich ślubie. Pewnego dnia przyszedł do domu i powiedział po prostu:

– Frejda, chciałbym, żebyś zgoliła wszystkie włosy.

– Mężu mój, czy ci całkiem rozum odebrało? – odparła Bube. – Nie wystarczy ci, że zakrywam własne włosy peruką, mimo że moja matka w Europie nigdy nie musiała tego robić? Teraz chcesz jeszcze, żebym ogoliła głowę? Nigdy w życiu nie słyszałam o takiej *frumkajt*, takiej religii, która wymagałaby od kobiety, by goliła głowę!

– Ależ Frejda, tak rabbi przykazał! To nowe prawo. Wszyscy każą swoim żonom go przestrzegać. Chcesz, żebym był jedynym mężczyzną, którego żona nie goli głowy? *Nu*, chcesz taki wstyd przynieść naszej rodzinie? Chcesz, żeby rabbi się dowiedział, że moja własna żona mnie nie słucha, gdy każę jej przestrzegać zasad?

Bube westchnęła dramatycznie.

– *Nu*, co z niego za rabbi? Moim nigdy nie był. A przed wojną twoim też nie. Nagle mamy nowego rabina? I powiedz mi, jakie ten rabbi ma prawo kazać mi zgolić głowę, skoro mnie na oczy nie widział? Nie spotka w życiu bardziej skromnej i pobożnej kobiety niż ja, nawet jeśli mam trochę włosów na głowie!

Mimo to po kilku prośbach Bube skapitulowała i głowę ogoliła. Zawsze mi mówi:

– I co, było wielkie halo z tym goleniem? Ano nie. Szybko się przyzwyczaiłam. Szczerze mówiąc, tak jest dużo wygodniej, zwłaszcza w lecie. – Ostatecznie, jak twierdzi babcia, nie było z tym wiele zachodu. Czasami mam wrażenie, że próbuje przekonać bardziej siebie niż mnie.

Za każdym razem dopytuję, dlaczego rabbi zdecydował, że kobiety muszą golić głowy, skoro w Europie nikt tego nie robił. Bube waha się przez moment, zanim odpowiada:

– Zajde mówi, że rabbi chce, byśmy byli bardziej erlich, bardziej pobożni, niż Żydzi kiedykolwiek byli. Twierdzi, że jeśli posuniemy się do ekstremum w naszym oddaniu Bogu, jeśli bardziej będziemy się starać, by był z nas dumny, On nigdy nas nie pokarze tak jak Żydów przed wojną. – Tu babcia milknie i zapada w bolesne wspomnienia.

Patrzę teraz na nią, pochyloną nad nieustanną robotą. Przyglądam się, jak poprawia przekrzywiony turban przyprószoną mąką ręką, zostawiając białą smugę na czole. Bube tnie rozwałkowane ciasto na kwadraty, wypełnia je twarogiem i składa, formując trójkątne pierożki. Wrzucam gotowe kreplach do stojącego na kuchni garnka z wrzącą wodą i przyglądam się, jak popychają się nawzajem, wypływając na powierzchnię. Wiele bym dała, żeby cofnąć to pytanie, a przynajmniej móc powiedzieć jakieś *gut wort*, coś, co by upewniło Bube, że jestem grzeczną dziewczynką, która nie używa nieodpowiednich słów.

Ale tak już mam, że bez przerwy pytam o coś. Ledwie znowu zaczynam, Bube mówi:

– *Oj wej*, czemuż ty zawsze wszystko musisz wiedzieć?

Nie wiem, czemu tak jest, ale to prawda – muszę wiedzieć. Chcę wiedzieć, o czym jest ta książka, tanie wydanie w miękkiej okładce, którą ukrywa w swojej szufladzie z bielizną – wiem jednak, że nie bez powodu ją ukrywa, więc jeśli to tajemnica, muszę jej dotrzymać.

Ja też mam sekrety. Bube może wie o nich, ale nic nie powie, jeśli i ja jej nie wydam. A może tylko wydaje mi się, że jest moją cichą współniczką? Niewykluczone, że to działa tylko w jedną stronę. Czy Bube naskarżyłaby na mnie? Swoje książki ukrywam pod łóżkiem, ona swoje w bieliźnie. Raz do roku, gdy Zajde dokonuje inspekcji całego domu przed Pesach i zagląda w nasze rzeczy, obie kręcimy się niespokojnie, przerażone, że może coś znajdzie. Zajde przegrzebuje nawet moją szufladę z bielizną. Przestaje, nie chcąc naruszać kobiecej prywatności, dopiero kiedy mówię mu, że to moje osobiste damskie rzeczy. Zajde przechodzi do babcinej garderoby; ona broni się tak samo jak ja, gdy grzebie w jej bieliźnie. Obie wiemy, że mały stosik świeckich książek przeraziłby dziadka o wiele bardziej, niż mogłoby nim wstrząsnąć odkrycie całej góry chamecu, zakazanego pieczywa na zakwasie. W przypadku babci skończyłoby się na upomnieniu, ale ja doświadczyłabym gniewu dziadka z jego pełną siłą. Gdy Zajde jest wściekły, jego długa siwa broda unosi się i opływa jego twarz jak biały płomień. Od razu wędnę w żarze jego gniewu.

„*Der tumene szprach!*” – grzmi na mnie Zajde, kiedy raz przypadkiem słyszy, że mówię do kuzynek po angielsku. Mówi, że to nieczysta mowa, trucizna dla duszy. Jeszcze gorzej jest czytać książki po angielsku: czyni to duszę bezbronną, praktycznie zaprasza diabła, by ją porwał. Nie jestem dziś do końca sobą, co tłumaczy moją niedyskrecję. Mam pod materacem nową lekturę, i wkrótce (gdy nie będę już potrzebna Bube do pomocy przy kreplach) zamknę drzwi do pokoju i powrócę do cudownej, oprawnej w skórę, pachnącej nowością książki. To wybór z Talmudu, w zakazanym angielskim przekładzie; ma tysiące stron, co niesie obietnicę tygodni ekscytującej lektury. Wierzyć mi się nie chce, że w końcu będę mogła zgłębić pradawny talmudyczny dyskurs, wymyślony specjalnie po to, by był niedostępny dla nieoświeconych takich jak ja. Zajde nie pozwala mi czytać

hebrajskich ksiąg, które trzyma zamknięte w swojej szafie. Mówi, że to tylko dla mężczyzn, a miejsce dziewczynek jest w kuchni. Ale ja tak bardzo chcę się uczyć, wiedzieć, co dokładnie napisano w księgach, nad którymi on od tylu lat ślęczy, pogrążony w ekstazie badacza. Tych parę okrucichów rozwodnionej wiedzy, którą nauczyciele przekazują nam w szkole, tylko wzmaga mój apetyt. Chcę się dowiedzieć prawdy o Racheli, żonie rabiego Akiwy, która przez dwanaście lat prowadziła jego dom pogrążony w ubóstwie, podczas gdy jej mąż studiował Torę gdzieś w obcych krajach. Jak to możliwe, że rozpieszczona córka bogatego ojca pozwoliła się zamknąć w takiej beznadziei? Nauczycielki mówią, że była świętą, ale to musi być dużo bardziej skomplikowane. Dlaczego w ogóle wyszła za biednego ignoranta, jakim był Akiwa? Mało prawdopodobne, że był przystojny; wtedy nie zgodziłaby się, by wyjechał na dwanaście lat. Musi być powód, i skoro nikt mi nie chce powiedzieć, sama się dowiem.

Kupiłam ten przekład Schottensteina dwa tygodnie temu, w sklepie z judaikami w Borough Park. Sklepik był pusty; jedynym światłem w środku było parę smug słonecznego światła wpadającego przez brudne okno. Srebrne kłęбки kurzu dryfowały w powietrzu jak zawieszony w promieniach światła, powoli unoszone w górę przez słaby powiew grzejnika. Kryłam się w cieniu olbrzymich regałów, paplając coś do księgarza o tym, że książka jest dla kuzyna, że poproszono mnie o jej zakup. Zastanawiałam się, czy moja nerwowość rzuca się w oczy. Po mojej twarzy z pewnością było widać, że coś kręcę – Zajde zawsze mnie przed tym ostrzegał. „*Der emes sztejt auf di szteren*” – mawiał. Jakkolwiek byś kłamała, czoło zawsze cię zdradzi. Wyobrażam sobie słowa wyryte w mej skórze, jaśniejące w ciemności jak neon; nagły powiew unosi w górę moją rzadką burą grzywkę. Jak zaobserwowałam w trakcie wielu poprzednich rekonesansów, w małej księgarni przy Utrecht Avenue jest zawsze tylko jeden sprzedawca. Staruszek, z drżącymi rękami i oczami, które cały czas mrugają niepewnie. Kiedy pakował niezgrabną, wielką książkę do brązowej papierowej torby, nie mogłam wprost uwierzyć, że mi to ujdzie na sucho. Może ten człowiek nie potrafi czytać tego, co wypisane na czole, a może udało mi się wyglądać durnowato z takim pustym, pozbawionym życia spojrzeniem. Przyjmuje moje sześćdziesiąt dolarów – prawie wszystko w jednodolarowych banknotach, uskładanych z tego, co zarobiłam na pilnowaniu cudzych dzieci – i liczy je powoli, aż w końcu kiwa głową.

– *Gut* – mówi.

Mogę odejść. Staram się wyjść, wyglądając nonszalancko, ale ledwie skręcam za róg ulicy, zaczynam podskakiwać z nieopanowanej radości. Podniecenie nielegalnym wyczynem, którego właśnie dokonałam, jest tak wielkie, że kolana dygocą mi przez całą drogę w autobusie z powrotem na Williamsburg. Inni na pewno dostrzegają, jak narozrabiałam. Mężczyźni, na szczęście, siedzą z przodu, bezpiecznie odwróceny plecami do mnie, ale kobiety – z głowami okutany chustami, nogami w grubych pończochach – wyraźnie gapią się oskarżycielsko na mnie i wielki pakunek na moich kolanach.

Idąc przez Penn Street, przyciskam kurczowo brązową paczkę do piersi, czując mieszaninę strachu i triumfu, od których aż nogi mi się trzęsą. Unikam wzroku przechodniów, przerażona perspektywą wpadnięcia na jakiegoś podejrzliwego sąsiada. Co zrobić, jeśli ktoś zapyta, co jest w paczce? Omijam chłopców chybotliwie jadących na

kiepskich rowerach i nastolatki popychające skrzypiące wózki z młodszym rodzeństwem w środku. Wiosenny dzień jest ciepły, więc wszyscy wyszli z domu. Pokonanie ostatniej przecznicy wydaje się trwać całą wieczność.

W domu czym prędzej ukrywam książkę pod materacem, wpychając ją aż do końca, na wszelki wypadek. Wyglądam prześcieradła, koce i falbankową narzutę, żeby zakrywała łóżko aż do podłogi. Siadam na brzegu, nagle zalana poczuciem winy tak wielkim, że aż wciska mnie w materac.

Chciałam zapomnieć, że ten dzień w ogóle się wydarzył. Przez cały szabas książka paliła przez materac, na przemian karcąc mnie i wzywając. Zignorowałam jej zew: tyle ludzi w domu, zbyt duże ryzyko, że ktoś mnie przyuważy. Co by powiedział Zajde, gdyby się dowiedział? Nawet Bube byłaby przerażona, jestem pewna.

Moja niedziela jest jak zamknięty pierożek – krepel – miękki, ciastowaty dzień kryjący nadzieję. Jedyne, co muszę zrobić, to pomóc Bube w kuchni, a potem mam całe popołudnie dla siebie. Bube i Zajde są dziś zaproszeni na bar micwę kuzyna, co oznacza, że przez następne trzy godziny nic nie zmąci mojej samotności. W zamrażalniku ciągle leży kawałek czekoladowego ciasta; jestem pewna, że przy jej zawodnej pamięci Bube nie zauważy nawet, że zniknęło. Co za fantastyczne popołudnie: nie mogło być lepiej.

Gdy tylko ciężkie kroki Zajde cichną na schodach i z okna mojej sypialni na pierwszym piętrze widzę, jak dziadkowie wsiadają do taksówki, wyciągam książkę spod materaca i z pietyzmem kładę ją na biurku. Kartki są z niemal przezroczyściego woskowanego papieru i pokryte gęstym tekstem: talmudyczny oryginał, tłumaczenie na angielski i komentarz rabiniczny, wypełniający cały dół strony. Najbardziej lubię te komentarze – zapis dyskusji rabinów nad każdą świętą frazą Talmudu.

Na stronie sześćdziesiątej piątej rabini debatują nad historią króla Dawida i jego nielegalnie zdobytej żony Batszeby – zawsze byłam ciekawa tej tajemniczej biblijnej opowieści. Z cytowanych fragmentów wynika, że Batszeba była już zamężna, gdy wpadła Dawidowi w oko; król jednak był nią tak zauroczony, że rozmyślnie wysłał jej męża Uriasza na wojnę, na pierwszą linię frontu, by ten został zabity, a wdowa po nim mogła powtórnie wyjść za mąż. Później, kiedy już Dawid oficjalnie poślubił nieszczęsną Batszebę, zobaczył swój własny grzech odbity w jej żrenicach i poczuł wstręt. Nie chciał jej więcej widzieć i biedna kobieta spędziła resztę życia zamknięta w haremie, ignorowana i zapomniana.

Teraz widzę, dlaczego nie pozwalają nam czytać Talmudu. Nauczycielki zawsze mówiły mi, że Dawid był bez skazy, że był świętym, i że zakazane jest rzucanie oszczerstw na ukochanego syna Bożego i namaszczonego króla. Czy na pewno miały na myśli tego samego z naszych sławnych przodków, o którym mowa w Talmudzie?

Odkryłam, że Dawid nie tylko baraszkował z wieloma żonami; miał też towarzyszkę, których nigdy nie poślubił. Taką kobietę nazywa się „konkubina”. Głośno wymawiam to nowe słowo – kon-ku-bi-na. Nie brzmi tak nielegalnie, jak powinno, przywodzi mi na myśl wysokie, dostojne drzewo. Drzewo konkubinowe. Wyobrażam sobie, że z jego gałęzi zwisają piękne kobiety. Kon-ku-bi-na.

Batszeba nie była konkubina, ponieważ Dawid uczynił jej honor i pojął ją za żonę, ale Talmud mówi, że to jedyna wybranka króla, która nie była dziewicą. Myślę

o piękności z etykiety na oliwie. W Talmudzie napisano, że Bóg chciał dać Dawidowi wyłącznie dziewice i że zmazałoby to jego świętość, gdyby został przy Batszebie, która była wcześniej zamężna.

Powiadają, że król Dawid jest wzorcem, wedle którego wszyscy będziemy oceniani w niebie. Skoro tak, jak bardzo źle wypadną moje angielskie książki w porównaniu do konkubin?

Nie zdaję sobie z tego sprawy, ale ten moment to koniec mojej niewinności. Uświadomię to sobie dopiero wiele lat później. Pewnego dnia spojrzę wstecz i zrozumieję, że był konkretny moment w moim życiu (podobny do tej chwili), gdy dostrzegłam, w czym tkwi moja moc – kiedy przestałam wierzyć, że autorytety zawsze mają słuszność, bo są autorytetami, i zaczęłam formować własne opinie o świecie.

W tym czasie problem z utratą niewinności polegał na tym, że ciężko mi było dalej udawać. W mojej głowie zaczynała się toczyć zacięta walka między moimi własnymi myślami i naukami, które przyswoiłam. Od czasu do czasu ten konflikt przelewał się przez fasadę mojego opanowania, a inni próbowali uratować mnie przed ogniem ciekawości, zanim zabrnę za daleko.

W poniedziałek rano nie słyszę budzika. Gdy się budzę, jest ósma czterdzieści i nie mam czasu na nic więcej, jak tylko ubrać się i wybiec z domu. Wkładam grube czarne pończochy, które Bube wyprała wczoraj i wywiesiła na lince na ganku, żeby wyschły. Tkanina jest zimna i sztywna od zimnego jesiennego powietrza i źle się układa na nogach – marszczy się brzydko na kostkach i kolanach. W łazience spoglądam w lustro i wyciskam zaskórniaka na nosie. Włosy mam rozczochrane i słabe; pod zapuchniętymi powiekami oczy szare jak burza.

Zapomniałam włożyć koszulę pod sweter. Jest nowe zarządzenie, że nie wolno nosić żadnych dzianin na gołe ciało. Nauczycielki mówią, że teraz, kiedy dorastamy, musimy unikać obcisłych ubrań. Mogą być z tego problemy, ale jest za dziesięć dziewiąta i jeśli wyjdę natychmiast, zdążę wpaść do stołówki przed końcem porannych modłów. Nie mogę się dziś spóźnić, i tak już mam na koncie za dużo wykroczeń. Pal diabli bluzkę.

Dobiegam do szkoły w chwili, gdy niższa rangą sekretarka zamyka drzwi do sali modlitw. Wzdycha na mój widok i wiem, że nie może się zdecydować, czy mnie wpuścić, czy przytrzymać w gabinecie dyrektorki, która wpisze spóźnienie do dziennika. Z niepewnym uśmiechem przepycham się przez półotwarte drzwi i bez tchu rzucam „dziękuję”, ignorując jej groźne spojrzenie.

W sali modlitw już wybrano lektorkę na dzisiaj, dziewczynkę z ósmej klasy. Szybko wślizguję się na jedno z wolnych miejsc w tylnych rzędach, obok Rajzy, która ciągle rozczesuje poplątane ciemne włosy. Spuszczam wzrok, kierując go w stronę modlitewnika rozłożonego na kolanach, ale nie skupiam go, więc słowa na stronie wyglądają jak rozmazane. Kiedy główna sekretarka przechodzi wzdłuż rzędów ławek, sprawdzając, czy aby wszystkie nadażamy, poruszam ustami, udając, że się modłę. Rajza ukrywa grzebień pod okładką modlitewnika i śpiewa głośno razem z innymi.

Modlimy się do Boga naszego narodu, którego nazywamy Haszem, co dosłownie znaczy „Imię”. Prawdziwe imię Boże jest tak porażająco święte i sugestywne, że samo wymówienie go grozi śmiercią, więc używamy zamienników. Jest cała lista imion,

obejmująca wszystkie boskie atrybuty: Święte Imię, Ten Jedyny, Stwórca, Niszczyciel, Zarządca, Król Królów, Sędzia Jedyny, Miłosierny Ojciec, Władca Świata, Wielki Architekt. Co rano muszę ukorzyć się przed Jego świętością, poddać jej duszą i ciałem; jak mówią nauczycielki, muszę nauczyć się milczeć po to, by usłyszeć w sobie głos Boży. Moja dusza jest Bożym mieszkaniem, więc muszę ją oczyścić tak, by była godna Jego obecności. Codziennie trzeba żałować za grzechy, więc pod koniec porannej modlitwy z wyprzedzeniem żałujemy nawet za te, które popełnimy w ciągu dnia. Rozglądam się dokoła, patrząc na innych, najwyraźniej głęboko przekonanych o własnej grzesznej naturze: bezwstydnie płaczą i błagają Boga, by pomógł im wyprzeć *jetzer hara*, skłonność do złego, ze świadomości.

Rozmawiam z Bogiem, ale nie przez modły. Mówię do Niego w myślach, i przyznam, że nawet wtedy nie podchodzę do Niego z należną pokorą. Mówię do Niego uczciwie, jak do przyjaciela, i nieustannie proszę o przysługi. Sądzę jednak, że Bóg i ja pozostajemy w dość dobrych stosunkach. Tego poranka, stojąc niewzruszona w morzu kiwających się z pasją dziewczynek, proszę Boga, by uczynił ten dzień znośnym.

Jestem wyjątkowo łatwym obiektem szykan dla nauczycielek. Wiedzą, że nie jestem nikim ważnym, że nikt nie stanie w mojej obronie. Nie jestem córką rabina, więc gdy wpadają w złość, idealny ze mnie kozioł ofiarny. Pilnuję się, by nigdy nie podnosić głowy znad mojego *sidur* w trakcie modłów, ale Chawka Halberstam, córka rabina, może jak gdyby nigdy nic dźgnąć łokciem w bok swoją przyjaciółkę Elki, by pokazać jej kawałek papieru toaletowego przyklejony do buta nauczycielki. Jeśli ja pozwolę sobie na choćby uśmiech, zaraz mnie za to wywołają. To dlatego potrzebuję wsparcia Boga: nikt więcej nie stanie po mojej stronie.

Dziś, ledwie wchodzę do klasy na trzecim piętrze, osacza mnie pani Meizlish, nasza nauczycielka jidysz. Jej zrosnięte brwi są zjeżone ze złości. Za jej plecami nazywam ją panią Meizel albo panią Myszą. Nie mogę się powstrzymać: jej nazwisko błaga wręcz, żeby się z niego nabijać – a jej górna warga, odsłaniająca dwa sterczące przednie zęby, nadaje jej zaiste szcurzy wygląd. Pani Meizlish za mną nie przepada.

– Nie włożyłaś koszuli pod sweter! – warczy na mnie z za ciężkiego metalowego biurka stojącego z przodu klasy, odwracając przy tym głowę w moją stronę tak gwałtownie, że jej gruby, czarny warkocz chłoscze powietrze jak bicz. – Nie ma mowy, żebyś usiadła w swojej ławce. Marsz do dyrektorki!

Wycofuję się z wolna, poniekąd zadowolona, że mnie wygoniła. Jeśli mam farta, dyrektorka będzie zajęta przez większość poranka i będę czekać w jej gabinecie, zamiast cierpieć katusze na lekcji jidysz. Całkiem niezła zamiana. Jasne, nakrzcą na mnie, może nawet odeślą do domu i każą się przebrać. Jeśli Zajde nie ma w domu, mogę nawet przeczekać tam większość popołudnia i powiedzieć, że to „przebieranie” zajęło tak długo. Może nawet doczytam do końca moją nową lekturę o siedemnastowiecznej indiańskiej księżniczce, która zakochuje się w jednym z amerykańskich kolonizatorów. Możliwe jednak, że dziadek jest w domu; wtedy będzie chciał wiedzieć, czemu nie jestem w szkole. Kiedy się dowie, dlaczego mnie odesłano, będzie miał na twarzy ten wyraz rozpaczliwego rozczarowania, którym obdarza mnie za każdym razem, gdy okazuje się, że nie jestem wzorową uczennicą, za jaką mnie uważał. A to coś, czego nie potrafię wytrzymać.

– *Nu*, Dewojre, czy nie możesz być grzeczną dziewczynką dla Zajde, żeby miał z ciebie trochę *nachas*, trochę powodu do dumy? – jęczy z oczekiwaniem, że go posłucham. Mówi w jidysz z ciężkim, europejskim akcentem, a jego ton ma ten niezmienny, przeraźliwie smutny rytm. Za każdym razem, gdy go słucham, czuję się stara i zmęczona.

Może nie powinnam prosić Boga, bym mogła uniknąć paru godzin w szkole, jeśli mnie odeślą i każą się przebrać – nie wtedy, kiedy może mnie czekać wykład o honorze i posłuszeństwie przy jadalnianym stole.

W biurze *rebecin* Kleinman panuje dziki bałagan. Przyciskam ramieniem skrzypiące drzwi, by je otworzyć, odpychając z przejścia kartony pełne kopert i ulotek, i nie przewrócić przy tym żadnego z przepelnionych pudeł balansujących na krawędzi dyrektorskiego biurka. Wygląda, że nie ma miejsca, gdzie mogłabym usiąść – poza fotelem dyrektorki do siedzenia jest tylko taboret, na którym piętrzą się modlitewniki. Przysiadam na parapecie okna, w miejscu, gdzie farba nie łuszczy się za bardzo; jestem przygotowana na to, że przyjdzie mi długo czekać. Mam specjalną modlitwę na takie okazje, mój ulubiony Psalm 13 – zmamiam go zawsze trzynastą razy. „Spojrzyj, wysłuchaj, Panie mój, Haszem!”^[4] – pomrukuje po hebrajsku. Rozpaczliwy zew – ale cóż robić, gdy sytuacja jest równie rozpaczliwa. Poza tym to najkrótszy psalm w całej księdze i najłatwiejszy do zapamiętania. Modłę się cicho: proszę, spraw, bym nie była aż w takich tarapatach, żeby szkoła zawiadomiła Zajde. Niech mnie tylko upomną i odeślą do domu – nigdy więcej nie zapomnę włożyć koszuli. Proszę cię, Boże. „Jak długo mój wróg nade mnie będzie się wynosił?”

Za drzwiami sekretarki plotkują na głos, pochłaniając jedzenie skonfiskowane podczas porannych modłów tym paru dzieciakom, które nie zdążyły zjeść śniadania w domu i miały nadzieję wrzucić coś na ząb, zanim kiszki zaczną im grać marsza w trakcie pierwszej lekcji – przerwa jest dopiero o dziesiątej czterdzieści pięć. „Dokąd, Haszem, kryć będziesz przede mną oblicze?”

Słyszę kroki na zewnątrz i szybko prostuję się, zanim dyrektorka wtoczy do gabinetu swoje wielkie cielsko, czerwieniąc się przy tym z wysiłku. Kończę w myśli ostatnią linijkę psalmu: „Chcę śpiewać Panu, który obdarzył mnie dobrem”. Trwa to parę minut, zanim dyrektorka usadowi się w wielkim fotelu stojącym za biurkiem, sapiąc przy tym coraz głośniejsze i z rosnącym wysiłkiem.

– No więc cóż mamy z tobą zrobić? – pyta, taksując mnie wzrokiem.

Uśmiecham się blado. Nie pierwszy raz ląduję na dywaniku.

– Nauczycielka mówi, że jesteś niezdyscyplinowana. Nie rozumiem, dlaczego nie możesz przestrzegać tych samych zasad, które obowiązują innych. Pozostałe dziewczęta nie mają problemów z wkładaniem bluzki pod sweter. Dlaczego tobie sprawia to taką trudność?

Nie odpowiadam. Nie tego się po mnie spodziewa. Wszystkie jej pytania są retoryczne, wiem to z doświadczenia. Ja mam siedzieć cicho, ze spuszczoną głową, pokorna i skruszona, i czekać, aż skończy. Po jakimś czasie wygada się i spuści z tonu, będzie skłonna do kompromisu. Widzę, że ma dosyć upominania mnie. Nie należy do tych dyrektorek, które czerpią z tego przyjemność (jak ta, która w szóstej klasie kazała mi

stać godzinami pod swoim gabinetem).

Zapada wyrok.

– Idź do domu się przebrać – mówi *rebecin* Kleinman z pełnym kapitulacji westchnieniem. – I niech no tylko przyłapię cię znowu na łamaniu reguł dotyczących skromnego ubrania.

Wdzięczna, wymykam się z jej biura i zbiegam dwa piętra, przeskakując po dwa stopnie. Moment, kiedy wreszcie czuję promień słońca na twarzy, jest jak szum w głowie od dziadkowego wina na Kidusz. Gdy w pierwszym oddechu nabieram w płuca świeżego, czystego powietrza, aż łaskocze mnie w gardle.

Na skrzyżowaniu Marcy Avenue i Hooper Street bez namysłu przechodzę na drugą stronę ulicy, żeby ominąć wielki gmach kościoła katolickiego, stojącego na rogu. Odwracam oczy od nęcących oko rzeźb, gapiących się na mnie ze zdobionej bramy. Za każdym razem, gdy przechodzę obok tego rogu z Bube, słyszę, że patrzeć na kościelną posesję to jak patrzeć na samo zło: szatan tylko na to czeka. Przy Hewes Street wracam na drugą stronę ulicy i przyspieszam kroku, czując na sobie wzrok kamiennych figur i wyobrażając sobie, jak ożywają i kroczą po Marcy Avenue, krusząc się trochę przy każdym kroku.

Obejmuję się i rozcieram ramiona, by pozbyć się gęsiej skórki. W pośpiechu niemal zderzam się z mężczyzną nadchodzącym z przeciwnej strony. Mamrocze do siebie w modlitwie, jego pejsy się kołyszą. By na niego nie wpaść, zeskakuję niezręcznie do rynsztoka. Zabawne, zauważam, że nie widać żadnych kobiet. Nigdy nie byłam na ulicy o tej porze dnia, gdy dziewczynki są w szkole, a ich matki – zajęte porządkami i gotowaniem obiadu. Williamsburg wydaje się opuszczony i pusty. Przyspieszam kroku, przeskakując przez kałuże brudnej wody, którą sklepikarze wylewają na jezdnię. Jedynym słyszalnym dźwiękiem jest *staccato* moich własnych kroków, niosące się głośnym echem po asfalcie.

Skręcam w lewo w Penn Street, mijając spożywczy pana Mayera na rogu, i wbiegam po schodach do mojej kamienicy. Nasłuchuję najdrobniejszego dźwięku, gdy popycham ciężkie drzwi wejściowe, ale w domu panuje cisza. Na wszelki wypadek bezgłośnie zamykam drzwi za sobą. Moje obcasy stukają cicho, gdy wchodzę po schodach, ale jeśli Zajde jest na górze w swoim gabinecie, nie usłyszy. Wyjmuję spod wycieraczki klucz, który Bube zostawia tam dla mnie, gdy wychodzi. Na szczęście dom jest pusty i cichy.

Przebieram się szybko, zapinając guziki niebieskiej koszulowej bluzki z długimi rękawami, by kołnierzyk ciasno obejmował szyję. Wkładam sweter, wyciągam na wierzch kołnierzyk i wykładam go dokładnie na granatowej wełnie, po czym obracam się dwa razy przed lustrem, sprawdzając, czy nic nie wystaje z żadnej strony. Wyglądam jak dziewczyna pierwszej klasy – tak jak Zajde chce mnie widzieć, i jak nauczycielki nieustannie komplementują Chawkę, córkę rabina. Pierwszej klasy – jak kosztowna tkanina, dobra porcelana albo wino.

Biegnę z powrotem do szkoły przez puste ulice. Mężczyźni, spieszący z sesji talmudycznych do domu, by zjeść lunch, który przygotowały dla nich żony, omijają mnie po drodze, demonstracyjnie patrząc w przeciwną stronę. Chcę się skurczyć w sobie.

W gmachu szkoły z ulgą rozkurczam się z powrotem. Z bezpiecznego dystansu spoglądam na zewnątrz przez okno wychodzące na Marcy Avenue i na nowo dziwię się, jak na dole jest szaro, ani śladu życia. Co za kontrast z szumem głosów tysiąca dziewczynek, zamkniętych w pięciokondygnacyjnym gmachu, zajmującym całą długość przecznicy. Co jakiś czas przemknie ulicą jakiś młodzian, cały w czerni, idący przez Marcy Avenue w kierunku Rodney Street, gdzie mieści się satmarski szul; chłopak gmera palcami w pejsach, wiszących mu z obydwu stron twarzy, zawijając je w regularne spirale. Starsi mężczyźni, którzy noszą pejsy zawinięte ciasno wokół uszu, wygładzają palcami swoje bujne brody – nawet wtedy, gdy wiatr rozwiewa je we wszystkie strony jak proporce. Wszyscy idą szybko, z opuszczonymi głowami.

W naszej wspólnocie przywiązuje się wielką wagę do zewnętrznych oznak pobożności. To bardzo ważne, by zawsze wyglądać bogobojnie, jak prawdziwy sługa Boży. Od tego, jak kto wygląda, zależy wszystko; wygląd ma wpływ na to, kim się jest wewnątrz, ale także mówi reszcie świata, że jesteśmy inni i że należy się trzymać od nas z daleka. Myślę, że najważniejszym powodem, dla którego chasydzi satmarscy ubierają się w tak szczególny, wyraźnie inny sposób, jest przypominanie tym na zewnątrz i wewnątrz wspólnoty, jaka przepaść dzieli te dwa światy. Jak powtarza moja nauczycielka: „Asymilacja była przyczyną Holokaustu. Kiedy próbowaliśmy się dopasować, Bóg pokarał nas za to, żeśmy go zdradzili”.

Pstryk! Pani Meizlish głośno pstryka palcami tuż przed moim nosem. Patrzę przestraszona.

– Dlaczego nie uważasz? – pyta gniewnie.

Nerwowo przerzucam kartki swojego segregatora w poszukiwaniu właściwej sekcji. Za sprawą pani Meizlish cała klasa gapi się teraz na mnie, a ona ostentacyjnie czeka, aż będę gotowa. Czuję, jak policzki mi czerwienieją. Chyba uczymy się teraz o *berachos*; wiem, że gdzieś tu muszę mieć „Błogosławieństwa na każdą okazję”. Demonstracyjnie znajduję właściwe miejsce w tekście. Pani Meizlish obdarza mnie chłodnym skinieniem głowy.

– Jakie błogosławieństwo jest stosowane do truskawek? – pyta specjalnym tonem śpiewki w jidysz, wciąż stojąc przy mojej ławce.

– *Bo-rei pri ha'ad-am-ah* – odśpiewuje jednogłośnie cała klasa. Z zaangażowaniem szepczę to samo tak, by mogła mnie słyszeć, mając nadzieję, że nauczycielka przejdzie z powrotem na środek klasy i nie będę musiała dłużej gapić się na jej podbródek porośnięty czarnymi włoskami.

Po przerwie nadchodzi czas codziennego wykładu na temat skromności. Pani Meizlish kończy historię o Racheli, świętej żonie rabiego Akiwy, a reszta klasy słucha jej w skupieniu. Nieźle potrafi opowiadać ta Meizlish: moduluje swój baryton w taki sposób, że nie daje się całkiem przewidzieć jego rytmu. Zawsze przerywa w najciekawszym momencie, by wygładzić niesforne kosmyki w warkoczu albo zdjąć niewidzialny pyłek ze spódnicy, a dziewczynki aż rozdziawiają buzie w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

Rachela, żona Akiwy, była nie tylko prawdziwą sprawiedliwą, ale także kobietą wyjątkowo skromną, do tego stopnia (tu pani Meizlish przerywa dla dramatycznego

efektu), że kiedyś, gdy wiatr podrywał jej spódnicę, odsłaniając kolana, przypięła jej rąbek do łydki, wbijając szpilkę w ciało. Aż mną zatrzęsło, kiedy to usłyszałam. Nie mogę wymazać z głowy obrazu kobiety z przebitą łydką. W mojej wyobraźni szpilka wbija się w ciało wciąż na nowo; za każdym razem to uszkadza mięsień, to rozrywa skórę, tryska krew. Czy naprawdę Bóg chciał, by ją to spotkało? Żeby się okaleczała po to, by nikt nie zobaczył ani kawałka jej kolan?

ERWA, pisze pani Meizlish na tablicy wielkimi, drukowanymi literami.

– To słowo oznacza części ciała, które kobieta musi zakrywać, począwszy od obojczyków aż po nadgarstki i kolana. Mężczyźni mają obowiązek opuścić miejsce, gdzie erwa jest odsłonięta. W miejscach tych nie wolno się modlić ani wygłaszać błogosławieństw.

– Czyż nie widzicie, dziewczęta, jak łatwo zostać zakwalifikowaną jako *choteh umachteh es harabim*, grzesznicą, która nakłania innych do grzechu? Wystarczy zaniedbać przepisy najgłębszej skromności, by popaść w ten najgorszy rodzaj grzechu. Każdy mężczyzna, który zauważy odkrytą część waszego ciała, a którą Tora nakazuje zakrywać, popełnia grzech. Ale co najgorsze, to wy jesteście sprawczyniami jego grzechu. To wam przyjdzie za niego odpowiadać na Sądzie Ostatecznym.

Gdy rozbrzmiewa ostatni dzwonek, mam już spakowane książki i płaszcz w ręku. W tej samej sekundzie, gdy nauczycielka wypuszcza nas z klasy, biegnę już w stronę schodów, mając nadzieję, że zdążę, zanim tłum wychodzących zablokuje je całkiem. I rzeczywiście, ledwie udaje mi się zbiec dwa poziomy niżej, za zakrętem prowadzącym na pierwsze piętro już muszę się zatrzymać, bo grupki rozgadanych uczennic przeciskają się przez drzwi i przepychają przez zator na schodach. Jestem zmuszona zwolnić i kroczyć noga za nogą, czekając, aż przejdą inne dziewczynki, którym się najwyraźniej nie spieszy. Zejście przez ostatnie dwa piętra trwa wieczność; czuję się, jakbym wstrzymywała oddech. W końcu przedzieram się przez drzwi na parterze, w drodze do wyjścia omijając zygzakami grupki pierwszoklasistek. Przechodzę na przestrzał przez dziedziniec od frontu, ogrodzony murem zwieńczonym kłębkiem drutu kolczastego, i galopuję po kamiennych stopniach, rzucając ostatnie spojrzenie bezgłowym gargulcem, wieńczącym rynny kruszejącego, kamiennego gmachu.

Świeże wiosenne powietrze podnieca mnie, gdy biegnę w dół przez Marcy Avenue, kłapiąc podszewkami o chodnik i zostawiając z tyłu powoli gramolący się tłum, i gnam, by być w domu przed wszystkimi. Ulice są pełne ludzi, wszędzie ubrane w plisowane spódniczki uczennice, których gromada przelewa się przez brudne rynsztoki. Kierowcy w przejeżdżających wolno samochodach naciskają klaksony. Czuję, jak kołnierzyk koszuli wpija mi się w szyję, więc rozpinam górny guzik, oddycham głęboko. Jak na razie ani śladu mężczyzn – nie o tej porze, gdy ulice należą wyłącznie do mnie.



Wiek niewinności

Chasydzi mieli wielkich przywódców – cadyków, jak ich nazywano, czyli „sprawiedliwych”. Każda chasydzka wspólnota miała swego cadyka, do którego ludzie przychodzili ze swymi problemami, a on im radził. Ludzie ślepo wierzyli tym przywódcom.

Chaim Potok, *The Chosen*

Zajde wstaje o czwartej nad ranem i idzie studiować Torę w synagodze po drugiej stronie ulicy. Kiedy ja się budzę, o ósmej, wraca do domu na spartańskie śniadanie złożone z kawałka pszenicznego tostów z pełnoziarnistej mąki, taniego sera i plasterka bladozielonej włoskiej papryki. Siedzi przy kuchennym stoliku naprzeciwko mnie i przyglądam się ciekawie, jak je – celebrytuje ten rytuał każdym wyważonym gestem, kroi jedzenie na małe kawałki i przeżuwa każdy kęs z namysłem. Czasem ten proces tak go pochłania, że nie odpowiada, gdy coś do niego mówię.

Po jedzeniu głośno wygłasza błogosławieństwo, a potem przechodzi do gabinetu na dole – podobno pracuje nad transakcjami związanymi z nieruchomościami albo operacjami finansowymi. Ale nikt dokładnie nie wie, czym Zajde zajmuje się zawodowo. Czy jest kupcem, czy uczonym w Piśmie? Zawsze się zastanawiam, po której stronie się znajduje w prastarym układzie między plemionami Isachara i Zebulona.

Pośród założycieli dwunastu plemion Zebulon był kupcem morskim, a Isachar badaczem Tory. Aby Isachar mógł utrzymać rodzinę, a Zebulon zasłużył na życie wieczne, zawarli umowę: Zebulon będzie łożył na rodzinę Isachara, jeśli ten zgodzi się podzielić po połowie wpływami ze swej pracy jako badacz Pisma. Ten kontrakt przetrwał tysiące lat i do dziś ma się świetnie na współczesnym Williamsburgu.

Na Williamsburgu jest mnóstwo wspólnot naukowych, zwanych kolelami. By zasiadający w nich poważni młodzieńcy mogli pochylać się nad starożytnymi tekstami, ich rodziny otrzymują dotację od bogatszych członków społeczności. Ci młodzieńcy są często nazywani *benk-kweczers*, czyli „ławkogniotami”, z racji nieustannego wysiadywania na prymitywnych ławkach wypełniających gmach kolelu.

Studiowanie Talmudu to niezła kariera dla biedaka. Gwarantuje prestiż. Każda dziewczyna w wieku odpowiednim do zamążpójścia chce, żeby jej wyswatano utalentowanego młodego badacza, by mogła się chwalić wszystkim przyjaciółkom, jaką to świetną partię złapała – i żeby jej bogaty ojciec wyposażył ją w wystawny posag. Pieniądze zawsze idą w parze z wiedzą. Tak jest od wielu pokoleń.

W tej społeczności Zajde uchodzi zarówno za badacza, jak i biznesmena. W dzień studiuje raporty finansowe, a po nocach Talmud – zna się na obydwu, ale czy w którymś jest mistrzem? Niewiele wiem o życiu Zajde. Może i mamy pieniądze, ale z pewnością ich nie wydajemy. Bube od lat błaga dziadka, żeby wymienić zniszczoną niebieską wykładzinę w jadalni na klepkę, ale Zajde upiera się, że w tym życiu nie powinno się żyć w luksusie. „Należy dbać o duszę, nie ciało; to ma być życiowy cel – mawia Zajde. –

Luksus tylko osłabia percepcję, czyni duszę nieczułą”.

Czy to naprawdę taki luksus, oszczędzić Bube trudu, jaki wkłada w usuwanie okruchów chałki i wżartych w tkaninę głębokich plam z soku winogronowego? Babcia tak bardzo chciała mieć parkiety.

Inne dziewczynki noszą najmodniejsze stroje z domu towarowego Friedmana, a ja chodzę w ubraniach oddanych przez krewnych. Wszyscy wiedzą, że plisy są niemodne, że teraz nosi się swetry w romby, ale zanim się takich doczekam, wyjdą z mody.

Zajde mówi, że powinnam nosić moje cierpienie z godnością, jak flagę. „Jesteś jedną z wybranych – twierdzi. – Te ubrania są bardziej królewskie niż cokolwiek można kupić w domu towarowym”.

Uważa też, że każda żydowska dziewczyna jest bas melek – córką króla.

– Jeśli twój ociec jest ważną osobą, królem, czy przynosiłabyś mu wstyd, nosząc podarte i brudne ubrania? Nie – dziadek wpada w kaznodziejski ton i z podnieceniem uderza otwartą dłoń w stół. – Zachowywałabyś się, jak przystało na kogoś z królewskiego rodu, bo reszta świata uczy się od ciebie, na czym polega prawdziwy majestat. Tak samo Żydzi – ciągnie dalej Zajde. – Jesteśmy narodem wybranym, więc musimy się nosić, jak przystało na monarchów, by nie przynosić wstydu naszemu prawdziwemu Ojcu w niebie.

Nasze nauczycielki bez przerwy powtarzają nam tę metaforę. Czasami mnie korci, by zapytać dziadka, czy powinnam z wariackim wrzaskiem biegać po ulicach, jak przystaje córce mego biologicznego ojca, który łązi bez celu, w poplamionej koszuli i gadając do siebie. Nie robię tego jednak, bo nie chcę oglądać na twarzy Zajde wyrazu cierpienia, o którym bym mu w ten sposób przypomniała. Pomyśleć tylko: Zajde przeżył wojnę, by spłodzić dużo żydowskich dzieci na miejsce tych, które zginęły – a jego własne przyniosły mu tyle bólu!

Mój ojciec nie był ani pierwszym, ani ostatnim nieszczęściem, jakie spotkało naszą rodzinę. Nie tak dawno temu syn mego wuja Szulmy popadł w obłąd w wieku lat siedemnastu. Dziadek wyjątkowo źle zniósł załamanie nerwowe Barucha. Ten chłopak był nadzieją rodziny, jego nauczyciele i rabini widzieli w nim materiał na genialnego badacza Talmudu. Kiedy zdiagnozowano u niego ostrą fazę schizofrenii paranoidalnej, utracił zdolność formułowania spójnych zdań i mówił dziwnym, niezrozumiałym językiem. Zajde trzymał go zamkniętego w swoim gabinecie, do którego przygotowane przez Bube jedzenie wsuwało się na tacy przez otwór w drzwiach. Zajde nie chciał go wypuszczać, obawiając się, że kolejny wariat biegający po ulicach Williamsburga przyniosłby szkodę naszej rodzinie. Którejś nocy Baruch się jednak wydostał, rozwaliwszy pięściami drzwi, i wyłonił się zza nich z okaleczonymi, krwawiącymi rękami. Wrzeszczał jak zranione dzikie zwierzę, jak z trzewi, niekończący się wrzask wydobywał się z jego gardła. Niszczył wszystko, co napotkał na drodze. Sanitariusze z pogotowia obezwładnili go w korytarzu i zrobili zastrzyk na uspokojenie. Oglądałam to wszystko z górnego podestu schodów i łzy ciekły mi po twarzy.

Potem, gdy Bube skończyła sprzątać bałagan, który Baruch po sobie pozostawił, siedziała przy stole w kuchni blada jak ściana. Składając ściereczki kuchenne, słyszałam, co szeptała do telefonu. Defekował gdzie popadło i zostawiał kupy na dywanie. Serce mi

pękało na myśl, że to Bube, która zawsze uważała, iż zamknięcie Barucha w pokoju na dole to zły pomysł, lecz uległa, jak zawsze, woli Zajde, musiała ponosić konsekwencje jego jednostronnej decyzji.

Rozumiałam jednak, dlaczego Zajde zrobił tak, jak zrobił. W naszej społeczności nie do wyobrażenia jest, by osoba chora psychicznie została umieszczona w domu wariatów. Jak można oczekiwać, by instytucja prowadzona przez nie-Żydów mogła zapewnić opiekę chasydowi i spełniać jego potrzeby? Nawet wariaci nie są zwolnieni z przestrzegania judaistycznych praw i obyczajów. W pewnym sensie było aktem odwagi ze strony Zajde, że podjął się zadbać o duszę Barucha, mimo iż nie miał żadnych kwalifikacji do radzenia sobie ze skutkami jego psychozy. Żał mi Barucha, który z pewnością wylądował w jakimś obcym miejscu, gdzie go nie rozumieją, że nie będzie nigdy w stanie wrócić do jedynej społeczności, do której kiedykolwiek należał.

Zajde zawsze mówi, że to dzieci są źródłem największej *nachas*, największej dumy – ale i najgłębszego bólu. Jego zdaniem *tzaar gidul bunim* – udręka związana z wychowywaniem dzieci – to największy test wiary. Bóg daje człowiekowi potomstwo, by całe życie starał się je utrzymać, ochronić i wychować na oddane sługi Haszema.

Zajde dorastał w dziedzictwie straty. Jego przodkowie przez pokolenia zamieszkiwali Europę Wschodnią, przeżywając pogromy, niewiele różniące się od hitlerowskich represji z czasów wojny. Nie pojmuję, jak ktoś, kto tyle stracił, przeżył tyle cierpienia, może przyczyniać się do przedłużania własnego ucisku. Zajde siebie więzi, pozbawiając się małych, nieszkodliwych przyjemności – a mimo to właśnie ich brak zdaje się dawać mu poczucie spełnienia. Czy to poczucie winy motywuje dziadków do zadawania samym sobie nieustannego bólu, nakładania na własne barki dodatkowych ciężarów, odrzucania możliwości, że życie może być mniej uciążliwe?

Moim zdaniem to ten ból sprawia, że Zajde czuje się oczyszczony, bez skazy. Co piątek składa ręce na wschodniej ścianie jadalni i wygłasza swą własną modlitwę, a gdy ją zmawia, łzy płyną mu strumieniami po twarzy. Nigdy nie widziałam, by mężczyzna aż tak płakał. Myślę, że w pewien sposób Zajde odgradza się od reszty świata, odmawiając sobie niewinnych przyjemności – mimo to czuje się spełniony za sprawą ich odrzucenia. Wierzy, że dusza ludzka zesłana została na ten padół, by przetrwać ból i by się oczyściła, przygotowała do życia wiecznego. Próby, na jakie wystawia go życie, dają mu wielkie pocieszenie. Mnie uczucie ciągłego niedostatku nie daje go ani trochę. Czuję się przez to brudna i nerwowa, płacząc, aż tracę dech od łez zalewających mi nozdrza i gardło. A jednak znoszę to nadal, tak jak inne dzieci i wnuki Zajde i Bube. Ja także jestem dziedziczką przekazywanego od pokoleń poczucia straty.

Bube przypomina mi od czasu do czasu: „Przeżyłam tylko po to, byś ty przyszła na świat”. A dziadek powiada:

– Wiele razy zastanawiałem się, czemu dane mi było przeżyć. Ale z upływem czasu uświadomiłem sobie, że moje dzieci i wnuki musiały się narodzić, a moim obowiązkiem jest dopilnować, by wyrosły na dobrych Żydów, *erlisze Jiden*, by to nadało sens mojemu przetrwaniu. Nie wyobrażam sobie, bym mógł zmarnować dar życia, skoro tak wielu innych zostało go pozbawionych. – Wyjmuje z lodówki ostatki jedzenia i podgrzewa je sobie na kolację w jednym garnku. Nie pozwala Bube wyrzucać żadnego jedzenia.

Bube obkrawa jarzyny z nadgniętych kawałków i z powrotem wstawia do lodówki. Świeże wypieki wędrują do zamrażalnika, gdzie będą czekać na specjalną okazję. Kiedy zaś zostaną zjedzone, Bube zbierze najmniejsze okruszki i je przechowa. Marzą mi się sklepowe przysmaki, takie jak batoniki i chipsy ziemniaczane; rosnę teraz i nieustannie czuję głód. Mój żołądek odczuwa przerwy między posiłkami jako bolesne dziury.

To jednak coś więcej niż tylko fizyczny głód. Wielka dziura we mnie woła, aby ją czymś zapełnić – jedzenie jest tylko jednym z wygodniejszych rozwiązań. Jak inaczej wyjaśnić reakcję, jaką budzi jedzenie, które Bube stawia przede mną? Każde danie wywołuje ciąg misternych fantazji: zmyślam historie o tym, jak pojawiły się na mym talerzu, by ukoić głód znacznie większy niż naturalny ból burczącego z głodu brzucha. Rośnie we mnie ziejąca przepaść i grozi, że się powiększy, jeśli nie nakarmię jej do syta, czym tylko zdołam. Jedzenie to rozwiązanie tymczasowe, ale lepiej się najęść, niż zostać z tą pustką.

Dzisiaj się ze mną ostatnio przedziwne rzeczy. Gdy Bube i Zajde wychodzą i zostaję sama w domu, nie mogę przestać myśleć o ciastach w zamrażalniku. Wołają do mnie tak głośno, że rozprasza to moją uwagę, nie mogę się skupić nawet na najbardziej ekscytującej lekturze. Z poczuciem winy otwieram zamrażalnik, spoglądam na zawinięte w folię foremki z szarlotką, brownie, nugatem z orzechami laskowymi i zebra. Tylko kawałek – mówię sobie, wyciągając z lodówki pakunek z wierzchu. Kiedy jednak ciasto stoi przede mną odpakowane na kuchennym stole, nie mogę się powstrzymać – odkrawam wielkie kawałki i wpycham rękami do ust, przelżykając tak szybko, jak tylko potrafię, przerażona, że mogą mnie przyłapać na gorącym uczynku. Gdy tak upycham w gardle kawały brownie z czekoladową polewą, widzę, jak tłuste okruchy rozsypują się dokoła; gdy będę starsza, przypomni mi się uczucie rozpacz, jakie przepełniało mnie na widok samej siebie w takim upodleniu. Po wszystkim posprzątam kuchnię na wysoki połysk, starając się ukryć choćby najdrobniejszy dowód zbrodni. Jedząc, miałam to samo poczucie winy, co przy czytaniu. Bez przerwy wydaje mi się, że popełniam jakieś straszne przestępstwo – a mimo to nieustannie czuję głód.

Postanawiam, że gdy dorosnę, nigdy nie będę nikomu żałować jedzenia. Czasem tęsknię za prostą radością zjedzenia świeżego pomidora, z jędrną skórką i delikatnym mięszem. Podbieram drobne z puszki, skarbonki, w której Bube odkłada pieniądze na cele dobroczynne, i kupuję sobie różowe kawały arbuza, które potem jem na ganku. Spływający sok i czarne pestki lądują w doniczkach z kwiatami. Gdy potem młode pędy puszczają w petuniach, Bube wyrywa je zaciekawiona i orzeka, że to chwasty.

W ogrodzie przy wyłożonych piaskowcem ścieżkach zaczynają kwitnąć truskawki, a dzikie róże pną się po tylnym ogrodzeniu z drutu kolczastego. Nad gankiem zwiesza się ciężko krzak morwy. Bube martwi się, że zasłoni światło tulipanom, ale Zajde mówi, że nie można go ścinać, bo to krzew owocowy, a prawo biblijne zabrania ścinania drzew i krzewów rodzących owoce. Nawet przycinanie budzi wątpliwości.

Do nadejścia Pesach przejrzałe owoce będą już spadać na ganek, zostawiając purpurowe plamy na chodniku ze sztucznej trawy. Bube będzie mieć jeszcze więcej do sprzątnięcia.

Żydowska księgarnia w Borough Park sprzedaje książki, których Zajde nie pozwala

czytać. Chce, żebym czytała w jidysz – bogato ilustrowane żywoty legendarnych cadyków, którzy mocą wiary i modlitwy dokonują przewidywalnych cudów; opowieści o nich, opisane monotonnym językiem, ciągną się po dwadzieścia i więcej stron. Dziadek znosi do domu żydowskie tygodniki w jidysz, periodyki pełne przestarzałych wiadomości zaczerpniętych ze starych magazynów i encyklopedii oraz nieaktualnych esejów o polityce sprzed ponad pół wieku i artykuły o muzyce kantorów. Wiem, że istnieją inne publikacje w jidysz, ale są zakazane. Tak się składa, że jest zatrzesienie literatury w jidysz, której nigdy nie wolno mi będzie czytać. Szolem Alejchem jest w naszym domu na indeksie; był jednym z *apikojres*, tak zwanych wyzwolonych Żydów. Satmarowie nie czytają niczego, co wyszło spod pióra wyzwolonych Żydów – nawet jeśli zostało to spisane w świętym języku jidysz.

Ale ta księgarnia sprzedaje książki o tematyce żydowskiej i dlatego mam mniejsze poczucie winy, przynosząc do domu książki kupione w niej niż te wypożyczone z biblioteki. Jakoś wydaje mi się to mniejszym przewinieniem, jeśli mnie przyłapią. Prześmiewczy ton Tewjego Mleczarza jest dla mnie szokiem: kto by przypuszczał, że tekst w jidysz może brzmieć tak wulgarnie i obraźliwie? Zawsze myślałam o jidysz jako o języku ceremonialnym, ale okazuje się, że wiele słów dawno wyszło z mody, że jidysz dzisiejszego Williamsburga w niczym nie przypomina tego dziewiętnastowiecznego, który był niesforny i bliski życia. Aż mnie policzki palą, kiedy to czytam.

Ale to *The Chosen* jest najbardziej ekscytującą lekturą. W księgarni otworzyłam tę książkę na pierwszej stronie z umiarkowaną ciekawością. Z okładki – na której widniał młody, pejsaty chasyd z książką w rękę – wynikało, że będzie to kolejna nudna historia o dobrym żydowskim chłopcu. Ale to było jak elektryczny szok dla mojej literackiej wrażliwości, gdy przeczytałam w pierwszych słowach o znajomych ulicach Williamsburga, opisywanych jako „popękane kwadraty betonu... zmiękczone letnim upałem” – i to pomiędzy pasażami poświęconymi innym etnicznym potęgom, które władały znajomymi zakątkami naszej małej, zatłoczonej dzielnicy. Książka o moim domu! Wreszcie terminy i odniesienia, które brzmią znajomo! Cóż to za nowe, wspaniałe doświadczenie, z każdą przeczytaną stroną widzieć, jak znika jakże znajome uczucie alienacji i zagubienia. Jakże łatwo było identyfikować się z fabułą i postaciami: do dziś widuję je wokół siebie, niezmienione. Oczywiście Williamsburg zmienił się od czasów Chaima Potoka, ale jego duch i historia pozostały te same. Byłam pewna, że Zajde nie byłby oburzony, jeśli przyłapałby mnie z tą książką. Skoro piszą o nas książki, może jednak nie jesteśmy aż tak bardzo dziwaczni.

Mimo że wiele razy słyszałam historie o naszej małej satmarskiej społeczności, niewiele wiem o dziejach samego ruchu chasydzkiego. Książka Chaima Potoka jest pierwszym, porażającym wprowadzeniem w tematykę mej własnej przeszłości. Zaczynam widzieć związek między mną a rubasznymi bohaterami Szolema Alejchema. Kiedyś wydawało mi się, że historia diaspory nie ma żadnego odniesienia do mojego życia, ale okazuje się, że istnieje niejaki związek między chasydami a pewną prowincjonalną naiwnością, może wręcz ignorancją. To rodzaj niewinności, który chasydzi postrzegają jako wartościowy, nazywając go czystością czy prawością. Dla badacza Talmudu wyzwaniem jest zachować tę niewinność, jednocześnie doskonaląc

umysł przez studiowanie księgi. Nagle postrzegam dziadka w całkiem nowym świetle. Zawsze myślałam, że ma wspaniały umysł, ale zasłynął ze swej uczoneści w Talmudzie. Chaja często wzdycha nad tym i mówi mi, że Zajde nigdy nie nauczy się stosować swej wiedzy w praktyce. Ciotka mówi, że dziadek nie ma za grosz przyziemnej, życiowej mądrości. Ale może on tak woli? Może świadomie wybrał podążanie ścieżką swoich przodków, którzy tak łatwo wpadli w pułapkę zgotowaną im przez nie-Żydów i zwrócili się ku Bogu, zamiast zadbać o własne przetrwanie? Geniusz znajduje właściwe zastosowanie jedynie w studiowaniu Tory. Ze wszystkim innym musimy zwrócić się ku wierze.

Czytam *The Chosen* po raz pierwszy, więc w niemal każdej kwestii podzielam opinie Danny'ego, chasydzkiego chłopca. Talmudyczne argumenty jego ojca brzmią znajomo, a opinie Danny'ego wydają mi się naturalne i słuszne, zanim nawet zastanowię się, o co naprawdę chodzi. Mam gotowy kontrargument na każdą wyzwoloną, syjonistyczną myśl, jaką wprowadza postać Reuwena. Później, w wieku dorosłym, wrócę do tej lektury i nawet obejrzę film oparty na książce – i zrozumie, że jako dziecko nie byłam w stanie przyjąć argumentów, które zakwestionowałyby każdy wybór, jakiego za mnie dokonano, i wstrząsnęłyby posadami mojej egzystencji. Dostrzegę, że nie miałam wyjścia, jak tylko zaakceptować to, czego mnie uczono – musiałam to zrobić, by przetrwać. Przez długi czas nie byłam w stanie przyznać, że mogę się mylić – ale nie spoglądałam na tę dawną ignorancję ze wstydem. Zajde starał się wpoić mi tę niewinność – słodką, dziecinną naiwność moich przodków, która miała mi wystarczyć aż do dorosłości lub nawet starości. Ostatecznie odrzuciłam to wszystko, z wyjątkiem najgłębszego, emocjonalnego jądra mej natury. Gdy wiele lat później popatrzę na świat szeroko otwartymi oczami, w głębi serca pozostanę niewinna.

Trrach. Uwielbiam dźwięk, z jakim skorupka orzecha pęka pod moim naciskiem, rozłupana na zgrabne połówki. Mam już odciski na rękach w miejscach, gdzie ściskam dziadka do orzechów, zmuszając twardą łupinkę do poddania się. Robię charoset na paschalny seder; Zajde mówi, że w Pesach nie wolno używać kupnych łuskanych orzechów włoskich, ponieważ jest prawdopodobne, że miały kontakt z chamecem, więc wszystkie orzechy łuskamy w domu. A przynajmniej ja się tym zajmuję. Bube trze chrzan na gorzki maror, odwracając twarz od miski, by uniknąć wdychania gryzących oparów. Oczy już ma czerwone i załzawione. Później będziemy jedli gorzkie zioła na pamiątkę tego, jak Żydzi cierpieli w niewoli egipskiej, ale Bube już pewnie nawspominała się o tym na dzisiaj wystarczająco.

Bube ściera z twarzy kolejną łzę, bierze głęboki wdech i z nową determinacją przystępuje do ataku na twardy korzeń. Chrzan ciężko się trze, a w misce jest tylko mała kupka startego maroru. Bube jest drobna i garbi się, próbując zebrać wszystkie siły do wykonania tego zadania. Myślę, że fizycznie nie jest silną kobietą, mimo że urodziła jedenaścioro dzieci i przeszła przez niewyobrażalne piekło obozów koncentracyjnych. Marnie sypia i choć wykonuje wszystkie codzienne obowiązki domowe, tych prac zdaje się nieustannie przybywać. Sama kisi barszcz, sama przygotowuje pikle, nawet orzechy muszą być samodzielnie wyłuskane, zanim będzie można je dodać do charosetu.

Nie mogę dłużej na to patrzeć.

– Bube, przestań! Mam pomysł. Poczekać chwilę, zaraz wracam.

Biegnę do swojego pokoju i grzebię w dolnej szufladzie komody, aż znajduję to, czego szukałam. Gdy wracam do kuchni, Bube wybucha śmiechem na mój widok. Założyłam moje okulary pływackie i zacisk na nos, pozostałość po letniej wyprawie na obóz.

– Widzisz? – mówię wysokim, nosowym głosem. – Teraz mogę trzeć chrzan, nie martwiąc się o opary. – Okulary zaparowały na brzegach, ale widzę, jak babcia śmieje się, podając mi tarkę.

Wkładam gumowe rękawice i energicznie trę chrzan. Oczywiście prawie nie czuję gryzących oparów. Po drugiej stronie stołu Bube skutecznie łuska orzechy, trzymając dziadka jedną ręką, i zsypuje je, ciągle w jednym kawałku, do miski z charosem. Kiwa głową z podziwem i rozbawieniem, patrząc, jak ścieram korzeń chrzanu do ostatka. Jestem okropnie dumna, że mogłam się wykazać w kuchni, nawet jeśli dokonuję tego w tak dziwny sposób.

– Popatrz, mamy chrzanu na dwie wojny światowe!

Ledwie Bube skończy wycierać kuchenne blaty, wszyscy zaczynają się schodzić na seder. Całe jedzenie powkładaliśmy do specjalnych paschalnych słoików i wstawiliśmy do wyłożonej folią lodówki. Pierwsza przybywa ciotka Rachel ze swymi dwoma córkami.

– *Gut jontif, gut jontif* – mówi głośno Rachel. Całuje Bube w policzek, ale patrzy gdzie indziej, omiatając krytycznym wzrokiem długi stół, który po wstawieniu wszystkich dodatkowych paneli ugina się lekko w środkowej części.

– Mame, ten *tisztuch* jest za krótki na całkiem rozłożony stół, trzeba położyć jeszcze jeden. Widzisz, jak podściółka wystaje? – Rachel cmoka z dezaprobatą.

– Przyniosę drugi obrus – zgłaszam się na ochotnika.

Rachel już omija mnie wzrokiem, patrząc w lustro i poprawiając przód swojej peruki w kolorze karmelu z grzywką spadającą na lewe oko. Jej smukłe palce z wprawą wygładzają ciężki od lakieru kosmyk. Rachel jest jedyną osobą w rodzinie, która nosi peruki wykonane w całości z naturalnych ludzkich włosów, bez jednego sztucznego kosmyka – choć Zajde zawsze ostrzega nas, że jedno ustępstwo prowadzi do kolejnych. Przestrzega nas przed wkroczeniem na zdradliwą ścieżkę *pricus*, folgowania sobie, bo jeden fałszywy krok na niej wystarczy, by szatan wciągnął do otchłani. Wszyscy wiedzą, że Rachel jest próżna, że kupuje swoje markowe ubrania u Saksa w Piątej Alei, a nie w Daffy's na przecenie, że czesze peruki według najnowszej mody i nakłada tyle makijażu na dzień przed szabasem, że wystarcza jeszcze na następny. Raz słyszałam nawet, jak jej siostra Chawka mówiła konspiracyjnym szeptem, że Rachel przestała golić głowę i ma już prawie ośmiocentymetrowe odrosty. Może to właśnie ma na myśli Zajde, gdy mówi o *pricus*: Rachel prawdopodobnie pomyślała, że może pozwolić włosom odrosnąć dopiero wtedy, gdy wyczerpie wszelkie opcje pofolgowania sobie, jakie dawały peruki. Rozumiem to, trudno jest poprzestać na małym – ale rozwiązanie, które proponuje Zajde, jest nie do przyjęcia dla przeciętnej kobiety. Dziadek chciałby, byśmy całkiem wyrzekły się próżności – a to raczej nierealne.

Córki Rachel Rojza i Bajla mają grube, sprężynujące loki, które matka skręciła na lokówkach, przytrzymywane przez identyczne aksamitne opaski na włosy. Obydwie są

mniej więcej w moim wieku; siedzą sztywno na pokrytej plastikowym pokrowcem sofie, z rękami elegancko złożonymi na podołkach. Patrzą zazdrośnie na ich jednakowe spódniczki w pepitkę i miękkie kaszmirowe swetry. Ja nie dostałam nowego ubrania na święta. Wyglądam aksamitne plisy sukienki z wysokim stanem, którą odziedziczyłam po jednej z córek Fajgi. Sukienka jest lekko przetarta na szwach, więc na brzegach bordowy aksamit wygląda na różowy.

Bajla jest tą ładniejszą, bo ma blond włosy. Mówią, że w naszej rodzinie jest dużo blondynek, ale na moich burych włosach ledwie widać latem jaśniejsze pasemka. Rojza jest brunetką, ale oczy ma wielkie i niebieskie, a skórę białą i jasną. Wszystkie mamy jabłkowate babcine policzki.

Po prawdzie, nie przepadam za żadną z nich. Wyglądają jak Weissmanowie, rodzina ze strony ich ojca – krzepkie, ze strzelającymi podejrzliwie, rozbieganymi oczami, ich uśmiech przypomina raczej grymas. Ja wyglądam jak Bube. Jako jedyna w rodzinie jestem do niej bardzo podobna. Prawie cała reszta odziedziczyła geny dziadka, geny Mendlowitzów – wielkie nosy, błękitne oczy i włosy czerwone jak wóz strażacki. Ja mam babcine oczy – szare, skryte za ciężkimi powiekami, jej włosy, ani blond, ani brązowe, ale grube i mocne, jak te na jej fotografii w paszporcie; mam jej uśmiech, oszczędny, a usta wąskie. Tylko Bube i ja mamy geny Fisherów.

Właśnie pomagam babci rozkładać drugi obrus, gdy rozlega się pukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wchodzi Chawka ze swym niedawno narodzonym synem na rękę. Rojza i Bajla spieszą, by wziąć od niej dziecko, i podniecone gruchają do uspiętego chłopca, podczas gdy Chawka i Rachel wymieniają siostrzane pocałunki i oddalają się do kuchni, by tam plotkować z Bube po węgiersku.

Przyglądam się, jak dziewczynki krzątają się przy dziecku. Głaszczą chłopca po policzku; jego maleńkie usta wydymają się przy tym w grymasie zniecierpliwienia. Ma na imię Szimon. Jest muznikiem, jedynym, późnym dzieckiem. Chawka i Mordechaj byli małżeństwem siedemnaście lat, zanim się urodził. Bube płakała na ceremonii obrzezania. „Nie ma gorszego przekleństwa niż bezdzietność” – powiedziała mi dzień po tym, jak odwiedziła Chawkę w szpitalu. Taki był los cioci Sary, świeć Panie nad jej duszą, która umarła bezpotomnie.

– Klątwa tego Mengele, czarciego syna, który wypalił jej wnętrzności kwasem – mówi babcia, spluwając przy tym i machając rękami, by odegnać Złego. Gdy Szimon wychodzi ze szpitala Maimonides Medical Center do domu, ma prawy nadgarstek przewiązany grubą czerwoną nitką. Żadne złe oko nie śmie tknąć tego dziecka.

Sama się czasem zastanawiam, czy nie przydałaby mi się czerwona wstążeczka, ale na cóż miałyby spojrzeć to złe oko w moim wypadku? Na moją znoszoną aksamitną sukienkę, na proste, wiotkie włosy, które nigdy nawet nie widziały lokówki? Ciekawe, jak bym wyglądała w aksamitnej przepasce na głowie.

Koło wpół do dziesiątej wieczorem na schodach słyhać kroki mężczyzn, w odświeżonych butach z nowymi flekami, które stukają głośno o aluminiowe listwy przymocowane do stopni linoleum. Idę otworzyć drzwi. Przechodzą obok mnie jeden za drugim – najpierw Zajde, a za nim moi wujowie i kuzyni.

– *Gut jontif, gut jontif!* – słyhać zewsząd chór świątecznych pozdrowień. Synowie

Bube całują ją w policzek; synowe tylko pozdrawiają pełnym szacunku skinieniem głowy. Całuję pomarszczoną rękę Zajde i życzę mu *gut jontif*.

Zajde ma już na sobie swój biały kitel; widzę, że Bube kręci głową na widok głębokich zmarszczek na tkaninie. Pozostali wkładają kitle, przygotowując się do sederu. Zapinają długie białe szaty od dołu po samą szyję, a potem ściągają mocno w taliu paskiem. Sadowią się rzędem po prawej stronie stołu, zostawiając kobietom stronę bliższą kuchni. Dziś wieczorem mają być aniołami – to dlatego wkładają kitle – ale wyglądają raczej, jakby ubrali się w sukienki.

Zajde przygotowuje się do kiduszu, a ja przynoszę paschalne poduszki i rozkładam je na wielkim fotelu u szczytu stołu, żeby do Hagady mógł zalec jak należy i zjeść swoją macę. Reszta gromadzi się przy stole, dorośli z przodu, dzieci z tyłu. Bube rozłożyła swoje najlepsze srebra – na stole aż tłoczno od świeczników, konkurujących o miejsce z butelkami na wino. Blask bijący od mosiężnego żyrandola jest tak silny, że aż bolą mnie od niego oczy.

Wszyscy wstają do kiduszu, wznosząc srebrne puchary, wypełnione po brzegi winem. Po błogosławieństwie mamy wychylić je aż do dna, by można było nalać kolejny kielich – ale mnie ciężko jest przełknąć choćby łyk bez skrzywienia. Bube sama robi wino na Pesach; obserwowałam przez ostatnie dwa tygodnie, jak fermentowało w lodówce. Rojza wybucha śmiechem, widząc mój wyraz twarzy.

– Co jest, za mocne dla ciebie? – pyta.

– Nu! – woła Zajde ze szczytu stołu. Wszystko świetnie słyszy. – Co to za niepotrzebne gadanie w Pesach?

Nie odpowiadam mu, ale ostro szturcham Rojzę łokciem w bok. Wszyscy wiemy, że nie wolno rozmawiać, dopóki nie zaczniemy jeść. Teraz mamy siedzieć cicho tak długo, dopóki Zajde nie przebrnie przez czytanie Hagady. Mam nadzieję, że *drasza* – doroczne kazanie, niezmiennie na ten sam temat – nie potrwa długo, ale tym razem jest więcej gości niż zwykle, a to go nakręca. To pierwszy wieczór Pesach, co oznacza, że cała maca musi zostać zjedzona przed pierwszą w nocy. Już wpół do jedenastej. Jasno widać, że Zajde nie ma wyjścia, musi się streszczać.

Oczywiście, po *Ma nisztana* Zajde przerywa czytanie, wsuwa zakładkę do swej Hagady, zamyka księgę i odkłada na bok. Zaraz zacznie opowiadać.

– No to wio, dziadek! – szepce mi do ucha Rojza. – Wszystko wedle rozkładu.

– Rojza Miriam! – grzmi Zajde. Upiera się przy zwracaniu się do nas pełnymi imionami. Utrzymuje, że jeśli nie będzie tego robił, część naszych imion popadnie w niepamięć, nawet my o nich zapomnimy, a z nimi przepadnie pamięć przodków, po których je odziedziczyliśmy. – Dewojre! Przydałoby się wam posłuchać, co mam do powiedzenia!

Zajde będzie opowiadał o swojej służbie w armii węgierskiej w czasie drugiej wojny światowej. Zwykle nie opowiada o swoich wojennych przeżyciach, ale uważa, że raz do roku jest to na miejscu, szczególnie w noc upamiętniającą wszystkie prześladowania, przez jakie przeszli nasi przodkowie. Myślę, że chce nam w ten sposób powiedzieć, że obchody Pesach są wciąż żywe i na czasie; nieważne, czy chodzi o wyzwolenie z niewoli egipskiej, czy hitlerowskiej. Chodzi o to, by szanować wolność,

którą się dziś cieszymy, i nie przyjmować jej za pewnik. Zajde ostrzega nas, że w każdej chwili możemy tę wolność utracić, jeśli Bóg tak postanowi.

Słucham, jak zaczyna od zabawnej części, żeby zaciekać dzieci. Wiem, wiem: to naprawdę był głupi pomysł, żeby mianować Zajde kucharzem wojskowym... ledwie potrafi podgrzać sobie zupę. Dziadek musiał pytać podkuchenną, jak się robi kraut plecach. Kupa śmiechu.

– Trzy razy dziennie musiałem gotować dla całej armii. Prowadziłem koszerną kuchnię, rzecz jasna w sekrecie. Kiedy czegoś nie wiedziałem, prosiłem kuchty, żeby gotowały, a ja zmywałem i sprzątałem. Prawie nie miałem czasu na modlitwę, a kiedy miałem, ciężko było znaleźć bezpieczne miejsce na nią.

Dotykam złoconych na brzegach kartek Hagady, oprawnej w luksusową krowią skórę z babcinym imieniem wytłoczonym na okładce złotymi literami. Frejda. Tylko Zajde ją tak nazywa. Ona za to nigdy nie zwraca się do niego po imieniu, zawsze mówi „*majn man*” albo „mój mężu”.

– W Pesach nie mieliśmy mąki na macę, były tylko ziemniaki. Jedliśmy je więc zamiast macy, pół ziemniaka na osobę, namoczone w słonej wodzie – ciągnie dziadek.

Patrzę na Bube. Widzę, że myśli sobie to samo co ja. Przykryła część twarzy zwróconą do Zajde pokrytą odciskami dłonią; mimo że spuściła wzrok i patrzy na stół, widzę, że z rozdrażnieniem kręci głową. Słyszała tę opowieść o wiele więcej razy niż ja.

Rzadko słyszymy historię Bube. Bube straciła całą rodzinę w czasie wojny – wszyscy jej krewni zostali brutalnie pomordowani w komorach gazowych Auschwitz, podczas kiedy ona harowała w fabrykach Bergen-Belsen. Bube prawie umierała na tyfus, gdy przyszło wyzwolenie.

Bube zapala jorajtowe świece za nich wszystkich, od Mindla, który był niemowlęciem, po czternastoletniego Chaima. Nigdy jednak o nich nie mówi.

Zajde wie, że miał szczęście, że trafił do armii, nawet jeśli kazali mu tam zgolić brodę i pejsy.

Gdy podają jej talerz z chrzanem, Bube nakłada sobie sporą porcję. Ja udaję, że biorę całą łyżkę, ale celowo nakładam tylko odrobinę. Pachnie obrzydliwie. Wystawiam ostrożnie język, powoli inicjując w ten sposób kontakt z białymi strzępkami na łyżce. Przy pierwszym dotknięciu niemal słyszę syk, z jakim chrzan pali mi język. Czuję, jak oczy zachodzą mi łzami.

Spoglądam na Bube i widzę, jak z poczuciem obowiązku przeżuwa swoją porcję. Zastanawiam się, jak Bube może celebrować gorycz zniewolenia, nie będąc faktycznie wolna od tej goryczy. Nie widać końca jej pracy. Po Hagadzie musi pójść do stołu, potem czekać, aż mężczyźni wreszcie zakończą ceremonię o świcie; wtedy musi jeszcze posprzątać cały bałagan, zanim pójdzie spać.

– Aua, aua, aua! – krzyczy nagle Rojza, wskazując na swoje gardło. Łapczywie pije wodę.

– Co jest, za mocne dla ciebie? – pytam.

– *Nu!* – mówi Zajde. – Wystarczy tego *sztissim!*

Po ośmiu dniach, gdy Pesach dobiega końca, a zwykła zastawa wraca do pustych szafek, Zajde rozpoczyna *omer*, odliczanie specjalnego,

czter-dzie-sto-dzie-wię-cio-dnio-wego okresu przed świętem Szawuot, obchodzonego na pamiątkę tego, jak Żydzi otrzymali Torę na górze Synaj. Przez ten święty czas, nazywany *sefirat*, nie wolno nam słuchać muzyki, strzyc włosów ani nosić nowych ubrań. To czas smutnej zadumy, wypadający – co za ironia – w najpiękniejszą wiosenną pogodę.

W tym okresie Zajde popada w szczególną introspekcję. Po hawdali kończącej szabas długo siedzi sam przy stole, wachając dymiący knot świecy i od czasu do czasu zamaczając go w odrobinie rozlanego wina, by zaskwierczał. Zmywarka szumi głośno i buchają z niej kłęby pary, gdy babcia ładuje do środka kolejne stosy szabasowych naczyń; wycie wielkiego odkurzacza, którym czyszcząc dywan, zagłusza wszystkie inne dźwięki.

Bube i ja składamy obrusy w sypialni, gdy nagle słyszymy wołanie Zajde z kuchni – jego głos ledwie przebija się przez hałas zmywarki rozpoczynającej płukanie.

– Frejda, czy ty coś pieczesz? Czuję spaleniznę.

Bube cmoka z dezaprobatą, śpiesząc do kuchni.

– Pieczesz? A jak myślisz, kiedy mogłabym coś upiec, w *mocej szabbos*? Powiedz mi, kiedy niby miałabym to przygotować, w dziesięć minut od czasu, jak skończyłeś hawdałę? Przed wstawieniem prania czy może po?

Biegnę za Bube do kuchni, żeby zobaczyć, od czego włączył się wykrywacz dymu. Obsyty futrem z norek kapelusz Zajde radośnie strzela i dymi na jego głowie – musiał się zająć od knota. Zajde, kompletnie nieświadomy, co się dzieje, dalej siedzi i wacha świecę.

Bube podbiega, mamrocząc gniewnie.

– Mężu mój, twój sztrajmel się pali, nie ciasto! – rzuca zirytowana i zanim Zajde zdąży zaprotestować, futro tli się w zlewie, aż syk stopniowo cichnie pod strumieniem zimnej wody z kranu.

– Widzisz, Zajde? Jesteś tak świątobliwy, że twój sztrajmel płonie – mówię z uśmiechem.

W chwilę później żalodne resztki spalonego i skurczonego kapelusza spoczywają na stole, świadectwo dziadkowego roztargnienia i pobożności – dwóch cech, które zdaniem niektórych są właściwie równoważne. Mam wielką frajdę z relacjonowania całej historii kuzynkom, które śmieją się do rozpuku, wyobrażając sobie, jak Zajde siedzi niewinnie przy kuchennym stole, podczas gdy płomień radośnie buzuje na jego nakrytej sztrajmelem głowie.

W niedzielę Zajde idzie kupić nowy kapelusz, gorzko narzekając na wydatek (od dwóch tysięcy dolarów w górę), i zabrania Bube wyrzucić ten spalony, twierdząc, że może jeszcze da się go uratować. Mówi, że może przytnie się go tu i tam i jeszcze będzie mógł go założyć w szabas. Bube się śmieje, bo sztrajmel jest definitywnie zniszczony, nie ma mowy, żeby dało się go nosić. Gdy wuj Towje przybywa, by zabrać Zajde na zakupy, babcia wrzuca ten stary do worka na śmieci i wynosi do kontenera stojącego na budowie po drugiej stronie ulicy.

Zajde wraca do domu w nowym kapeluszu, wyższym od starego – to nowa moda, ale futro na nim za bardzo błyszczy, widać, że wybierał jak najtańszy. Kosztowne sztrajmele wyglądają bardziej miękko i naturalnie; ten jest sztywny i napuszony, zupełnie

nie pasuje do dziadkowej osobowości.

– Będę go nosił tylko na śluby – mówi Zajde i odkłada pudło na najwyższą półkę szafy w salonie, za innymi swoimi kapeluszami.

Zajde to osoba o wyjątkowej godności, ale nosi ubrania stare i zniszczone. Przeraza go myśl o włożeniu czegoś drogiego. Ja też chcę mieć taką godność, ale czuję dumę, tylko gdy wkładam coś nowego, porządnego. Co to za rodzaj samoświadomości, który pozwala Zajde ubierać się jak nędzarz, a mimo to budzić szacunek?

Wiem, że Bube ma podobne odczucia. Kiedy była młoda, Zajde nigdy nie pozwalał jej kupować córkom ubrań, więc chodziła po domach towarowych na Manhattanie i studiowała modne stroje, przyglądając się każdemu szwowi pod pretekstem sprawdzania jakości. Tak naprawdę zapamiętywała kroje, a potem odtwarzała je w skromniejszej wersji na swojej maszynie do szycia, z najlepszych dostępnych tkanin. Zajde kupował jej materiały, jeśli sama szyła. Aprobował jej oszczędność; mówił, że jest *geszikt*. Był dumny, że ma taką zaradną żonę.

I tak to dzieci Bube zawsze były ładnie ubrane i nikt nie znał jej tajemnicy. Skoro wszyscy wiedzieli, że Zajde jest zamożnym człowiekiem, komu by przyszło do głowy, że te obszyte koronką sukienki ze ślicznym detałem nie zostały kupione u Saksa?

Na zdjęciach z czasów, gdy jeszcze była młodą matką, moja babka prezentuje się nieprawdopodobnie elegancko i kobieco. Gustowne buty z poprzecznym paskiem na smukłym obcasie, zgrabna łydka wyglądająca spod długiej, pełnej wdzięku spódnicy. Po trzech porodach ciągle ma wciętą talię. Zachowa figurę nawet po jedenaściorgu dzieciach. Biorąc pod uwagę, jak szybko jedno po drugim przyszły na świat, zdumiewające, jak jej się to udało, ale do dziś babcia idealnie mieści się w rozmiar trzydzieści osiem.

Po tylu latach jest jednak zmęczona walką o wszystko. Poddała się, nie nagabuje już Zajde o nowe ubrania. Nie szyje już na maszynie. Tak bym chciała, żeby wyciągnęła ją choć raz i uszyła coś dla mnie, ale nie do pomyślenia jest, bym o to poprosiła. Przy odrobinie szczęścia któraś z ciotek znajdzie dla mnie sukienkę z przeceny, kupioną na jednym z licznych wypadów do Daffy's, i podrzuci do domu babci, niemal mimochodem.

Wiosenna magia dociera i tutaj, na ponure ulice Williamsburga. Drzewa wybuchają kwiatami, ich ciężkie, obfite gałęzie wypełniają każdą wolną przestrzeń. Mocne konary uparcie szturczą ściany kamienic z brunatnego piaskowca; ich zapach przenika do wewnątrz przez każde niedomknięte okno. Dopóki nie nadejdzie duszny, letni upał, moja dzielnica pogrążona jest w stanie chwilowej doskonałości, jest fantazją wypełnioną chmurami białych i różowych płatków, padającymi jak śnieg na zalany słońcem chodnik.

W maju Zajde wraz z innymi mężczyznami jadą na Manhattan na antysyjonistyczną demonstrację. W każde izraelskie Święto Niepodległości chasydzi satmarscy zjeżdżają się ze swoich wspólnot, by zademonstrować sprzeciw wobec państwa Izrael. Wbrew powszechnemu przekonaniu, że wszyscy Żydzi wspierają Izrael, satmarski rabbi upierał się, że winniśmy walczyć o zniszczenie izraelskiej państwowości, nawet jeśli wymaga to męczeństwa za sprawę. Mówił, że syjonizm to bunt, o jakim nie słyszano w naszej historii. Co za bezczelność myśleć, że moglibyśmy sami przynieść sobie zbawienie! Pobożni Żydzi czekają na Mesjasza, a nie łapią za karabiny i szable, by zbawić się sami.

Demonstracja to dziwaczne zjawisko. Nikt nie rozumie, dlaczego człowiek zdecydowanie wyglądający na Żyda niesie transparent z napisem „Zniszczyć Izrael”. Ale dla mnie to ma sens. Od zawsze wiedziałam, że państwo izraelskie nie powinno istnieć. W swym manifeście Wajoel Mosze satmarski rabbi powiada, że to do nas należy pokutowanie za grzechy syjonizmu. W każdym satmarskim domu jest egzemplarz tej biblii antysyjonizmu. Książka ta opisuje historię syjonizmu, jego narodziny w początkach XX wieku, gdy mała grupka Żydów wpadła na absurdalny pomysł, by wywalczyć dla siebie żydowski kraj. Wszyscy wtedy uważali, że to wariaci, ale rabbi wiedział, co z tego wyniknie. Przepowiedział to.

Jak pisze rabbi, syjoniści wiele razy próbowali osiągnąć swoje niskie cele, ale dopiero po Holokauście zdobyli dość politycznego i społecznego poparcia, by faktycznie sięgnąć po władzę. Zajde powiada, że wykorzystywanie Holokaustu do zdobycia współczucia jest afrontem wobec jego ofiar: ci niewinni Żydzi z pewnością nie zginęli męczeńską śmiercią po to, by syjoniści mogli rządzić.

Bube także jest bardzo rozgoryczona. Opowiada mi, jak to wielu Żydów próbowało uciec do Izraela przed hitlerowcami; syjoniści odmówili im azylu, zawrócili statki zaraz po ich przybiciu do portu, odesłali ich prosto do obozów.

– Nie chcieli, by ich nowy kraj zaludnił się nieuczonymi Żydami z religijnych sztetli – mówi babcia. – Chcieli nowego rodzaju Żydów: wykształconych, oświeconych i oddanych sprawie. Zamiast więc przyjąć uciekinierów, syjoniści przyjęli ich dzieci, wciąż dość młode, by mieć wpływ na ich ukształtowanie. Dla uciekinierów było jasne, że to jedyny sposób, by zapewnić ich dzieciom przetrwanie, więc uznali, że warto się zgodzić na rozłąkę.

W szkole uczyli mnie, że te dzieci były bite i maltretowane, dopóki nie wyrzekły się swej wiary i nie ślubowały na wieki oddać się sprawie syjonizmu. Rozumiem, że Żydzi i syjoniści to różne kategorie; nie można być jednocześnie jednym i drugim. Jestem w zasadzie pewna, że chasydzi to jedyni prawdziwi Żydzi, bo choćby odrobina asymilacji natychmiast dyskwalifikuje osobę jako prawdziwego Żyda. Gdyby nie to, że kobietom nie wolno uczestniczyć w demonstracji, chętnie bym się przyłączyła – choćby tylko dla Bube i jej rodziny, która zginęła w czasie wojny. Ktoś musi to robić i jeśli „wyzwoleni” Żydzi się nie pofatygują, my podwoimy wysiłki.

Widziałam fotografie, wszystkie. Czarno-białe portrety sióstr i braci Bube, jej rodziców, jej dziadków. Wszyscy nie żyją. Trzymam je w górnej szufladzie komody, zawinięte w ręcznik papierowy, i wyciągam, gdy czuję się dość silna na to. Ich twarze są tak rzeczywiste, aż trudno mi to wytłumaczyć. Zamordowany dwulatek. Jak to możliwe? – pytam Boga. Przecież to moi przodkowie! Zawsze płacę, oglądając te zdjęcia. Muszę szybko z powrotem owinać je w papier, zanim fale mego cichego płaczu zamienią się w głośny szloch. Bube nie lubi mówić o swojej rodzinie, a ja nie chcę jej o niej przypominać.

Babcia mówi, że syjoniści wykorzystali Holokaust, by zyskać współczucie.

– Ale powiedz mi, co oni mogli wiedzieć o Holokauście? Żadnego z nich tam nie było. Żadnego.

Wierz jej, bo widzę, że w zagłębieniach powiek zbierają się jej łzy.

Rabbi zakazał nam wyjazdów do Izraela. Dopóki nie przyjdzie Mesjasz, ziemia święta jest poza zasięgiem. W szkole obowiązują bardzo ścisłe przepisy z tym związane: nawet jeśli ktoś ma tam rodzinę, nie może jej odwiedzać. Złamanie zakazu grozi definitywnym wyrzuceniem ze szkoły. Ten przepis wydaje mi się szczególnie niesprawiedliwy: jak można zakazać nam choćby spojrzeć na kraj, gdzie tkwią nasze najgłębsze korzenie, kraj, który nauczycielki przywołują, opowiadając o naszej dumnej historii. Mimo to wiem, że niektóre dziewczynki złamały ten przepis; ich rodziny pokrętnymi szlakami zawiodły je do zakazanej ziemi. Tak się składa, że za niespełna dwa tygodnie tysiące amerykańskich Żydów pojedzie do Izraela na święto Lag Ba'Omer, rocznicę śmierci rabina Szimona bar Jochaja, wielkiego mędrca z II wieku i autora księgi Zohar, głównego tekstu kabały. Nawet moja ciotka Chawka pojechała do Izraela rok przed narodzinami swojego syna, by pomodlić się na grobie rabiego Szimona. Bezplodne kobiety tradycyjnie przychodzą tam modlić się o synów, obiecując, że powrócą na grób, gdy dziecko skończy trzy lata i dokonają ceremonii pierwszych postrzyżyn w Lag ba'Omer. Chawka na pewno zabierze Szimona, gdy będzie dość duży, bo wszyscy wiedzą, że narodziny chłopca były cudem, za który jedynie rabbi Szimon może być odpowiedzialny. Nawet Zajde popiera plan Chawki: jeśli stawką jest posiadanie potomstwa, można nagiąć niektóre przepisy, nawet te ustanowione przez satmarskiego rabiego.

Lag ba'Omer to bardzo ekscytujące święto. Mężczyźni budują ogniska na każdej ulicy Williamsburga i tańczą wokół nich aż do świtu, śpiewając tradycyjne pieśni; kobiety obserwują ich z okien lub przycupnięte na kamiennych gankach. Strzelające w górę płomienie rzucają niesamowite pomarańczowe światło na twarze mężczyzn, ich pejsy rozbłyskują jasnym blaskiem, gdy z entuzjazmem kołyszają się w tańcu. Staram się zostać jak najdłużej, jeśli mogę się temu przyglądać. Scena jest niezwykle hipnotyzująca i poruszająca, nawet jeśli nie do końca rozumiem jej znaczenie.

Straż pożarna wysyła wozy strażackie na każdy róg ulicy, by mieć oko na ogniska, a strażacy stoją na zewnątrz, niedbale opierając się o nie, i przyglądają się temu wszystkiemu, nie okazując zainteresowania. Są w większości przyzwyczajeni do obserwowania naszych działań. Niektórzy są niezadowoleni, że bezustannie wzywa się ich, by obsługiwali naszą społeczność. Nie są wobec nas przyjaźni, bo my nie jesteśmy przyjaźni dla nich. Strasznie bym chciała z którymś z nich porozmawiać, ale ktoś mógłby mnie zobaczyć. Takie zachowanie uznano by za wielce niestosowne.

Przyglądam się im więc tylko. Ich ciężkie mundury nadają sylwetkom niezgrabny wygląd, ale gładko ogolone twarze stanowią wielki kontrast w stosunku do tych, które zazwyczaj widuję. Oczy chłodno obserwujące uliczną scenę są jasne i czyste, niezastłonięte grubymi okularami ani kapeluszami. Myślę sobie, że jeśli będę się na któregoś gapić wystarczająco długo, może odwzajemni spojrzenie. Gapię się więc na strażaka, wyczekując, by nasze oczy się spotkały, ale on mnie nie widzi. Nie wie, co sobie myślę pod maską, która upodabnia mnie do wszystkich innych. Tym razem doskonale wtapiam się w tłum.

Patrząc na tych gładkoliczych strażaków, czuję desperacką potrzebę zasypania przepaści, która nas rozdziela. Ta potrzeba pali mi twarz i pierś, jakby płomień ogniska

pochłaniał mnie od wewnątrz. Gdyby ludzie wokół mnie wiedzieli, jakie uczucia budzą we mnie ci goje, przysłani, by nam służyć, byłiby przerażeni. Nawet ja sama wstydę się tego niemądrego zauroczenia. Nie ma na świecie nic bardziej niebezpiecznego niż goj, ale mnie pociąga tajemnica tego obcego świata, tak bliskiego mojemu, a tak odległego.

Strażacy najwyraźniej nie postrzegają mnie tak, jak ja ich widzę. Goje, których poznam później, nie będą w stanie pojąć mojej fascynacji nimi. To palące pragnienie będzie jednak towarzyszyć mi przez lata, odżywając na nowo za każdym razem, gdy moje oczy napotkają wzrok mężczyzny o lśniącym, świeżo ogolonym podbródku i oczach niezakrytych cieniem obszytego futrem kapelusza, spoglądających wprost w moje oczy bez odrazy czy wstydu.

W czerwcu nadchodzą wczesne upały, ich mglista wilgoć skrapla się i kapie z liści klonów rosnących wzdłuż ulicy. Zajde idzie do ogrodu naciąć kwiatów na Szawuot, bo tradycja wymaga, by udekorować dom kwiatami i paprocią na pamiątkę tego, jak naga góra Synaj rozkwitła z tej okazji. Zajde ścina gęste różowe róże i irysy, a Bube przygląda się z ganku, żałując, że z jej ogrodu zniknie cały kolor, i woła do dziadka, żeby uważał. Zajde nie rozumie, że babcia uwielbia kwiaty, ale tylko te rosnące w ziemi. Za dzień lub dwa wszystkie te piękne kwiaty zwiędną, umierając przedwcześnie. Ale Zajde mówi:

– Jeśli nie używamy go, by uhonorować Torę, co dla nas za pożytek z posiadania ogrodu?

W Szawuot jemy kremowy sernik na spodzie z kruszonych herbatników i trójkątne kreplach z serowym nadzieniem, które Bube wyciąga z zamrażalnika i smaży na maśle na patelni. Pół godziny później spożywamy posiłek mięsny: półmiski wędzonego indyka, oblane różowym koktajlowym sosem, udka kurczaka obsmażane w karmelizowanej cebuli, a także siekaną wątróbkę. Celowo je się oddzielnie nabiół i mięso, ma to symboliczne znaczenie: na górze Synaj Żydzi zgodzili się przestrzegać praw Tory, nawet jeśli wymaga to znacznych poświęceń – jak przykazanie oddzielania mięsa i nabiółu. „My wykonamy i wysłuchamy” – rzekli Żydzi na Synaju, podkreślając w ten sposób swoje ślepe posłuszeństwo, z którego, jak Zajde zawsze powtarza, winniśmy do dziś być dumni.

– Wszyscy byliśmy na Synaju – mówi Zajde po posiłku, gdy wszyscy klepią się po wypchanych brzuchach. – Midrasz mówi, że każda żydowska dusza była obecna przy wręczeniu przez Boga Tory narodowi wybranemu, co oznacza, że nawet jeśli tego nie pamiętamy, byliśmy przy tym i mamy obowiązek przyjąć odpowiedzialność związaną z przynależnością do wybranych. Przeto ktokolwiek z nas odrzuca prawo, jest hipokrytą – ciągnie swoje kazanie Zajde – bo byliśmy przy tym, gdy zawarto Przymierze. Żadna żydowska dusza nie jest usprawiedliwiona.

Zastanawiam się, ile lat ma moja dusza, skoro była na Synaju. Czy powiedziałam „tak”, by się dostosować? To do mnie podobne: obawiać się głośno wypowiedzieć, co się myśli, gdy myśli się inaczej.

To przymierze, które zawarliśmy z Bogiem przed wiekami, różni się od tego, które zawarł Zajde z rabbim pięćdziesiąt lat temu. Gdy rabbi satmarów ogłosił, że planuje utworzenie kahału (wspólnoty) na Williamsburgu, Zajde zgłosił akces do niej, zanim jeszcze usłyszał, co to oznacza w praktyce, i w ten sposób związał całą swą rodzinę, łącznie z wszystkimi przyszłymi pokoleniami, z losem tej wspólnoty. Rodzina Zajde

w Europie nie żyła w taki sposób. To nie byli żadni ekstremiści. To byli wykształceni ludzie, którzy w mieszkaniach mieli parkiety i perskie dywany i bez przeszkód podróżowali po całym kontynencie.

To rabbi zdecydował, że nie wolno mi czytać książek i nosić czerwonych ubrań. Odizolował nas, sprawiając, że nigdy nie będziemy w stanie wtopić się w otoczenie. Skoro nie było mnie przy zawarciu tej umowy, czemu nadal muszę jej przestrzegać? Czy Zajde może oczekiwać od nas, że ślepo podążymy śladami rabbiego, tak jak on to zrobił, gdy był przestraszony i samotny jak wszyscy ocaleni, gdy nie znajdował bezpiecznego schronienia nigdzie indziej?



Światelko wiedzy

To dziecko wyrośnie świadome rzeczy wielkich – świadome, że świat nie kończy się na czynszowych kamienicach Williamsburga.

Betty Smith, *A Tree Grows in Brooklyn*

Czas między końcem szkoły a początkiem obozu letniego to kompletna próżnia – trzy tygodnie upału nie do wytrzymania. Wysłałam z domu na chwilę, by usiąść na ganku, ale nawet w cieniu czuję natychmiast ogarniający mnie letarg. Włosy oklapły mi od upału; na duchu też jestem oklapnięta. Nogi mnie swędzą pod wełnianymi rajstopami – które, żeby było śmieszniej, nie chronią przed komarami. Jestem uzależniona od wściekle różowych lodów ze sklepu Mayera. Można je jeść i jeść, wystarcza na długo. Kiedy wreszcie wyskrobuję resztkę z dna papierowego opakowania, w żołądku aż mdli mnie od wiśniowej słodyczy. Właśnie gdy myślę sobie, że umrę z nudów, przybywa mój kuzyn Mosze, by z nami zamieszkać.

– To dlatego że wyrzucili go z jesziwy – słyszę, jak Bube szepcze w telefon, myśląc, że śpię. – Ten chłopak bez przerwy ładuje się w tarapaty – mówi babcia z westchnieniem.

Od wpół do szóstej rano słyszę u siebie w pokoju, jak Zajde budzi Mosze, komenderując jak kapral.

– Wstawaj. Czas na modlitwę. Idziemy. Wstawaj. No już. Słońce wschodzi. Modlimy się przy pierwszej jutrzni. Wstawaj. Ubieraj się. – Dziadek wyciąga chłopaka z łóżka za ucho. Słyszę, jak Mosze potyka się, szukając ubrania, podczas gdy Zajde go strofuje.

Mosze został zesłany do nas, by zasmakować dziadkowej dyscypliny, pewnego lekarstwa dla wszystkich krnąbrnych owieczek. Rodzice Mosze, opiekujący się dwanaściorgiem jego rodzeństwa, i bez niego mają ręce pełne roboty. Zajde chce, by chłopakowi trafił się dobry *sziduch* – by go dobrze wyswatano – ale marne szanse na to, by jakaś dziewczyna chciała wyjść za osiemnastolatka, który nie chodzi do jesziwy. Na gładkich policzkach Mosze ani śladu brody; nie mogę wykombinować, czy ją w sekrecie wyskubuje, czy zarost później mu się sypnie. Jeśliby coś kombinował, żeby broda mu nie urosła, byłoby to naprawdę poważne wykroczenie – a myśl o takiej krnąbrności mnie podnieca. Dokuczam mu z powodu braku zarostu.

– Powiedz prawdę: wyrывasz włosy ręką? Czy golisz brzytwą? A może wyskubujesz pęsetą? – wypytuje.

– Cicho bądź, wścibska smarkulo! – warczy na mnie. – Nie masz o niczym pojęcia. Pilnuj własnego nosa.

Mimo to Mosze przychodzi do mojego pokoju wieczorami, po modlitwie, dokucza mi, grzebie w moich rzeczach. Dobrze wie, że nie powinien ze mną rozmawiać, bo jestem dziewczyną, ale Bube go nie zgani, a Zajde wciąż siedzi nad książkami w kolelu. Później podsłucham, jak Zajde bierze Mosze na stronę i robi mu wykład na temat tego, jak

niestosowne jest spoufalanie się z kobietami. Słyszę, jak Zajde peroruje gniewnym, przyciszonym głosem:

– Co masz za interes, żeby rozmawiać z dziewczynami? Zamiast tracić na to czas, powinieneś poświęcić każdy moment na studiowanie Tory i myślenie o swojej przyszłości. Powiedz mi, jaka dziewczyna spojrzy na chłopaka, który nie potrafi nawet wysiedzieć przez jeden *szjur* w ławce, a co dopiero przez cały dzień nauki?

Mosze nie odpowiada, patrzy w dół i tylko przebiera nerwowo nogami. Na jego twarzy maluje się wyraz prawdziwego, głębokiego nieszczęścia, który rozpoznaję natychmiast.

Pełne dezaprobaty wykłady niewiele pomagają. Mosze ciągle opuszcza *seforim*, by ze mną rozmawiać. Powodowana mieszaniną litości i zaciekawienia pozwalam mu na to. Gdy wieczorami Bube wychodzi w odwiedziny do przyjaciółki, uczę Mosze, jak prażyć pianki cukrowe nad palnikiem kuchenki. Nabijamy koszerne pianki na metalowe szpikulce, których Bube używa do szaszłyków – rzecz jasna, są *flejszig*, więc nie możemy ich jeść, popijając mlekiem rozmieszonym z syropem czekoladowym.

Mosze uczy mnie, jak robić ludziom kawały przez telefon.

– Halo, dzwonię z elektrowni. Mamy zakłócenia i chciałam się dowiedzieć, czy państwa lodówka chodzi. O, chodzi? To może się pan z nią przejdzie? – Rzucam słuchawkę i obydwójce wybuchamy histerycznym śmiechem. Brzuch mnie od tego boli, wspaniałe uczucie.

Któręś wieczora Mosze proponuje: wykręcajmy bezpłatne numery ze śmiesznymi słowami, na przykład 0-800-STRASZYDŁO. Czasami uda nam się faktycznie gdzieś dodzwonić; pod numerem 0-800-KLOZETY proponują nam wymianę rur.

– Hej, posłuchaj tego! – mówi Mosze, wykręca 0-800-GRUBABA i przelacza telefon na głośnik. Słysząc głos kobiety, ale to maszyna, łatwo się domyślić. Brzmi dziwnie, jakoś tak sapie...

– Grube... tłuste... soczyste... – wysapuje głos, a ja natychmiast się rozłączam. Mosze śmieje się donośnie z mojej reakcji, i czuję, że dałam się nabrać. Atmosfera w pokoju się zmienia.

– Ile masz lat, Dewojre? – pyta Mosze.

– Trzyście, bo co?

– Serio? Trzyście? Nie wierzę. Myślałem, że masz co najmniej siedemnaście. Wyglądasz na dużo więcej!

– Nie. Trzyście. – Obgryzam ze szpikulca resztkę spieczonej pianki. Mosze przygląda się, jak oblizuję usta, i zadziwiony kręci głową.

– Co jest?

– Nic. Nie mogę tylko uwierzyć, że jesteś taka młoda!

Rano Zajde bierze mnie na bok i pyta, czy w zeszłym roku uczyli mnie w szkole o prawach *jichud*. Jasne, uczyliśmy się o niektórych. Wiem, że dziewczyna nie może być w pokoju z mężczyzną, nawet jeśli obecne są inne kobiety. Może być sama z dwoma lub więcej mężczyznami. Żadnego fizycznego kontaktu. Oczywiście nie ma mowy o śpiewaniu. Ale Zajde i Bube zostawiają mnie wieczorami sam na sam z Mosze, nie

martwić się o nic. Tak czy inaczej, dbam o to, by drzwi były otwarte, tak jak powinnam. Poza tym Mosze to mój kuzyn. To znaczy, jesteśmy spokrewnieni. Wszystkie te przepisy są tylko na pokaz.

Bube jedzie do Aishel, domu starców, żeby nakarmić pacjentów, a ja biegnę w dół ulicy do sklepu spożywczego Mayera, żeby kupić lody. Nie mogę zdecydować, wiśniowe czy cytrynowe? Cytrynowe są kwaskowe i odświeżające; wiśniowe mają tę mdłą słodycz, której posmak zostaje w purpurowych plamach na zębach i języku.

Stoję przy rozsuwanych drzwiach sklepowej zamrażarki, gdy Rodrigo, młody Meksykanin pracujący dla pana Mayera, przypadkiem ociera się o mnie, przechodząc na tył sklepu. Przejścia są wąskie; nawet nie myśląc o tym, uskakuję na bok. Zanim zdążę zasunąć drzwi, mam czyjaś rękę na pośladkach. Przez ułamek sekundy czuję, jakby mnie ktoś uszczypnął, zbyt krótko, by być pewną, ale gdy się odwracam, widzę, jak Rodrigo znika w zapleśniałym mroku zaplecza.

Zamieram na chwilę, z lodem w jednej ręce, plecami odwrócona do lodówki, by się bronić. Twarz mi płonie. Uczucie zniewagi aż pali mnie w gardle. Meksykanin! Na mojej własnej ulicy!

Niesiona furią, kroczę szybko ku frontowi sklepu. Moje obcasy stukają w świętym oburzeniu po zapadniętej drewnianej podłodze. Przy kasie pan Mayer pochyla się nad księgą rachunkową; dłonie mu dygocą, bo choruje na parkinsona. Czubek jego żółtawobiałej brody ociera się o wytarte kartki książki rejestrowej.

Kładę na drewnianej ladzie dwie ćwierćdolarówki. Wiem dobrze, że nie mogę wprost powiedzieć sklepikarzowi, co się stało: to niedozwolone. Pan Mayer nawet nie podnosi wzroku. Zatrzymuję się na moment, wahając się, czy wspomnieć coś o tym, co zaszło, czy przejść nad tym do porządku dziennego. To takie upokarzające.

– Panie Mayer...

Nie podnosi wzroku. Chyba trochę przygłuchł ze starości. Podnoszę głos, zdecydowana, że chcę zwrócić jego uwagę.

– Panie Mayer!

Sklepikarz unosi lekko głowę i spogląda na mnie przez dwuogniskowe szkła okularów.

– Niech pan powie swojemu Meksykaninowi, żeby trzymał ręce z daleka od klientek.

Pan Mayer patrzy na mnie pustym wzrokiem, jego wielkie oczy spoglądają z pożółkłych oczodołów. Zastanawiam się, czy mnie nie usłyszał, ale wnet zauważam, że jego usta drżą, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobywa. Na moment szok mrozi jego ręce: ich wychudłe kościste palce wiszą zastygłe nad ladą jak szpony, aż wreszcie jedna dłoń podnosi moje ćwierćdolarówki, a druga podsuwa mi patyczek do lodów, owinięty w białą papierową serwetkę. Nic nie powie. Z wahaniem biorę patyczek i opuszczam sklep. Gdy wychodzę, dzwonek przy drzwiach wyjściowych dźwięczy nerwowo.

Wracam do domu, przysiadam na frontowym ganku i przyglądam się, jak gołębie walczą o okruszki, które Bube wysypała na podwórze. Lody, ciągle zawinięte, trzymam w obu dłoniach, złożonych w kołyskę; papierowe opakowanie rozmięka, w miarę jak się

roztapiają. Wiśniowy sok skapuje z dolnej części opakowania i strumyczkami spływa mi po palcach, plamiąc je czerwienią. Jest mi niedobrze.

Muszę komuś powiedzieć. Może jeśli powiem Zajde, sam pójdzie do sklepu i nawrzeszczy na pana Mayera, i tym razem sklepikarz usłucha, i zrozumie, że nie może tak po prostu pozwalać, by jego pracownikom wszystko uchodziło na sucho. Musi być jakaś sprawiedliwość. Jestem żydowską dziewczyną i przynajmniej we własnej społeczności powinnam być bezpieczna.

Ale jak mam to powiedzieć Zajde? Jakimi słowami opisać to doświadczenie? Samo zastanawianie się nad tym mnie zawstydza. Nawet jeśli mu powiem – co, jeśli orzeknie, że z jakiegoś powodu to moja wina? Czy coś w tej historii nie wskazuje na mój współdział? Nie chcę oglądać wyrazu rozczarowania na dziadkowej twarzy.

Od zimnego opakowania sztywnieją mi ręce, chłód przenika aż do ramion i piersi. Wstrząsa mną silny dreszcz, jakbym próbowała strząsnąć z siebie jakiegoś niewidzialnego demona. Sama myśl o lepkiej słodczy lodów o smaku wiśniowym napelnia moje gardło goryczą. Upuszczam rozmiękłe i ciągle nieotwarte opakowanie do metalowego kosza na śmieci. Wchodząc do środka, zauważam, że w miejscu, gdzie siedziałam, na ziemi rozlewa się ciemna kałuża brudu.

W czerwcu szabas trwa najdłużej. W tym tygodniu spędzam popołudnie na kanapie, złożona bólem brzucha, na który nie pomaga zwykła dawka leków zobojętniających, które aplikuje mi Bube. Zajde wygłasza błogosławieństwo Hawdali dopiero o wpół do jedenastej w sobotę, a o jedenastej Rachel i Towje z dziećmi mają przyjechać aż z Borough Park na *Melawe Malke*, posiłek po szabasie. Biorę parę tabletek Tylenolu i ból słabnie, zamieniając się w słabe pulsowanie. Dołączam do kuzynostwa przy stole, na którym podano jajecznicę i sałatkę warzywną. Mosze zostaje oddelegowany po kosztowną pizzę do sklepu przy Marcy Avenue, gdzie w sobotę wieczorem kolejka wylewa się aż na ulicę.

Gdy Mosze wraca z wielkim, poplamionym tłuszczem pudłem w ramionach, Zajde i Towje są już głęboko pogrążeni w talmudycznej dyspucie. Kiedy kończę obdzielać dzieciaki pizzą, Zajde kiwa na mnie, bym podeszła bliżej. Chce, żebym przyniosła z piwnicy butelkę burgunda, Kedem, z żółtą nalepką. Waham się. Boję się schodzić tam całkiem sama. Wiem, że w piwnicy są szczury; czasami nawet wlażą do niej dzikie koty i ganiają je, aż zabiją któregoś.

– Nie chcę iść sama.

– No dobrze, Mosze z tobą pójdzie. Ale upewnij się, że bierzesz właściwe wino. Mosze! Idź z Dewojre do piwnicy i włącz światło, żeby widziała, co robi. Tu są klucze. – Tu dziadek wręcza nam ciężki pęk, zawierający klucz do każdego zamka w domu.

Mosze i ja złazimy trzy poziomy niżej, do piwnicy. Ostatni ciąg schodów zasnuty jest mrokiem i – jak sądzę – pajęczynami. Czuję zapach dezodorantu kuzyna, silny i ostry; powinien używać bezzapachowego. Jego kroki brzmią głośniejsz od moich. Zastanawiam się, dlaczego Zajde pozwala nam iść sam na sam do piwnicy. To chyba wbrew zasadom, ale gdyby tak było, Zajde nigdy by do tego nie dopuścił – więc pewnie tak jest w porządku.

Mosze dłubie przy bezpiecznikach, próbując znaleźć właściwy przełącznik.

W końcu żarówki zawieszono pod rurami na suficie rozbłyskują bladym pomarańczowym światłem i rozjaśniają mrok piwnicy. W ich świetle wyraźniej widać stopy rupieci – stare walizki spiętrzone jedne na drugich, „antyczny” wózek z brakującym kółkiem, stare materace – a gdzieś z tyłu, skrzynkę z winem.

Nawet w tym świetle nie widzę za dobrze, wyciągam więc butelkę za butelką w poszukiwaniu burgunda. Mosze nawet nie próbuje pomóc; przechadza się tylko za moimi plecami.

W końcu wydaje mi się, że znalazłam właściwe, burgund Kedem, z żółtą nalepką. Mrużę oczy, by się upewnić, po czym podaję Mosze butelkę.

– Proszę, zabierz na górę. Ja zgaszę światło i zamknę za nami.

Mosze odbiera ode mnie butelkę i stawia ją na podłodze.

– Co ty wyrabiasz? To cementowa podłoga. Może się stłuc. Zajde byłby wściekły! – Sięgam po butelkę, ale Mosze łapie mnie za nadgarstki. – Co... co ty wyrabiasz? – głos mi się łamie.

Czuję, jak prowadzi mnie pod ścianę, a ja się nie bronię, ramiona zastygają w szoku. Jedną ręką wciąż ściskam pęk kluczy. Gdy tak stoi blisko mnie, z oddechem o zapachu sosu pomidorowego, Mosze nagle wydaje się nieoczekiwanie wielki i niewzruszony. Nadgarstki bołą mnie od jego mocnego ucisku, ramiona stają się kruche jak patyczki. Ja, która potrafię sama wtargać klimatyzator po schodach, nagle słabnę.

Chichoczę nerwowo. Przyglądam się jego twarzy, próbując zobaczyć, czy to tylko taka głupia zabawa, czy ten niegrzeczny chłopak, którego wyrzucono z jesziwy, chce mnie przestraszyć w ciemnej piwnicy. Ale na jego twarzy nie widać zwykłego wyrazu znudzonego rozbawienia. Napina szczękę, oczy ma zwężone.

Unoszę kolano, żeby go kopnąć, ale przyciska mnie do ściany swoimi mocnymi udami, miażdżąc mnie pod swoim ciężarem. Jedną ręką unosi moje nadgarstki nad głowę, drugą sięga do suwaka mojej domowej sukienki. Rozpina go szybkim ruchem; odruchowo pochylam się, by się zasłonić, i tym razem krzyczę.

– Przestań! Proszę, przestań! Co ty wyrabiasz, oszalałeś?

Mosze przykrywa mi usta ręką, czuję słony smak potu. Popycha mnie na ziemię, jedną ręką przyciskając moje ramię, drugą przytrzymując mnie w talii. Przypomina mi się, że mam w ręku pęk kluczy, i używam go teraz, uderzając Mosze poniżej pasa, tłukąc go na oślep.

Ostra krawędź klucza ląduje w miękkim zagłębieniu na jego brzuchu; przyciskam mocno i przekręcam trzymający klucz nadgarstek, jedyną część ciała, którą mogę swobodnie poruszyć – używam go, jak tylko mogę, nie bacząc na sączące się do mojego ucha epitety. Jego ciało ponad moim skręca się i odsuwa lekko, gdy Mosze próbuje wyjąć mi broń z ręki. Jęczę cicho, wbijając klucz szybko i mocno w jego biodra; teraz odskakuje i kuli się z jękiem, zasłaniając się rękami.

Zaciągam suwak z powrotem, uciekając przez stopy rupieci i tupiąc głośno na skrzypiących drewnianych schodach prosto na zalany światłem parter. Zapomniałam zabrać wino.

Na górze próbuję ominąć jadalnię i prześlizgnąć się do swojego pokoju, ale Zajde zauważa mnie i woła po imieniu.

– *Nu*, Dewojre... – Patrzy na mnie wyczekująco. – Przyniosłaś wino?

Milcząco kiwam głową.

– Dałam je Mosze.

Mosze wpada przez drzwi chwilę później, zdyszany, z butelką burgunda w rękę; stawia ją na stole ze swoim firmowym uśmiezkiem, jak gdyby nigdy nic. Zwraca się w moją stronę i mierzy mnie władcym wzrokiem; w jego oczach widać wyraz dziwnej dumy i mocy. Odwracam się od niego na pięcie i przyciskam dłonie do płonących policzków.

Nie włączam światła w swoim pokoju. Kładę się na łóżku w niemal kompletnej ciemności, rozjaśnianej jedynie słabiutkim, brzoskwiniowym światłem lampy ulicznej pod oknem. Cienie w kształcie klonowych liści padają na ściany wąskiego pokoju. Obrysowuję dłońmi kontur własnego ciała; palce biegną wzdłuż szyi, mijają zagłębienie pomiędzy piersiami i spoczywają na brzuchu. Próbuję sprawdzić, czy skóra jest rozgrzana jak w gorączce od promieniującego stamtąd mrowienia. Ale skóra jest chłodna, gładka, spokojna. Leżę na łóżku przez dobrą chwilę, nawet gdy odgłosy z jadalni już cichną i słyszę kroki gości schodzących po schodach i wychodzących przez stare dwuskrzydłowe drzwi na ulicę. Słyszę, jak Towje wsiada do samochodu. Chwilę później jego błękitny *dodge durango* z pomrukiem odpływa w ciemność.

Słyszę, jak Bube przygotowuje się na spoczynek. Zajde studiuje coś samotnie w jadalni. Wreszcie Mosze wraca do swojego pokoju około pierwszej w nocy. Długo nie mogę spać, leżę z rękami na brzuchu, wciąż ubrana, nasłuchując, ale nie wydaję żadnego dźwięku. Zasypiam o świcie.

W piątek wieczorem, siedząc przy szabasowym stole i słuchając, jak Zajde śpiewa tradycyjne hymny, wybucham głośnym, z trudem tłumionym szlochem, przerywając mu w pół frazy. Nikt nie rozumie, skąd mi się nagle wzięły takie ataki hysterii. Zajde mówi, że powinnam się modlić o *menuchas hanefesz*, spokój duszy.

– Jakie ty możesz mieć powody do płaczu? – pyta cicho, spoglądając sponad swoich świętych ksiąg.

Chcę krzyknąć, że to prawda, że w porównaniu z nim i z bólem, jaki przyjmuje za swój własny, nie mam żadnych powodów do płaczu.

Gdybym mu powiedziała, dlaczego płaczę, uznałby to za wyraz niewdzięczności. Czy to wina Zajde, że Bóg zesłał mnie na ten świat, w którym nie ma dla mnie miejsca? Jakże mam mu wytłumaczyć, o co chodzi z tą gigantyczną dziurą, która mnie pochłonie, jeśli jej czymś nie zapełnię? Jak mam mu powiedzieć o dumie i pożądaniu, żalonym poczuciu braku, płynącym z nieposiadania?

– Nic na świecie z tego, o czym myślisz jak o swoim, naprawdę nie należy do ciebie – mawia Zajde. Wszystko może zostać odebrane w każdej chwili. Nie bardzo mnie pociesza, że moje nieliczne dobra mogą zostać skradzione w środku nocy. Rodzic, rodzeństwo, dom, sukienka – wszystko to tylko rzeczy. W szerszej perspektywie nie mają znaczenia. Zajde mówi, że wie, bo doświadczył, jak to jest utracić wszystko. Jego zdaniem jedyne, co naprawdę ma w życiu wartość, to *menuchas hanefesz*, uczucie głębokiego, wewnętrznego spokoju, które nie znika nawet w obliczu prześladowania. Nasi przodkowie byli silni, potrafili zachować zupełny spokój nawet w najgorszych

okolicznościach; nawet najgorsze tortury cielesne i udręka nie do opisanie nie zachwiały ich spokojem.

– Gdy masz wiarę, możesz pojąć, jak bez znaczenia jest życie, gdy spojrzeć z szerszej perspektywy – mówi Zajde. – Z perspektywy niebios nasze cierpienie jest ledwie dostrzegalne, ale gdy dusza jest tak przytłoczona, że nie widzi niczego ponad sobą, nigdy nie będzie szczęśliwa.

Jakże osiągnąć ten niezachwiany wewnętrzny spokój? Świat wokół mnie jest tak realny i dotykalny, że nie sposób mu się oprzeć, niebiosa nie wydają się pociągającą perspektywą.

W tym tygodniu swatka wreszcie znalazła kogoś dla Mosze. Zajde jest wniebowzięty, że wnuk, co do którego już prawie stracił nadzieję, w końcu kogoś zainteresował. Kiedy jednak, jak to jest w zwyczaju, pośrednicy dziewczyny pytają mnie o jego charakter, otwarcie sprzeciwiam się tradycji i mówię, że Mosze to nic dobrego, szaleniec, *szlechter*. Zajde na wieść o moim postępku bierze mnie na dywanik, by na mnie nakrzyczeć, ale zanim zdoła skończyć, biję otwartymi dłońmi w blat stołu i wybucham płaczem.

– Co? O co chodzi?

– Mosze próbował... próbował... – Nawet nie wiem, co próbował zrobić. Poddaję się, wstaję od stołu, mimo że dziadek woła, bym wróciła; jeśli nie chcę o tym mówić, nie będę. Mam prawo odejść. Zajde prosi ciotkę Chaję, by ze mną porozmawiała; ona miękkiemi słowy nakłania mnie, żebym się otworzyła. Mówię jej, co zaszło, nie wszystko, ale dość, by jej twarz wykrzywił wyraz wściekłości.

– Zwierzęta – mamrocze. – Po prostu zwierzęta.

– Kto?

– Chłopcy. Młodzi chłopcy. Nie wiem, co Zajde myślał, pozwalając, by chłopak zamieszkał w tym samym domu co ty.

Ostatecznie Mosze zaręcza się z dziewczyną z Izraela. Wszyscy wiedzą, że przyjęcie *sziduch* z Izraela to ostateczność. Ojcowie w Izraelu są tak biedni, że wydają córki za każdego, kto jest skłonny zapłacić. Mosze będzie musiał przenieść się do Izraela, by mieszkać blisko rodziny żony. Nigdy więcej nie będę go musiała oglądać.

Bube rozmawia przez telefon z jedną ze swych córek, gdy ja odkrywam na bieliźnie gęstą, maziowatą krew. Słyszę pełen żalosego wzdychania głos Bube przez drzwi łazienki. Zamierzam poczekać z zakomunikowaniem jej, że na pewno wkrótce umrę, aż skończy rozmowę, ale jestem tak przerażona, że nie panuję nad sobą: uchylam drzwi i kiwam na nią, żeby się rozłączyła. Babcia prosi osobę na drugim końcu linii, by chwilę poczekała, i z wyrazem nieznacznej irytacji podchodzi w moją stronę.

– *Nu*, co się dzieje, *mamałe*? – pyta pośpiesznie, naciągając turban z powrotem na ucho.

– Krwawię – odpowiadam najciszej, jak potrafię, i czekam, aż babcia podskoczy w nagłym szoku i rzuci się do działania, może nawet zadzwoni po Hatzolah, ohotnicze pogotowie ratunkowe, żeby zabrało mnie do szpitala.

– Masz, *mamałe* – mówi rażno babcia, otwierając dolną szufladę łazienkowej szafy z lustrem. Wyciąga coś, co wygląda na długi, wąski kawałek waty, i wręcza mi go. –

Włóż to w bieliznę, a ja zaraz pójde do apteki kupić ci podpaski.

Nie pojmuję, jak może być taka spokojna. Mówi mi, że to zupełnie normalne, że krew cieknie ze mnie litrami. Najwyraźniej to zdarza się wszystkim, zwyczajna rzecz.

– Twoje ciało oczyszcza się w ten sposób – mówi. – Za parę dni przejdzie.

Gdy Bube wraca z apteki z podpaskami Kotex, mówi mi, żebym trzymała je schowane w głębi szafy, żeby nikt nie widział.

– To coś, o czym nie powinno się rozmawiać. Nikomu nic dobrego nie przyjdzie z takiego gadania.

Proces zmieniania podpasek trudno utrzymać w tajemnicy: muszę je wymieniać co dwie godziny, jak plastry. Za każdym razem pakuję tę zużytą w papier i torbę foliową, jak Bube mi pokazała, i nonszalancko wrzucam do kosza, żeby nikt nic nie podejrzewał. Czuję się dziwnie przygnębiona, jakby podmieniono mi ciało na nowe, które wcale mi się nie podoba. Nie mogę się doczekać, aż krwawienie ustanie – babcia przysięgała, że tak będzie. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.

Wkrótce nie mogę już polegać na niezmienności własnego ciała: przestaje być kościste i gładkie jak dotąd. Teraz wydaje się, że z dnia na dzień ubrania leżą na mnie inaczej, a lustro pokazuje całkiem nowe odbicie. Jestem bardzo sfrustrowana, nie mogąc kontrolować swojego ciała ani tego, jak wyglądam.

Moje koleżanki zaczynają obsesyjnie się odchudzać, przynoszą na lunch sałatę lodową w plastikowych pojemnikach, zamiast jeść bajgla z kremowym serem. Ja staram się ze wszystkich sił, ale nie potrafię oprzeć się pokusie jedwabistego masła orzechowego na białym chlebie albo delikatnego chrupania czekoladowej polewy na lodowym batoniku o smaku waniliowym.

Niektóre przesadzają z dietą. Chani Reich spędza całą przerwę, biegając tam i z powrotem po korytarzu, żeby zrzucić kalorie, których najwyraźniej nie przyswaja. Bruchy Hirsh łąduje któregoś dnia w szpitalu, bo mdleje na lekcji, i spędza tam całe tygodnie. Nawet rodzice nie byli w stanie jej nakłonić, by coś jadła.

Skromność to największe osiągnięcie dla młodej kobiety. Rzeczywiście, skromne dziewczyny są najszcuplejsze, ukrywają swoje ciała przed ciekawskim wzrokiem, pielęgnują dziecięcą niewinność i czystość. Ale zastanawiam się, jak długo mogą odwracać się plecami od faktu, że nieuchronnie staną się kobietami?

W końcu wszystkie zostaniemy matkami, i to niedługo. Teraz jest zmierzch naszego dzieciństwa, ostatni moment oddechu, zanim wkroczymy w prawdziwe życie.

Jadę na obóz letni z nową bielizną i zapasem podpasek maxi, czując, że teraz należę do najstarszych dziewcząt, że jestem o krok od czegoś wielkiego i ważnego. Rozległe obozowisko położone jest w najdalszym zakątku wilgotnej, dusznej doliny w górach Catskill, całe kilometry od głównej autostrady. Satmarowie starają się trzymać jak najdalej od nie-Żydów mieszkających w Catskill przez cały rok i nie chcą, byśmy chodziły do miasteczka czy wdawały się w interakcję z kimkolwiek z zewnątrz, więc spędzamy każde lato w miejscu, dokąd dojechać można jedynie prymitywną, ledwie widoczną bitą drogą, która ciągnie się kilometrami.

Teren obozu jest aż grząski od wilgoci; grzyby rosną w cieniu drzew, deszczówka zbiera się w małych zagłębieniach, tworząc jeziora, z których woda spływa potem

tygodniami po pagórkach, by wreszcie opaść i wyparować w duszne powietrze. Jedynie duże, leżące na wzniesieniach polany, gdzie odbywają się obozowe zajęcia, pozostają suche.

Wybieram dolną pryczę pod Lejlą, krzepką blondyną o niebieskich oczach, która nieustannie coś broi. Gdy opiekunka pełniąca nocną wartę wychodzi na ganek, by zaczerpnąć świeżego powietrza i pogadać z innymi dyżurnymi, unoszę nogi i walę nimi w materac Lejli, aż żelazna rama łóżka wibruje od tego. Lejla prędzej czy później wybucha wrzaskiem, aż zbiegają się wszystkie DN-ki (tak nazywamy „dyżurne nocne” – prawie jak „straż nocna”) i świecą latarkami pomiędzy łóżkami, próbując ustalić, o co tyle hałasu. Ja leżę pod cienką letnią kołdrą, z zamkniętymi oczami, oddychając spokojnie – wcielenie niewinności.

Lato jest po to, żeby narozrabiać. Robię to, czego mi zakazano. Gdy wszyscy idą na pływalnię, zostaję w łóżku; gdy ktoś przychodzi sprawdzić prycze i pogonić maruderów, chowam się w łazience. Nienawidzę pływać w długim, niebieskim giezle ozdobionym palmą, które ma mi przypominać, że jestem satmarską dziewczyną. Palma, bo nazwisko rabiego – Teitelbaum – po niemiecku to właśnie znaczy. Symbol palmy jest wszędzie – na domkach, na autobusach, na papeterii, na strojach kąpielowych. Jak tylko moje giezło do pływania namoknie, zwisa ciężko na kolanach i przy każdym kroku kłapie mi po łydkach.

Niektóre dziewczyny zawijają rękawy i nogawki stroju kąpielowego i kładą się na rozłożonych na gorącym betonie ręcznikach, próbując złapać tych parę promieni słońca, które wpadają za wysokie ściany pływalni. Większość przestrzeni wokół basenu leży w głębokim cieniu wysokiego ceglanego muru, który go otacza. W drugim tygodniu obozu wszyscy są już opaleni – wszyscy z wyjątkiem mnie: moja ciastowata, biała skóra nie nabiera nawet lekkiego odcienia brązu. Lejla robi się opalona i gibka; ja mogę się zaledwie pochwalić obdrapanymi kolanami i paroma piegami na nosie.

Szybko zbieram punkty karne: nie zjawiam się na *szjur*, codzienne kazanie; otrzymuję upomnienie za przysypianie w trakcie modlitwy. Jedynym budynkiem na terenie obozu, gdzie powietrze nie gotuje się od upału, jest ogromna stołówka, w której cały obóz je posiłki wydawane w turach. Na jedną turę wchodzi jakieś tysiąc pięćset osób. Pod sufitem pomieszczenia zamontowano rzędy szumiących klimatyzatorów, które, dzięki Bogu, pompują schłodzone powietrze do przepastnego wnętrza.

Przed każdym posiłkiem głośno recytujemy modlitwę. Prowadzi ją, mówiąc do mikrofonu, wyznaczona dziewczynka. Przez całe lato czekam, aż przyjdzie moja kolej, ale wychowawczynie wywołują na środek sali tylko grzeczne obozowiczki. Zgłaszam chęć wystąpienia w dużym przedstawieniu teatralnym i na przesłuchaniu robię wrażenie dzięki mojej mocnej, wyrazistej dykcji, ale dostaję tylko małą rolę – w tych pierwszoplanowych zostają obsadzone Fajge i Miriam-Malka, dobrze ułożone panienki, których ojcowie mają wysokie pozycje. Może gdyby Zajde zaangażował się bardziej, ludzie traktowałiby mnie inaczej, wiedząc, że ktoś za mną stoi – ale Zajde nie ma o takich rzeczach pojęcia, a wychowawcy, wiedząc, że nikt ich z tego nie rozliczy, kompletnie nie przejmują się moim szczęściem. Od czasu do czasu proszę Bube, żeby przysłała mi paczkę – przesyłki przywozi autobus kursujący do Catskill w każdy piątek – ale paczki,

które od niej dostają, nijak się mają do tych pełnych słodczy pudeł przysyłanych innym dziewczynkom. Dla mnie Bube przygotowuje zawinięty w folię biszkopt i świeże śliwki. Lepsze to niż nic. Przynajmniej widać, że ktoś dba o mnie tak jak o inne dziewczynki.

Tego lata Milki i Fajge chodzą razem pod prysznic; reszta grupy obgaduje je za plecami. Lejla opowiada mi sensacyjne historie o dwu dziewczynkach w kostiumach kąpielowych, ochlapujących się nawzajem wodą w wannie za zamkniętymi drzwiami. Pewnej nocy, gdy nasza DN-ka wychodzi na pogaduszki, a inne dziewczyny śpią, Lejla wchodzi na moje łóżko, kładzie mi ręce na piersiach i prosi, żebym dotknęła jej biustu, żeby sprawdzić, czy jest większy. Oczywiście, jest większy – Lejla chełpi się tym, jakby to był powód do dumy, jakby wygrała jakiś konkurs. Na pozostałe dwa tygodnie przenoszę się na inną pryczę. Wybieram łóżko nad Frimet, która jest cichą myszką, poza tym, że płacze w poduszkę, popiskując przy tym jak gumowe opony zabawkowej ciężarówki.

Teraz mamy dwa obozy letnie: jeden dla rodzin zwolenników Zalmana Leiba, najmłodszego syna satmarskiego rabiego, a drugi dla tych, którzy popierają Aarona, najstarszego syna. Obydwaj chcieliby zająć miejsce swego ojca po jego śmierci jako dziedzice dynastii; walka o sukcesję zamieniła się w gorzką wojnę.

Golda jest na obozie dla aronitów, jak ich nazywamy – więc mimo że trzymałyśmy się razem w czasie roku szkolnego, nie widziałam jej przez całe lato. Przyjeżdża mnie odwiedzić w moje urodziny. Gdy wreszcie wysiada z wielkiego klimatyzowanego autokaru, kursującego do wszystkich chasydzkich kolonii i obozów letnich w górach Catskill, wędrujemy jak najdalej od hałasu tupiących stóp i klaszczących rąk dochodzącego z terenu obozu, żeby móc spokojnie porozmawiać.

Brodzimy przez *gan jehuda*, rozległą łąkę przed bramą obozu. Nikt jej nie kosi, żeby wybujała trawa zasłaniała widok – mimo że jesteśmy w Kerhonkson w stanie Nowy Jork, pięćdziesiąt kilometrów od najbliższych sąsiadów. Golda i ja siadamy po turecku w trawie i pleciemy wianki z polnych kwiatów; palce mamy poplamione zielonym sokiem od rozdzielania trawiastych łądyżek. Obie nie znosimy obozu. Nienawidzimy obowiązkowego wznoszenia bezsensownych okrzyków. Nienawidzimy spędzać dni na gorącym betonie, na grach, które wymyślają dla nas wychowawczynie. Golda pisze piosenki. Ja robię notatki w sztambuchu. Chciałabym mieć talent do śpiewu jak Golda, a przynajmniej jej prezencję – jej oliwkową skórę i piękny, ciepły uśmiech, od którego kości policzkowe unoszą się jak lśniące pagórki, a wargi odsłaniają zęby lśniące w słońcu jak brylanty. Golda jest ładna, nawet pomimo pierwszego trądziku sypiącego się jej na czole. Myślę, że będzie miała fantastyczne życie, że spotkają ją cudowne rzeczy – bo ma twarz kobiety, dla której los przygotował niesamowite dary.

Gdy tak siedzimy na łące, zasypiam na chwilę. Słowa Goldy przepływają jak zwój chińskiej kaligrafii, aż wreszcie znikają. Słońce pali tkaninę ubrania, a ubranie parzy mnie. Metalowy suwak spodnicy rozgrzewa się do białości. Golda obok też zapada w drzemkę. Spod wółprzymkniętych powiek widzę, jak jej czarne włosy, splecione ze źdźbłami trawy, błyszczą w słońcu. Czuję, jak mrówka gryzie mnie w nogę – to boli, nie jak ukąszenie komara, raczej jak uszczyknięcie maleńką pęsetą, więc się drapię. Strużka krwi spływa po nodze i wsiąka w pończochę – dzianina natychmiast wysycha i sztywnieje.

Obydwie z Goldą jesteśmy zaskoczone wyciem syreny. Na łące nie ma nikogo, na parkingu powyżej też nie. Wszyscy są w głównym budynku, oglądają mecz machanyim – to hebrajska nazwa gry będącej lżejszą wersją zbijaka. Wycie syreny roznosi się we wszystkich kierunkach, poziom dźwięku jest nierówny, ton chrapliwy. Pochodzi z megafonu. Przez trawiastą przestrzeń patrzymy, jak pan Rosenberg – jeden z nielicznych mężczyzn na terenie kampusu – wraz z panią Halberstam, otyłą kierowniczką obozu, w domowym turbanie na głowie, idą w naszą stronę. Pani Halberstam trzyma w ręku megafon.

Golda i ja spoglądamy na siebie w zdumieniu. Czy powinniśmy wstać? A może ukryć się w trawie? Dlaczego ci dwoje są tutaj?

– *Maidlach!* – skrzypi głos pani Halberstam przez megafon. Do nas mówi! – Zejdźcie z łąki, dziewczęta. Natychmiast! – Widzę teraz, że policzki ma całe w czerwonych plackach od gorąca, a oczy zmrużone tak bardzo, że niemal zamknięte. Nie podchodzi bliżej, ale jest jasne, że nas widzi. Prawdopodobnie narozrabiałyśmy, wychodząc, gdzie nam nie wolno. A może martwią się, że złapiemy kleszcze? Trawy tutaj właściwie nikt nie ścina.

Złazimy z Goldą z łąki. Próbujemy utrzymać na twarzach wyraz niepokalanej niewinności, mimo że aż zaciskamy zęby, próbując powstrzymać chichot. Pani Halberstam wygląda na spanikowaną, i nie jest to przyjemny widok. Pan Rosenberg ma twarz bardziej surową niż zwykle: wlepia w nas wzrok, jego zmierzwiona ruda broda sterczy ze zgrozy. W milczeniu eskortują nas z powrotem.

Zastanawiam się, dlaczego dwoje najważniejszych osób na całym obozie zostało oddelegowanych, by upomnieć nas za taki drobiazg.

Na skraju łąki przystają oboje. Pani Halberstam odwraca się, by do nas przemówić, a pan Rosenberg zatrzymuje się za nią, manifestując milczące poparcie, i wbija w nas maniakałny wzrok; obie ręce szarpia ciemnorude pejsy w gwałtownej, niemej furii.

– Coście tam robiły? – pyta pani Halberstam.

– Nic, tylko sobie gadałyśmy – nonszalancko odpowiada Golda. Nigdy nie boi się osób sprawujących władzę, a już szczególnie, kiedy nie mają władzy nad nią. Pod koniec dnia wróci do swojego obozu, gdzie jej przełożonymi są całkiem inni ludzie.

Gniew pani Halberstam przybiera na sile.

– Czy wy wiecie, jak to wyglądało z daleka? Poszalałyście? Co ludzie sobie o was pomyślały? Mam was do domu odesłać?

Jestem całkiem zdezorientowana. Golda wygląda, jakby jej ktoś dał w twarz. O co tej Halberstam chodzi?

– My naprawdę tylko rozmawiałyśmy. Przyjaźnimy się. Nie widziałyśmy się całe lato. Ona jest z drugiego obozu – mówię, próbując uspokoić kierowniczkę.

Ta przerywa i patrzy na Goldę. Pan Rosenberg podchodzi bliżej. Coś szeptaają do siebie.

– Czy to prawda? – pyta pani Halberstam, zwracając się do Goldy, która przytakuje.

– Skoro chciałyście porozmawiać, po co wyszłyście aż na łąkę? Dlaczego nie mogłyście usiąść przy stole piknikowym? Albo w innym miejscu, gdzie trawa jest skoszona? To jasno dowodzi, że nie skończyło się tylko na rozmowie! – grzmi pani

Halberstam triumfalnie.

Cóż innego mogliśmy zrobić? – zastanawiam się. Zachodzę w głowę, o co też może nas oskarżać.

Golda wygląda na równie zdezorientowaną. Obie jesteśmy przestraszone.

Zaczynam płakać, tocząc z oczu łzy, co przy tej pogodzie jest nie lada wyczynem. Jestem bardzo dobra w płakaniu na zawołanie i za moment zacznę szlochać. W miarę jak oczywiste staje się, jak szczerzy jest mój żal, twarze obojga znacznie łagodnieją.

– Słuchajcie, jeśli chcecie porozmawiać, usiądźcie przy którymś ze stołów piknikowych przy stołówce – mówi pani Halberstam. – Dlaczego tam nie możecie pogadać? Zachowujcie się, jak na grzeczne dziewczyny przystało, i niech was nie widzę więcej samopas na *gan jehuda*!

Obie z Goldą ruszamy czym prędzej w stronę stołów piknikowych i siadamy przy jednym z nich, odwracając się, by sprawdzić, czy tych dwoje ciągle nas obserwuje. Jak na komendę obie wzdychamy z ulgą, widząc, że poszli inną ścieżką. Siadam naprzeciwko Goldy z rękami złożonymi w małdrzyk na podołku. Nie rozmawiamy. Nasza przyjaźń nagle wygląda na splamioną. Obie wiemy, że o coś się nas oskarża, ale nie jesteśmy pewne o co. Wiemy, że to coś okropnego, ale jak mamy bronić się przed oskarżeniami, których nie rozumiemy? Nasz dobry nastrój pryska.

Tego popołudnia Golda wraca do swojego obozu wraz z pozostałymi dziewczynkami. Nie odzywa się przez całą resztę lata. Kiedy jednak następnym razem ktoś namawia mnie, żebym poszła na *gan jehuda*, grzecznie odmawiam. Zaczynam się zastanawiać, jaki inny powód mogą mieć dziewczyny, by tam chodzić, poza poszukiwaniem świętego spokoju. To w końcu jedyne miejsce w całym obozie, gdzie można mieć odrobinę prywatności.

Lejla błaga mnie, żebym wróciła na starą pryczę. Mówi, że możemy być najlepszymi przyjaciółkami, że mnie zawsze obroni, bo jest starsza i wszyscy boją się jej siły. Siłę czuć nawet w jej głosie, w którym dźwięczy groźba.

Dwa tygodnie przed końcem obozu roje maleńkich muszek opanowują całą północ stanu Nowy Jork: to skutek zbierającej się w dolinach wilgoci po ulewnych deszczach. Cały teren obozu jest pełen tych maciupenkich owadów – osiadają nas jak biblijna plaga. Wpadają do nosów, ust, oddychamy nimi. Jedna wlatuje mi do oka i dostaję infekcji. Budzę się z okiem zaklejonym zielonkawą mazią, którą próbuję zmyć ręcznikiem namoczonym w ciepłej wodzie, by móc otworzyć powieki. W lustrze widzę zapuchnięte, czerwone oko, gapiące się na mnie – jakby chciało zapaść się obrażone w głąb oczodołu.

Rozmyślałam nad dziesięcioma plagami, które Mojżesz zesłał na Egipcjan. W szkole uczyli nas, że co prawda faraon był gotów uwolnić Żydów już po pierwszej pladze, ale Bóg celowo napełniał jego serce krnąbrnością z każdą następną. W ten sposób Mojżesz mógł sprowadzić wszystkie dziesięć plag, z których każda była bardziej niezwykła i okrutniejsza od poprzedniej, i w ten sposób w pełni okazać prawdziwą moc Haszema.

Nie mogę się zdecydować, czy to, co nas spotyka, bardziej przypomina plagę trzecią, czy może ósmą: wszy albo szarańczę. Całkiem jak w Egipcie muszki są wszędzie. Dziewczyny łążą na oślep po obozie, z powiekami i ustami zaciśniętymi, by uniknąć inwazji. Muchy i tak włączają nam do nosów, jak komar do głowy Tytusa; ze zgrozą myślę,

że mogą wyżreć dziury w mojej czaszce i obsiąść mój mózg jak czerwie, pożerając wszystko, aż zostanie ze mnie tylko pozbawiona treści wydmuszka.

Czy moja dusza jest w mózgu? Czy jeśli mózg zginie, dusza przepadnie wraz z nim? Czym jestem, jeśli nie mogę myśleć ani mówić? A co z nie-Żydami, którzy nie mają duszy? Czym się od nas różnią? Nauczycielki mówią, że Żydzi mają iskrę Bożą, *celem Elohim*, która na zawsze czyni nas wyjątkowymi. Każdy z nas nosi w sobie okrucostwo Boskiego światła. To dlatego szatan tak pragnie nas uwieść: chce posiąść to światło.

Czy to szatan zesłał muchy, te niesamowite, nadprzyrodzone roje? A może to kara boska? Wpatruję się w swoją twarz w lustrze, twarz żydowskiej dziewczyny, jednej z wybranych – i zastanawiam się, cóż takiego uczyniłam, by zasłużyć sobie na tak straszną karę.

Z obozem koniec. Odsyłają nas do domu tydzień przed terminem. Gdy autokar bezgłośnie zsuwa się z autostrady na Williamsburg, widzę, że ulice zalane są chasydami wracającymi z gór Catskill. Wzdłuż całej Lee Avenue stoją autobusy; zdezorientowani podróżni wysiadają z nich, taszcząc podniszczone walizy. Młodzi chłopcy wyglądzają pogniecione marynarki i zmiatają zwilżonymi palcami pyłki z kapeluszy, po czym spieszą do domów. Ojcowie odbierają córki i pomagają im ładować obklejone taśmą pakową pudła do bagażników mikrobusów.

Góry Catskill wyгнаły nas, odsyłając przedwcześnie w nabrzmiałe, wilgotne wnętrze stanu Nowy Jork. Powietrze, gęste od kurzu i spalin, owiewa nas jak oddech wściekłego zwierzęcia. Stoję na mostku dla pieszych przy autostradzie, z bagażami między nogami, patrzę w mizerne, szare niebo, zastanawiając się, czy to aby to samo niebo co nad obozem, tak samo obojętne. Może nie ma żadnych plag, jest tylko zmienność natury. Może nie ma konsekwencji, jest tylko brzydota. Być może kara to coś, co pochodzi jedynie od ludzi, nie od Boga.

Przez cały tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego muszę sama organizować sobie czas. Między wyprawami na zakupy z Bube, która kupuje mi nowe buty i pończochy na nadchodzący rok, wsiadam do autobusu do Borough Park z zamiarem przeszmuglowania do domu kilku książek. Nie czytałam nic przez całe lato, przywożenie książek na obóz byłoby zbyt ryzykowne. To miłe znów mieć czas dla siebie i dość prywatności, by nie obawiać się ciągle, czy nie myślę za głośno.

W bibliotece wciąż wystawione są lektury szkolne, a wózki uginają się pod ciężarem książek w miękkiej okładce. Grzbiety nowych egzemplarzy połyskują też na półkach. Łapię najnowszy tom *Harry'ego Pottera* i pierwszą część popularnej trylogii Philipa Pullmana, a na dokładkę książkę polecaną przez bibliotekę: *A Tree Grows in Brooklyn*. Ciągle mam w pamięci uczucie ciepła i komfortu, które towarzyszyło lekturze *The Chosen* – to jak popijanie babcinego bulionu w lodowaty zimowy dzień. W końcu ja też jestem dziewczyną dorastającą na Brooklynie, całkiem jak bohaterka tej książki. Jak bardzo możemy się różnić, skoro obie mieszkamy na tych samych, dusznych od kurzu ulicach?

Literatura była tak samo nie na miejscu na Williamsburgu Francie, jak teraz na moim. Eleganckie frazy z wahaniem ześlizgują się z kart książek i przyłączają do żyjącej w biedzie bohaterki w jej tłoczonym, pełnym ludzi środowisku. Jej świat jest niemal zbyt

pełen cierpienia, by było w nim miejsce na niewinne, uwodzicielskie piękno klasycznej poezji i literatury. Rozmarzona obserwuję, jak z rozwojem akcji książki Francie awansuje na coraz lepsze pozycje, jak małymi, ale równymi krokami oddala się od skrajnej nędzy, z której wyszła – zawsze jednak towarzyszy mi ściskające trzewia uczucie, że szczęśliwe zakończenie, na które czekam, może nigdy nie nadejść. Im bardziej zagłębiam się w losy Francie, tym bardziej biorę do siebie jej potknięcia i rozczarowania, bo wydaje mi się, że czemu ona może sprostać, temu i ja w jakiś sposób dam radę, wydobywając się z ponurego świata, w którym utknęłam, jak się zdaje na dobre.

Książka kończy się, gdy Francie idzie na studia. Nie jestem pewna, czy powinnam myśleć o tym jak o triumfie. Czy w takim razie wszystkie jej marzenia się spełnią? Wiem, że ja nigdy nie będę mogła studiować. Samo słowo zostało usunięte przez cenzorów z naszych podręczników. Mówią nam, że nic dobrego nie wynika z edukacji. To dlatego że edukacja – zwłaszcza studia – to pierwszy krok ucieczki z Williamsburga. To pierwszy etap na ścieżce folgowania sobie, która – jak zawsze zapewnia Zajde – jest niekończącym się pasmem pomyłek, odwodzących Żyda od Boga tak daleko, że jego dusza popada w duchową śpiączkę. Tak, wiem: edukacja może uśmiercić moją duszę; zastanawiam się jednak, dokąd poszła Francie po studiach, czy kiedykolwiek wróciła do tego, co było wcześniej? Czy da się naprawdę opuścić miejsce, z którego wyszliśmy? Czy lepiej jest zostać tam, gdzie się przynależy, czy nadaremnie próbować znaleźć sobie miejsce gdzie indziej?

W poniedziałek pierwszy dzień w gimnazjum. Zostały jeszcze trzy lata szkoły, trzy lata dzieciństwa. Postanawiam, że któregoś dnia opuszczę Brooklyn. Nie mogę być jedną z tych dziewczyn, które przez całe życie prażą się w tym ciasnym, duszącym skupisku kamienic. Wielki świat tylko czeka, by go odkrywać. Nie wiem jak – może dokonam tego małymi kroczkami, tak jak Francie. Może ucieczka zajmie mi lata. To jednak wiem na pewno – chcę i mogę uciec.



Niższość moich stosunków

Czyż mogłaś oczekiwać, iż będę się cieszył z niższości twoich stosunków w świecie, iż będę sobie gratulował krewnych, których usytuowanie o tyle jest gorsze od mego?

Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*^[5]

Ledwie trzymam równowagę, stojąc na wąskiej listwie z tyłu ławki w synagodze – na wysokich obcasach, z jedną ręką uwieszoną na belce pod sufitem, a drugą wspartą na ramieniu kobiety przede mną, równie niepewnie balansującej. Udało mi się wcisnąć do pierwszego rzędu ławek satmarskiej synagogi w noc Simchat Tory. Jak wszyscy pozostali zgromadzeni w szulu, czekam, aż satmarski rabbi we własnej osobie pojawi się piętnaście metrów poniżej. Wyglądam przez dziurki w ogrodzeniu z ciasno poukładanych desek, biegnących wokół przeznaczonej dla kobiet wąskiej galerii obiegającej synagogę, by spojrzeć choćby przez chwilę na mężczyzn tańczących na dole. Zastanawiam się, co też by się stało, gdyby cienkie panele załamały się pod ciężarem napierających na nie kobiet i ich gromada spadłaby w przepaść poniżej. Ależ byłby skandal, gdyby mężczyźni i kobiety wymieszali się w tym świętym miejscu, w taką świętą noc. Na myśl o tym nie potrafię powstrzymać chichotu. Stojąca przede mną kobieta w średnim wieku odwraca się i mierzy mnie surowym wzrokiem.

Pierwszy raz w życiu uczestniczę w uroczystościach i nie jestem pewna, czy to coś, co lubię. Ścisk na galerii jest przytłaczający. Z całego miasta zjechały się tysiące kobiet ubranych w najlepsze odświętne ubrania: mężatki z głowami nakrytymi białymi jedwabnymi chusteczkami, młode dziewczęta w świeżo ukrochmalonych garsonkach, z nienagannie zaczesanymi kokami. Wszystkie tłoczą się i przepychają jak szalone, próbując dojrzeć, jak rabbi tańczy. Ja i moje przyjaciółki, ledwie czternastoletnie, nie mamy szans przeciwko mężatkom w konkurencji o najlepsze miejscówki – ale godność traci teraz na znaczeniu: nie mamy nic przeciwko choćby najbardziej dziwacznej pozycji, jeśli tylko miejsce gwarantuje widok.

Zostały jedynie dwie minuty do północy.

Wydaje mi się to bez sensu, gdy obserwuję moje przyjaciółki – zwijają się, wyciągają szyje, żeby widzieć lepiej. Co za bezsens – po co inwestować tyle wysiłku, by przez maleńką dziurkę popatrzeć na starca kołyszącego się ze zwojem w ramionach? Nudzę się, szyja mnie boli, a rabbi nawet jeszcze nie przyszedł. Poniżej gromada mężczyzn w szalach modlitewnych kłębi się jak wzburzone morze: przemieszczają się powolnymi strumykami, kolebiąc się na boki w tańcu. Synagoga już dawno przepełniła się ponad przewidziany prawem limit bezpieczeństwa, ale policjanci w radiowozach zaparkowanych nieopodal siedzą wygodnie za kółkiem w demonstracyjnej pozycji stróżów porządku. Niewykluczone, że zapłacono im, by siedzieli cicho. Co chwila ktoś mdleje z gorąca i słycać głosy wzywające Hatzolah. Obserwuję, jak jakiś mężczyzna zrzuca szal modlitewny i woła o nosze – ofiara zostaje odtransportowana do jednego z bocznych

pomieszczeń. Kobiety wokół mnie wiercą się niecierpliwie, ciągle czekając na rabiego. Dla nich to dopiero gra wstępna, preludium dla wzniosłego momentu, gdy rabbi zatańczy ze swoją boską narzeczoną Torą.

Wiem, że nawet, jeśli nie udziela mi się powszechny entuzjazm, muszę wyglądać na zaangażowaną w to, co się dzieje. Jeśli nie zamierzam zanurzyć się w boskiej ekstazie, jak usprawiedliwię to, że przepycham się do przodu? Ważne, żeby mnie tu widziano. Nie ma na Williamsburgu kobiety, która przepuściłaby szansę zobaczenia dorocznego tańca satmarskiego rabiego.

Mężczyźni śpiewają pieśni bez słów. Na Simchat Torę śpiewa się ich siedem – prymitywne melodie połączone ciągiem nic nieznaczących sylab. Jednak te pieśni mają klasyczne żydowskie brzmienie, wyrażają czyste, zwierzęce uczucie, zbyt intensywne, by znaleźć wyraz w jakimkolwiek języku. W tę noc słowa nie są potrzebne. Tysiące mężczyzn unoszą ramiona w górę ku niebiosom i tupią rytmicznie w kamienną posadzkę, śpiewając *Oj joj-joj-joj, jej tiri rej tiri rej tiri rej oj joj i Aj jaj-jaj-jaj, aj-di-rirara aj-di-rirara...* Sama niemal daję się temu ponieść, porwana potęgą zlewających się w jedno głosów. Przez moment wydaje się, jakby ten porywający śpiew zacierał granicę między niebem a ziemią. Nie widzę już zwykłych ludzi; otaczają mnie święci, każdy grzech jest na moment wymazany do czysta. Tylko ja jedna wciąż jestem śmiertelna i omylna. Może mimo wszystko zaczyna docierać do mnie splendor tego święta w całej jego glorii? Może mój opór wynika tylko z ignorancji, z braku boskiego światła, które wszyscy inni wydają się widzieć? Mam wrażenie, że to może być właśnie ta noc, gdy wreszcie zrozumieć swoje miejsce, swoje przeznaczenie, na zawsze związane z losem mego ludu, i strząsnę kurz wątpienia, który oddzielał mnie od niego.

Przyszłam z piątką przyjaciółek, członkiniami najbardziej ekskluzywnego kręgu w naszej dziewiątej klasie. Królowa pszczół także jest tutaj – Miriam-Malka (samo wymówienie tych dwojga perfekcyjnych imion rozplywa się po języku jak fala zabarwiona odrobiną zazdrości); Miriam-Malka, z zachwycającymi kasztanowymi włosami i głębokimi dołeczkami w policzkach. Jestem przekonana, że samo to królewsko brzmiące imię zagwarantowało jej wysoki status. Ta unikalna kombinacja dwojga imion, niedzielona z żadną inną dziewczyną na Williamsburgu. (Ja jestem jedną z pięciu dziewczyn o imieniu Dewojre w naszej klasie, a w całej szkole są prawdopodobnie setki moich imienniczek. Pospolitość mojego imienia nijak mnie nie nobilituje). Patrząc, jak bez wysiłku zawisała na belce sufitu, z jedną stopą wspartą na krześle, a drugą o brzeg przegrody, jak spogląda przez najwyżej umiejscowioną dziurkę w ogrodzeniu, pożądam tej pewności, którą ona ma w sobie. Miriam-Malka przynależy tutaj, to jej naturalne środowisko.

Miriam-Malka to szycha, powala dobrocią; każdy chce się z nią przyjaźnić, więc przebiera w towarzyszkach jak w ulęgałkach; mam szczęście być częścią jej wspaniałego dworu, ale jeśli chcę zostać w kręgu jej najbliższych, muszę nieustannie udowadniać, że na to zasługuję. Przyszłam tu dziś, nie żeby zobaczyć rabiego, ale by pokazać jej, że jestem jak inne dziewczęta w naszej grupie, że nic mnie tak nie ekscytuje jak wyprawa do zatłoczonej synagogi w wieczór Simchat Tory.

– Ćśśśś, rabbi przyszedł! – szepce podekscytowana kobieta i daje mi kuksańca

w bok, żeby mnie uciszyć, mimo że nic nie mówiłam. W galerii dla kobiet natychmiast zapada cisza. Próbuję znowu wyjrzeć przez przegrodę, ale inne kobiety odpychają mnie, próbując się dostać do tej samej dziurki. W końcu muszę posłużyć się kolanem, by wepchnąć się w tłum z przodu. Na dole morze mężczyzn rozstępuje się, robiąc przejście dla rabiego i nieco miejsca z przodu. Cały tłum rozpycha się, stojąc za szeregiem *gabbaim*, silnych studentów jesziwy, stanowiących osobistą ochronę rabiego. *Gabbaim* splatają ramiona, tworząc ludzki łańcuch wokół rabina, chroniący go przed naporem falującego ku przodowi zbiorowiska. Każdy chce dotknąć reb Mosze, uścisnąć mu rękę, ucałować frędzle jego modlitewnego szala barwy kości słoniowej, który spowija jego głowę i ciało – albo tylko spojrzeć w jego święte oczy, załzawione wskutek podeszłego wieku. Widzę go: drobny i przygarbiony, przyciska zwój mocno do piersi, leciutko kołysząc się pośrodku małego prześwitu w tłumie. Z mojej perspektywy jest maciupeńki jak mrówka w falującej masie mężczyzn – zgarbiona postać emanująca starczą kruchością: wydaje się wręcz nieważny. Niemal namacalny szacunek, wibrujący w powietrzu wypełniającym synagogę, nadaje temu drobnemu, słabowitemu starcowi blask wiecznej chwały. Gdy tak wielu ludzi skupia na nim swą niezachwianą wiarę, rabbi niejako z musu nabiera boskości; ja jednak jestem pod wrażeniem nie tyle samego rabiego, ile rozmodlonego tłumu, któremu przewodzi, i ogromu oddania, i czci, jaka go otacza. Prawie czuję potrzebę przyłączenia się do nich, tylko po to, by być jedną z nich, czuć, co oni czują – ale ten człowiek w dole jest zbyt zwyczajny, by wzbudzić we mnie absolutną, niezachwianą i gorliwą wiarę.

Po trzecim tańcu wychodzę, mimo że będą jeszcze cztery, zanim uroczystość dobiegnie końca o wschodzie słońca. Jest już wpół do czwartej nad ranem, a ja nie najlepiej funkcjonuję o takiej porze. Mam dość zapaśniczych walk z innymi kobietami o miejsca, na których wcale mi nie zależy. A jeszcze muszę znaleźć drogę w ciemności. Żegnam się z przyjaciółkami, mamrocząc coś przepraszająco o babci, która niby czeka na mnie na zewnątrz – ale w tym hałasie i tak nic nie słyszą. Schodzę po tych samych schodach, z których, jak wieść niesie, zepchnięta została jedyna córka pierwszego rabina. Zginęła na miejscu; umarło też dziecko w jej łonie, które gdyby się urodziło za kilka tygodni, miało zostać dziedzicem satmarskiej dynastii i zająć miejsce przez wielu od dawna pożądane. Nienawidzę schodzić sama po tych schodach. Czuję jej obecność – obecność Rojze, jedynej i ukochanej córki rabina, stojącej za mną ze swym wielkim, ciężarnym brzuchem, spoglądającej na mnie tymi charakterystycznymi, teitelbaumowskimi oczami. Jej ból żyje we mnie. W przeciwieństwie do innych, ja nie umiem zapomnieć. To zdarzyło się, gdy społeczność satmarska była jeszcze młodziotka, praktycznie niewarta, by o nią walczyć. Teraz synowie urzędującego rabina użerają się o nią jak dzieci o plastikowy tron. Gdzież jest teraz ta braterska miłość, którą Bóg przykazał Żydom, gdzie się podziela w społeczności, co chce zwać się świętą? Zajde mówi, że w Europie nikt nie śmiałyby walczyć o tytuł rabina. Co więcej, ludzie, którym oferowano ten zaszczyt, często odmawiali. Człowiek prawdziwie godzien bycia rabbim winien być skromny, nie powinien zabiegać o władzę czy uznanie. Dziś jednak rabini jeżdżą cadillacami prowadzonymi przez szoferów i budują sobie prywatne rytualne łaźnie tuż przy swych okazałych siedzibach. Są celebrytami chasydzkiej kultury. Dzieciaki

wymieniają się kartami z wizerunkami rabinów i przechwalają pokrewieństwem z nimi. W Purym, czyli podczas święta przebierańców, przyklepiają sobie sztuczne brody z białej waty, wdziewają płaszcze ze sztucznego futra i chodzą, podpierając się lśniącymi drewnianymi laskami. O czym więcej może marzyć dziecko, gdy dorośnie, jak tylko o zostaniu rabbim? Czy choćby żoną rabiego?

Szybko idę do domu ciemnymi ulicami Williamsburga. Z wyjątkiem kilku zabłąkanych Lubawiczerów, chasydów z Crown Heights, na ulicy prócz mnie nie ma nikogo. Ledwie docieram do domu, magia pryska: cała noc wydaje się zaledwie małym jasnym punkcikiem w środku coraz bardziej dostrzegalnego pasma rozczarowań. Ten moment niepewności to pestka w porównaniu do sztywnej jak stalowy drut siatki cynizmu, która oplotła już moją świadomość.

Nie mam zamiaru być żoną rabina. Nie chcę, jeśli oznacza to, że mam żyć jak moja Bube, zawsze posłuszna woli swego męża. Pożądam władzy, ale nie po to, by dyrygować innymi: chcę być panią samej siebie.

W szkole w poniedziałek nikt nie wydaje się pamiętać Simchat Tory. Przez następny rok nie zobaczymy rabiego na oczy, nie pozwolą nam też wejść do synagogi. Szul nie jest dla dziewczynek. My modlimy się w domu albo w szkole, nie ma znaczenia gdzie ani jak. Tylko modlitwy mężczyzn mają swój rytuał – i tylko one się liczą. My zaczynamy szkolny dzień jak co dzień, przez pierwsze pół godziny recytując modlitwę z naszych *siddurim*, hebrajskich modlitewników. Jakoś tak wyszło, że nigdy nie nauczyłam się czytać ani mówić po hebrajsku wystarczająco biegle, by nadażać za oszalałym tempem, w jakim wyśpiewuje ją reszta klasy, więc ruszam tylko ustami i od czasu do czasu wydaję jakiś dźwięk, żeby wyglądało, że się modlę. Gdy byłyśmy młodsze, używałyśmy różnych melodii do różnych modlitw, to pomagało mi zapamiętać słowa. Odkąd ukończyłyśmy dwanaście lat, nie wolno nam śpiewać. Modlitwa bez melodii jest dla mnie wyprana z wszelkiej radości. Zachowuję pozory ze względu na bacznie obserwującą nauczycielkę, ale całkiem nie mam już do tego serca.

Teraz nauka zaczyna się na serio. Mimo że oficjalnie rok szkolny rozpoczyna się we wrześniu, ten miesiąc jest tak usiany świętami – włącznie z Rosz Haszaną, Jom Kippur i Sukot – że dni szkolne to tylko krótkie przerwy między nimi. Jest połowa października; następne święto to Pesach, dopiero wczesną wiosną. Nawet perspektywa całego sezonu pełnego dni szkolnych nie psuje mnie i moim przyjaciółkom przyjemności myślenia, że wreszcie jesteśmy w szkole średniej – a to oznacza znaczny awans, jeśli chodzi o wpływy i przywileje.

Nasza nowa klasa jest duża, a jej białe ściany przecinają płaszczyzny kafelków; inni mówią, że to dlatego, że była to kiedyś łazienka, którą zamieniono na szkolną pracownię. Pozostały elementy hydrauliki: poobcinane rurki sterczące z różnych miejsc na ścianach. Kiedyś mieściła się tu publiczna szkoła należąca do Wschodniego Dystryktu PS16, ale gdy okolicę całkiem opanowali satmarowie, szkolna rejonizacja całkiem straciła sens. Pusty budynek przejęła Zjednoczona Satmarska Akademia Teologiczna i zamieniono go na prywatną szkołę żeńską.

Ten wielki neogotycki gmach – z którego strącono wszystkie gargulce, ogłoszone przez rabinów pogańskimi bałwanami – rozciąga się na przestrzeni całej przecznicy

i mieści ponad osiemdziesiąt sal lekcyjnych. Minęło prawie pół wieku od zakupu budynku, który szybko znacznie się przepełnił; wiele pracowni podzielono ściankami działowymi na mniejsze, klasy liczą od trzydziestu do czterdziestu uczennic. Nasza klasa – w której jest trzydzieści siedem osób – jest jedną z najliczniejszych w tym roczniku, więc dostała nam się jedna z największych sal lekcyjnych, z tylnym pomieszczeniem do gry w *kugelach*, rodzaj haceli, w której rzuca się pięcioma metalowymi kośćmi w różnych kombinacjach. Nie jestem w tym zbyt mocna, zwykle odpadam po góra trzech rundach.

Gdy moje koleżanki z klasy przygotowują książki i przybory do następnej lekcji, ja patrzę przez okno. Nigdy wcześniej nie byłam po tej stronie budynku. Z okna klasy widać kładkę nad autostradą Brooklyn–Queens oraz maleńki trójkątny budynek pomiędzy pasmami zjazdu z BQE, gdzie mieści się biblioteka publiczna. Dostojny budynek z czerwonej cegły stoi samotnie, obrośnięty ze wszystkich stron dzikim winem i otoczony kutym ogrodzeniem. Wejście jest od Division Avenue, powyżej autostrady. Trzy poziomy szeroki kamiennych stopni prowadzą do wielkich drzwi w gotyckiej oprawie. Wiem, że satmarskie uczennice, które muszą przechodzić obok biblioteki, obchodzą ją od tyłu. Mało kto chodzi ulicą od strony wejścia. Mamy zakaz wchodzenia do biblioteki.

Zajde mówi, że angielski jest trucizną dla duszy. Jeśli zacznę go używać zbyt często w mowie i piśmie, splami to moją duszę tak bardzo, że nie będzie ona dłużej otwarta na boskie oddziaływanie. Zajde upiera się, bym mówiła w jidysz, języku moich przodków, który Bóg pochwała. Ale jidysz to nic więcej jak mieszanina niemieckiego, polskiego, rosyjskiego, hebrajskiego i garści innych dialektów. Wiele z nich niegdyś uchodziło za języki równie bezbożne jak angielski. Odkąd nagle jidysz stał się językiem prawych i sprawiedliwych?

Zajde o tym nie wie, że ja już nawet nie myślę w jidysz. Te książki, które on uważa za zdradzieckie, stały się moimi najbliższymi przyjaciółmi. Już uległam zepsuciu, tylko dobrze się z tym kryję. Teraz, spoglądając na bibliotekę z okna klasy, zastanawiam się, czy może dziadkowa przepowiednia się spełniła – czy książki powoli zubożyły moją duszę na boskie wezwania, które są tuż obok. To by tłumaczyło, dlaczego nie poruszył mnie taniec rabiego w Simchat Torę. Wszyscy inni pozostali czysti, niesplamieni – ale mnie słowa zbezczeszczyły, zamknęły mi oczy i uszy na wszelką świętość.

Ostatni raz zakradłam się do zakazanego gmachu jako dziesięciolatka – a jednak nawet w tym wieku uświadamiałam sobie, jak ważne jest, by nikt mnie nie zobaczył. Biblioteka była prawie pusta. Cisza sprawiała, że wielkie pomieszczenia były niczym jaskinie. Nieśmiało rozglądałam się dokoła, nie będąc w stanie otrząsnąć się z przytłaczającego wewnętrznego poczucia, wypływającego z absolutnej świadomości, że Bóg patrzy. Teraz boję się tam wrócić, zbyt wiele mam do stracenia. Mój z trudem budowany status społeczny ległby w gruzach. Jeśli Miriam-Malka by się dowiedziała, nie przeżyłabym tego. Nie mam zamiaru cierpieć przez ostatnie trzy lata szkoły z powodu głupiej nieostrożności. Myślę sobie, że jak nic mogę zjeść ciastko i mieć ciastko.

Teraz jeżdżę miejskim autobusem do oddziału biblioteki w Mapleton, pół godziny od domu. Niewielkie szanse, żeby tam ktoś mnie przyłapał, więc czuję się bezpieczniej, nie spieszę się z przeglądaniem półek, zanim podążę do biurka bibliotekarzy. Moja karta

biblioteczna jest nowiutka, z białego plastiku z nadrukowanym logo biblioteki. W domu chowam ją między materacem a ramą łóżka, skrywając bezpiecznie przed wzrokiem innych. Książki w miękkiej okładce też mogę tam schować; te w twardej oprawie wciskam za komodę.

Nagła cisza w klasie wytrąca mnie z rozmarzenia. W drzwiach stoi pani Friedman, która prowadzi popołudniowe zajęcia. Czeka na rozpoczęcie rytualnego powitania, którym mamy okazać jej szacunek. Cała klasa staje na baczność w ławkach, gdy wchodzi nauczyciel. Stoję przy oknie, a nie jak powinnam, przy ławce. Nauczycielka chrząka znacząco, patrząc na mnie z oczekiwaniem. Wracam na swoje miejsce, policzki mnie palą. Już od początku jestem na cenzurowanym.

Pani Friedman należy do satmarskiej arystokracji; jej panięskie nazwisko brzmi Teitelbaum, przez pradziadków jest spokrewniona z samym rabbim. Szczęściarzy takich jak ona, którzy mają w rodzinie jakieś bliskie rabinackie koligacje, nazywa się *rebbisz*. Ciasno związana na głowie chusta, spadziste ramiona i twarz bez śladu makijażu nadają pani Friedman świątobliwy wygląd. Cała klasa, gotowa do lekcji, zastyga wyczekująco z długopisami nad kartką. Królewska prezencja nauczycielki wymusza kompletne posłuszeństwo.

Derech erez – pisze kredą na tablicy pani Friedman wielkimi hebrajskimi literami. Na popołudniowych zajęciach będziemy się uczyć o kodeksie honorowym. Nauczycielka zapewnia nas, że do czasu ukończenia szkoły posiadziemy wiedzę na temat poprawnych zachowań, jakich oczekuje się od nas w każdej interakcji możliwej w chasydzkiej społeczności.

– Pierwsza zasada *derech erez*: do starszych należy zwracać się zawsze w trzeciej osobie. Macie mówić na przykład: „pani nauczycielka”, „pani dyrektorka”, nigdy na „ty”.

Zajde jest starszą osobą. Czy to znaczy, że mam zacząć się do niego zwracać w trzeciej osobie? Jak to ma wyglądać? „Czy Zajde chce cytryny do herbaty?” A co z Bube? Nie mogę mówić do niej w trzeciej osobie, to takie bezosobowe. Na mój gust, cały ten kodeks honorowy służy stwarzaniu dystansu między nami a ludźmi, których kochamy; używając trzeciej osoby, powoduję, że różnica wieku staje się bardziej istotna w relacji niż osobiste i rodzinne więzy. Zupełnie mi się to nie podoba. Perspektywa celowego dystansowania się od tych nielicznych osób, które są mi bliskie, jest nie do zniesienia. Mechanicznie przestaję słuchać już po pięciu minutach; twarz nauczycielki zasnuwa mgłą, jej poruszające się usta nie wydają dźwięku. Gdy rozbrzmiewa dzwonek, mam wrażenie, że wszystko to trwało góra kilka sekund – a przez ten czas ja urządziłam swój wymarzony zamek, w którym kiedyś zamieszkać, wypełniając go luksusowymi welwetowymi kotarami, biblioteczkami z dębowych desek i szafami, z których każda jest bramą do magicznego królestwa takiego jak Narnia. Gubię się w pełnych bogactw labiryntach własnego umysłu.

Choć pogodziłam się z tym, że raczej nie wkroczę do baśniowego świata przez ukryte przejście z tyłu szafy, ciągle mam nadzieję, że przede mną wspaniała przyszłość – jeśli nawet nie w świecie fantastycznym, to przynajmniej w innym niż ten tutaj.

Po suchym lunchu w ponurej, pozbawionej okien stołówce wspinam się na trzecie piętro do klasy. Następna lekcja to mój ulubiony angielski. To słowo to eufemizm

oznaczający ten krótki czas, który każdego dnia poświęcamy na świecką edukację, wymaganą przez rządowe przepisy. Na tych lekcjach jestem gwiazdą.

Moje nowe nauczycielki angielskiego to „nowoczesne dziewczyny”, import z Borough Park. Żadna nie studiowała, broń Boże – ale zdały prawdziwą maturę. Te „nowoczesne dziewczyny” są lepiej wykształcone, niż jakakolwiek satmarska absolwentka mogłaby sobie wymarzyć – wychowały się w dużo mniej restrykcyjnym chasydzkim środowisku. Wśród satmarów uchodzi ono za nie do końca prawdziwie żydowskie. My, satmarskie dziewczyny, nie musimy ich naprawdę szanować – z racji ich nadmiernie świeckiego wykształcenia i zbyt pobłażliwego stosunku do kwestii religijnych. Jeśli ktoś przeszkrobie coś na lekcji angielskiego, kara nigdy nie będzie tak surowa jak za podobne wykroczenie na lekcji jidysz.

Panna Mandelbaum jest wysoka, ściąga jasnożółte włosy w koński ogon. Ku ogólnej konsternacji używa błyszczki do ust (widzę wyraźnie, że kolor jest zbyt różowy jak na wazelinową pomadkę). W uśmiechu odsłania dwa rzędy zębów i obscenicznie duży kawałek górnych dziąseł. Mówi głosem tak chropawym, jakby nie spała całymi nocami, a jej gwałtowne ruchy zdradzają nerwową potrzebę przypodobania się innym. Uczy nas literatury i czytania ze zrozumieniem. Dziś na lekcji rozdaje nam egzemplarze pięciostronicowej noweli, z której większość została wykreślona czarnym flamastrem szkolnego cenzora.

Przebrnięcie przez ten tekst ciągnie się bez końca, bo wszystkie dziewczynki są kiepskie w czytaniu. Prócz tych cotygodniowych czytanek w ogóle nie ćwiczą, więc wiele z nich czyta na poziomie czwartoklasistek. Ja, mimo że uwielbiam czytać, nie znoszę tych zajęć z literatury, bo przeczytanie tekstu zajmuje mi dwie minuty, a przez resztę godzinnej lekcji muszę czekać, aż reszta klasy się z nim upora.

Wyłączam się na dziesięć minut, aż panna Mandelbaum zauważy, że wyglądam przez okno – z podbródkiem opartym na ramieniu, machając nogami. Podczas gdy Frimet z wysiłkiem brnie przez kolejne słowa, rozdzielając je niezgrabnie na sylaby, które wydrukane na głos, w niczym nie przypominają brzmienia oryginału, nauczycielka gestem nakazuje mi, bym wróciła do lektury i podążyła za resztą. Wykonuję gest w zaimprovizowanym języku migowym mający komunikować, że już przeczytałam całość. Z jej pełnego nagany spojrzenia wnioskuję, że podejrzewa mnie o kłamstwo – zakłada, że jestem durna, że nie potrafię czytać i tylko udaję, że już przeczytałam. Panna Mandelbaum nakazuje Frimet, by przerwała.

– Twoja kolej, Dewojre.

– Dobrze. Gdzie skończyliśmy?

Rusze, siedząca przede mną, odwraca się, by wskazać mi właściwe miejsce w tekście. Począwszy od nienaturalnie oderwanego fragmentu, zaczynam czytać historię o chłopcu, który miał psa. Po dwóch zdaniach podnoszę wzrok, by uchwycić pełne szoku spojrzenie panny Mandelbaum. Jako przybysz z Borough Park nie spodziewała się, że trafi na uczennicę, która potrafi względnie dobrze czytać – a co dopiero płynnie, szybko i ze znakomitym wyczuciem frazy. Jestem pewna, że zastanawia się teraz, jak to możliwe i skąd u mnie taka znakomita angielszczyzna.

Reszta klasy wie już, że jestem w tym dobra, więc z satysfakcją obserwuje

zmieszanie nauczycielki. Lubią słuchać, gdy czytam, bo moje wyraźne, żywe, pełne ekspresji interpretacje sprawiają, że lekcja nabiera uroku. Jednak panna Mandelbaum jest zirytowana.

– Cóż, jak widać, ty nie musisz ćwiczyć czytania, ale inne dziewczęta owszem. Każdy musi mieć swoją kolej.

Cała klasa wzdycha, gdy Esti zaczyna czytać – jak zawsze, ledwo słyszalnym głosem. Szepcze, żeby nie było słyhać, jak się myli. Panna Mandelbaum nakazuje jej czytać głośniej – my jednak uśmiechamy się pod nosem, wiedząc, że nic z tego nie będzie. Esti udaje, że jest bardzo nieśmiała, kuli ramiona i oblewa się pąsem z nadzieją, że nauczycielka ustąpi. Pozwalam sobie na tajemniczy uśmieszek. To jeszcze nie koniec.

Panna Mandelbaum wyznacza kolejne dziewczęta, za każdym razem prosząc, by czytały głośno i wyraźnie, ale wszystkie robią dokładnie to samo co Esti. W końcu nie ma innego wyboru jak poprosić mnie, bym czytała dalej, co robię z ostentacyjną przyjemnością. Reszta klasy chowa twarze w dłoniach, by ukryć rozbawienie. Tak to zdobywam sobie pewną szczególną popularność. Nie mam zamiaru być w tym roku na angielskim pilną uczennicą. Wskoki na lekcji jidysz uczyniłyby mnie wyrzutkiem, ale bezczelne zachowanie na angielskim nadaje mi status bohaterki, choć może i nieco niesławny. Nic z tego, czego mogłabym się nauczyć, nie jest warte rezygnacji z odrobiny radości i wdzięcznej publiki.

Gdy rozbrzmiewa końcowy dzwonek, łapię torbę i zbiegam przez cztery poziomy schodów, zeskakując po trzy stopnie – aż wreszcie jestem wolna. Na Marcy Avenue aż gęsto od uczennic wracających do domu. Szepczą między sobą, schodzą na krawężnik, gdy z naprzeciwka nadchodzi mężczyzna. Większość mężczyzn unika przebywania na ulicy o tej porze, gdy wszystkie dziewczęta Williamsburga nagle są wolne, odesłane do domu, by pomóc matkom w przygotowywaniu obiadu i opiece nad młodszym rodzeństwem. Jak zawsze wracam do pustego mieszkania. Bube pojechała do domu starców pomagać karmić pacjentów, więc zaszywam się w swoim pokoju, by nieniekajona czytać przez godzinę. W tym tygodniu pod materacem mam zwykle *Male kobiety* – wydanie w miękkiej okładce, bo łatwiej je ukryć. Jak na razie nie mogę zdecydować, czy Jo jest chłopcem, a Laura dziewczynką, czy może odwrotnie – a może to dwóch chłopców? Lubię Jo.

Wydaje się, że upłynęło zaledwie kilka minut, gdy słyszę ciężkie kroki dziadka na schodach. Szybko ukrywam książkę z powrotem pod materacem, naciągając prześcieradło, by nie wyglądało, że ktoś przy nim grzebał.

Jestem grzeczna, jestem grzeczna, jestem grzeczna...

Zmieniam wyraz twarzy, przybierając minę, jak myślę, odpowiednią dla grzecznej dziewczynki – skromną, pustą, bez wyrazu. Czasem boję się, że Zajde – ze swoimi błękitnymi oczami, świetlistą białą brodą i przenikliwą intuicją, którą Bóg go obdarzył, przejrzy mnie na wylot, dostrzeże, co skrywam za starannie nałożoną maską. Serce by mi pękło, gdyby się dowiedział, kim jestem naprawdę. Nie jestem *aidel maidel*, skromną dziewczyną, na którą tak bardzo starał się mnie wychować.

Moje nowe pończochy mają z tyłu grube brązowe szwy. Gdy idę ulicą, wszyscy widzą, że jestem uczennicą gimnazjum – tylko my nosimy pończochy ze szwami. Kiedyś

obowiązywało to od dziesiątej klasy, ale rabbi zdecydował, że dziewiętoklasistki są zbyt dojrzałe, by nosić gładkie, ciemne pończochy. Nauczycielka tłumaczy mi, że szew jest po to, by nikt nie myślał, że moja noga w cielistej pończosze jest goła – ma zaznaczać, że to nie przerażająca goła skóra, tylko niewinna dzianina. Nijak nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby pomylić pończochę z moją skórą, zważywszy na to, jak białe są moje nogi w porównaniu z brudnokawową pończochą.

Mimo wszystko myślę, że moje kostki wyglądają zgrabnie i wiotko w nowych pończochach i brązowych półbutach identycznych jak te, które noszą wszystkie inne dziewczyny. Nie mogę uwierzyć, że jestem w szkole średniej. Jeszcze tylko trzy lata nauki. Za cztery mogą już mnie wydać za męża.

Zdaje się, że wszystkie nauczycielki w szkole mnie znają, a przynajmniej słyszały o mnie – nawet te, których nigdy wcześniej nie poznałam. Zwracają na mnie szczególną uwagę, bo nie mieszkam z rodzicami.

Jestem jedyną dziewczyną w naszej klasie, która mieszka z dziadkami. W podobnej sytuacji jest tylko Rajza Ruszy Halpern: wychowuje ją ciotka, bo jej rodzice zmarli, gdy była mała. Za jej plecami wszyscy przezywają ją *nebach* albo *rachmanus* – czasem myślę że zgrozą, że i o mnie mogą tak mówić. Żałosna sierota, dziecko z ochronki, totalne zero.

Proszę, niech mnie pani nie traktuje jak dziecko z ochronki – mówię nauczycielce, która po lekcji podchodzi do mnie, pytając, czy mam z kim porozmawiać. Moja odmienność otacza mnie jak aureola. To nie do wytrzymania.

Moje koleżanki podrosły. Ich starsze siostry już się zaręczają. Wszyscy wiedzą, że z racji braku rodziców trudniej będzie mi wydać się za męża, a to czyni mnie inną. Ta inność jest jak nowiutki, dorodny słoń w salonie – wszyscy czują się z nią niezręcznie.

Moje przyjaciółki plotkują, że w domu Esti Oberlander mieszka jej dwudziestojednoletnia siostra. Utknęła w domu rodziców, czekając, aż jej brat się ożeni, a gdy wreszcie nadszedł czas, że można ją było swatać, była już o trzy lata za stara, by ktoś ją brał pod uwagę. Nawet jeśli pochodzi z rodziny tak porządnej jak Oberlanderowie, którzy mają forsy jak lodu, dwudziestojednoletniej dziewczynie niełatwo jest się wydać za męża.

Mnie też nie będzie łatwo, mam rodziców odszczepieńców, którzy staną na drodze mojego zamążpójścia. Muszę udawać, że nie poznaję ojca na ulicy, nawet jeśli energicznie macha do mnie z naprzeciwnka i drepce w moją stronę na cienkich nogach, ubrany w poplamioną kawą koszulę, niezgrabnie naciągniętą na brzuch. Moja matka otwarcie żyje jak gojka, więc któż może gwarantować, że i mnie podobne szaleństwo nie strzeli do głowy? Nie ma innego wytłumaczenia, dlaczego ktoś miałby odrzucić Boga i jego lud, by żyć jak ona, jak tylko kompletne szaleństwo.

Przynajmniej nie jestem w kolejce do zamążpójścia za siostrami, co kazałoby mi czekać. Wiem, że Zajde zacznie szukać kandydatów, jak tylko skończę szesnaście lat, i nie będzie długo czekał.

Kto nie ma korzeni, nie ma i spuścizny. Wartość człowieka jest definiowana wartością jego przodków. Każdy pracuje na dobre imię swoich dzieci. Kto mnie zechce, skoro nie mam nazwiska, które warto byłoby przekazać następnemu pokoleniu?

Matka była nieobecna, odkąd pamiętam. Jej zagadkowe zniknięcie, zaskakujące

zejście ze ścieżki przodków, wywołało spory skandal. Brzemię jej odstępstwa spoczywa teraz na mnie.

– Dlaczego istnieje zło? – pytam Bube. – Czy pochodzi od Haszema?

– Nie, to nie Haszem jest jego sprawcą. Tylko szatan – odpowiada Bube, wycierając naczynia ściereczką w biało-czerwoną kratę, ja wstawiam suche do szafek. – Wszystko, co złe, jest dziełem szatana.

Czy to diabeł sprawił, że mój ojciec jest powolny na umyśle, że jest jak drażliwe dziecko, niezdolny zadbać o siebie, a co dopiero o mnie? Czy to szatan wrzucił mnie, niechcianego podrzutka losu, w ramiona dziadków, i tak już wyczerpanych wychowywaniem własnych dzieci? Nie rozumiem. Czy Haszem nie ma kontroli nad wszystkim? Jak szatan może robić swoje pod Jego rządami? Haszem z pewnością stworzył szatana, skoro stworzył wszystko inne. Dlaczego pozwolił się narodzić takiej potworności? Dlaczego jej nie powstrzyma?

– Hitler miał kurze stopy, wiesz? – mówi Bube. – To dlatego nigdy nie zdejmował butów. Żeby nikt nie zobaczył, że z niego tylko *szajd*, zjawa. – Babcia oskrobuje przypalone dno żeliwnej patelni z resztek smażonego kurczaka. Jej ręce są poznaczone odciskami od wielu lat prac domowych.

Nie wierzę, że ten świat jest tak nieskomplikowany, że źli ludzie są napiętnowani fizycznymi deformacjami. To nie tak. Źli ludzie nie różnią się wyglądem od nas. Nie da się poznać prawdy, zdejmując im buty.

W szkole uczą nas, że Bóg zesłał Hitlera, by pokarać Żydów za to, że posiadli wiedzę. Przyszedł nas oczyścić, wyeliminować wszystkich zasymilowanych Żydów, tych *frei Jiden*, którzy myśleli, że mogą się uwolnić spod jarzma bycia wybranymi. Teraz musimy pokutować za ich grzechy.

Pierwszy najwspanialszy satmarski rabbi powiedział, że jeśli staniemy się wzorowymi Żydami, jak w dawnych czasach, Holokaust więcej się nie wydarzy, bo Bóg będzie z nas zadowolony. Ale czy naprawdę Boga zadowala tak niewiele jak grubsza pończocha czy dłuższa spódnica? Czy to naprawdę wszystko, czego Bóg potrzebuje do szczęścia?

Bube mówi, że tak czy inaczej Holokaust może się znowu wydarzyć. Jej zdaniem ludzie nie zdają sobie sprawy, że podobne rzeczy spotykały Żydów od stuleci, co jakieś pięćdziesiąt lat. Babcia mówi, że wedle tej reguły coś musi się wkrótce stać. Pogromy, krucjaty, inkwizycja, wszystko to jedno; tylko idiota może myśleć, że mamy nad czymś kontrolę. Nigdy jednak nie mówi tego przy Zajde, który wierzy, że satmarski rabbi zbawi nas od wszystkiego. W końcu rabbi cudem uratował się z obozu koncentracyjnego, co świętujemy co roku.

Bube twierdzi, że wszyscy nienawidzą Żydów, nawet ci, co udają, że tak nie jest. „Tak Bóg urządził świat, nic się nie da zrobić” – mówi. Ostrzega mnie, by nigdy nie ufać gojom, choćby wydawali się nie wiem jak przyjaźni.

Dziwacznie jest wyobrażać sobie, że świat jest pełen ludzi, którzy już mnie nienawidzą, mimo że jestem tak młoda, że nic jeszcze nie zdażyłam zrobić. Moja matka jest teraz gojką. Czy to znaczy, że się do nich zalicza? Czy i ona mnie nienawidzi?

Bube drwi z moich wątpliwości. Mówi, że Żyd nigdy nie zostanie gojem, choćby

nie wiem jak się starał. Może ubierać się jak goj, mówić, żyć jak goj – ale jego żydostwa nie da się wymazać. Nawet Hitler to wiedział.

Nocami, gdy ucichnie ruch uliczny, leżę, nie umiając zasnąć. Składam poduszkę w pół i przyciskam do brzucha jej naciągnięty koniec, przytulając się do szwu. Pytam Boga, czy mnie kocha. Czy ześle kolejne *szajd* albo kolejnego Hitlera, by mnie zabił? Czy to On zesłał mi ten gryzący ból brzucha, czy to robota szatana?

Czuję się niekochana. Przez rodziców i przez tych, co odmawiają mi przynależności do nich, i przez ciotki, i wujów, patrzących na mnie z góry, bo jestem dowodem rodzinnego skandalu – najbardziej jednak czuję się niekochana przez Boga, który najwyraźniej wrzucił mnie w ten świat i zapomniał o mnie. Jaką mam szansę być szczęśliwa bez Bożej miłości?

Zasypiam wtulona w poduszkę mokrą od łez. Mój niespokojny sen przerywa klekot pociągu jadącego po wiadukcie nad ulicą. Po ulicach Williamsburga cwałują zakapturzeni oficerowie SS na czarnych rumakach; porywa mnie fala uciekinierów szukających schronienia, ale nagle słyszę charakterystyczny warkot helikoptera; spoglądam w górę i widzę kobietę – wiem, że to moja matka czekająca, by mnie uratować. Gdy odlatujemy w nadchodzący brzask, spoglądam z góry na ogarnięty paniką tłum i wreszcie czuję się bezpieczna z daleka od tego wszystkiego.

Budzą mnie krzyki dochodzące z ulicy. Budzik pokazuje trzecią w nocy. Przestraszona podbiegam do okna. W sąsiednim pokoju Bube i Zajde też się budzą. Gdy wyglądam przez kratę w oknie, widzę głowy obojga wychylające się z okna obok. Ulicą biegnie jak wariat człowiek w białej piżamie i domowych papuciach, krzycząc:

– *Czaptz-em! Czaptz-em!*

– Łapać go! – wołają wszyscy. – Łapać intruza, który nachodzi nas po nocy!

Okrzyk niesie się przez całe sąsiedztwo od domu do domu i coraz więcej mężczyzn w piżamach zbiega schodkami ze swych kamienic, by przyłączyć się do pościgu.

– Co się stało? – pytam Bube w sąsiednim oknie.

– Ktoś włamał się do mieszkania pani Deutsch w sąsiednim domu, zabrali jej wszystkie srebra – odpowiada babcia, trzęsąc się z oburzenia. – To byli *szwarces*, grupa młodocianych. Przyszli z Broadwayu.

Ma na myśli dzielnicę po drugiej stronie torów, zamieszkaną przez Afroamerykanów, dokąd nam nigdy nie pozwalano chodzić. Wiadukt kolejowy zawsze stanowił barierę rozdzielającą dwie etnicznie różne społeczności zamieszkujące tę część Brooklynu, jak rodzime chwasty wyrastające na terenie opuszczonych magazynów i fabryk. Babcia mówi, że Williamsburg jest tak brzydki, że któż poza biedotą z niższych klas chciałby tutaj mieszkać.

Jednak Żydzi dobrze sobie radzą wśród niższych klas. Bube twierdzi, że to dobrze dla nas, jeśli uważają nas za nieoświeconą biedotę; w ten sposób nie wywołujemy zawiści nie-Żydów. Babcia mówi, że w Europie goje byli wściekli, bo Żydzi zapomnieli, gdzie ich miejsce, stali się bogatsi i lepiej wykształceni niż nie-Żydzi.

Przyglądam się, jak *szomrim*, członkowie sąsiedzkiej policji, w kamizelkach kuloodpornych z neonowym logo na plecach podjeżdżają pod dom obok i zsiadają z motocykli. Trzej brodacі mężczyźni ciągną za ręce czarnoskórego nastolatka, jego ciało

zwisa ciężko między nimi.

– Ten chłopak ma góra czternaście lat! – woła Bube, patrząc na zatrzymanego podejrzanego. – Po co kradnie, żeby go przyjęli do gangu? Och, to takie smutne, taki młody i już z nim problemy!

Funkcjonariusze *szomrim* tłoczą się wokół roztrzęsionego chłopca. Patrzą, jak kopią go bez miłosierdzia, aż zaczyna szlochać i wołać:

– Nic złego nie zrobiłem, przysięgam! Nic nie zrobiłem! – powtarza tak w kółko swoje jedyne usprawiedliwienie, błagając o zmiłowanie.

Mężczyźni biją go i biją; to trwa całą wieczność.

– Co, myślisz, że możesz tu przychodzić i robić, co ci się podoba? Żeby zaimponować kolegom? A gdzie oni są teraz, co? – pytają prześmiewczo. – Myślisz, że możesz sprowadzać swoich brudasów w tę okolicę? O nie, nie tutaj. Nie zadzwonimy po policję, ale zajmiemy się tobą jak nikt inny, rozumiano?

– Tak, tak, rozumiem! – Chłopiec płacze. – Proszę, puśćcie mnie, ja nic nie zrobiłem!

– Jeśli złapiemy kogoś z was jeszcze raz, żywy stąd nie wyjdzie, słyszysz? Zabijemy. Powiedz to swoim koleżkom, powiedz im, żeby się nie ważyli więcej do nas zbliżyć, bo inaczej ściągniemy ogień piekielny na ich czarne dusze!

Odstępują, chłopak podnosi się i ucieka w ciemność. *Szomrim* wsiadają na motocykle, otrzepując swoje lśniące kurtki. W piętnaście minut później na ulicy znów zapada martwa cisza. Mdli mnie.

Bube odchodzi od okna.

– Ach, *mazel* – mówi. – Jak to dobrze, że mamy własną policję, ta rządowa nie potrafi złapać orzecha spadającego z drzewa. Nie możemy polegać na nikim, Deworale – kończy, patrząc na mnie. – Tylko na swoich możemy liczyć. Nie zapominaj o tym.

Znowu mam sobie za złe przyływ współczucia w nieodpowiedniej chwili. Nie powinno mi być żal tego nastolatka, to wróg. Powinnam się martwić o biedną panią Deutsch, która wystraszyła się na śmierć i straciła swoje cenne, pamiątkowe srebra. Wiem to, a jednak ocieram z policzka pełne wstydu łzy. Na szczęście po ciemku nikt nie widzi.

Przychodzi ojciec, głośno tupie na schodach i dobija się do frontowych drzwi.

– Mamusia! Widziałaś, co się stało? – woła, ledwo łapiąc oddech z podniecenia.

Bube otwiera drzwi i widzę ojca, jak stoi w pomiętej, brudnej piżamie i dygoce dziwnie, odbijając się bosymi piętami od podłogi.

– Gonilem go! – oznajmia triumfalnie. – Byłem przy tym, jak go złapali!

Bube wzdycha.

– Czemu chodzisz bez butów, Szyja?

Z palców jego stóp spływa krew i plami wycieraczkę, ale ojciec kompletnie tego nie zauważa. Jego twarz jaśnieje idiotycznym podnieceniem.

– Idź do domu, Szyja – mówi Zajde smutno. – Idź do domu i się prześpij. – Zamyka ojcu drzwi przed nosem, ale delikatnie, niemal z szacunkiem; jego dłonie spoczywają na klamce jeszcze długo po tym, jak rozlega się dźwięk kroków ojca, oddalającego się w dół korytarza.

Staram się unikać ojca. Jakoś dochodzę do wniosku, że im bardziej zdystansuję się

od niego, tym bardziej uda mi się uniknąć wstydu związanego z jego niedorozwojem i dziwnym zachowaniem. Ciężko mi na duszy, gdy idę z koleżankami ulicą w szabas i przy Hopper Street mijamy sprzedawczynię kapkeków, której włosy wyrastają z brodawek na podbródku, albo Golę Meszugenera, który patrzy szklanym wzrokiem, rusza się niezgrabnie i pali śmierdzące papierosy na rogu Keap Street i Lee Avenue. Dziewczyny kręcą nosami na propozycję przejścia na drugą stronę ulicy, by ich ominąć. Zastanawiam się, co by zrobiły, jeśli by wpadły na mego ojca włączającego się po Lee Avenue. Może nawet już się to zdarzyło, tylko nie wiedziały, kto to jest.

Najbardziej złości mnie to, że widzę, ile kłód życie rzuca mi pod nogi. Jakby nie dość było, że muszę sobie radzić z rozwodem rodziców i matką gojką – to jeszcze do tego ojciec wariat? To takie beznadziejne: nieważne, jak bardzo bym się starała osiągnąć doskonałość i się przystosować, nie jestem w stanie zerwać więzi, które mnie z nim łączą.

Nie mogę pojąć, jak to możliwe, że ten człowiek, do którego ani trochę nie jestem podobna, jest moim krewnym. Najtrudniej mi jednak zrozumieć, dlaczego własna rodzina nijak nie próbuje mu pomóc, zapewnić jakiegoś leczenia. Po prostu zostawili go samemu sobie, przy okazji mnie w ten sposób upokarzając.

Bube twierdzi, że dziecko z problemami to kara boska, Zajde, że w ten sposób Bóg wystawia ich na próbę. Leczenie ojca oznaczałoby ucieczkę od cierpienia, na które zdaniem Boga zasłużyli. Według Bube jeśli zaczniemy się zastanawiać, w czym tkwi istota problemu i przyklejać ludziom etykiety ze straszną diagnozą, nagle wszyscy się dowiedzą, że jest problem.

– A powiedz mi, jeśli jeden syn dostanie diagnozę od lekarza, kto wtedy zechce poślubić pozostałe nasze dzieci? Lepiej nie wiedzieć i po prostu przyjąć, że Bóg tak chciał.

Na swój sposób dziadkowie zrobili, co mogli. Gdy ojciec skończył dwadzieścia cztery lata i ciągle żadna swatka nie mogła znaleźć mu żony, Bube i Zajde zaczęli szukać za granicą z nadzieją, że trafią na dziewczynę w trudnej sytuacji życiowej, która zgodziłaby się przeprowadzić do Ameryki w zamian za obietnicę wygodnego życia. Wyszukowali całe siedmiopokojowe mieszkanie na drugim piętrze rodzinnej kamienicy, z nowiutkim parkietem i gustownymi tapetami, z wygodnymi meblami i luksusowymi dywanami. Pieniądze nie były problemem: byli gotowi zapłacić za ślub, pokryć koszty podróży i zapewnić dziewczynie wszystko, czego by sobie zażyczyła. No i znaleźli moją matkę – dziecko ubogiej rozwódki, utrzymywane za pieniądze z datków na dobroczynność od londyńskiego fundatora i uczęszczające do londyńskiego seminarium dla dziewcząt. Matka skorzystała z szansy wyjazdu, przeprowadzki do nowego kraju, oferującego wielki wybór możliwości.

Zanim Bube i Zajde wzięli mnie do siebie, mieli nadzieję, że mają spokój z odchowyaniem dzieci – ale małżeństwo rodziców zaczęło się sypać krótko po moim narodzeniu. Matka zniknęła, zdecydowała się zrealizować swoje marzenia o zdobyciu w Ameryce wyższego wykształcenia, a ja wylądowałam pod opieką dziadków. Może i to za karę? Zastanawiam się, czy jestem kolejną porcją duchowego cierpienia, w którym Zajde znajduje takie upodobanie; czy dziadkowie przyjmują mnie za boską próbę, którą należy znosić bez skargi, z pokorą.

Wybieram sobie bohaterów z książek jako idealnych rodziców i wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym to im się urodziła, gdybym mieszkała w różowym pokoiku z łóżkiem z baldachimem i oknem wychodzącym na pięknie utrzymany podmiejski trawnik.

Rodzice z moich fantazji załatwiliby dla mnie aparat ortodontyczny, żebym miała proste zęby, i kupowaliby mi ładne ubrania. Chodziłabym do prawdziwej szkoły, może nawet studiowałabym. Grałabym w tenisa, jeździła na rowerze. Nie kazaliby mi schylać głowy ani mówić cicho.

W szabas brak rodziny doskwiera mi bardziej niż w ciągu tygodnia. A przecież nie mam ani młodszego rodzeństwa, którym mogłabym się opiekować, ani starszego, do którego mogłabym pójść w odwiedziny. Szabas powinno się spędzać w gronie rodziny, a ja nie mam nikogo poza dziadkami. Z tego powodu szczególnie cieszę się, gdy przychodzą goście. Od czasu do czasu któreś z zameżnego czy żonatego kuzynostwa wpadnie złożyć Zajde i Bube wyrazy szacunku i to na chwilę wybija mnie z nudy.

Gdy tylko jednak kuzyni doczekają się dzieci, przestają przychodzić z wizytą, bo w szabas nie wolno nic nosić. Wózka też nie wolno używać, więc są uziemieni w domu, aż szabas dobiegnie końca.

To w ostatnich tygodniach gorący temat dyskusji przy szabasowym stole, bo rabbi Williamsburga zdecydował niedawno, że z racji nowego *ejruw* noszenie w szabas jest dozwolone. Halacha, czyli żydowskie prawo, zabrania nosić czegokolwiek w przestrzeni publicznej, ale *ejruw* – symboliczny płot odgradzający teren społeczności od przestrzeni publicznej – powoduje, że zamknięta nim przestrzeń jest uważana za prywatną; noszenie kluczy, dzieci i innych niezbędnych przedmiotów staje się więc akceptowalne.

Inni rabini mówią, że nowy *ejruw* nie jest koszerny. Twierdzą, że utworzenie „przestrzeni prywatnej” w takim miejscu jak Brooklyn jest niewykonalne. Ich zdaniem największy problem to Bedford Avenue, przebiegająca przez Williamsburg i ciągnąca się kilometrami przez różne dzielnice Brooklynu. Nie rozumiem prawnych implikacji tej debaty, ale wiem, że teraz wszyscy o tym mówią.

Na początku nikt nie używał *ejruw*, bo ludzie byli sceptyczni, czy da się utrzymać rytualną czystość w dzielnicy, gdzie graffiti pojawia się na świeżo odmalowanych ścianach, zanim jeszcze farba na nich dobrze wyschnie. W miarę jednak jak kolejni rabini oficjalnie udzielali aprobaty dla *ejruw*, kobiety z wózkami powoli zaczęły pojawiać się na ulicach w szabasowe popołudnia. Za każdym razem, gdy słyhać o takim przypadku, Zajde wraca z szulu z nowymi doniesieniami o tym, jak ludzie używają *ejruw*. Grupy wzburzonych młodych chasydów zaczęły zalegać przy głównych alejach i krzyczeć na przechodzące kobiety w przekonaniu, że nie przestrzegają szabasu.

– Niektórzy nawet rzucają kamieniami – mówi Zajde ze złością i z ubolewaniem dodaje, że te dzieciaki nie robią tego z szacunku dla halachy, ale po to, by móc sobie pokrzyczeć.

Zajde, który spędził długie godziny samodzielnie zgłębiając ten problem, jest przekonany, że *ejruw* jest koszerny – a ja szanuję opinie religijne mego dziadka bardziej niż czyjekolwiek inne. Czuję ogromny podziw dla niego, bo potrafi połączyć talmudyczną inteligencję z otwartością umysłu. W przeciwieństwie do niektórych rabinów Zajde nigdy

nie mówi „nie, bo nie”. Zdaniem Zajde dobry rabin to taki, który potrafi znaleźć *heter*, luki w przepisach pozwalające na pewną elastyczność. Rabin, który nie zna Talmudu wystarczająco dobrze, zawsze skłania się ku bardziej restrykcyjnym wykładniom, bo nie ma zaufania do własnej umiejętności wynajdywania takich kruczków prawnych.

Mimo jednak że uważa *ejruw* za całkowicie koszerny, Zajde ostrzega mnie, bym go nie używała. Jeśli bowiem inni uważają to za grzech, mogłabym łamać prawo *ma-aras ejn*, wedle którego popełniając czyn uważany za grzech, winowajca wprowadza innych w błędne przekonanie, że zgrzeszył, robiąc to, co zrobił. Dziadek obawia się, że w reakcji na czyn uważany za grzeszny może zebrać się tłum wściekle krzyczący w kółko: „Szabas, szabas, święty szabas!”. Zajde nie chce ryzykować, by jego rodzina ściągnęła na siebie takie święte oburzenie.

Mnie to nie przeszkadza: nie mam dziecka, które musiałabym gdzieś zabrać.

We wtorek 11 września 2001 roku spóźniam się do szkoły. Kwadrans po dziesiątej jestem trzy przecznice od szkoły i maszeruję rażno, ale ledwie skręcam za róg Harrison Avenue, widzę, że coś jest nie tak. Ponure szare niebo wisi nisko i złowrogo ponad dachami. Nie zapowiada się na deszcz, ale powietrze jest jakoś dziwnie mętne, jakby unosiło się w nim zbyt dużo pyłu z jakiejś budowy. Wszystkie okna w szkole są pootwierane, bo w budynku nie ma klimatyzacji, a jesień jeszcze się na dobre nie zaczęła. Zwykle hałas dochodzący z ulicy jest tak duży, że zagłusza głos nauczycielek, i musimy zamykać okna na czas lekcji, ale dziś jest dziwnie cicho. Żadnych robót drogowych, klaksonów samochodów, łomotu ciężarówek na stalowych płytach szerokiej dwupasmowej ulicy na zewnątrz. Słyszę jedynie ciche ćwierkanie wróbli.

O pierwszej po południu głośnik sędziwego radiowęzła skrzypi cicho, gdy sekretarka próbuje go uruchomić. Właściwie prawie nigdy się go nie używa.

Głos, który się rozlega, jest stłumiony, ale gromki. Towarzyszy mu pisk, od którego zatykamy uszy, ale po chwili głos sekretarki rozlega się znowu, tym razem wyraźniej.

– Wszystkie zajęcia szkolne są odwołane. Dziewczęta, spakujcie rzeczy i ustawcie się w jednej kolejce do wyjścia. Na zewnątrz czekają autobusy, które odwiozą do domu te osoby, które mieszkają daleko. Powiadomimy was, gdy szkoła zostanie ponownie otwarta.

Patrzę zmieszana na koleżanki z klasy. Zajęcia są odwoływane jedynie w wypadku pożaru lub innego alarmu. Nikomu nie jest na rękę, by chmara bezczynnych dziewcząt włóczyła się po ulicach. Ale żadnego alarmu nie słyhać. Dlaczego odsyłają nas do domu? Większość dziewczyn jest tak wdzięczna, że nie muszą siedzieć na lekcjach, że nawet nie pytają dlaczego. Zapinają tornistry i ustawiają się rządkiem w korytarzu, chichocząc z podniecenia. Wygląda na to, że tylko ja jestem ciekawa, co zaszło.

Zamyślona idę do domu. Zajde może mi nie uwierzyć, kiedy wrócę. Może pomyśleć, że jestem na wagarach. Co mam mu powiedzieć, gdy spyta, czemu nas tak nagle wypuszczono? To bez sensu.

Gdy na paluszkach przemykam przez korytarz, gabinet Zajde jest pusty. Drzwi są szeroko otwarte, ale nie ma go w środku. Na górze w kuchni Bube zagniata ciasto na chałkę, w fartuchu poplamionym lepкими resztkami masy. Ma słuchawkę telefonu przy uchu i nie reaguje, gdy wchodzę z hałasem i rzucam torbę z książkami na krzesło.

Przysłuchuję się rozmowie, którą prowadzi, ale babcia niewiele mówi, od czasu do czasu kiwa tylko głową i zadaje niejasne pytania w rodzaju „dlaczego?” albo „jak?”.

Wreszcie słyszę na schodach ciężkie kroki Zajde maszerującego na górę. W rękę ma złożoną gazetę. Zajde nigdy nie przynosi do domu świeckich gazet, choć czasem, kiedy musi się dowiedzieć, co się dzieje na giełdzie, chodzi na drugą stronę Broadwayu do meksykańskiej bodegi, żeby przeczytać biznesową sekcję „The Wall Street Journal”. Zachodzę w głowę, dlaczego teraz przyniósł gazetę do domu.

Daje znak Bube, żeby odłożyła telefon.

– Zobaczcie – mówi, rozkładając gazetę na oprószonym mąką stole. Na pierwszej stronie jest zdjęcie wież World Trade Center, które najwyraźniej płoną. Nie rozumiem, dlaczego Zajde nam to pokazuje.

– Co to? – pytam.

– Atak terrorystyczny. Wydarzył się dziś rano, wyobrazasz sobie? Samolot wleciał w Twin Towers.

– Dziś rano? – pytam z niedowierzaniem. – O której godzinie?

Teraz jest kwadrans po drugiej po południu. Jeśli samolot rozbił się o budynek rano, czemu nie dowiedzieliśmy się tego wcześniej?

– O ósmej z minutami. Idę kupić radio, żebyśmy mogli posłuchać wiadomości.

Jestem wstrząśnięta. Zajde nigdy nie pozwalał nam słuchać radia. To musi być coś poważnego, to pewnie dlatego wypuścili nas wcześniej ze szkoły. Spędzamy resztę popołudnia, siedząc skuleni koło maleńkiego radioodbiornika w kuchni, słuchając powtarzanych w kółko wiadomości: „Dziś rano, o ósmej czterdzieści sześć, samolot rozbił się o pierwszą wieżę...”.

– Na pewno będą winić Żydów – mówi Zajde. – Zawsze tak robią.

– Nie Żydów, tylko Izrael – mówi Bube.

– Frejda, czy ty nie rozumiesz? – odpowiada Zajde powoli. – Dla nich to jedno i to samo.

Bube spodziewa się, że będzie kolejny Holokaust. Że będą zamieszki i Amerykanie zechcą wygnać wszystkich Żydów. Mówi, że zawsze się spodziewała, że to się powtórzy.

– Odpraw *teszuwa* – błaga mnie Bube. – Żałuj za grzechy, żeby zdążyć przed Jom Kippur. W jednej chwili cały świat może się wywrócić do góry nogami.

We wsi New Square, małej chasydzkiej osadzie na północy stanu Nowy Jork, ryba przemówiła ludzkim głosem. Wyciągnięty z wody karp otworzył pysk i rzucił Żydom ostrzeżenie, by żalowali za grzechy i odprawiali pokutę, bo inaczej gorzko pożałują. Ludzie wpadli w panikę. Ponoć handlarz ryb Mosze miał właśnie zabić i wypatroszyć karpia, by zaspokoić przedświąteczny popyt; już-już miał walnąć rybę ciężkim tasakiem w głowę, gdy ta nagle otworzyła pysk i wydała głos. Są świadkowie tego wydarzenia: zarówno Żydzi, jak i nie-Żydzi pracujący tego dnia na targu twierdzą, że słyszeli, jak ryba przemówiła. Przedstawiła się z imienia i oświadczyła, że została zesłana, by przypomnieć ludowi żydowskiemu, iż Bóg cały czas patrzy i że ukarze ich za złe uczynki. „Błagajcie o przebaczenie albo spotka was zagłada” – oświadczyła ryba.

Fakt, że wydarzyło się to zaraz po ataku na WTC i tuż przed Jom Kippur, dorocznym dniem pokuty, nadało historii dodatkowy smaczek. To, rzecz jasna, musi być

memento dla nas wszystkich. Czas na prawdziwą pokutę. Na własne oczy zobaczyliśmy dowód na reinkarnację.

Historia szybko się rozniosła, a jej szczegóły nieustannie się zmieniały. Nie było dnia, żeby ktoś nie zaszedł do nas z nową wersją, tym razem na pewno prawdziwą. Nie miało jednak znaczenia, jaka jest prawda: wniosek pozostawał ten sam. Jeśli ryba przemówiła, wszystko to prawda. Aż strach pomyśleć. Nie było mowy, by zachowywać pozory pokuty w Jom Kippur, klepać modlitwy bez poczucia zaangażowania. Wszyscy wokół mnie byli szczerze poruszeni – tym razem brali to sobie do serca.

Też bym chciała wierzyć, że ryba przemówiła, ale z innego powodu. Nie chcę myśleć o swoich grzechach i karze, jaką Bóg dla mnie szykuje. Chcę się skupić na magicznym aspekcie zdarzenia, na cudownym świadectwie, które złożyła ryba, zanim wyzionęła ducha. Podobno karp został podany w domu handlarza jako ostatni posiłek przed postem, w galarecie uformowanej w kształt ryby.

Zajde nie wierzy w gadającą rybę. Mówi, że w dzisiejszych czasach Bóg już nie robi cudów, woli działać w zgodzie z prawami natury, by jego interwencje nie rzucały się nadmiernie w oczy. Jakkolwiek rozumiem powody jego sceptycyzmu wobec tej historii, nie zgadzam się z rozumowaniem Zajde. Dlaczego Bóg miałby nagle zaprzestać cudów? Bóg, który spowodował rozstąpienie się Morza Czerwonego i zesłał mannę z nieba, z pewnością nie stracił zamiłowania do dramatyzmu. Wolę wierzyć w reinkarnację niż w piekło. Idea życia po śmierci jest o wiele bardziej znośna, gdy powrót na ziemię jest możliwy.

Jak co roku Zajde pojedzie do New Square na Jom Kippur, tak jak zawsze, nawet bez całego zamieszania wokół gadającej ryby. Od dawna przyjaźni się z tamtejszym rabbim Skwererem. Zajde zastanawiał się nawet nad przeprowadzką tam, ale Bube się nie zgodziła. Powiedziała, że ma złe przeczucia względem tej wioski – która wówczas składała się z zaledwie dwóch rzędów podmiejskich domów na rubieżach hrabstwa Rockland. Miała rację. Teraz mają tam oddzielne, oznaczone kolorami chodniki dla kobiet i dla mężczyzn. Nie zniosłabym, gdyby przyszło mi mieszkać w miejscu, gdzie nie wolno by mi było chodzić po wszystkich chodnikach.

Bube i ja zostajemy na Williamsburgu i idziemy razem do szulu – to właściwie jedyny dzień w roku, kiedy galeria dla kobiet jest używana. Wszyscy spędzają dzień postu na modlitwach o zmiłowanie. Poszczenie nie jest moją mocną stroną, więc stanie przez cały dzień w bóżnicy nie odciąga mojej uwagi od ssącego uczucia głodu. Wszyscy dookoła pełni są szczerą skruchą i przerażeniem perspektywą, że cała ich przyszłość waży się tego dnia w niebie.

W szkole uczyli mnie, że jeśli nie odprawimy pokuty przed ostatnim dźwiękiem baraniego rogu, w który dmie się w Jom Kippur, Haszem sam wymierzy sprawiedliwość. Nie istnieje na tym świecie niezasłużona kara – podkreślały z emfazą nauczycielki. Bóg odmierza i wylicza każdą odrobinę cierpienia. Zaczynam rozumieć, dlaczego uważamy się za złych z natury – skoro tyle cierpimy, musimy być coraz gorsi. Ale Zajde i Bube to bodaj najpobożniejsi ludzie, jakich znam, a mimo to ich życie jest pasmem cierpień. Cóż takiego zrobili, by sobie na nie zasłużyć?

Bube tłumaczy mi, że dzisiejsze cierpienie jest inne niż dawniej. Dziś wystarczy,

że ktoś nie ma dobrego samochodu albo ładnych ubrań i zaraz narzeka.

– Gdy byłam dzieckiem, cieszyliśmy się, jeśli w domu było cokolwiek do jedzenia – wspomina. – Jedyne, co się liczyło, to że mieliśmy siebie nawzajem.

Mimo że Bube nie lubi wracać do przeszłości, czasem daje się namówić na opowiadanie o swojej matce. Miała na imię Chana Rachel; wiele moich kuzynek odziedziczyło po niej te imiona. Chana Rachel była piątym dzieckiem z siedmiorga rodzeństwa, ale do czasu, gdy wyszła za męża, zostało jej tylko dwoje. Gdy była mała, przez małe węgierskie miasteczko, w którym mieszkała, przeszła epidemia błonicy. Babcia Bube musiała patrzeć, jak jej dzieci umierały jedno po drugim, bo zaciskały im się gardła i tlen przestawał docierać do płuc. Czworo dzieci umarło. Gdy mała Chana Rachel też dostała gorączki i wysypki na skórze, moja zrozpaczona praprababcia zaczęła szlochać w głos i w szaleńczej furii wcisnęła córce pięść w gardło, rozrywając skóropodobne błony, które uniemożliwiały jej normalne oddychanie. Gorączka opadła, Chana Rachel wyzdrowiała. Prababcia wiele razy opowiadała tę historię swym dzieciom, ale z nich tylko Bube przeżyła, by opowiedzieć ją mnie.

Ta historia porusza mnie w sposób, którego nawet nie potrafię wyrazić. Wyobrażam sobie tę matkę siedmiorga dzieci jako cadekes, świętą, tak pełną desperacji, że zrobiłaby wszystko, by ratować swe dzieci. Bube mówi, że to jej modły sprawiły, że Bóg uzdrowił jej córkę, a nie fakt, że przebiła błony w gardle duszącemu się dziecku. Ja jednak widzę to inaczej. Widzę kobietę, która wzięła swoje życie we własne ręce, która coś zrobiła! Fascynuje mnie myśl, że była odważna, a nie pasywna.

Też chciałabym być taka – być kobietą, która dokonuje cudów własnymi rękami, nie czekając, aż Bóg się tym zajmie. W Jom Kippur mamrocę słowa modlitwy wraz z innymi, ale nie zastanawiam się, co one znaczą – i nie mam zamiaru błagać o zmiłowanie.

Skoro Bóg uważa, że jestem taka zła, niech mnie ukarze – myślę buńczucznie, zastanawiając się, co też na taką prowokację odpowiedzą niebiosy. „No, dawaj! – myślę, teraz jestem już wściekła. – Zobaczmy, na co cię stać!”

Jak Bóg może być racjonalny, skoro zsyła cierpienie na wszystkich bez wyjątku? Jaki jest sens modlić się do szaleńca? Lepiej się z nim bawić, rzucać wyzwanie, by zobaczyć, co ze mną zrobi.

Nagle zalewa mnie uczucie łagodnego spokoju, to tradycyjne oświecenie Jom Kippur, które podobno spływa jedynie na tych, których żal za grzechy został wysłuchany. Instynkt mówi mi, że nie jestem tak bezbronna, jak mnie przekonują niektórzy. W rozmowie z Bogiem nie muszę być bezsilna. Z moim urokiem i siłą perswazji może nawet uda mi się go nakłonić do współpracy.

W szkole słyszę plotki o żydowskiej „latającej bibliotece” na Williamsburgu, która otwiera się raz w tygodniu w prywatnym mieszkaniu; można z niej wypożyczyć dwie koszerne, ocenzurowane książki, wszystkie napisane przez żydowskich autorów. Przekonuję Zajde, żeby pozwolił mi tam pójść. Jeśli mogę wypożyczyć książki z koszernej biblioteki, nie będę musiała ukrywać ich pod materacem. Serce mi bije jak młot za każdym razem, gdy słyszę jakiś dźwięk za drzwiami mojego pokoju.

Gdy docieram pod wskazany adres, hall budynku jest pusty. Wjeżdżam chybotliwą

windą na czwarte piętro. Widzę, że drzwi z numerem 5N są lekko uchylone, światło z mieszkania zalewa ciemny korytarz. W środku kilka licealistek przegląda zawartość półek z książkami. Rozpoznaję jedną z dziewczyn, z prostymi czarnymi włosami, szeroką szczęką i brwiami wygiętymi w łuki ponad jasnozielonymi oczami. Mindy jest w tej samej klasie co starsza siostra Rajze, rok przede mną. Mówią, że jest najzdolniejszą uczennicą w całej szkole. Sama opowiada o sobie, że jest pisarką. Widzę, że wszędzie chodzi z notatnikiem. Gdy siedzi w stołówce, pisze w nim coś, pogryzając kanapkę trzymaną w lewej ręce.

Jeśli się przywitam, pewnie mnie nie pozna. W końcu jest o rok starsza. Dlaczego miałyby w ogóle ze mną rozmawiać?

Mindy wypożycza dwie grube książki i wychodzi w towarzystwie koleżanki. Tak bym chciała, żeby w mojej klasie był ktoś taki jak ona, ktoś, kto lubi czytać – choćby nawet tylko koszerne książki.

Zajde wraca do domu z *paszkewilin*, jedną z tych pełnych gniewu ulotek, które zaśmiecają ulice, adresowanych do nowych „artystów”, którzy ostatnio upodobali sobie Williamsburg. Nikt nie przypuszczał, że takie typy – ledwie przytomni od narkotyków, grający głośną muzykę, włóczący się ulicami w poszukiwaniu inspiracji – kiedykolwiek zamieszkają na Williamsburgu. Nikomu się nie śniło, że ktokolwiek poza nami chciałby żyć w tak paskudnej, zatłoczonej okolicy, gdzie cuchnąca woń unosi się znad rynsztoków.

– Zabierają nam naszą ziemię – lamentują rabini. Ogłosili zarządzenie o nieruchomościowym embargo. Nikomu nie wolno nic sprzedać ani wynająć tym *artisten*, czy też hipsterom, jak sami siebie nazywają. Jednak nagle znajdują się chętni zapłacić trzy razy więcej za surowe, zapuszczone rudery. Któż może im odmówić?

W proteście chasydzi wychodzą na ulice. Zbierają się przed wielkimi domami zamożnych handlarzy nieruchomościami na Bedford Avenue, potrząsają pięściami, rzucają kamieniami w okna.

– Zdrajcy! – krzyczą do nich. – *Nisht besser fan a goj!* Nie jesteście lepsi od gojów.

Ciekawa naszych nowych sąsiadów, tych tak zwanych artystów, wędruję na północny Williamsburg, w stronę brzegu rzeki, który najwyraźniej ich przyciąga. Z brooklińskich doków Navy Yard rozciąga się widok na całą panoramę Manhattanu, boleśnie jasną w świetle bezchmurnego dnia, błyszczącą jak klejnoty na szyi rzeki. Ten widok zapiera mi dech: to magiczne miasto jest tak blisko, a jednak tak daleko. Zastanawiam się, któż opuszczałyby tak wspaniałe Manhattan, żeby mieszkać tutaj? Co takiego ma do zaoferowania ta brudna dzielnica poza wolnością wtopienia się w getto, i to na własną prośbę?

Postanawiam wybrać się samotnie do miasta. W bibliotece przeglądam mapy – plany metra, autobusowe i zwykłe mapy, próbując wszystko zapamiętać. Boję się, że się zgubię; nie, może raczej że miasto wciągnie mnie jak ruchome piaski, że utonę w czymś, z czego nigdy nie zdołam się wydostać. Gdy pociąg linii J powoli, chybocząc, wjeżdża na rozklekotany wiadukt prowadzący na Williamsburg Bridge, spoglądam w dół na brudne, błotniste koloru dachy dzielnicy i wreszcie czuję, że jestem dość wysoko, by przezwyciężyć płytkość i miałość tego miejsca. Nie przypuszczałam, że opuszczenie jej sprawi mi taką przyjemność. Jest mi tak dobrze, że mam ochotę biegać w podskokach

przez wagon metra, skacząc radośnie od poręczy do poręczy.

W metrze F nie czuję się tak pewnie. Może dlatego, że jestem pod ziemią, choć bardziej prawdopodobne, że to z powodu dwóch chasydek w średnim wieku siedzących naprzeciwko. Mimo że ich krągłe, obwisłe twarze nie wyrażają żadnych emocji, wiem, że mnie osądzają, zastanawiając się, po co jadę sama do miasta. Nagle ogarnia mnie panika: co, jeśli mnie rozpoznają? Co gorsza, co, jeśli znają kogoś, kto zna mnie? Nie zniósłabym, gdyby tak było.

Wysiadam na następnej stacji i wychodzę na Czternastą Ulicę przy Union Square – przechodni plac pełen samochodów i pieszych, emanujący żywymi odgłosami klaksonów taksówek i autobusowych hamulców, z zapachem mięsa docierającym z budek ulicznych sprzedawców. Przez moment wszystkie te odgłosy, zapachy i widoki są tak intensywne, że przytłoczona nimi nie wiem, dokąd się zwrócić. Po chwili jednak zauważam szyld księgarni Barnes & Noble i zdesperowana ruszam w jego stronę, wiedząc skądś, że gdy tylko znajdę się wewnątrz, pośród książek, będę bezpieczna.

W księgarni pełno jest pięknie udekorowanych stolików z informacją, co chcę czytać, żebym nie musiała sama się dowiadywać – to działa na mnie kojąco. Nowe książki jakoś mnie nie pociągają: są zbyt kolorowe i krzykliwe. Chcę czytać historie z głębokiej przeszłości, z kobietami o smukłych nosach na okładce, odzianych w koronki i jedwabie. Myślę, że więcej mam wspólnego z postaciami ze starych powieści niż ze współczesnymi bohaterkami.

Decyduję się na zakup taniego wydania *Dumy i uprzedzenia* w miękkiej okładce. Pierwsze zdanie mnie wciąga: „Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”. Od razu wiem, o czym będzie ta książka – i nic nie ciekawi mnie tak bardzo jak małżeństwo i, co ważniejsze, wszystkie machinacje, jakie wiążą się z jego zawarciem. Nikt, kogo znam, nie chce nawet wspominać o zamążpójściu czy czymkolwiek z nim związanym w obecności młodej kobiety stanu wolnego. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam wszystkie stosowne fakty. Może ta książka mnie oświeci.

Duma i uprzedzenie okazuje się wyjątkowo wyśmienitym doświadczeniem czytelniczym. Począwszy od tego, że nigdy nie napotkałam książki napisanej tak niezwykle oficjalnym i eleganckim stylem. A jednak wydaje mi się to ekscytujące: wyszukane i trafne frazy dodają narracji suspensu i napięcia. To moje pierwsze spotkanie z prewiktoriańską Anglią. Mimo że moja matka urodziła się w Wielkiej Brytanii, ta powieść traktuje o kraju z zupełnie innych czasów – i jakkolwiek z początku wszystko wydaje mi się odmienne, szybko znajduję podobieństwa pomiędzy światem sióstr Bennet a moim własnym. Jak choćby nieustanne plotki i chytre kombinacje bohaterek nie są dla mnie żadną nowością. Czyż nie stanowi to rozrywki kobiet także i w moim świecie, w którym nieustannie obmawia się innych, choć w konfrontacji z osobami, których plotki dotyczą, starannie ukrywa się swoje zdanie pod płaszczykiem uprzejmości? Co za frajda, móc tak łatwo identyfikować się z Elżbietą i podzielać jej uczucia wywołane stosem oburzających niesprawiedliwości spotykających ją w społeczeństwie, w którym żyje. Wraz z Elżbietą wyśmiewam hipokryzję i umysłową ciasnotę, którą prezentują postacie uważające się za lepsze od niej.

Naprawdę niedaleko mi do bohaterki *Dumy i uprzedzenia*. Cała moja przyszłość także będzie zależeć od tego, jak korzystnie wydam się za mąż. W mojej społeczności status i reputacja są stawiane równie wysoko i oparte na równie trywialnych zasadach – z tą różnicą, że wśród wysoce cywilizowanych Brytyjczyków pozycja finansowa zdaje się stać na pierwszym miejscu, podczas gdy twarda waluta w mojej społeczności jest nieco bardziej duchowej natury. Nic nie jest dla mnie równie oczywiste jak myśli i wypowiedzi Elżbiety w kontekście frustracji, w której trwa od urodzenia. Może i w niej budzi gniew upokarzająca pozycja, w jakiej zawsze stawiane są kobiety, nieunikniona rola biernego przedmiotu, który jest obiektem wyboru dla mężczyzny, sprawującego w tej kwestii całą władzę. Musi być czymś poniżej jej godności dla kobiety o takiej inteligencji i dowcipie paradowanie przed choćby nawet najbardziej dostojnymi mężczyznami z nadzieją, że wzbudzi w nich choćby okrucieństwo zainteresowania. Jest dla mnie jasne, że Elżbieta wcale nie dba o to, czy uda jej się usidlić mężczyznę z majątkiem; w przeciwieństwie do innych kobiecych postaci powieści ona jedna wykazuje się niezależnością ducha, która zaskarbia jej moją sympatię. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam jej losy, bo w przedziwny sposób wydają mi się mocno powiązane z tym, co i mnie czeka.

Wracam do stron *Dumy i uprzedzenia* tak często, jak czas mi pozwala, ukradkiem czytając kolejne rozdziały, kiedy tylko mogę. W szkole udaję, że pilnie robię notatki, ale myślami jestem zupełnie gdzie indziej. Wiejska osada Netherfield ożywa w mojej wyobraźni, a twarze jej mieszkańców rumienią się pod spojrzeniem mojej myśli. Jakaż historia może mnie bardziej angażować niż losy młodej dziewczyny, wiekiem dojrzałej do małżeństwa, odrzucającej wybory, których dokonują za nią inni i walczącej o własną niezależność? Jakże to kojące móc myśleć, że dawno, dawno temu cały świat funkcjonował w ten sposób, że nie ja jedna jestem rozczarowana okolicznościami, w jakich się znalazłam. Gdybyż tylko Elżbieta mogła mi doradzić, wyjaśnić mi, jak taka rebelia, pełna wdzięku w książkowym świecie, może dokonać się w rzeczywistości.

To mój trzeci i ostatni rok w szkole średniej. Kończymy wcześniej, bo nie ma sensu marnować kolejnego roku na edukację, która jest nam zbędna. Nie dostaniemy stanowych nowojorskich świadectw maturalnych – tylko pretensjonalnie wyglądający kawałek pergaminu podpisany przez dyrektorkę i rabina. Szczerze mówiąc, i tak niepotrzebny mi dyplom maturalny, bo nigdy mi nie pozwolą pracować, no chyba że na którejś z kilku posad dostępnych kobietom w naszej społeczności. Przesłanie dla nas jest jasne: jakkolwiek wysiłek w celu dalszego edukowania się byłby tylko marnowaniem czasu.

Mimo to przez ostatni rok mamy okazję chodzić na zajęcia z angielskiego prowadzone przez panią Berger, najlepiej wykształconą nauczycielkę w całej szkole, która przyjeżdża codziennie aż z Queensu, z włosami upchniętymi pod wielkim, miękkim kapeluszem. Pani Berger ma dwa tytuły magisterskie i roztacza wokół siebie nieznośną dla wszystkich aurę wyższości. Wśród uczennic cieszy się szczególną niesławą, bo z niej zrzęda. Widziałam ją nieraz, jak przepychała się, rozdając kuksańce, przez zatłoczone szkolne korytarze, stukając ciężkimi obcasami po kaflach podłogi. Na jej twarzy maluje się wtedy obrzydzenie i irytacja. Skoro myśli, że jest za dobra, żeby tu pracować, zastanawiam się, dlaczego wraca rok po roku?

Gdy pani Berger wkracza do naszej klasy na początku roku szkolnego, spogląda na

nas z wyrazem znudzonej niechęci.

– No cóż – powiada – żadna z was nie napisze kolejnej Wielkiej Amerykańskiej Powieści, to jest pewne. – W jej głosie pobrzmiwa niechęć, ale słyszę pod nią także zmęczenie i rozczarowanie.

Mam ochotę natychmiast zakwestionować jej zdanie. Kim ona jest, żeby twierdzić, że żadna z nas nie napisze nigdy nic znaczącego? Czy jeśli nie piszemy książek, nie możemy być wielkimi Amerykankami? Czy czytanie znaczy mniej niż pisanie? Czy hebrajskie książki są mniej wartościowe od angielskich? Kim ona jest, żeby nas osądzać? Moje święte oburzenie zaskakuje mnie samą – zwykle to ja krytykuję u innych brak akademickich ambicji. Gdyby chociaż popatrzyła na mnie i powiedziała, że jestem wyjątkiem, zamiast wrzucać mnie do jednego worka z całą resztą, jak robią wszyscy z zewnątrz.

Pani Berger rozdaje broszurki skopiowane z książek do gramatyki, których nie wolno nam czytać, ocenzone ze względu na zakazane słowa.

– Moja zasada numer jeden: żadnych kolokwializmów, idiomów i eufemizmów – mówi, zwracając się przodem do tablicy z nowym kawałkiem kredy w ręce. Podkreśla każde słowo grubą białą kreską.

Nigdy wcześniej nie słyszałam żadnego z tych słów, ale z miejsca zakochuję się w tej twardej, karcącej kobiecie, patrzącej na nas pogardliwym wzrokiem. Uwielbiam ją za to, że rok po roku ciągle wraca do tej szkoły, oferując uczennicom zakres materiału lekcyjnego, do którego są marnie przygotowane, i nie mają dość dyscypliny, by go zgłębić – bo przez całe moje szkolne życie czekałam, aż ktoś powie mi coś, czego nie wiem.

Uwielbiam tę kobietę, która codziennie wkracza do klasy, rzucając świeże inwektywy naszej obojętnej gromadzie – bo dała mi dobrodziejstwo motywacji, bo postanowiłam udowodnić jej, że zasługuję na jej wysiłek. Jeśli choć jedna uczennica z trzystu, które pani Berger uczy każdego roku, z tysiąca, które uczyła przez ostatnią dekadę, traktuje ją poważnie, może uświadomi sobie, że jest tu ważniejsza i bardziej doceniana, niż jej się kiedykolwiek wydawało.

– Nikt nigdy nie dostał u mnie szóstki, i na pewno nie dostanie – oświadcza autorytarnie pani Berger. – Najlepszą oceną wszech czasów była szóstka z minusem, a i to zdarzyło się dwa lata temu i po raz pierwszy od czasu, jak zaczęłam tu uczyć piętnaście lat temu. – Wszyscy wiedzą, że mówi o Mindy. To ona jako pierwsza dostała tak wysoką ocenę u pani Berger.

Teraz jestem zdeterminowana, by dostać tę przez wszystkich pożądaną szóstkę. Słyszę, jak wokół mnie uczennice kręcą się zainteresowane. Wyzwanie, nieważne jakie, zawsze wywołuje podniecenie, przełamuje codzienną rutynę. Wszystkie jesteśmy zachwycone jego perspektywą.

Dostaję szóstkę tego roku, po paru miesiącach ciężkiej pracy. Gdy wreszcie widzę upragnioną cyfrę na wypracowaniu, które oddaje mi pani Berger, unoszę głowę i spooglądam na nią z triumfem:

– Widzi pani? Udało mi się! Mówiła pani, że nikomu się nie uda, ale ja dałam radę! – W moim głosie pobrzmiwa odrobina wyższości, bo w głębi ducha jestem

zachwycona, że mogę ją pobić jej własną bronią.

Pani Berger posyła mi puste spojrzenie, na jej twarzy ani śladu reakcji. Po chwili nagle wzdycha, ramiona opadają jej z rezygnacją – co mylnie odczytuję jako kapitulację.

– No i co? – rzuca w odpowiedzi, patrząc mi prosto w oczy. – Co zrobisz z tą szóstką, skoro już ją masz?

Nie rozumiem smutku, który maluje się na jej twarzy, gdy oddaje mi kolejne prace z najwyższą oceną, szóstka za szóstką. Wydaje mi się, że powinna być dumna, bo moje wyniki odzwierciedlają jej nauczycielskie umiejętności.

Ten rok w ogóle był dla mnie znakomity pod względem wyników w nauce, tak w angielskim, jak i w jidysz. Wiedząc, że to ostatnia szansa, wreszcie wzięłam się do roboty i dostałam świadectwo z samymi szóstkami, jakiego Zajde zawsze ode mnie oczekiwał. Ze zrozumiałych względów z obawą myślę o następnym roku; tylko dobre stopnie i referencje mogą mi pomóc dostać wymarzoną posadę nauczycielki angielskiego w podstawówce. Myślę, że gdybym w młodszym wieku miała za nauczycielkę samą siebie, zrobiłoby to gigantyczną różnicę – i że może jest gdzieś teraz jakaś dziewczynka, która chce wiedzieć więcej, niż jej pozwalają.

Mindy, która także uwielbiała czytać i pisać, dostała pracę – uczy przedmiotów świeckich w siódmej klasie. Wszyscy o tym mówią. To naprawdę szok: zakładano, że z racji swego pochodzenia Mindy, jeżeli zechce uczyć, wybierze raczej tematy religijne. Zastanawiam się, jak jej to uszło na sucho, jakim cudem jej rodzina zezwoliła jej pójść za głosem takiego powołania. Jej matka owija głowę w szpicel, spod którego wystaje tylko pasemko sztucznych włosów z przodu. Nawet Zajde nigdy nie wymagałby od Bube, żeby nosiła coś takiego: jego zdaniem peruka jest zupełnie wystarczająca.

Pod koniec wiosny muszę poprowadzić kilka pokazowych lekcji w ósmej klasie, by móc ubiegać się o pracę nauczycielki. Obserwatorkami są pani Newman, doradca do spraw programu nauczania, i moja ciotka Chaja, główna nauczycielka angielskiego. Wszyscy myślą, że mam tę posadę w kieszeni, bo moja ciotka jest dyrektorką podstawówki, ale moim zdaniem przeceniają jej wpływy. Jest tylko marionetką w rękach mężczyzn rządzących szkołą – jej władza jest pozorna, i właśnie dlatego nieco dla niej wstydliva. Bycie ekspertem z przedmiotów świeckich nie daje specjalnie powodów do dumy. Ciotka zaczęła od nadzorowania klas od pierwszej do ósmej, teraz zostawili jej tylko od szóstej do ósmej. Jest najlepszą nauczycielką angielskiego w szkole – a przez to najgorszą. Ona jedna nosi perukę nieprzykrytą ani czapką, ani chustką. Nie żeby jej peruka wyglądała jak prawdziwe włosy, ale zdaniem mężczyzn jest zbyt odważna. Nie chcą, by inne satmarskie dziewczęta nosiły peruki z podobną szczerością, bez udawania, że ich włosy są sztuczne.

Pod koniec sierpnia otrzymałam pismo ze szkoły – dostałam angaż, mam uczyć klasy szóste. Tygodniowo zarobię sto dwadzieścia osiem dolarów. Kupuję prostą spódnicę, granatowy wełniany blezer i pasującą do niego błękitną koszulową bluzkę. Do tego wybieram niskie skórzane pantofle na masywnych, kwadratowych obcasach, które głośno stukają na świeżo nawoskowanych posadzkach szkolnych korytarzy. Pamiętam ten budynek z czasów, gdy bałam się sprawujących władzę na korytarzach posiadaczek kluczy do skrzypiącej windy – pracownic szkoły, które na wszystko miały oko i łatwo im

było podpaść z byle powodu. Teraz ja też mam klucz do windy i nie muszę się wspinać po zatłoczonych schodach.

Uczennice patrzą na mnie z podziwem. Mam ledwie siedemnaście lat, ale z ich perspektywy góruję nad nimi, praktycznie dorosła, i prażę się w ostatnich promieniach świetlistego stanu pomiędzy dziecięcą niewinnością a okowami kobiecości.

Tak jak zawsze marzyłam, natychmiast zaprzyjaźniamy się z Mindy. Wreszcie jesteśmy na tym samym poziomie. Po zakończeniu zajęć chodzimy do pizzerii na Lee Avenue, siadamy przy stoliku ze styropianowymi kubkami gorącej kawy w zwiniętych dłoniach i rozmawiamy o pracy i polityce panującej w biurze. Powoli dociera do mnie, że i Mindy ukrywała się z książkami gdzie i kiedy tylko mogła, czytałyśmy sporo tych samych. Co bulwersujące, Mindy słucha nawet radia przez słuchawki – pokazuje mi, jak wyszukiwać stacje UKF na moim stereo, kręcąc gałką.

Znajduję Radio Disney na długich falach, 1560, trafiam na Lizzie McGuire śpiewającą *What Dreams Are Made Of* i natychmiast łapię bakcyła. Wygląda na to, że we wszystkich stacjach w kółko puszczają kawałek Wham! *Last Christmas*, mnóstwo cukierkowej Britney Spears, Backstreet Boys, jest i Shania Twain. Godzinami leżę na łóżku, nie śpiąc, ze słuchawkami na uszach, słuchając tych obcych, frywolnych piosenek, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Podoba mi się trance i muzyka elektroniczna. Mindy lubi pop dla nastolatków.

Chyba się zakochałam w Mindy. Piszę dla niej wiersze. Marzę o tym, by dać jej, czego tylko zapragnie. Kupujemy popcorn i mrożone koktajle, wysiadujemy na ławkach za blokowiskiem dla biedoty, gdzie nikt nie chodzi, bo boją się chuliganów, którzy kupują tam narkotyki. Przysiadamy skulone pod rusztowaniem i siedzimy tak, dygocąc z zimna, do czwartej nad ranem, po czym wracamy każda do swojego domu.

W któryś styczniowy szabas spada gęsty, puchowy śnieg i Mindy nie przychodzi z wizytą jak zawsze, więc spędzam całe popołudnie samotnie. W niedzielę rano dzwonię do niej i mówię:

– Spędźmy cały dzień w mieście. Wymkniemy się do metra J i zgubimy gdzieś na Broadwayu. Pójdziemy na film do IMAX-a. Co, jeśli nas ktoś zobaczy? Nie obchodzi mnie to. Zakryjemy twarze szalikami. Nikt nas nie pozna.

Jestem zachwycona tym, że Mindy, tak jak ja, jest impulsywna. Może nawet do przesady. Wsiadamy do metra na Manhattan i przez całą drogę, siedząc w wagonie, trzymamy głowy nisko, bojąc się, że ktoś nas może rozpoznać.

By dotrzeć do Lincoln Center, musimy brodzić przez na wpół roztopiony śnieg i wysokie zasy, ale cała wyprawa jest jak rewolucyjny przemarsz. Bileterka w kinie Sony pewnie myśli, że z nas dziwaczki: obie w długich spódnicach i beżowych rajstopach, z identycznie przyciętymi na pazia włosami spiętymi opaską. Szukam sali numer 2 i wreszcie chyba ją widzę, jest na samej górze szklanego budynku. Wchodzimy do małego pomieszczenia projekcyjnego z balkonem, czerwonymi kotarami i wyłożonymi aksamitem fotelami w tym samym kolorze. Od razu widzę, że to nie żaden IMAX, postacie w filmie nie są animowane jak na plakacie. Mindy zaczyna się obawiać, wydaje jej się, że to większy grzech oglądać film z prawdziwymi ludźmi. Ja też się boję – chyba swojej własnej śmiałości, ale byłoby głupio nagle teraz wyjść.

Film ma tytuł *Rzeka tajemnic*. Mały chłopiec zostaje porwany na oczach swoich kolegów i chyba przydarza mu się coś złego. Potem zostaje zamordowana dziewczyna. Ginie jeszcze wiele innych osób i wszyscy są pełni gniewu i tajemnic. To pierwszy film, jaki oglądam, i nie wiem jeszcze, po co w ogóle jest kino: czy to reprezentacja rzeczywistości, czy prawdziwe historie, czy tylko rozrywka. Mam poczucie krzywdy, ale i winy jednocześnie. Czy to dowód na to, że mój bunt przyniesie mi tylko przykrości? Gdy wychodzimy z kina, oślepią nas blask słońca, którego światło odbija się od zalegającego na ziemi śniegu. Stoję na rogu Broadwayu i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, mrużąc oczy od słońca i trzymając okrytą rękawiczką dłoń Mindy w swojej. Żadna z nas nie mówi ani słowa.

Po tym nie poszliśmy więcej do kina. Później, gdy próbuję przypomnieć sobie film, nie pamiętam twarzy aktorów – tylko ich ciała, naznaczone przecuciem. Nawet kiedy będę już starsza i naoglądawszy się innych filmów, będę mogła rozpoznać twarze hollywoodzkich znakomitości, nie będę w stanie przypomnieć sobie, jak w *Rzeczce tajemnic* wyglądał Sean Penn ani żadna z innych gwiazd. Ludzie w tym filmie wydawali mi się przerażająco prawdziwi. Nie mając żadnego punktu odniesienia pozwalającego zinterpretować ich głosy i ekspresję, byłam przekonana, że te postacie, uwięzione w koszmarnych obrazach, są tak samo realne jak Mindy i ja.

Pomyślałam sobie wtedy: może to i prawda, co mówią o świecie na zewnątrz. Co za koszmarna egzystencja, żyć w cieniu takiej przemocy. Kiedy dorosłam, uświadomiłam sobie, że niebezpieczeństwa pokazane w tym filmie istniały także w mojej społeczności, tyle tylko że w cieniu tajemnicy, w którym pozwalano im rozkwitać. Przywiodło mnie to do konkluzji, że społeczeństwo, które uczciwie mówi o istniejących w nim zagrożeniach, jest lepsze niż takie, w którym obywatele nie mają ani wiedzy o nich, ani szansy przygotować się, by się przed nimi bronić.

Jeśli jest się codziennie zmuszonym stawiać czoła własnym lękom, rozwiewają się one jak miraż widziany ze zbyt bliska. Być może fakt, że nieustannie mnie przed nimi chroniono, uczynił mnie bardziej lękliwą. Kiedy później ostrożnie zanurzyłam się w zewnętrzny świat, nigdy nie pozwalałam sobie zagłębić się w nim bez reszty. Gdy moje zmysły nie były w stanie go ogarnąć, zawsze cofałam się ku życiu, które znałam. Przez całe lata stałam w rozkroku pomiędzy tymi dwiema sferami – przyciągał mnie erotyczny świat po drugiej stronie, ale ostrzeżenia, brzmiące w mojej głowie jak dzwonki alarmowe, kazały się cofać.



W pogoni za celem

Cel, jaki postawiła teraz przed sobą, był zupełnie zrozumiały u biednej i ambitnej dziewczyny, ale środki, jakie obrała, by go osiągnąć, nie były najlepsze.

Louisa May Alcott, *Małe kobiety*^[6]

Swatka dzwoni teraz niemal co wieczór. Wiem to, bo kiedy Zajde odbiera telefon, idzie na dół, by porozmawiać w ciszy swego biura; za każdym razem, kiedy ja odbieram na górze, milknie i mówi „halo? halo?” tym swoim drżącym i zmęczonym głosem, aż zmuszona jestem odłożyć słuchawkę, bardzo ostrożnie, by nie usłyszał jej kliknięcia. Bube rozciąga kabel telefonu aż do łazienki, gdzie się zamyka i odkręca kran, by dźwięk wody zagłuszał, co mówi; udaje, że to jedna z jej córek dzwoni, by pogadać. Czy oni myślą, że nie wiem, co jest grane? Mam siedemnaście lat. Wiem, jak to działa. Wieczorem Bube i Zajde rozmawiają cicho w kuchni i wiem, że dyskutują o kandydatach na mego męża.

Zajde chce kogoś pobożnego, z mocnymi korzeniami w satmarskiej rodzinie, kogoś, z kim relacja dałaby mu powód do dumy. W końcu w małżeństwie chodzi o reputację. Im lepszy kandydat, tym bardziej wzrośnie prestiż rodzinnego nazwiska. Bube chce chłopaka, który nie będzie się gapił w ziemię, rozmawiając z nią, jak ten *farfrumte* chłopak, za którego wyszła moja kuzynka Kaila: jest tak pobożny, że nie rozmawia nawet z własną babcią, bo ona jest kobietą. Ja chcę kogoś, kto pozwoli mi czytać książki, pisać opowiadania, jeździć metrem na Union Square, żeby posłuchać ulicznych grajków. Mindy jest ciągle w kolejce do małżeństwa za swoim dwudziestoczteroletnim bratem i wie, że ma czas, co najmniej dwa lata, ale ja nie mam nic, co odroczyłoby decyzję. Mindy myśli, że wyjdę za kogoś nowoczesnego, może nawet kogoś, kto także w ukryciu słucha świeckiej muzyki z radia, kogoś, kto ogląda filmy i chodzi na kręgielnię jak ci nowocześni ortodoksi z Borough Park.

Mam teraz więcej swobody, niż miałam w czasach szkolnych. Pracuję, co oznacza, że przysługuje mi prawo do spędzania czasu bez niczyjego nadzoru, bez konieczności tłumaczenia się, co robię. Mogę spotykać się z innymi nauczycielkami, by przedyskutować program przyszłych lekcji; mogę chodzić na zakupy po przybory szkolne. Mam wrażenie, że naprawdę zapracowałam sobie na pewnego rodzaju zaufanie. W ostatnim roku szkoły miałam dobre stopnie, wylądowałam na prestiżowej posadzie i wygląda na to, że jestem dokładnie taką osobą, jaką Zajde i Chaja chcieli we mnie widzieć. Myślą, że to ich zasługa, że wyszłam na ludzi. Najwyraźniej moje szanse na korzystne zamążpójście poważnie wzrosły wskutek tak pozytywnych zmian – i jakkolwiek nie mogę oceniać bieżących wydarzeń, odczuwam nagły powiew ekscytacji wokół mojej osoby. Wszystkie te spojrzenia, rozmowy przyciszonym głosem dowodzą jasno, że dojrzałam do tego, by przydarzyło mi się coś pomyślnego. Nigdy nie byłam tak samoświadoma. Gdy patrzę w lustrze na moją niemal dorosłą twarz, obramowaną włosami cieniowanymi jak u dojrzałej kobiety, przepelnia mnie uczucie bycia kimś

ważnym. Czyż to nie najlepszy czas w życiu dziewczyny, gdy cały wszechświat zdaje się nosić w swym łonie tajemnicze możliwości? W świecie niewiadomych mogą się wydarzyć nawet największe cuda. Ekscytacja błędnie, gdy zapadają decyzje.

Nie interesują mnie szczegóły ożywionych dyskusji, które moi dziadkowie i krewni prowadzą na temat mojego zamążpójścia. Jestem świadoma, że wiedza i tak się nie liczy: wszystko, co bym z niej miała, to niepewność i nerwy, które doprowadziłyby mnie do obłędu. Co ma się stać, stanie się tak czy inaczej – wypełni się wola mojej rodziny. Jedyne, co mogę zrobić, to mieć z tego tyle radości, ile tylko zdołam.

Zajde nie robi już inspekcji w moim pokoju jak dawniej. Mogę czytać, nie obawiając się aż tak, że mnie nakryją. Teraz chodzę do Barnes & Noble i kupuję książki w twardej oprawie za własne ciężko zarobione pieniądze. Pierwszym zakupem są książki, które już czytałam w bibliotece i dobrze wspominałam. Niedawne wydanie *Małych kobietek* – tak bardzo różne od zniszczonego egzemplarza, który trzymałam w rękach parę lat temu – leży pomiędzy dwoma halkami w najniższej szufladzie komody. Gdy byłam młodsza, zachwyciły mnie przygody pełnych energii siostr, teraz jednak, przy powtórnej lekturze, czuję lekkie ukłucie w sercu, rozumiejąc, z jakimi problemami naprawdę zmagają się Jo. To kobieta, która nie potrafi się wygodnie wpasować w swoje czasy; kobieta, której jej własne życie i przeznaczenie wydają się nienaturalne. Jakaż kłątwa ciąży na wszystkich tych postaciach z kart książek mojego dzieciństwa. Nieustannie zmagają się z brzemieniem absurdu; presja społeczeństwa, pragnącego wyprostować ich skrzywione charaktery, jest jak uczucie spętania zbyt ciasną sukienką, z której usilnie próbują się uwolnić. Rzecz jasna, ja także dam się ułagodzić i poskromić społeczeństwu – tak samo jak Jo pozornie dała się utemperować. Jeśli lektura tej książki niesie jakąś obietnicę, jest ona taka, że ostatecznie wszyscy znajdą sposób, by się jakoś dopasować do swojego świata, nawet jeśli obydwie strony w tej walce będą musiały z czegoś zrezygnować.

Może i ja zdołam sobie wykroić jakąś niszę w świecie, z którym zawsze byłam na bakier. Teraz, gdy – jak Jo – zmieniłam się i dorosłam, mogę być sobą, pozostając przy tym przyzwoitą młodą kobietą. W końcu to powiew miłości i małżeństwa uczynił Jo damą, przed czym tak długo się wzbraniała. Może i mój temperament w magiczny sposób złagodnieje.

We wtorek wracam z pracy kwadrans po czwartej; na zewnątrz już się ściemnia, niebo znaczą smugi chmur, szarych z odcieniem fioletu, różowawa poświata obrysowuje szczyty nagich gałęzi. Bube czeka na mnie w drzwiach. W jej gestach, gdy wprowadza mnie do środka, widać pośpiech, głos jej drży, pobrzmiewa w nim roztargnienie.

– Gdzie byłaś tak długo, *mamale*? Późno już, zaraz musimy iść, *sznell*, weź prysznic, *mamale*, i uczesz się ładnie. Włóż granatową garsonkę.

Jestem zdezorientowana. Czy mamy dziś wieczorem jakąś uroczystość, o której zapomniałam? Ślub kuzynki czy może bar micwę?

– *Nu, nu, mamale*, zrób szybko, zrób prysznic, no już! – Kiedy Bube jest rozkojarzona, tłumaczy żywcem frazy ze swego rodzimego węgierskiego, co brzmi bardzo dziwnie.

Czekam, aż wytłumaczy, o co chodzi, ale babcia nie odzywa się więcej. Robię, co mi kazała.

Gdy wychodzę spod prysznic w swoim zapinanym na suwak niebieskim szlafroku, z ręcznikiem zawiniętym na mokrej głowie jak turban, dzwoni telefon. Bube trzyma słuchawkę bardzo blisko ust i przykrywa je dłonią, tak że nic nie słyszę. Przez chwilę mamrocze coś do telefonu, potem rozłącza się i robi minę, jakby się nic nie stało, a ja udaję, że w to wierzę. Gdy ubieram się w swoim pokoju, puka i mówi przez zamknięte drzwi:

– Dewojre, spotykamy się z kimś o szóstej. Wysusz włosy suszarką, włóż granatową garsonkę i perłowe kolczyki. Malujesz się? Nałóż troszkę makijażu. Nie za dużo, tylko podkład i odrobinę różu.

Wie, że mam kosmetyki, widziała mnie z makijażem, mimo że staram się, by ledwie go było widać.

– Z kim to spotkanie? – wołam z pokoju, pośpiesznie zapinając bluzkę.

– Szukamy ci kandydata na męża, spotykasz się z matką i siostrą tego chłopaka. Ciotka Chaja i wuj Towje cię zawiozą. Przyjeżdżają za godzinę.

Nieruchomieję w połowie operacji upychania bluzki w spódnicę, z ręką jak przyklejoną u boku. Moje pierwsze „spotkanie”. To pierwszy krok w każdym *sziduch*, wiem o tym. Spotykasz się z potencjalną teściową, a może i szwagierką, potem chłopak robi to samo. Jeśli obie strony są zadowolone z tego, co zobaczą, przedstawiają sobie dziewczynę i chłopaka.

Chcą się upewnić, że jestem ładna, nie za tłusta, nie za niska i niezdeformowana w jakiś straszny sposób: to tak naprawdę cel tego spotkania. Na tym etapie już zebrali wszelkie możliwe informacje na mój temat. Teraz chcą zobaczyć, jak się ubieram, czy dobra ze mnie dziewczyna. Wiem o tym, wiem, jak się w to gra. Gdy włosy wyschną, robię przedziałek pośrodku i zaczesuję je z obu stron za uszy – to wyjątkowo *aidel* fryzura, tak się czeszą wszystkie naprawdę dobre dziewczyny. Rozsmarowuję na twarzy podkład pod makijaż, od którego moja skóra nabiera pomarańczowego odcienia. To tani podkład z apteki; nie wiem, gdzie dostać kosmetyki w lepszym gatunku. Nakładam róż Cover Girl małym, płaskim pędzelkiem, który jest w pudełku; na kości policzkowej zostaje różowa smuga, którą muszę z furią rozetrzeć palcami, by wyglądała naturalnie. Ostatecznie jednak ledwie widać, że się umalowałam. Twarz mam stosownie bez wyrazu, rozświetloną jedynie połyskiem perłowych kolczyków.

Spotykamy się w supermarkecie Landaua, wewnątrz oświetlonym białymi świetlówkami, w blasku których moja twarz wygląda blado i niezdrowo. Nerwowo kręcę skrytymi w rękawiczkach palcami, gdy wchodzimy do środka. Ciotka Chaja próbuje dodać mi otuchy.

– Porozmawiamy tylko parę minut. Nie musisz wiele mówić, one chcą tylko zobaczyć, jak wyglądasz i czy jesteś miła w obejściu, zaraz potem sobie pójdziemy. Nie chcemy urządzić sceny w sklepie; nie chcemy, by ktoś się zorientował, co się dzieje.

Założę się, że i tak wszyscy się połapią. Jestem zdenerwowana. Na szczęście to wtorek, a nie dzień przedsabasowych zakupów, kiedy w sklepie jest tłum ludzi. Mniej się muszę martwić, kto i co zobaczy. Przez chwilę patrolujemy alejki, ale nie widzę nikogo, a już zwłaszcza pary, matki z córką, które mogłyby być tymi, na które czekamy. Alejka z mrożonkami lśni jasno. Rzędy zamrażarek obramowanych stalą mają

zaparowane szyby, widzę w nich swoje odbicie i nie rozpoznaję tej dziewczyny o bladych, zaciśniętych ustach i oczach bez wyrazu. Świeżo nawoskowana winylowa podłoga pod moimi stopami wydaje się niebezpiecznie śliska. Zbieram paproszek z klapy płaszcza, przyklepuję niesforne włosy, ugniatam policzki, by się bardziej zaróżowiły.

Moja przysłała teściowa czeka w alejce z wyrobami papierniczymi. To niewysoka, chuda kobieta o zaszuszonej twarzy i ustach tak wąskich, że wyglądają jak kreska narysowana ołówkiem na jej twarzy. Serce mi się ściska, gdy zauważam, że nosi szpicel, płasko i ciasno uwiązany wokół czaszki. Na plecy spływają jej końce zawiązanej pod szyją w wielką zgrabną kokardę lśniącej chustki z szarej satyny, haftowanej w różowe kwiatuszki. Nakrycie jej głowy jest dwa razy większe niż sama głowa, która wygląda, jakby niebezpiecznie balansowała na czubku drobnej sylwetki. Jej córka – śniada, o myszowatych włosach – jest jeszcze niższa od matki, ma kwadratową twarz i małe, przymrużone oczy. Drapieżne zęby wystają z jej ust, nawet przymkniętych. Gapi się na mnie bez mrugnięcia okiem. „Co też sobie myśli?” – zastanawiam się. „Czy jestem dość ładna jak dla jej brata? A ty? Kto się z tobą ożeni, skoro tak wyglądasz?” – ta myśl napęla mnie uczuciem niejakiego triumfu. Spoglądam na nią z całkowitym spokojem.

Chaja wymienia parę słów z kobietą w szpiclu, ale nie słyszę, co mówią. Zastanawiam się, czego mogę oczekiwać po chłopcu, który ma tak szpetną siostrę i tak pospolitą matkę? Nie żebym była wyjątkową piękną, ale ci ludzie wyglądają w moich oczach jak wieśniacy. Nie do tego jestem stworzona. Czy Chaja to w ogóle rozumie?

Przechodzony wielki lincoln czeka na nas przed supermarketem. Wślizguję się do środka i przesuвам na sam tył, odwracając głowę w stronę magazynów stojących rzędem na nadbrzeżu East River i świateł Williamsburg Bridge migocących ponad nimi. Mój oddech osiada mgiełką na szybie. Wycieram wilgotne placki skórzaną rękawiczką. Chaja podaje kierowcy adres i słyszę, jak poprawia spódnicę i przód peruki. Zawsze musi wyglądać perfekcyjnie, nawet jeśli nikt nie patrzy. Nie spoglądając w jej stronę, wiem, że ma idealnie proste plecy, wysunięty podbródek, a ścięgnięta jej szyi drżą od napięcia.

Z własnej woli nie powie mi tego, co tak jestem ciekawa usłyszeć, a ja jestem zbyt dumna, by pytać. Przez wszystkie te lata Chaja robiła, co mogła, bym czuła wstyd, okazując jakąkolwiek słabość. Emocje jej zdaniem są słabością. Nie wolno mi absolutnie nic odczuwać; nie wolno mi przywiązywać wagi do tego, co się ze mną stanie. Dopiero gdy taksówka skręca na rogu Penn Street, Chaja mruczy do mnie cicho:

– Jeśli będą jakieś wieści, to ci powiem.

Nawet nie odpowiedziałam. W domu Bube jest już w łóżku, a Zajde ciągle studiuje Pismo w synagodze. Rozbieram się, starannie układając ubrania na skrzyni stojącej w nogach łóżka. Przez moment klęczę tam, szorując kolanami o różany dywan i trzymając w ręku szalik w kratę, leżący na szczycie sterty. Chaja mi go kupiła, pasuje do nowego płaszcza. „*Kalla maidel* musi mieć ładne ubrania – powiedziała mi. – To znak, że nadajesz się do zamążpójścia”. Przez całe swoje życie nie byłam tak rozpieszczana zakupami nowych, pięknych rzeczy. Teraz mam zgrabną nową torebkę, włoskie buty z prawdziwej skóry, perłowe sztyfty w uszach, srebrny naszyjnik z wisiorkiem z moim hebrajskim imieniem. Przez całe dzieciństwo marzyłam o drobiazgach, jakie zawsze nosiły moje koleżanki, ale nie śmiałam o nie poprosić, i z pewnością nikt nie zadałby sobie trudu, by

na moją prośbę odpowiedzieć. Jednak przez ostatnie sześć miesięcy nagle obdarowano mnie wszystkimi wymarzonymi skarbami, które tak pragnęłam mieć jako dziecko – i po co to wszystko? Podejrzewam, że nagle chcą, żebym wyglądała jak trzeba. Albo żebym nabrała słodyczy. Jeśli to ostatnie jest przyczyną tej nagłej hojności, nawet nie chce mi się o tym myśleć: w głębi ducha wiem, że skłaniam się, jak dziecko, ku cukierkowi, którym dyndają mi przed nosem. Przyznaję, to podniecające nagle być obiektem troski i uwagi. Chyba rozprasza mnie to tak, że nie myślę o niczym innym.

Gdy nazajutrz wracam z pracy, nikogo nie ma w domu. Światła pogaszone, lodówka przeraźliwie pusta. Na obiad jem kiszane ogórki z chlebem; jestem zbyt podekscytowana, by czytać. Leżę w łóżku, rozmyślając, jakże szybko nadszedł ten moment. Zawsze wydawało się, że tak do niego daleko, a oto jest – każda chwila i każdy oddech przybliżają mnie do krawędzi przepaści, w którą niechybnie się stoczę. Zasypiam wcześniej i śnią mi się konie galopujące nad rozpadlinami. Przemykające cienie przejeżdżających ulicą pojazdów i stukot pociągu na wiadukcie budzą mnie od czasu do czasu, jak tętent kopyt rozlegający się i cichnący w mojej głowie. Głośne skrzypnięcie hałaśliwych drzwi wejściowych wyrwa mnie ze snu. Po chwili drzwi zamykają się z brzękiem i słyszę kroki Zajde i Bube na schodach; a potem dźwięk zamykanych zamków: zasuw, dolny zamek pod klamką, w końcu łańcuch. Już po północy. Słyszę głos Bube, ale nie rozumiem, co mówi. Zasypiam z powrotem, zanim dziadkowie dojdą na górę.

W czwartek rano nikt mi nic nie mówi, a ja jestem zbyt dumna, by zapytać wprost. Ale Chaja dzwoni do mnie do pracy i informuje mnie, że mam *b'szoł* dziś wieczorem.

– Włóż najlepszą sukienkę i o nic się nie martw – mówi mi. – Wszystko będzie dobrze. Wczoraj wieczorem z Zajde i Bube poznaliśmy chłopaka. Pojechaliśmy do Monroe, by się z nim spotkać. Bardzo miły. Czy myślisz, że przedstawilibyśmy ci kogoś?

Chcę zapytać, jak wygląda, ale oczywiście nic nie mówię. Wychodzę z pracy wcześniej. W drodze do domu stąпам elegancko, jak przystało na *kallę maidel*, i zastanawiam się, czy ktoś się zorientuje. Gdyby ludzie wiedzieli, że wieczorem mam *b'szoł*, inaczej by na mnie patrzyli: przechodnie przyglądaliby mi się uważniej, być może doradzali coś, spluwali na złe oko.

Przypomina mi się kobieta w szpiclu z delikatesów i znowu podupadam na duchu. Próbuję sobie wyobrazić, jak może wyglądać syn tej kobiety – oczami wyobraźni widzę przysadzistego człowieka z zaokrągloną brodą, być może z kasztanowymi włosami o rudych pasemkach. Widzę szerokie nozdrza, małe, blisko osadzone oczy i niepewny krok na krzywych nogach. Typ ojca rodziny, ale jak młody chłopak może na takiego wyglądać? Mimo to nie mogę wyrzucić z myśli tego obrazu; powraca w mojej głowie pod prysznicem i namydlam ciało z takim namysłem, jakby ten brodaty mężczyzna mi się przyglądał.

Próbuję zmusić swoje proste, przycięte do ramion brązowe włosy, by dały się zakręcić na lokówce. Dziwi mnie, jak zwyczajnie wygląda moja twarz w lustrzanym odbiciu. Dla mnie, tak niezwykłej duszy, katuszą jest mieć pospolitą twarz – płaską, o małych ustach i ciężkich powiekach, której połowę z każdej strony zajmują policzki.

Gdy mnie zobaczy, czy w ogóle zauważy, że jestem cudowną osobą? Czy będzie mnie chciał? Postanawiam go oczarować.

Gdy Bube wraca do domu z Aishel i widzi mnie gotową, kiwa głową z aprobatą.

– Wyglądasz jak elegantka – mówi, z węgierska wymawiając to słowo. – Takie *cinusz laba*.

Bube zawsze przechodzi na węgierski, kiedy się wzruszy. Jak zawsze powtarza, *cinusz laba*, czyli smukłe damskie łydki, to skarb. Wyjmuje z szuflady biurka złoty naszyjnik-obrożę i wręcza mi go.

– Miałam go na sobie w dniu mego ślubu. To podarunek od mojej *tante* Dewojre, na cześć której dostałaś to imię. Powinnaś go założyć dziś wieczór.

Nigdy wcześniej nie miałam prawdziwej złotej biżuterii. Delikatnie zapinam naszyjnik wokół szyi i poprawiam tak, by sam środek wypadał tam, gdzie byłoby widać zagłębienie między obojczykami, gdyby nie zasłaniał go skromnie golf jasnoniebieskiego swetra. Zajde wchodzi na górę, by się przebrać. Bube przygotowała już dla niego i ułożyła na sofie najlepszą gabardynową marynarkę. Dziadek wkłada świeżo wyglansowane szabasowe buty i swój nowy sztrajmel. Cieszy mnie, że włożył ten nowy. Wcześniej występował w nim tylko na ślubach. Najwyraźniej uważa, że to bardzo ważna okazja, skoro wbrew swej naturze przywiązuje tyle uwagi do wyglądu. Chaja i Towje przybywają o wpół do siódmej – Chaja zawinięta w swoją najlepszą szabasową chustę, z policzkami zaróżowionymi od szczypania i w swej najbardziej złocistej blond peruce. Włosy ma polakierowane i ułożone nad czołem w wysoką falę. Z niepokojem wyglądam własne włosy. Może też powinnam była je polakierować?

– Gotowa? – pyta radośnie.

– Dokąd idziemy? Myślałam, że *b'szoł* będzie tutaj, w salonie – dopytuję.

– Nie, *mamale*, idziemy do Chawki, u niej jest więcej miejsca. – Bube narzuca na ramiona kożuszek. – Wszyscy są gotowi.

Dom ciotki Chawki jest tylko pięć przecznic dalej, więc Towje nie musi nas wieźć samochodem. Ależ musimy wyglądać, maszerując piątką ramię w ramię; zajmujemy całą szerokość chodnika. Ramiona trzymam sztywno, by uniknąć zimna, i wsuwam dłonie w rękawy palta, robiąc z nich mufkę chroniącą ręce przed styczniowym chłodem. Wszyscy maszerują z taką determinacją, muszę dotrzymać im kroku i postarać się, by moje rozbrzmiewały równie pewnie – tup, tup, tup – ale gdzieś w połowie Marcy Avenue odwaga mnie opuszcza, zaczynam trząść się z zimna i słyszę, jak odgłos moich obcasów traci równy rytm.

Jeszcze tylko jedna przecznica. Co, jeśli tamci już przyszli? Co będzie, jeśli kolana ugną się pode mną, jak tylko wejdę do salonu? Już widzę dom ciotki Chawki, z frontowych okien sączy się jasne światło. Jestem pewna, że nogi mi dygocą, ale gdy spoglądam na łydki, te ani drgną. Przez moment podziwiam swoje smukłe kostki, ale po chwili czuję, jak gorycz napływa mi do gardła. Postanawiam nie patrzeć wprost na niego, mojego przyszłego chassana. Ponieważ jednak nie wiem, gdzie on będzie, gdy dotrę na miejsce, nie wolno mi podnieść wzroku ani patrzeć nikomu prosto w oczy. Muszę wbić spojrzenie w podłogę i udawać skromność.

W domu Chawki jest ciepło, a żółte światło wiszących na ścianie kinkietów

rozjaśnia wnętrza.

– Jeszcze nie przyszli – mówi Chawka z okna, zawinięta w koronkową firankę, skrywającą jej twarz przed wzrokiem przechodniów. Ciągłe jednak rzuca cień, co nieuniknione; jej sylwetka prześwieca przez półprzejrystą zasłonę. Mam ochotę jej powiedzieć, żeby sobie poszła, bo nie chcę, żebyśmy sprawiali na gościach wrażenie tak podekscytowanych, że ledwo możemy usiedzieć na miejscu.

Przysiadam obok Chai na brzegu skórzanej kanapy i czekamy. Nie powiedziałam ani słowa, odkąd wyszliśmy z domu, i wiem, że nie ma potrzeby, bym coś teraz mówiła – ale mimo to odwracam się do ciotki i niemal szeptem pytam, czy zostanie przy mnie przez parę minut, kiedy tamci już przyjdą, bo nie chcę od razu być z nim sam na sam – muszę się zebrać w sobie, nie mogę znieść myśli, że od razu zostanę sama. Głos łamie mi się trochę, zdradzając zdenerwowanie.

Rozlega się krótkie, głośnie pukanie do drzwi i pełna niepokoju Chawka biegnie otworzyć, przyglądając po drodze perukę. Jej ciemne oczy błyszczą, uśmiech na twarzy jest szczery – tymczasem mój jest nerwowy i drżący, a gdy nie myślę cały czas o tym, by utrzymać go na twarzy, umyka ku kącikom ust. Nie widzę, co się dzieje w głębi przedpokoju, ale zanim głosy wypełnią cały dom, słyszę ciężkie kroki grupy ludzi, przyciszone szept, odgłos podeszew szurających na wycieraczce.

Jako pierwszą rozpoznaję kobietę w szpiclu, którą będę nazywać *szwiger*, teściową, i jej męża, równie niskiego, ze zwisającą siwą brodą i zimnymi jak szklane kulki oczami skrywającymi się w cieniu zmarszczonego czoła. Ani śladu ich córki, co przelotnie zauważam z odrobiną ulgi. Przez moment między kobietą i mężczyzną miga płaski, aksamitny kapelusz, szerokie rondo plotczika, zasłaniające twarz, którą chcę zobaczyć, nie zdradzając się z tym jednak.

Plotczik! – stwierdzam nagle ze zgrozą. Nie wysoki bobrowy kapelusz, jaki nosi mój wuj, ani nawet nie taki *krach hit* jak mojego Zajde – ale plotczik! Jak to możliwe, że nikt nie zauważył? Paniczna myśl przebiega mi przez głowę i wypełnia ją całkowicie. Plotczik, szeroki, płaski aksamitny kapelusz z ledwie dostrzegalnym rondem, to znak rozpoznawczy aronity, zwolennika Aarona, najstarszego syna rabbiiego. Zajde nigdy nie wydałby mnie za aronitę! Cała nasza rodzina to oddani zalmanaici. Wierzymy, że to Zalman Leib, trzeci syn rabbiiego, jest prawowitym dziedzicem satmarskiej dynastii. Powinnam była coś podejrzewać, biorąc pod uwagę, że ta rodzina pochodzi z wioski Kiryas Joel, gdzie dziewięćdziesiąt procent mieszkańców popiera Aarona. Ale nigdy mi to do głowy nie przyszło. Mimo że Zajde nie wpuszczał polityki za próg swego domu, a przy stole nigdy nie dyskutowało się o konflikcie między braćmi, jasne było, że Zajde nie popiera Aarona ani jego ekstremistycznych poglądów. A teraz chce mnie wydać za męża za aronitę?

Jestem bardzo wzburzona, ale nie mogę nic powiedzieć, nie teraz, gdy wszyscy są tutaj i patrzą na mnie. Chłopak, jak na skromnego studenta jesziwy przystało, składa dłonie na przeciwległych rękawach swego czarnego surduta i siedzi przygarbiony, ze spuszczoną głową. Widzę, że pejsy ma jasnoblond, lśniące i zwinięte w grube loki, zgrabnie przycięte na wysokości podbródka. Kołyszą się lekko przy każdym jego ruchu.

Widzę, jak czubek jego języka wysuwa się z wahaniem i dyskretnie przebiega po

brzegu bladuróżowych ust, by zaraz zniknąć, jakby nigdy się nie pokazał. Widzę złotawy meszek porastający kościstą szczękę – nastoletni meszek na twarzy mężczyzny, o którym wiem, że ma dwadzieścia dwa lata. Mało prawdopodobne, by go przycinał, więc pewnie z natury jego zarost jest słaby. Wiem, że ma na imię Eli – tak samo jak wszyscy chłopcy w jego wieku, jak pierwszy i najwspanialszy satmarski rebe, nieżyjący, gdy o jego tron walczy skłócona przez chciwość i pożądlivość rodzina. Ich swary toczą się dziś w świeckich sądach – a to, jak mówi Zajde, *szanda* i *czillul Haszem*, wstyd i obraza boska. (Dziadek podnosi głos, gdy jest wzburzony i wali pięścią w stół, aż drży stołowa porcelana, a kieliszki kiwają się od wibracji). Zajde nie znosi, gdy ludzie wynoszą prywatne brudy na publiczny widok. Mówi, że kiedy w końcu zapadnie wyrok i ogłoszą zwycięzcę, ten nie będzie już miał czym rządzić. Satmarowie będą publicznym pośmiewiskiem. Może i ma rację, ale ja mam to w nosie. Nie czuję się satmarką. To nie jest w mojej krwi, nie znaczy mojego DNA. Jeśli zdecyduję, że chcę odrzucić tę etykietkę, na pewno będę mogła to zrobić.

Zastanawiam się, czy Eli czuje się satmarem, czy uważa, że ma to we krwi i nie może się nigdy tego pozbyć. Zapamiętuję sobie, by go o to zapytać, gdy będziemy sami. To nader śmiałe pytanie, ale mogę je opakować w niewinne słówka. Muszę go wyczuć, zobaczyć, czy ma własne zdanie na temat świata, w którym żyjemy, czy tylko papuguje to, co usłyszy od innych. Mogę nie mieć nic do powiedzenia w kwestii swojego zamążpójścia, ale przynajmniej chciałabym wejść w ten układ uzbrojona w tyle wiedzy i siły, ile tylko zdołam zgromadzić.

Tłoczmy się wszyscy w niewielkiej jadalni Chawki, sadowiąc się tak, żebym ja była dokładnie naprzeciwko Eliego, Chaja po mojej prawej, a Bube po lewej stronie. Zajde przewodniczy zgromadzeniu u szczytu stołu; mój przyszły teść, Szlomo, siedzi po jego prawicy z żoną u boku, a Chawka na wylocie próbuje poczęstować wszystkich linzertorte i wodą sodową. Sztywne, pokryte aksamitem siedzenie mojego krzesła wydaje się bardzo twarde.

Jak to jest w zwyczaju, Zajde i mój przyszły teść wymieniają *dwar Tora*, przekomarzając się niegroźnie o wykładnię fragmentu Tory czytanego w tym tygodniu. Przyglądając się temu, czuję wyraźny przyływ dumy, że Zajde ma w tej sytuacji duchową przewagę. Czy jest gdzieś człowiek bardziej uczony niż mój dziadek? Nawet satmarski rebe uznał go za talmudycznego geniusza. Obserwując uważnie jego pozbawioną wyrazu twarz i strzelające na boki oczy jak paciorki, dostrzegam, że mój przyszły teść to człowiek małego formatu, tak fizycznie, jak i intelektualnie. Fakt, że może rozmawiać z moim dziadkiem powinien być dla niego nobilitacją. Jestem pewna, że Zajde wolałby wyswatać mnie z kimś o większym prestiżu, ale niestety przy moim rodowodzie nawet ostatnie sukcesy nie wystarczą, bym miała szansę na lepszą partię.

Kiedy ta czysto formalna dyskusja dobiega końca, dorośli wstają od stołu i wycofują się do kuchni, zostawiając mnie przy stole z Elim. Trzymam głowę opuszczoną i miętoszę w palcach obramowany frędzlami brzeg koronkowego obrusa, obsesyjnie przebiegając palcami po wzorkach. Wiem na pewno, że to chłopak powinien odezwać się pierwszy. Jeśli się nie odezwie, muszę siedzieć cicho i czekać, aż to zrobi. Przez moment spoglądam na drzwi za jego plecami, lekko uchylone, jak obyczaj nakazuje, i zastanawiam

się, czy tamci słuchają. Wiem, że siedzą w pokoju obok.

W końcu chłopak kręci się na krześle, poprawia surdut i przerywa milczenie:

– Siostra mi mówiła, że jesteś nauczycielką?

Kiwam twierdząco głową.

– To dobrze, bardzo dobrze.

– A ty? – pytam, zachęcona tym króciutkim wstępem. – Ciągłe chodzisz do jesziwy? Jak to jest mieć dwadzieścia dwa lata? Czy są tam inni studenci w twoim wieku?

Wiem, że rozmowa na temat jego wieku nieco go ubodzie. Większość chłopców żeni się najpóźniej jako dwudziestolatkowie. Z racji tego, że Eli jest najstarszy i ciągle bez żony, jego młodsze rodzeństwo musi czekać, by się zaręczył, zanim którekolwiek z nich zostanie wyswatane. Każdy na jego miejscu miałby poczucie winy z tego powodu.

– Pewnie musiałem poczekać, aż ty dorośniesz. – Uśmiecha się sympatycznie.

Brawo. Zapytam go o ten kapelusz.

– Czy twoja rodzina to aronici? Bo widzę, że nosisz plotczik.

– Moja rodzina jest neutralna – odpowiada po chwili namysłu i zaraz potem znowu oblizuje wargi, jakby ten gest był kropką nad i po każdej wypowiedzi. Taki prywatny rytuał oczyszczenia.

Mam wyraźne wrażenie, że odgrywa wielokrotnie wypróbowany scenariusz, że powie cokolwiek będzie musiał, bym uwierzyła w to, w co chce, bym uwierzyła. Za każdym razem, gdy o coś pytam, dostaję wyważoną, mdłą odpowiedź. Gdy mówi, zakręca palcami swoje lśniące złote pejsy, jakby ciągle był na lekcji w jesziwie.

– Chcesz wody sodowej? – pytam, niepewna, w jakim kierunku poprowadzić rozmowę.

– Nie, dzięki, nie chce mi się pić.

Rozmawiamy dalej. Głównie to ja zadaję pytania, a on odpowiada. Opowiada mi o swoich podróżach: ojciec zabrał go na długi objazd Europy, żeby odwiedzić groby słynnych rabinów. Eli i jego dziewięciu braci przejechali przez Europę słończeni na podłodze furgonetki, wysiadając tylko po to, by się pomodlić przy kolejnym nagrobku.

– Pojechałeś do Europy i nie zobaczyłeś nic oprócz grobów? – pytam, starając się, by nie usłyszał głębokiej dezaprobaty w moim głosie. – Nie widziałeś nic więcej?

– Próbowałem, ale ojciec mi nie pozwalał – mówi. – Ale kiedyś wrócę tam sam i zobaczę wszystko.

Natychmiast czuję dla niego sympatię. Oczywiście to wina jego ojca, ograniczonego człowieka ogarniętego obsesją duchowości, ale kompletnie nieświadomego, co naprawdę jest ważne. Gdyby Zajde zabrał synów do Europy, na pewno nie zabroniłby im zwiedzać. Dziadek zawsze powtarza, że świat został stworzony po to, byśmy mogli podziwiać całą jego doskonałość. Może Eli i ja moglibyśmy razem pojechać do Europy; zawsze chciałam zobaczyć trochę świata. Myśl, że małżeństwo może okazać się moim biletem lotniczym do wolności, nagle okazuje się nęcąca.

Za moment nam przerwą, ale zanim to nastąpi, podejmuję próbę odbycia z Elim prawdziwej rozmowy. Pochylam się poufale w jego stronę, z rękami złożonymi na kolanach pod stołem.

– Wiesz co, ja nie jestem zwyczajną dziewczyną. To znaczy jestem normalna, ale

inna.

– Już to zauważyłem – odpowiada z lekkim uśmiechem.

– Pomyślałam, że lepiej ci powiem. No wiesz, żeby cię ostrzec. Nie jest łatwo poradzić sobie ze mną.

Eli nagle odpręża się na krześle, rozkładając ręce na stole przed sobą. Dostrzegam poplątane żyły wystające pomiędzy mocnymi, poznaczonymi odciskami kłykciami – linie na jego otwartych dłoniach są grube i czerwone. To ręce robotnika, męskie, ale wdzięczne.

– Wiesz, w tym jestem dobry – mówi, obrzucając mnie poważnym wzrokiem. – Ja jestem z tych, co poradzą sobie z każdym. Nie martwię się tym. I ty też nie powinnaś.

– Jak to poradzisz sobie z każdym?

– Cóż, przyjaźnię się z niełatwymi ludźmi. Uważam, że są interesujący, dodają życiu smaku. Na świecie jest dość nudnych ludzi. Zdecydowanie wolę wylądować z kimś, kto ma charakter.

Mam wrażenie, jakby był na przesłuchaniu do roli mojego męża – chociaż obydwójce wiemy, że decyzje już zapadły. On jednak stara się mi spodobać, jakby chciał zaaranżować wielki romans tam, gdzie nijak nie ma na niego miejsca. Mimo to z ulgą przyjmuję jego słowa, bo czuję, że dopełniłam obowiązku. Nie muszę brać odpowiedzialności, cokolwiek przydarzy się w przyszłości. Ostrzegłam go. Powiedziałam mu, że nie jestem łatwa w obsłudze.

Chaja zagląda do jadalni i patrzy na mnie pytająco, by zobaczyć, czy skończyłam. Kiwam potakująco głową. Zdaję sobie sprawę, że wiem o nim niewiele więcej, niż wiedziałam pół godziny temu, ale przynajmniej zobaczyłam, że jest blondynem o niebieskich oczach i szerokim, słodkim uśmiechu odsłaniającym pełen garnitur zębów. Nasze dzieci z pewnością będą śliczne.

Zanim dołączymy do reszty rodziny, w korytarzu Chaja patrzy na mnie, spodziewa się potwierdzenia, znaku mojej kompletnie pozbawionej znaczenia zgody. Oczy jej błyszczą wyczekująco, ale to jedyna zmiana w jej twarzy. Cała reszta jest równie dostojna jak zawsze. Stojąc w wąskim, ciemnym korytarzu, nie mam dokąd iść jak tylko naprzód, ku rozświetlonej kuchni i oczekującej mnie tam celebracji. Jeśli powiem „nie”, nie mam dokąd pójść, nie ma żadnych innych drzwi, które mogłabym wybrać. Muszę skinąć głową i się uśmiechnąć, i tak właśnie robię. Nie jest to jednak tak wzniosły moment, jak go sobie wyobrażałam.

W kuchni już nalano alkohol w srebrne kielichy ustawione przed mężczyznami, by mogli wznieść toast *l'chaim* i ogłosić nasze zaręczyny. Chaja zaczyna wydzwaniać do wszystkich krewnych, ja dzwonię do kilku szkolnych koleżanek, żeby im powiedzieć. Niemal natychmiast dom wypełnia się ludźmi, którzy mnie obcałowują i gratulują mnie i memu przysłemu mężowi.

Moja *szwiger* podarowuje mi brzydką srebrną bransoletę z roślinnym wzorkiem. Udaję, że mi się podoba. Moje przyjaciółki przybywają z wypełnionymi helem balonikami i policzkami mocno zaczerwienionymi od zimnego powietrza. Chaja robi zdjęcia swoim jednorazowym kodakiem.

Datę ślubu ustalamy na sierpień, za siedem miesięcy. Nie zobaczę go więcej niż raz

czy dwa aż do ślubu, a Zajde uważa, że nie godzi się, żeby chassan i kalla rozmawiali przez telefon. Żegnam się, gdy już wszyscy wychodzą, i próbuję zachować w pamięci obraz jego twarzy, bo to jedyne, co wiem o nim na pewno. Wspomnienie jednak błędnie szybko: dwa tygodnie później czuję się, jakbym go nigdy nie poznała.

Szprynca, młodsza siostra mojego chassana, zaręcza się w tydzień po nas. Ma dwadzieścia jeden lat i gdyby nie to, że musiała czekać na wciąż nieżonatego starszego brata, zaręczyłaby się już dawno. Nie pojmuję, jak ktoś może chcieć tę dziewczynę, którą poznałam w delikatesach, z jej zębatym uśmiechem i twardym spojrzeniem, z chropawym głosem i męskim obejściem. Okazuje się, że wychodzi za najlepszego przyjaciela swego brata; podejrzewam, że robi to po to, by pozostać jak najbliżej niego, i tylko dlatego, że sama nie może go poślubić.

Eli i ona są bardzo blisko ze sobą – komunikuje mi Szprynca w noc moich zaręczyn, tuż po tym, jak odciągnęła mnie na bok, by zrobić sobie wspólne zdjęcie. Bliżej niż jakiegokolwiek inne rodzeństwo – mówi z dziwnym błyskiem w oku. Jakby chciała mi zagrozić, jakby mówiła: „Mój brat nigdy nie będzie cię kochał tak bardzo jak mnie”.

Ależ będzie – myślę sobie. Zawsze będzie stawiał mnie na pierwszym miejscu. Jestem ładniejsza, weselsza i ciekawsza, jak ktokolwiek mógłby woleć ją ode mnie?

W przyszłym tygodniu Eli i ja urządzamy *t'nojim*, przyjęcie, na którym zostanie podpisana intercyza. Kiedy to nastąpi, klamka zapadnie: rabini mówią, że lepiej jest się rozwieść, niż złamać intercyzę. Na przyjęciu dostanę brylantowy pierścionek (mam nadzieję, że gustowny i będzie mi się podobał) oraz wręczę Eliemu jego chassanowski zegarek. Idę do jubilera z Chają i wybieram zegarek Baume & Mercier za dwa tysiące dolarów, z płaskim złotym cyferblatem i plecioną złotą bransoletką. Chaja wypisuje kwotę na czeku, który dał jej Zajde, bez mrugnięcia okiem. Nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś w mojej obecności wydał tyle pieniędzy, i trudno mi w to uwierzyć. Nagle pieniądze nie mają znaczenia. Budżet na wszelkie wydatki związane z moimi zaręczynami jest nieograniczony. W sklepie z sukniami Chaja wybiera rdzawą aksamitną suknię wykończoną satynową lamówką w kolorze miedzi i każe krawcowej przerobić ją, by leżała na mnie idealnie (Chaja mówi, że dobra krawcowa to najlepszy przyjaciel kobiety). Ciotka Rachel przybywa, by przyciąć mi włosy na krótkiego pazia, by było widać szyję nad kołnierzem sukienki. Mówi, że do ślubu włosy odrosną.

W dzień przyjęcia budzę się z zapaleniem spojówek w jednym oku. To nie do ukrycia: ilekolwiek podkładu bym nałożyła wokół powiek, opuchlizna nadaje mojej twarzy niezgrabny wygląd. W panice biegnę do kliniki na Heyward Street po krople do oczu, ale wieczorem ciągle widać, że jestem spuchnięta. Muszę robić dobrą minę do złej gry i udawać, że nic się nie stało. Mimo że przez całe przyjęcie się uśmiecham, czuję się jak we mgle. Ledwie widzę, a czoło pulsuje mi dziwnie. Jedyne, co mogę zrobić, to modlić się, by nikt nie zauważył. Nic nie byłoby tak straszne jak Chaja sztorcująca mnie, że wyglądam ponuro na własnym przyjęciu zaręczynowym.

Zawodowy fotograf, którego wynajęliśmy, przychodzi wcześniej, by obfotografować tylko mnie i Eliego, stojących metr od siebie i rozdzielonych wazonem z ciemnymi, nieładnymi tropikalnymi kwiatami, przy których nas upozowano. Moja przyszła teściowa specjalnie zamówiła te kwiaty. Już wiem, że ma okropny gust. Miałam

nadzieję na lekką kompozycję kwiatową w japońskim stylu, pełną pastelowych orchidei i gardenii – lokalne kwaciarnie teraz takie robią. Zamiast tego muszę wdychać ciężki zapach eukaliptusa. Nie za bardzo to weselne jak dla mnie.

Gdy fotograf ustawia nas w kolejnych pozach, pilnuję, by stać zdrowym okiem do obiektywu. Sadza nas przy stoliku kawowym i każe mi wziąć z tacy ptysia i unieść w rękę, jakbym chciała nakarmić nim Elięgo. Ponad jego ramieniem widzę zszokowaną matkę Elięgo. Jej usta zaciskają się w wyrazie dezaprobaty dla tego nieprzystojnego widowiska. Założę się, że cieszy ją, iż goście jeszcze nie przyszli i nie widzą, co się dzieje.

Eli chyba mi się podoba, nawet przez zamglone od kropli oczy; przynajmniej podobają mi się jego uśmiech, jasnoniebieskie oczy, swobodne ramiona, męskie ręce i uważne ruchy. Podoba mi się to, co widzę. Zastanawiam się, czy i on tak myśli, patrząc na mnie.

Gdy do sali bankietowej (która właściwie jest stołówką szkoły dla chłopców, odmienioną za pomocą kilku strategicznie zawieszonych ścianek i koronkowych obrusów) zaczynają schodzić się ludzie, mój chassan i jego ojciec przechodzą do sekcji dla mężczyzn, znikając za metalowym przepierzeniem oddzielającym dwie płcie. Mam nadzieję, że fotograf zrobi mnóstwo zdjęć po męskiej stronie, żebym mogła zobaczyć, co też się tam działo, podczas gdy ja podejmowałam szkolne koleżanki, przybywające, by życzyć mi *mazel tow* – to tradycyjne, odświętne życzenie dla nowożeńców.

Gdy podpisuję kontrakt ślubny – spisany w starożytnej hebrajszczyźnie, którą ledwo rozumiem – gromadzimy się na brzegu przepierzenia, skąd mogę widzieć wewnątrz męskiej strony. Zajde tłucze talerz *t'nojim* – delikatny porcelanowy talerz obramowany różanym wzorkiem, zakupiony specjalnie na tę okazję. Rozbija się o podłogę w ładne kawałeczki, znak zaangażowania. Bube zbiera skorupy, które zachowuje się na pamiątkę. Niektóre dziewczyny robią z nich pierścionki (można zlecić jubilerowi wycięcie z nich kwiatka i wprawienie w prostą złotą obrączkę). Albo wisioriki. Ja raczej tego nie zrobię.

Teraz teściowa wręcza mi brylantowy pierścienek i wszyscy tłoczą się wokół mnie, by go zobaczyć; cieszę się, że jest prosty, choć obrączka za szeroka, a brylant jakiś mały i bez charakteru. Jestem pewna, że zegarek spodoba się mojemu chassanowi, bo przynajmniej sama go wybrałam, a mam znakomity gust, Bube zawsze mi to mówi.

Złoto ładnie wygląda na jego opalonym nadgarstku, porośniętym jasnymi włosami. Widzę, że moje przyjaciółki myślą, że trafił mi się *batampte*, smaczny kęs. Jestem bardzo dumna, że przynajmniej mam przystojnego przyszłego męża. Patrę na niego i myślę sobie: ależ ładna z niego rzecz, jak miło dostać coś tak pięknego i przez resztę życia pokazywać innym jak trofeum. Podoba mi się, jak jego złotawa szyja kontrastuje z czystą bielą kołnierzyka koszuli.

Mindy i ja spędzamy wolne chwile po szkole w naszym zwykłym miejscu, w pizzerii przy Lee Avenue, oglądając zdjęcia z przyjęcia zaręczynowego. Wrzucamy miękkie lody do gorącej kawy – roztopiają się w lepkie strużki, a my w pośpiechu staramy się je złapać, zanim roztopią się całkiem i stracą idealną konsystencję. Mindy mówi, że jej bratu wreszcie przedstawiono kandydatkę i że jest pewna, że wkrótce się zaręczą. Gdy tylko do tego dojdzie, Mindy będzie następna w kolejce.

Widzę, że jakaś jej część żałuje, iż mnie traci, że odpływam w ten pełen słodczy

pierwszy rok po ślubie, który przydarzał się wcześniej innym jej przyjaciółkom. Jak uczciwie przyznaje, odrobinę mi zazdrości tego, co w jej oczach jest niezależnością, której niedługo doświadczę. Mówię jej, że wkrótce i ona wyjdzie za mąż. To tylko kwestia czasu.

– Jak myślisz, z kim cię rodzice wyswatają? – pytam, ale tak naprawdę chcę wiedzieć: czy będziesz nosić szpicel jak twoja mama, czy trochę się zbuntujesz i będziesz walczyć, by znaleźli ci kogoś, kto pozwoli ci nosić perukę i odwiedzać bibliotekę? Dla Mindy małżeństwo niekoniecznie oznacza niezależność, na której jej zależy.

Nigdy mi nic nie mówi, ale zastanawiam się, czy zazdrości mi, siedemnastolatce, która za moment otrzyma klucz do wolności i niezależności. Mindy jest starsza ode mnie i nawet jeśli wkrótce wyjdzie za mąż, nie ma gwarancji, że to odmieni jej życie. Jestem wdzięczna, że nie wychodzę za religijnego fanatyka, który chciałby sprawować nad wszystkim kontrolę. Nie wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym miała wyzwolić się z rygoru domu rodzinnego po to tylko, by wylądować w jeszcze bardziej restrykcyjnym otoczeniu.

– Myślisz, że dadzą ci wybór? – pytam, zastanawiając się, czy Mindy ma szansę ubłagać ojca, by pozwolił jej wybrać kogoś, kto by ją rozumiał. – Może ktoś z rodziny może wstawić się za tobą?

– Nie wiem – odpowiada w zamyśleniu, przesuając palce przez pasma swych lśniących czarnych włosów, opadających na wysokie, kwadratowe czoło. – Nie chcę myśleć o tym, dopóki nie muszę.

Kiwam głową ze zrozumieniem, bezmyślnie mieszając letnią kawę plastikową łyżeczką i przyglądając się, jak meksykańscy kuchcikowie międlą ciasto na pizzę na kontuarze. Większość kobiet, które znam, po zamążpójściu wiedzie życie takie samo jak przedtem. Spędzają dni, drepcząc z domu rodziców do swego nowego mieszkania, zajęte pełnieniem powinności córek i żon. Być może jednak nie pragną niczego innego; może to właśnie życie, jakiego dla siebie chciały. Takim jak ja i Mindy to jednak nigdy nie wystarczy. Szczególnie Mindy. Nigdy nie będzie szczęśliwa jako kura domowa.

Mindy energicznie potrząsa głową, jakby odganiając nieprzyjemne myśli – a na jej twarzy maluje się znajomy, filuterny uśmiech, marszczący kąciki oczu.

– Obiecuj mi, że powtórzysz mi wszystko, co usłyszysz na naukach przedmałżeńskich!

– Oczywiście – chichoć. – Idę na pierwsze zajęcia w niedzielę. Zadzwoń do ciebie, jak tylko skończę.

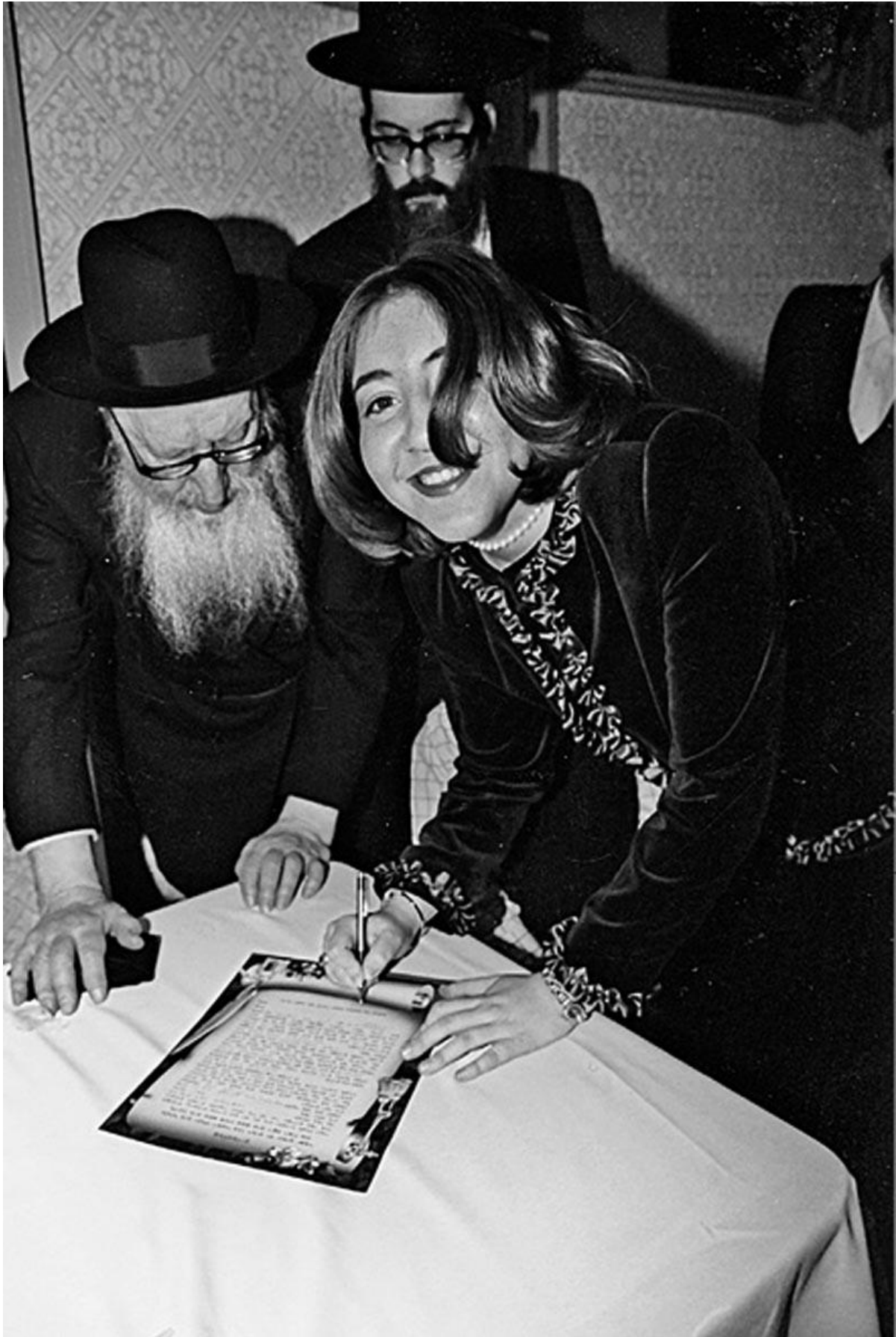
Przecucie mnie nie myliło: małżeństwo Mindy zaaranżowano rok później i podobnie jak jej siostry poślubiła bardzo religijnego mężczyznę, który nie pozwalał jej czytać świeckich książek. Trudniej jej było ukrywać je przed mężem niż kiedyś przed własną rodziną. Przestała czytać i zajęła się opieką nad dziećmi. Gdy widziałam ją po raz ostatni, zanim los nas rozdzielił, urodziła już trójkę i była w ciąży z czwartym. Stała w drzwiach z noworodkiem na biodrze, uśmiechała się do mnie i mówiła, kiwając pokornie głową:

– Bóg tak chce.

Odwróciłam się i pomaszerowałam w dół schodami, czując nieprzyjemne

ściśnięcie w żołądku. Ta kobieta w drzwiach to nie Mindy, którą znałam. Kobieta, którą znałam, wybiłaby się na niezależność. Nie poddałaby się, nie pogodziłaby się z takim losem.

To zdanie – Bóg tak chce – budzi mój gniew. Nie ma żadnej woli poza ludzkim pragnieniem. To nie Bóg chciał, by Mindy miała dzieci. Czyż ona tego nie widzi? To ludzie wokół niej podjęli za nią decyzję o jej losie, nie było w tym żadnej boskiej interwencji. Nic tu nie wskóram. Mąż Mindy już oświadczył, że mam na nią zły wpływ; nie będę utrudniać jej życia, nalegając, by się ze mną widywała. Ale nigdy o niej nie zapomnę.



O co warto walczyć

Nie chcę o nic walczyć. Chcę po prostu być i robić swoje, bez niczyjego pozwolenia.

Pearl Abraham, *The Romance Reader*

Nidda – powiada instruktorka nauk przedmażeńskich – dosłownie tłumaczy się jako „odrzucona”, ale – jak spieszy mnie zapewnić – nie znaczy dokładnie tego samego. To słowo, którego używa się na oznaczenie „damskich dni”, dwóch tygodni w miesiącu, kiedy kobieta w myśl prawa rabinicznego uważana jest za nieczystą. Tego mnie teraz uczą na tych naukach, zasad *nidda*.

Poprosiłam, by instruktorka wytłumaczyła mi ten termin. Z początku nie chciała dać mi odpowiedzi, ale naciskałam. Im dłużej słuchałam, jak wyliczała zalety *nidda* z punktu widzenia życia małżeńskiego, czułam, jak krew uderza mi do głowy. Sam termin „odrzuconie”, nawet jeśli odnosi się do nieczystości, jest upadający. Nie jestem brudna.

Instruktorka mówi, że w czasach budowy świątyni jerozolimskiej kobietom nie wolno było wchodzić na jej teren z uwagi na niebezpieczeństwo – gdy zaczną menstruację, zbezczeszczą Świątynię. Nigdy przecież dokładnie nie wiadomo, kiedy kobieta zacznie menstruację. Kobiety mają bardzo nieregularne cykle, podkreśla instruktorka. I dlatego tak ważne jest, by mieć na siebie oko, jeśli podejrzewasz, że możesz dostać okres – ciągnie dalej.

Kobieta staje się *nidda*, czyli „odrzucona”, w chwili, kiedy pierwsza kropla krwi opuszcza jej łono. Gdy kobieta jest *nidda*, jej mąż nie może jej dotykać, choćby nawet tylko podając jej talerz z jedzeniem. Nie może patrzeć na żadną część jej ciała. Nie może słuchać jej śpiewu. Kontakt z nią jest zakazany.

Takich rzeczy uczą mnie na naukach przedmażeńskich. Za każdym razem, gdy wychodzę z brudnobrązowego blokowiska, gdzie mieszka moja instruktorka, czuję przymus dzielenia kobiet widzianych na ulicy na dwie kategorie: te, które wiedzą to wszystko, i te, które nie wiedzą. Ja jestem pośrodku, dopiero zaczynam wyczuwać tętno, jakim bije serce mojego świata; o wielu rzeczach nie mam jeszcze pojęcia. Nie mogę się powstrzymać od obrzucania oskarżycielskim wzrokiem pobożnych mężatek, popychających wózki dla bliźniaków wzdłuż Lee Avenue. Nie przeszkadza wam to? – chciałabym je zapytać. – Nie przeszkadza wam, że bycie kobietą oznacza bycie brudną? Czuję się, jakby wszystkie kobiety w moim życiu mnie zdradziły.

Nie spodziewałam się, że to takie skomplikowane. Małżeństwo miało być proste, miało polegać na tym, że w końcu zbuduję własny dom. Miałam być najlepszą gospodynią, kucharką i żoną.

Gdy okres dobiegnie końca, opowiada nam instruktorka, kobieta musi odliczyć siedem dni czystych, sprawdzając dwa razy dziennie z użyciem bawełnianej szmatki, czy krwawienie kompletnie ustało. Po siedmiu „białych” dniach musi iść do mykwy i zanurzyć się w rytualnej kąpieli, by na nowo być czystą. Tak mówi instruktorka. Jakoś

nie mogę sobie wyobrazić, że wszystkie moje zamężne krewne tak robią.

Gdy jesteś czysta – zwykle przez dwa tygodnie w miesiącu – wszystko jest w porządku. Niewiele jest zasad, których muszą przestrzegać kobiety, gdy są „czyste”. I to dlatego, twierdzi instruktorka, żydowskie małżeństwa trwają dłużej od innych. Wiąż między mężem i żoną jest w ten sposób nieustannie odnawiana – zapewnia mnie. Nigdy nie popadają w nudę. (Czy chce przez to powiedzieć, że to mężczyźni nie popadają w nudę? Nie powinnam o to pytać).

Mężczyźni pragną tylko tego, czego nie mogą dostać – objaśnia instruktorka. Potrzebują regularnych okresów odmowy i satysfakcji. Nie wiem, czy chcę myśleć o sobie w taki sposób – jak o przedmiocie, który raz jest dostępny mężczyźnie, raz nie i służy do tego, by sprawiać mu przyjemność.

– Chcesz chyba wyjść za mąż, prawda? – pyta zirytowana instruktorka w odpowiedzi na moje wątpliwości. Płaczę się niezręcznie, bo co mam powiedzieć? Jeśli odpowiem inaczej niż twierdząco, zrobi się afera. Wszyscy się dowiedzą.

– Oczywiście. Oczywiście, że chcę wyjść za mąż. Nie wiem tylko, czy zapamiętam wszystkie te zasady.

Pokazuje mi białe szmatki używane do inspekcji. To małe kwadratowe gałganki obszyte na okrętkę na postrzępionych brzegach; wszystkie mają na rogu mały ogonek z tkaniny.

– A to po co? – pytam.

– Żeby wyciągnąć, jeśli utknie w środku – mówi instruktorka. Szmatki spoczywają lekko na śliskim obrusie z ceraty, trzepocząc nieznacznie z każdym powiewem letniego wietrzyku od kuchennego okna. – Musisz sprawdzać dwa razy dziennie, rano po obudzeniu, potem przed *szkja*, zachodem słońca. Jeśli zapomnisz, musisz zapytać rabiego, czy możesz zacząć od początku. Jeśli sprawdzisz któregoś dnia i nie będzie krwi, ale wystąpi płamienie, musisz zanieść szmatkę do rabiego, żeby orzekł, czy to koszerne, czy nie. Jeśli poplamisz bieliznę, ją także musisz zabrać do rabina. Albo posłać męża, żeby zapytał. Kiedy wreszcie masz czternaście czystych szmatek na dowód swoich wysiłków, możesz iść do mykwy i obmyć się, by być czystą i świeżą dla swojego męża. Za każdym razem, gdy wracasz z mykwy do domu, to jakbyś na nowo była panną młodą. – Moja instruktorka promienieje, mówiąc o tym, oczy rozszerzają się jej z przesadnej radości.

Kilka razy wcześniej przechodziłam koło mykwy, nie mając pojęcia, co to za miejsce. Znajduje się w dyskretnym gmachu zajmującym większość Williamsburg Street, z widokiem na autostradę Brooklyn–Queens. Mężczyźni wiedzą, że powinni unikać przechodzenia tamtędy wieczorem, ale budynek nie mieści się na szlaku prowadzącym do czegokolwiek, więc i za dnia panuje tam spokój. Jak się dowiaduję, kobiety chodzą do mykwy wyłącznie pod osłoną ciemności, by nie zwracać na siebie uwagi. Obsługę mykwy stanowią starsze kobiety, już po menopauzie. Zasadą jest, że ktoś musi zaświadczyć, że jesteś rytualnie czysta.

Po raz pierwszy idę do mykwy jako panna młoda na pięć dni przed ślubem. Już biorę przepisane mi pigułki antykoncepcyjne, pozwalające regulować cykl tak, bym nie dostała okresu przed ślubem. Jeśli to nastąpi, będziesz nieczysta i małżeństwo nie zostanie

skonsumowane. To by była katastrofa – twierdzi instruktorka. Dziewczyna, która jest nieczysta w dniu ślubu, nie może trzymać swego chassana za rękę po ceremonii zaślubin, a wtedy całe miasto wie, że jest nieczysta. To wstyd, którego nie sposób się pozbyć. Panna młoda nie może nawet nocować w tym samym mieszkaniu w noc poślubną i musi ciągle być pod okiem *szomer*, strażniczki, przez cały okres nieczystości aż do rytualnej kąpieli.

Czuję się niekomfortowo na myśl o rozbieraniu się przy innej, obcej kobiecie z obsługi mykwy. Mówię o tym instruktorce. Zapewnia mnie, że mogę mieć na sobie szlafrok przez cały czas inspekcji, a kiedy zanurzę się w kąpeli, nikt nie będzie patrzył aż do momentu, kiedy już będę w wodzie, a potem, gdy będę wychodzić, przytrzymają szlafrok przede mną jak kurtynę, gdy będę stąpać po schodkach.

Całe życie jednak żyłam w przekonaniu, że nawet meble nie powinny oglądać mej nagości. Nigdy nie ścierałam pary z lustra w łazience. Nigdy tam nie patrzyłam. Coś tu jest nie tak.

Przez pigułki, przepisane przez położną, budzę się w środku nocy, trzymając się za brzuch i czując fale nadchodzących mdłości. Próbuję zjeść trochę krakersów albo tost i wymiotuję małe kupki nasiąkniętych pełnoziarnistych okruszków. Położna mówi, że z czasem to przejdzie i że mogę odstawić pigułki zaraz po ślubie.

Przez tygodnie przed ślubem co rano walczę z nawracającymi nudnościami, by zebrać dość siły i wyruszyć na zakupy do posagu.

Bube i Zajde są za starzy, by mieć energię na planowanie mojego ślubu, więc Chaja zajmuje się większością przygotowań. Kupujemy pościel w sklepie Bracha przy Division Avenue, a porcelanę w domu towarowym Wilhelma nieopodal. Wybieram śliczny obrus marki Villeroy & Boch, który będzie pasował na malutki stolik ze sklejki, zbudowany na wymiar, by zmieścił się w maleńkiej kuchni w mieszkaniu, które wynajęliśmy. Będę mieszkać na piątym piętrze gigantycznego apartamentowca przy Wallabout Street, w niegdysiejszej przemysłowej części Williamsburga. Okolica pełna jest pustych magazynów i opuszczonych loftów; o każdej porze przez ulice wciąż przejeżdżają wielkie ciężarówki.

Mieszkanie ma dwadzieścia metrów kwadratowych, aneks kuchenny, salon-jadalnię i małą sypialnię. Kupujemy dwa wąskie pojedyncze łóżka, bo szersze się nie zmieszczą; Szajnda ciągle uważa, że powinny być szersze. Mówi, że to wygodniejsze, kiedy karmi się niemowlęta. Sklep Regal Furniture w Borough Park robi materace na zamówienie. Salon ma mały balkonik wychodzący na Lee Avenue. Gdy na niego wychodzę, po obydwu stronach widzę rzędy identycznych balkonów, prowadzących do identycznych mieszkań, wszystkich zamieszkałych przez młode małżeństwa. Po mojej lewej młody mężczyzna pali papierosa. Cyces, frędzle chałata, powiewają mu nad czarnymi spodniami; białą koszulę, wyciągniętą na wierzch, znaczą żółte plamy. Zauważa, że mu się przyglądam, gasi papierosa i wraca do środka.

Czasami idę do mieszkania, gdzie powinnam układać rzeczy w szafkach i przygotowywać wszystko, ale tylko siedzę w salonie i włączam Hilary Duff na stereo, bardzo cicho, żeby sąsiedzi nie słyszeli, że słucham gojskiej muzyki. Przesuwam palcami po powierzchni drewnianych klepek podłogowych i myślę o tym, jak to będzie móc mieszkać tutaj cały czas, gdy nie trzeba wracać do domu na Penn Street.

Przynoszę tu teraz swoje książki i ukrywam je w szafce łazienkowej. Bube zachodzi w głowę, co też tak długo robię w nowym mieszkaniu, skoro większości mebli jeszcze tam nie dowieziono. Zwijam się w kłębek na gołej podłodze i czytam, i tym razem to wyjątkowo zakazana lektura – coś, z czym nie chciałabym dać się przyłapać w domu. Mindy powiedziała mi o tej powieści: pożyczyła mi swój egzemplarz, gdy skończyła czytać. Tytuł brzmi *Czytelniczka romansów* i traktuje o religijnej żydowskiej dziewczynie takiej jak my, która chce czytać książki i nosić kostiumy kąpielowe. Ale to nie wszystko, autorka też była ortodoksyjną Żydówką, która, jak to mówią, „zeszła z derechu”, odstąpiła od ścieżki wiary. Ześwieczyła się. Mindy mówi, że zna matkę autorki, która prowadzi sklep z artykułami do haftowania w środku miasta. Nosi chustę na głowie i tak dalej. Mówią, że w ogóle nie rozmawia z córką.

Mimo że to ponoć powieść, czyta się ją jak zapierający dech w piersiach, surowy kawał reportażu, bo historie opowiedziane w książce są tak autentyczne i na czasie, że mogłyby przydarzyć się mnie. Jestem pewna, że autorka musiała czerpać przynajmniej częściowo z własnych, intymnych doświadczeń. Tak jak ja bohaterka wchodzi w aranżowane małżeństwo. Odkrycie, że jej mąż jest człowiekiem o słabej woli i marnym intelekcie, wprawia ją w przerażenie. Ostatecznie rozwodzi się z nim, ale ląduje z powrotem w rodzinnym domu. W moim świecie to ostateczna klęska. Dlaczego w ogóle wraca do świata, z którego próbowała uciec? Myślała, że zamążpójście da jej niezależność, że rozwód naprawdę uczyni ją wolną. Może jednak ani dla niej, ani dla żadnej z kobiet takich jak my nie ma ścieżki ku wolności?

Odganiam czarne myśli. Mój przyszły mąż nie jest ani słabej woli, ani marnego intelektu. Będzie dzielny i silny, i razem będziemy robić wszystko to, czego nam zawsze zabraniano. Wyzwolimy się z tego szaleństwa.

Oprócz nauk przedmażeńskich Chaja zapisała mnie także na lekcje haszkafy. Mają mnie przygotować do małżeństwa, ale nie zajmują się jego prawnymi aspektami. Mają raczej przygotować nas emocjonalnie do życia w udanym związku. To zajęcia grupowe, w których uczestniczy ponad tuzin przyszłych panien młodych. Przed rozpoczęciem każdej lekcji dziewczyny w chichoczących grupkach sadowią się na sofach i porównują biżuterię albo opowiadają sobie o wyprawach na zakupy.

Kobieta prowadząca te zajęcia to *rebecin*, żona rabina. Stojąc przed pośpiesznie ustawioną od frontu białą tablicą, poleca nam znaleźć sobie miejsce wokół wielkiego dębowego stołu. Na zajęciach prezentuje nam scenariusze zawierające różnorakie wyzwania stojące na drodze do małżeńskiego szczęścia, a my zgadujemy, jakie rozwiązania wobec nich zastosować. Kto zgadnie poprawnie, otrzymuje w nagrodę pełne uznania spojrzenie nauczycielki. Szybko uświadamiam sobie, że tak naprawdę ona cały czas mówi o tym samym problemie, prezentowanym w różnych wersjach, i że jest dla niego tylko jedno rozwiązanie. Nazywa je kompromisem – ale mnie bardziej przypomina to kapitulację.

Postacie w jej przykładach są niezmiernie oficjalne: trudno mi uwierzyć, że jakiegokolwiek prawdziwe pary odnoszą się do siebie w ten sposób, jakby byli sobie kompletnie obcy. Oczywiście, są tacy, którzy z trudnością przezwyciężają nieśmiałość, ale przecież uczucie nowości w końcu się zaciera! Nie potrafię wyobrazić sobie, że

rebecin i jej mąż ciągle obchodzą się ze sobą jak z nowiutkimi urządzeniami gospodarstwa domowego, do których nieustannie potrzebna jest instrukcja obsługi. Dziewczyny najwyraźniej bez wahania kupują te jej wytyczne. Próbuje je wybudzić z tego automatyzmu. Czy nie widzicie – mam ochotę krzyknąć – jak zaślepiły was pierścionki i nowa pościel? Kompletnie nie rozumiecie, o co tu naprawdę chodzi! Ostatecznie dostaniecie tylko szafki pełne nowiutkich rzeczy i zdalnie sterowanego męża.

Przepelnia mnie samozadowolenie. Ja z pewnością nie będę mówić do męża w taki chłodny, pełen szacunku sposób, jaki zaleca nauczycielka. Eli i ja będziemy się nawzajem traktować jak istoty ludzkie. Nie będziemy musieli stąpać wokół siebie na paluszkach. Opowiada nam się, że dwie płcie to jak dwa różne gatunki stworzeń, na zawsze skazane na wzajemne niezrozumienie – ale tak naprawdę jedyne prawdziwe różnice między kobietami i mężczyznami w naszej społeczności są nam narzucane z zewnątrz. W głębi ducha wszyscy jesteśmy tacy sami.

Chaja nieustannie dopytuje o moje postępy. Nagle najdrobniejsze wydarzenia z mojego życia budzą jej entuzjastyczne zainteresowanie. Wydzwania do Bube i zawsze prosi mnie do telefonu. Jak mówi, specjalnie dla mnie wybrała te dwie nauczycielki – wiedziała, że będą idealne dla mnie. Moje usta same układają się w ironiczny uśmiech, gdy to słyszę; w odpowiedzi mrużę coś twierdząco. Idealne? Jak taka zgrzybiała starucha może być idealna? Czy ciotka nie mogła znaleźć kogoś młodszego, energiczniejszego, mocniej stojącego na ziemi? Nie przestaje mnie zaskakiwać, jak niewiele Chaja o mnie wie, zważywszy na to, jaki kawał czasu spędziła na kontrolowaniu mojego życia.

Na każde święta i specjalną okazję dostaję prezent od rodziny mojego przyszłego męża. Zawsze jest zapakowany w ładny papier, z dołączonymi kwiatami albo bombonierką. Najpierw sznur dużych lśniących pereł, schowany w niewielkiej kompozycji ze sztucznych owoców na święto Tu Bi-Szwat, Nowy Rok Drzew. Ja prezentowałam już przysłemu mężowi bogato zdobioną srebrną szkatułkę na *etrog*, którą będzie co roku nosił do synagogi w każde święto Sukkot. Zapakowałam ją w drewnianą skrzynkę, którą pomalowałam sprayem na złoto i wypełniłam liśćmi paproci, cytrynami i drobnymi upominkami dla jego sióstr i braci. Obdarowywanie się prezentami jest wielowiekową tradycją, każdym zaręczynom towarzyszy intensywna wymiana podarunków, w której narzeczzone i teściowe konkurują ze sobą o to, kto da komu najbardziej prestiżowy dar i w najbardziej wymyślnym opakowaniu.

W Purym wysyłam teściowej dwadzieścia miniaturowych czekoladek kubeczków ułożonych w rzędzie na srebrnej tacy, a do tego butelkę drogiego wina i dwa kryształowe puchary, wypełnione warstwami mlecznej czekolady i musu czekoladowego. Zawijam wszystko w przezroczysty celofan i dekoruję gigantyczną srebrną wstążką. Ktoś z krewnych zawiezie pakunek do Kiryas Joel, upchnięty ciasno między siedzeniami, żeby się nie przewrócił. Przysłemu mężowi wręczam także jego własną megilę, fragment Pisma, który odczytuje się na głos dwa razy w święto Purym, starożytny przekaz opowiadający historię królowej Estery. Zajde zapłacił za nią skrybie tysiąc sześćset dolarów. Pergamin, zwinięty w rulon, spoczął w luksusowej skórzanej tubie, wykonanej specjalnie, by przechowywać taki dokument. Wsunęłam go do szklanego wiaderka na lód wraz z butelką szampana i cukrowymi kryształami, wyglądającymi jak kostki lodu.

Cieszę się, że mogę posyłać narzeczonemu ładne prezenty; wiem, że chłopcy porównują megile i szkatułki na etrog, które dostają w prezencie, że pokazują je z dumą w synagodze. Miło jest myśleć, że Eli będzie dumny, że obsypujemy go tak wartościowymi przedmiotami. Zajde jest bardzo hojny, gdy chodzi o przyszłego zięcia. Nigdy nie widziałam, by wydawał pieniądze z taką radością. Jakby każdy grosz odkładał na tę właśnie okazję.

Zajde mówi, że w Purym da mi zadzwonić do mego chassana, by życzyć mu wesołych świąt. Pozwala mi skorzystać z telefonu w kuchni, który ma bardzo krótki kabel; wiem, że mam jedynie parę minut na wymianę uprzejmości, ale i tak jestem podekscytowana, że usłyszę głos Eliego. Parę tygodni temu jego siostra przysłała mi zdjęcie: Eli przysiadł na nim obok prezentu, który mu posłałam, uśmiechając się słodko. Nie byłam w stanie powstrzymać się od spoglądania na jego odsłonięte ramię i mostek, które widać na fotografii. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wygląda pod tą luźną białą koszulą, ale bezskutecznie. Nawet nie pamiętam brzmienia jego głosu, więc cieszę się, że go usłyszę. Spróbuję go zapamiętać, by po świętach móc w myśli odtwarzać go wciąż na nowo.

Wpierw Zajde dzwoni do moich teściów, by złożyć życzenia, potem oddaje mi słuchawkę, bym mogła porozmawiać z teściową.

– Otrzymał mi śliczny prezent od ciebie – mówi teściowa formalnym tonem. – Był pięknie zapakowany.

Prezent dla mnie jest w drodze, ale nie będę o niego pytać. Ciekawe, czy dostanę broszkę czy zegarek?

Teściowa mówi mi, bym poczekała, i prosi do telefonu Eliego.

– *A guten Purim* – mówi wesoło. Niemal słyszę przez telefon jego nieśmiały uśmiech.

Dodaje, że Purym to jego ulubione święto. Przebierańcy, muzyka, alkohol – czego tu nie lubić? To jedyny dzień w roku, gdy wszyscy sobie folgują.

– Czy już dostałeś mój prezent? – dopytuję. – Czy smakowało ci wino? Wybrałam je specjalnie dla ciebie.

– Tak, dostałem, dziękuję. Jest piękny! Ale ojciec zabrał wino; nie da mi go wypić. Mówi, że jak dla niego za mało kosztowne. Wiesz, jaki on jest, kupuje tylko wina z certyfikatem satmarskiego rabina. Nic poniżej mu nie wystarczy.

Jestem przerażona. Gdy kupowałam wino, był ze mną dziadek. Zajde to święty człowiek, o wiele bardziej świątobliwy niż ojciec Eliego. Jak mój przyszły teść śmie sugerować, że Zajde nie jest dość czujny w kwestii zakupów? Ubodło mnie to do żywego. Eli przerywa niezręczną ciszę.

– Też ci coś wyślę – mówi. – Niedługo przyjdzie. Pomogłem złożyć to do kupy, choć głównie to moje siostry wszystko zrobiły. Tak czy siak, mam nadzieję, że ci się spodoba.

Udaję chłodną obojętność. Wydaje się niestosowne przejawiać zbyt wielką ekscytację prezentami. Zajde daje mi niecierpliwy znak i żegnam się, nagle świadoma, że wszyscy w pokoju słuchają.

– Pomyślności w Purym, Eli – mówię, niedbale wymawiając sylaby jego imienia,

aż nagle uświadamiam sobie, że to pierwszy raz, gdy wypowiedziałam je do niego na głos. Nagle mam dziwne uczucie intymności, ale zanim zdołam coś powiedzieć, kliknięcie odkładanej słuchawki po drugiej stronie rozprasza to wrażenie.

Mój prezent purymowy przybywa po południu, doręczony przez specjalnego kuriera aż z Kiryas Joel. Pewnie utknął w korkach, dlatego dojechał tak późno. Wszyscy wiedzą, że w Purym nie sposób dojechać na Williamsburg. Ulice są zablokowane przez furgonetki pełne biesiadników i pijanych ludzi. Kurier z wielką paczką, krzykliwie owiniętą i obwiązaną purpurową rafią, ledwo wdrapuje się po schodach. Wewnątrz jest olbrzymie ciasto w kształcie skrzypiec, ze strunami z lukru i nawet ze smyczkami oraz czekoladkami w kształcie nutek. Na dołączonej kartce jest napisane: „Oby twa przyszłość była słodka jak dźwięk skrzypiec”. Chcę zobaczyć, co jest w czarnym aksamitnym pudełku spoczywającym niewinnie na korpusie instrumentu. Wysuwam je delikatnie spod jadalnych strun i otwieram, by znaleźć w nim ciężki, złoty zegarek; grube ogniwa bransolety połyskują, cyferblat obramowany brylantami wygląda jak aureola. Wszyscy tłoczą się wokół mnie, żeby zobaczyć. Zapinam zegarek na rękę, zsuwa się ciężko w dół mojego szczupłego nadgarstka.

– Musisz go zabrać do jubilera, żeby dopasował – mówi Bube.

Bransoletka jest o kilka ogniwa za szeroka. Spoglądam na kawał obcej biżuterii na swoim ramieniu. Nigdy nie miałam zegarka wartego więcej niż dziesięć dolarów. Ten jest zbyt ostentacyjny – koperta ma co najmniej centymetr grubości, cyferblat błyszczący od klejnotów układających się w różne wzory, a bransoletka z misternie splecionych złotych ogniwa przesuwają się dziwnie przy każdym moim ruchu. Jak dla mnie, biżuteria powinna być dyskretna i kobieca, powinna zwracać uwagę na osobę, która ją nosi, nie na samą siebie. Ten zegarek to bardziej osoba niż ozdoba.

Mimo to dumnie wystawiam nadgarstek, by ciotki i kuzynki mogły go zobaczyć: wszystkie achają i ochają, zgadując, ileż też ten zegarek mógł kosztować. Nagle postanawiam sprawdzić, czy coś wygrawerowano na kopercie – ale gdy zaglądam, nic nie znajduję. Gdy kupiłam zegarek dla Eliego, kazałam wygrawerować na nim jego imię. Nikt inny nie będzie mógł go nosić. Ale to stosowne. Ten zegarek nie został wykonany z myślą o mnie, a przynajmniej nie tak, jak zegarek Eliego, który starannie wybrałam wedle własnego gustu, tak by pasował do niego. Ten zegarek jest dla nieistniejącej dziewczyny, jaką moja teściowa wyobraża sobie, że jestem. Ona spodziewa się dziewczyny, jakiej wszyscy szukają: mdłej jak owsianka pod grubą warstwą biżuterii. Dziewczyny, która obwiesza się sznurami pereł, by dodać sobie czaru, bo bez nich jest pospolita jak kamyk.

Nie potrzebuję tego zegarka ani pereł. Teraz miło je mieć, ale wyobrażam sobie, że kiedyś rozstałabym się z nimi bez trudu. Byłoby mi przykro stracić coś, co starannie wybrano, by pasowało do mnie. Te prezenty jednak kupiono bez chwili namysłu nad tym, jaka właściwie jestem. Gdy wiele lat później rozstanę się z nimi, przyjmę to z ulgą. Będę czuła się lżejsza bez bagażu z przeszłości.

W najgorszym możliwym momencie wybucha nowy skandal. Rabini ogłaszają tymczasowy zakaz handlu perukami, bo okazuje się, że większość włosów, które producenci wykorzystują do wyrobu szajtli dla chasydzkich mężatek, pochodzi z Indii, gdzie w świątyniach kobiety golą głowy, składając swoje włosy w ofierze. Dla

chasydzkich kobiet świadomość, że odnoszą jakąś korzyść z bałwochwalstwa, jest niewyobrażalną zgrozą. Rabini mówią, że to dzieło szatana i kara za to, jak folgują sobie nasze kobiety. Ich zdaniem fakt, że mężatki paradowały w pięknych perukach z naturalnych włosów, wywołał gniew Boży; przez kobiecą próżność wszyscy daliśmy się oszukać i zwieść szatanowi. Wciąż te same gniewne nagłówki krzyczą z pierwszych stron gazet w jidysz, które przychodzą do nas do domu, a towarzyszą im zdjęcia rabbich w synagogach we wszystkich zakątkach Brooklynu, gniewnie wznoszących pięści w świętym oburzeniu.

Sąd rabiniczny orzeka: koniec z prawdziwymi włosami. Od tej pory wolno sprzedawać i kupować tylko peruki z syntetycznych włosów. Tylko one będą dostępne do czasu, aż społeczność znajdzie godne zaufania źródło naturalnych włosów, które nie ma związku z bałwochwalstwem.

Przeklinam tę niespodziewaną komplikację, która pojawia się tuż przed moim ślubem. Dlaczego nie mogli z tym poczekać? Teraz zamiast pięknych jedwabistych peruk, jakie dostaje każda dziewczyna przed zamążpójściem, Zajde kupi mi tylko te tanie, sztuczne – wiem, że wyglądają paskudnie, mają ten plastikowy połysk w niczym nieprzypominający prawdziwych włosów i nadają się do użytku przez nie dłużej niż sześć miesięcy. Nawet jeśli peruki znów staną się koszerne, nie ma mowy, bym miała dość pieniędzy, żebym sama mogła sobie taką kupić. Peruka z ludzkich włosów potrafi kosztować ponad trzy tysiące dolarów.

Gdy Chaja zabiera mnie do perukarza, żeby wziąć miarę, siedzę naburmuszona w obrotowym fotelu fryzjerskim, z niechęcią spoglądając na proponowane mi modele.

– Ja tam tęsknię tylko za jednym, za wiatrem we włosach – mówi *szajtelmacher*, nakładając peruki na styropianowe głowy manekiny. – Poza tym to o wiele wygodniejsze. Nie muszę czekać, aż włosy wyschną ani spędzać długich godzin na układaniu ich. To wielka ulga.

Z moimi włosami nigdy nie było wiele roboty – zaraz po wyjściu spod prysznicą wysychają w miękkie, gładkie pasma. Mimo to denerwuję się, jak będę wyglądać w nowych perukach, które mogę zamówić w dowolnym kolorze i przyciąć na zamówienie. Wybieram trzy: jedną na szabas, trochę dłuższą, żeby pasowała do mojej tradycyjnej białej chusty, którą nosi się w piątkowy wieczór zawiniętą na peruce i zawiązaną na karku. Pozostałe dwie są krótkie i praktyczne, jak te, które noszą kobiety w mojej rodzinie; Zajde nie pozwala nosić peruk dłuższych niż do ramion.

Tego wieczora przed satmarskim szulem płonie wielkie ognisko. Przy akompaniamencie zachęcających okrzyków tłumu mężczyźni znoszą tam peruki swoich żon i ciskają je w ogień. Policja ustawiła dookoła bariery, by trzymać zbiegowisko z dala od jezdni i by zapobiec zamieszkom. Krzyki niosą się jednak aż do świtu, a dziennikarze, ku ogólnemu oburzeniu, pstrykają mnóstwo zdjęć.

Gdy nazajutrz rano Zajde przynosi do domu „The Wall Street Journal”, ognisko jest na pierwszej stronie. „Wczoraj płonęły biustonosze, dziś peruki” – głosi nagłówek. Jakkolwiek nie rozumiem do końca, co to znaczy, wiem, że jest prześmiewczy. Zajde czyta i potrząsa głową z niezadowoleniem.

– Czy musieli robić ognisko? Żeby wszyscy goje widzieli, co robimy? Nie można

było po cichu? Ech, ci ludzie zawsze muszą się nakrzyczeć – gniewnie pomrukuje do siebie.

Chaja dzwoni, żeby zaprosić mnie na lunch do swojego nowego domu przy Bedford Avenue. Z Chają lunch to nigdy nie jest po prostu lunch; to pretekst do rozmowy na niewygodny temat, więc zaproszenie wprawia mnie w niepokój. Ubieram się ładnie na tę okazję: wkładam jedną z nowych jedwabnych bluzek i wsuwam jej poły pod granatową ołówkową spódnicę. Mieszkanie Chai jest na parterze w jednym z tych nowych apartamentowców wyrastających w niegdyś przemysłowej części Williamsburga. Budynek ma elegancką ceglana fasadę i korytarze wyłożone marmurem. Wydaje się bardziej pasować do stylu życia Chai niż to stare mieszkanie, na ostatnim piętrze kamienicy, w której się wychowałam. Kuchnię wypełniają rzędy mahoniowych szafek, ale kafle na podłodze i ścianach są z jasnobłękitnego łupku. Jej nowy dom składa się z wielkich, właściwie pustych pokoi, umeblowanych niewieloma sprzętami. Siadam przy długim szklanym stole, na którym Chaja przygotowała elegancki lunch – bez wątpienia wszystko zrobiła sama, i to dzisiaj rano.

Przesuwam jedzenie widelcem po talerzu, Chaja rozpoczyna pogaduszkę. Nie mogę się doczekać, aż wreszcie powie, o co chodzi, żeby skurcz żołądka wywołany oczekiwaniem wreszcie ustąpił. Dlaczego zawsze musi tak kręcić? Dlaczego musi z tym zwlekać, aż zrobi się dramat, zamiast dać mi święty spokój? Zachowuje się, jakby wiedziała, że zadaje mi męki, i jakby sprawiało jej to przyjemność.

Wreszcie Chaja odkłada widelec, sięga po szklankę z wodą i mówi:

– No więc twoja matka dzwoniła.

Tego się nie spodziewałam. Sięgam po swoją wodę i popijam, siorbiąc lekko dla przełamania krępującej ciszy. Jeśli Chaja chce zobaczyć moją reakcję, nie dam jej tej satysfakcji.

– Chce przyjść na ślub.

Wzruszam ramionami.

– Dlaczego ni z tego, ni z owego chce się pojawić na moim ślubie? To bez sensu. Od lat jej na oczy nie widziałam.

– Cóż, ona twierdzi, że to jej prawo. No wiesz, może myśli, że mogłaby cię odwieść od zamążpójścia czy coś takiego. Jest zdolna do podobnych rzeczy.

– Jeśli przyjdzie, będzie katastrofa. Wszyscy będą się na nią gapić i komentować.

Przyniesie wstyd mnie i rodzinie Eliego. Przecież ona wygląda jak gojka!

Chaja odstawia szklankę i wydyma usta.

– Ale czy nam się to podoba, czy nie, ona i tak się pojawi. Jeśli się zgodzimy, przynajmniej możemy stawiać warunki. Mogę dopilnować, żeby włożyła perukę i długą spódnicę, będę stać przy niej cały czas i uważać, żeby zachowywała się przyzwoicie. Jeśli zrobi coś niestosownego, zadbam o to, żeby wyszła.

– Cóż, w takim razie wygląda na to, że nie mam wyboru.

Zastanawiam się, dlaczego Chaja chciała, żebym przyszła, skoro już podjęła decyzję. Nie zależy jej na mojej opinii.

Na tydzień przed ślubem po raz ostatni idę na nauki przedmałżeńskie. Nadszedł czas na tę szczególną, owianą tajemnicą lekcję, na ten moment, o którym szepcą panny

młode, ale nigdy nie wdają się w szczegóły. Jestem jednocześnie ostrożna i zaciekawiona. Interesuje mnie, co też takiego instruktorka może mi powiedzieć, czego własna rodzina nie ma odwagi przede mną wyjawić. To musi być coś poważnego, smacznego i krępującego, sekret tak tajemny, że tylko jej jednej, wybranej przez wspólnotę na nauczycielkę wszystkiego, co ma związek z małżeństwem, wolno o tym mówić.

Przysiadam nerwowo na brzegu krzesła i rozglądam się po obskurnej kuchni, szukając jakichś wskazówek dotyczących tej tajemnicy, jak i osobowości gospodyni. Próbuję znaleźć coś, co wyjaśni, dlaczego to ona została wybrana na przewodniczkę po tych mrocznych sekretach. Na stole w kuchni leży mnóstwo zastanawiających szkiców – wyglądają jak rysunki konstrukcyjne, choć nie tak staranne – są w pewien sposób niepokojące przez swoje powtarzające się przypadkowe motywy. Jest połowa sierpnia, a w mieszkaniu nie ma klimatyzacji, powietrze jest ciężkie, gęste, zastałe i przypada go niewiele na nas obie. Obrus jest brudny i poplamiony, staram się go nie dotykać.

Gdy wreszcie instruktorka siada naprzeciw mnie i zaczyna wykład o świętości małżeństwa, moja niecierpliwość się wzmaga. Nie mogę się doczekać, aż dojdzie do czegoś ciekawego, żebym wreszcie mogła sobie stąd pójść, wyjść z tej ciasnej kuchni pachnącej starym potem i kiszonką. Kiedy tak siedzę przy jej stole, zaczynam rozumieć, kim ona jest, jakim życiem już przestała żyć, jak zazdrości mi mojej młodości. Wyczuwam, jak bardzo brzydzi ją moja niefrasobliwa egzystencja, mój promienny czar panny młodej; wyczuwam, że chciałaby je zdławić jak najprędzej. Gdy zaczyna mówić o świętym miejscu w łonie każdej kobiety, skóra mnie świerzbi od jej spojżenia.

Ciała kobiety i mężczyzny zostały stworzone jak pasujące do siebie kawałki układanki, mówi instruktorka. Słucham, jak opisuje przedsionek i jego ściany, prowadzący do drzwiczek otwierających się do wnętrza łona, do *mekor*, czyli, jak go nazywa, „źródła”. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ten cały system może się mieścić. Instruktorka próbuje wyjaśnić, jak to jest z tym wejściem prowadzącym do „źródła”, jak to wkracza się w nie, co demonstruje, wkładając palec wskazujący jednej dłoni w pierścień z kciuka i palca wskazującego drugiej i wykonując idiotyczny, posuwisty ruch. Zgaduję, że ten ruch odnosi się do momentu, gdy kawałki układanki wskoczą na swoje miejsca. Ciągle jednak nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie jest to miejsce, to wejście w moim własnym ciele. O ile wiem, to, skąd się siusia, nie jest aż tak elastyczne. W końcu przerywam jej.

– Yyy, ale ja tego nie mam – mówię, chichocząc nerwowo. Jestem pewna, że nie mam takiego otworu, a jeślibym go miała, z pewnością nie jest dość duży, by zmieścić coś wielkości tego grubawego palca, czy cokolwiek to jest, co on ma reprezentować.

Mierzy mnie skonsternowanym wzrokiem.

– Ależ oczywiście, że masz. Każdy ma.

– Ale naprawdę nie mam! – W tym momencie zaczynam się na serio denerwować. Zaczynam kwestionować samą siebie. Czy to możliwe, że przegapiłam to wejście, o którym mówi instruktorka? Jak mogłam nie zauważyć dziury we własnym ciele?! Wpadam w panikę. Co jeśli trzeba będzie odwołać ślub, bo panna młoda urodziła się bez „źródła”? Łzy frustracji napływają mi do oczu; jeszcze raz upieram się, że nie mam tej tajemniczej części ciała, którą tak obrazowo mi opisała. Chciałabym, żeby wreszcie

przestała wykonywać takie ruchy: wydają mi się obsceniczne i obraźliwe. – Nie mam tego, o czym pani mówi. Chyba urodziłam się bez tego. Jak mogłabym mieć coś takiego i nie zauważyć? Myślę, że wiedziałabym o tym, gdybym miała tam dziurę!

– Słuchaj, może wydaje ci się, że nie masz, ale masz – mówi z westchnieniem instruktorka. – Przysięgam ci, że nie urodziłaś się z żadnym strasznym defektem. Może wcześniej nie zauważyłaś tej dziurki, ale jeśli poszukasz, to ją znajdziesz.

Nie mam zamiaru szukać, ani w tym domu, ani z nią w sąsiednim pokoju, ale przestraszyła mnie, a może raczej wywołała u mnie lęk wiszący nad głową jak topór: co to będzie, jeśli mój straszliwy defekt dostarczy powodu do publicznego skandalu? Robię więc, co mi przykazano. Idę do łazienki, urywam z rolki kawałek papieru toaletowego i zawijam wokół wskazującego palca. Z wahaniem macam się tam dokładnie w poszukiwaniu jakiegoś wgłębienia, zaczynając z samego tyłu i przesuwając się powoli ku przodowi. Nic. Jeszcze raz. Poza naturalną dolinką, której kształt mój palec delikatnie obrysowuje, nic nie otwiera się dalej. Myślę sobie, że może ten kawałek układanki umieszczony na mężczyźnie, który musi dopasować się do mojego, nie wchodzi głębiej. Może to wystarcza, by złożyć na ołtarzu mego łona to, co ma tam być dostarczone.

Wychodzę z łazienki, nieśmiało kiwając głową. Może faktycznie znalazłam tę dziurę. Jeśli tak, odkrycie ma posmak zdrady. Jak coś równie ważnego mogło ukrywać się przede mną przez tyle lat? Dlaczego zmuszono mnie do odkrycia go w tak gwałtowny sposób? Czy to znaczy, że do tej pory nie powinnam była mieć *mekor*, ale teraz, gdy wychodzę za mąż, nagle robi się w porządku, a nawet „święte”? Stoję przed instruktorką niepewna i wściekła.

Czuję lekkie ukłucie w sercu, gdy wspominam ten dzień. Chcę być kobietą, która zna siebie, swoje ciało, swoją moc – ale ten moment podzielił moje życie na dwie części. Zanim przyszłam na nauki do instruktorki, byłam tylko dziewczyną – a potem stałam się dziewczyną z *mekor*. To było nagłe i szokujące odkrycie, dowiedzieć się, że moje ciało zostało stworzone do uprawiania seksu. Ktoś zaprojektował kawałek mojego ciała specjalnie do czynności seksualnych. Dorastając na Williamsburgu, byłam skutecznie odizolowana od czegokolwiek, co w jakiś sposób miało związek z seksem. Jesteśmy istotami duchowymi, cielesnymi naczyniami na dusze. Myśl, że teraz przez całą resztę życia nieustannie będę musiała dokonywać konfrontacji z częścią własnego ciała, o której nigdy wcześniej nawet nie myślałam, a nawet zupełnie nie miałam ochoty myśleć, jest kompletnym przeciwieństwem aseksualnej skromności, w jakiej żyłam aż do teraz. Przywykłam do takiego stylu życia i czułam się w nim wygodnie; teraz moje ciało buntowało się przeciw niemu. Ten bunt wkrótce miał pozbawić mnie szczęścia i zasiał nasiona destrukcji, które w końcu zniszczyły moje małżeństwo.

Pięć dni przed ślubem pora iść do mykwy. Chaja mnie tam zabiera. Złapałam dziwaczny letni katar, od którego gardło mnie drapie. Spędziłam cały dzień, pijąc szklankami mocną, miedzianego koloru herbatę Lipton, na której napisy są po flamandzku – bo Bube uważa, że cokolwiek pochodzi z Belgii, jest bardziej autentyczne.

Chaja mówi mi, co z sobą zabrać: prawie wszystko jest dostępne w mykwie, ale lepiej jest mieć własny szlafrok (ciotka twierdzi, że te ich są za krótkie), szampon i mydło. Wręcza mi torbę z drogerii Walgreens, w której jest gąbka na kiju.

– Żebyś mogła sięgnąć w mniej dostępne miejsca. Inaczej zrobią to za ciebie. Nie chcę, żebyś się czuła skrepowana.

Zdegustowana wzruszam ramionami. Słyszałam, że niektóre pobożne kobiety pozwalają kąpielowym, żeby je umyły, ale nie ma mowy, żebym ja dała przyzwolenie na dotykane przez jakieś obce staruchy.

Do mykwy jedziemy *gojisze taksi*. Nie możemy prosić Towjego, by nas zawiózł, bo mężczyźni nie mają prawa wiedzieć, że kobiety chodzą do mykwy. Nie możemy też pójść tam piechotą, bo z tyloma torbami wyglądałybyśmy zbyt podejrzanie. Zastanawiam się, czy nasz portorykański kierowca zdaje sobie sprawę ze znaczenia miejsca, do którego nas dowozi, i czy często wzywają go na takie kursy.

Budynek jest z żółtej cegły i stoi pod dziwnym kątem, bo ten kwartał ulicy ma kształt trójkąta. Wchodzimy od strony bocznego zaułka. Przyciskamy dzwonek i przyglądamy się, jak najeżdża na nas mała kamera. Wreszcie rozlega się brzęczyk i ciężkie, stalowe drzwi otwierają się na jasno oświetlony korytarz. Stoi w nim biurko, za którym siedzi podstarzała recepcjonistka, najwyraźniej znudzona. Jej twarz jaśnieje, kiedy wchodzi.

– Kalla! – mówi, zauważając moje odkryte włosy. – *Mazel tow!* To taki szczególny dzień. Zawołam ci naszą najlepszą kąpielową, zajmie się tobą. – Jej twarz aż drży z podniecenia; przez cały czas, gdy mówi, ani na moment nie spuszcza ze mnie wzroku.

Podsuwa mi wielką tacę pełną przeróżnych obcinaczy i utensyliów do manikiuru.

– Wybierz sobie, co ci się spodoba – mówi do mnie. Jakby oferowała mi wybór między srebrem a złotem, brylantami a perłami. Ciągłe spogląda na mnie głodnym wzrokiem, nawet nie mrugając. Jej wiotkie brwi wyginają się w szare łuki ponad bladymi oczami.

Zupełnie mi to obojętne. Łapię małe cążki i zauważam, że metal jest wyszczerbiony i podrapany. Ciekawe, ile kobiet go używało. Odkładam cążki z powrotem na tacę.

– Och, przyniosłam własne.

Słyszę za sobą odgłos otwieranych drzwi i odwracam się. W drzwiach stoi smagła kobieta, podwinięte rękawy jej kwiecistej podomki odsłaniają wiotkie ramiona. Nosi szpicel, jak moja teściowa. Przyjmują tu do pracy tylko bardzo pobożne kobiety.

– *Mamale* – mówi do mnie słodkim, pochlebnym tonem.

Od razu widzę, że jej szeroki uśmiech jest sztuczny, a sposób, w jaki nonszalancko skłania głowę na bok, patrząc na mnie, świadczy o poczuciu wyższości. Myśli, że jest lepsza ode mnie, bo moja rodzina nie nosi szpicli, tylko peruki. Zauważam to wszystko w tym jednym momencie, zanim – wciąż z nadskakującym uśmiechem na twarzy – otoczy mnie ramieniem i da znak *Chai* drugą ręką, żeby sobie poszła.

– Pani może tutaj poczekać, pani Mendlowitz. Zaopiekuję się pani córką jak trzeba, proszę się nie martwić. – Chaja nie wyprowadza jej z błędu, nie mówi, że jestem jej siostrzenicą; to wymagałoby od niej za dużo gadania, w przedpokoju, z obcą osobą, która nie musi wiedzieć.

Pani Mendelson (przedstawia mi się, gdy tylko przechodzimy za podwójne drzwi do wielkiego lobby, zastawionego aksamitnymi leżankami i wielgachnymi bukietami sztucznych jedwabnych kwiatów) prowadzi mnie w głąb długiego, marmurowego

korytarza, dyskretnie oświetlonego delikatnymi kandelabrami i kinkietami. Korytarz rozdziela się na wiele małych przedsiionków, ale mijamy je wszystkie, bo jak tłumaczy pani Mendelson, mam iść do specjalnego pomieszczenia zarezerwowanego dla pańien młodych. Gdy tam docieramy, nie pamiętam nawet, którądy szłyśmy i jak stamtąd wrócić, co mnie nieco przeraża, bo pokoik jest wielkości szafy w ścianie (ciekawe, jak wyglądają te dla zwykłych klientek) i trochę strach pomyśleć, że jestem tylko taką maleńką kropką na mapie, małą osobą w malutkim pokoju – otoczoną setkami innych kobiet w innych maleńkich pomieszczeniach, kobiet, które dają się ponieść fali wydarzeń.

– Wiesz, co robić, *mamale*? – pyta protekcyjnie kąpielowa, stojąc przede mną z rękami na biodrach, ze stopami rozstawionymi lekko, by zaznaczyć swoją władzę. Chce powiedzieć, że może nie pamiętam wszystkiego, czego mnie nauczono o mykwie, ale tak nie jest: czytałam o tym, zanim przyszłam, a pamięć zawsze miałam doskonałą. Posyłam jej więc w rewanżu szeroki i sztuczny uśmiech, by wiedziała, że wiem, co kombinuje, i że nie pozwolę jej traktować mnie z góry.

– Oczywiście, że wiem: miałam świetną instruktorkę. Ale i tak dziękuję! – mój głos brzmi jasno i cicho, drży w nim zdenerwowanie.

– Znakomicie, *mamale* – daje za wygraną. – W takim razie przyciśnij guzik na ścianie, jeśli będziesz mnie potrzebować. – Przy wannie błyszczy czerwono panel z przyciskami. Na jednym napisano „Pomoc”, na drugim „Gotowe”. Jest też mały interkom. Kiwam głową.

Gdy kąpielowa wychodzi przez drzwi na drugim końcu pomieszczenia, szybko rozpakowuję torbę i wyjmuję akcesoria, które z sobą przyniosłam. Odkręcam krany, czekam, aż wanna się napelni, i zaczynam od góry listy rzeczy do zrobienia. Zdjąć soczewki kontaktowe, schować do pudełka. Zmyć makijaż, wyczyścić uszy, przetrzeć zęby nicią dentystyczną, krótko przyciąć paznokcie. W wannie dwa razy myję włosy i rozczesuję je. Starannie przemywam wszystkie miejsca wokół przegubów i zagięć skóry, jak mnie instruktorka uczyła – upewniając się, że żaden paproszek nie został mi między palcami nóg, w pępku ani za uszami. Zagięcia skóry są bardzo ważne. „Nic nie może stać pomiędzy tobą a wodą – ostrzegła mnie instruktorka. – Jeśli znajdziesz coś później, bardzo prawdopodobne, że było tam, zanim poszłaś do mykwy, będziesz musiała wrócić i zacząć od początku”. Nie chcę do tego dopuścić, więc upewniam się, że w myśl prawa jestem czysta.

Gdy kończę się moczyć, palce mam ciemne i pomarszczone jak suszone daktyle, wychodzę z wanny, zawijam się w swój nowy błękitny szlafrok z grubej frotté i przyciskam guzik „Gotowe” na panelu. Natychmiast słyszę głos pani Mendelson chrypiący przez interkom – jakby tylko czekała, żeby przybiec truchcikiem, gdy nacisnę guzik.

– Tak szybko, *mamale*?

Nie odpowiadam. Przychodzi moment później, ślizgając się po podłodze w kapciach.

Widzi mnie w szlafroku, siedzącą beczynn timer na brzegu klozetu, i z irytacją macha rękami.

– Nie, nie, *mamale*. Nie mogę cię sprawdzić, jeśli masz na sobie szlafrok, co ty

sobie myślisz? To nie tak się robi. Musisz siedzieć w wannie!

Policzki mi płoną. Rozkrzyżowuję nogi. To idiotyczne. Dlaczego niby mam siedzieć w wannie? Moja instruktorka wyraźnie powiedziała, że będą mnie sprawdzać ubraną. Próbuję coś powiedzieć, ale z gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Twarz kąpielowej jest surowa, ale w jej ruchach widać też odrobinę triumfu, gdy niecierpliwie zagania mnie do wanny, mówiąc:

– Nie mam czasu czekać, *mama!* Muszę dziś obsłużyć masę dziewcząt. Nie bój się, skarbie, czy instruktorka nie powiedziała ci, co robić? Pamiętasz, czego cię uczyli, prawda?

Prowokuje mnie, próbując udowodnić, że ma rację, że nie pamiętam, ale ja przysięgam, że tak nie jest. Ciągłe przepowiadam sobie wszystko w myślach, nie mogąc uwierzyć, że zapomniałam o czymś takim, ale w mieszkaniu instruktorki zawsze było tak gorąco, że może w pewnym momencie przysnęłam – nie wiem. To okropne, ale widzę, że nie mam innego wyjścia, jak robić, co mi każe, więc zrzucam szlafrok i w sekundę jestem już w wannie, siedząc z kolanami pod brodą. Skóra mnie piecze, czuję, jak gęsia skórka pojawia się na ramionach. Pani Mendelson klęka przy wannie. Ma na twarzy wyraz takiej satysfakcji, że nie mogę pozbyć się uczucia, iż zwyciężyła – że chciała wygrać, że w tym jej moc. Napętnia mnie to gniewem i poczuciem bezradności. Czuję, że łyzy pieką mnie w kącikach oczu, ale bardziej niż kiedykolwiek staram się zachować kamienny wyraz twarzy, pokazać jej, że mnie to nie obchodzi, że nie ma na mnie wpływu, że jestem twarda jak stal i że nie da się mnie do niczego zmusić wstydem.

Światło jest tak białe. Moja skóra wygląda na niemal błękitną; woda zaciera kontury mojego ciała, palce pod jej powierzchnią wyglądają na grube, a sponad lustra wody na nieproporcjonalnie chude. Mięśnie mam napięte i sztywne, kolana ciasno upchnięte pod oplatającymi je kurczowo ramionami – fizyczne napięcie powstrzymuje od okazywania emocji, podczas gdy kąpielowa sprawdza, czy nie mam łupieżu na głowie ani świerzbu na skórze.

– W porządku, *mama!*, jesteś gotowa. Włóż szlafrok i kapcie, zabiorę cię do mykwy.

Nawet się nie odwraca, kiedy wychodzę z wanny. Teraz w ogóle na nią nie patrzę, moje zaciśnięte usta są wąskie jak kreska, nozdrza się rozszerzają. W głowie mój mózg zdaje się gorący i spuchnięty, naciska od środka na oczy.

Trzymam się jej ślepo w korytarzu, bo oczy mam zamglone od wstrzymywania łez. Łądujemy w niewielkim pomieszczeniu z małym niebieskim basenem. Tę część pamiętam: zdejmuję szlafrok i podaję go jej, schodzę do wody po schodkach, starając się nie poruszać zbyt szybko, choć wiem, cały czas czuję, że mi się przygląda – nie chcę, by dostrzegła, że jestem choćby trochę zawstydzona. Nikt mnie nie zrani. Nieważne, co zrobią, nie mogą mnie zranić. Jestem jak ze stali.

Woda przynosi ulgę. Widzę hebrajskie błogosławieństwo wypisane na wyłożonej kafelkami ścianie po mojej lewej. „Dzięki Ci, Haszem, że uświęciłeś mnie swym przykazaniem, bym zanurzyła się w wodzie” – mruczę pod nosem. Zanurzam się raz i wynurzam, by usłyszeć, jak kąpielowa mówi „koszerna”; potem jeszcze dwa razy, upewniając się, że przez sekundę unoszę się w wodzie, nie dotykając stopami dna, jak jest

wymagane. Sprawdzam, czy aby włosy nie wystają i czy ciało ułożone jest tak, by woda mogła dotrzeć wszędzie. Po trzecim zanurzeniu krzyżuję ramiona na piersi, jak powinnam, i głośno wypowiadam błogosławieństwo. To wszystko, skończyłam.

Wchodzę po schodkach przodem do niej. Trzyma szlafrok tak, jak instruktorka opisywała, ale widzę, że jej wścibskie czarne oczy zaglądają za kołnierz – i w tym momencie nienawidzę jej bardzo, a łzy, które powstrzymywałam, wylewają mi się z oczu. Wkładam szlafrok i czuję, jak łzy płyną i płyną, i płyną, i staram się być cicho, i przejść za nią tak, by nie zobaczyła – ale zapominam, że obyczaj nakazuje jej pocałować mnie w policzek. Gdy kąpielowa zwraca się w moją stronę, by mnie pobłogosławić, widzi, jak łza wypływa mi z oka i toczy się po policzku. Kąpielowa patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– *Mamale, szefale, bubele*, co się stało, skarbie, kochanie, koteczku? Co się dzieje? Co mogę zrobić? – teraz rozczuła się nade mną, co tylko pogarsza sprawę. Słyszę, jak z gardła wyrывa mi się głośny szloch, nieopanowany lament dziecka, któremu odebrano niewinność.

– Oj, *szefale*, nie szkodzi, że jesteś trochę przejęta za pierwszym razem, nie szkodzi, ale nie musisz płakać, *mamale*. Powinnaś być szczęśliwa: to powinna być najszczęśliwsza noc w twoim życiu!

Wierzyć mi się nie chce, że jej zdaniem płaczę na skutek jakiegoś duchowego objawienia. Zwariowała czy co? Ale z drugiej strony, czemu nie: niech myśli, że to z wielkiej pobożności, że jestem jakąś *frimme*, zbzikowaną dewotką, którą świętość tego durnego basenu kompletnie powaliła.

Czeka na mnie, gdy ubieram się pospiesznie, a potem eskortuje z powrotem do poczekalni, gdzie siedzi Chaja i rozmawia z kobietą obok. Zauważyła moje zaczerwienione oczy i ponurą minę, ale pani Mendelson znowu uśmiecha się promiennie i mówi:

– Oj, pani córka to taka *fajnen madel*, taka czysta duszyczka, takie święte dziecko. Trochę ją to przytłoczyło, to doświadczenie, ale wie pani, jak to bywa za pierwszym razem... – Kiwa głową jak kukielka; przyglądam się, jak jej głowa rusza się raz w dół, raz w górę. Przez moment nie widzę nic więcej jak tylko szybkie skinienia jej głowy. Czy to roztrzęsienie, wcześniej niewidoczne, świadczy o wyrzuceniu sumienia czy może lęku?

Chaja wsuwa jej do ręki napiwek, bierze mnie pod ramię i wyprowadza.

– Tak źle było? – pyta.

Milczę. Ciotka wie, jak to jest, sama to robiła i wciąż robi, nie muszę jej odpowiadać.

Miałam jednak rację co do zasad: po tym, jak już wyszłam za mąż, żadna kąpielowa nie kazała mi nigdy siadać w wannie – tylko ona. Później myślałam sobie, że pani Mendelson specjalnie była taka okrutna: może próbowała mnie zahartować albo – jeśli uważała, że to, co robi, jest lepsze z punktu widzenia religijnej ortodoksji – zradyzalizować. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tamtego wieczora zrobiła, co zrobiła, kierując się bardziej mrocznymi, osobistymi pobudkami. Wiele lat później policja aresztowała pracownicę mykwy, która molestowała wszystkie panny młode, nad którymi miała pieczę – ale ta historia była tak szokująca, że nikt w nią nie wierzył. W końcu, jeśli kobieta ci mówi, że masz być posłuszna, bo Bóg tak nakazał, zanegujesz to? To jak

kwestionować Boga.

Taksówka wciąż czeka na zewnątrz. Wślizguję się na chłodne skórzane siedzenie, Chaja zamyka drzwi za sobą. Gdy stoimy na światłach przy Marcy Avenue, nagle uświadamiam sobie, jak niestosowna jest jej obecność przy mnie. Chaja zajmuje w tej chwili miejsce mojej matki, towarzysząc mi w rytuale uważanym w naszej społeczności za najważniejsze wydarzenie między matką a córką. Jakie ma prawo zajmować to miejsce, skoro nasza relacja w niczym nie przypomina tej między matką a córką, a jedyny powód, dla którego tu jest, to chęć dopilnowania, bym się poprawnie zachowywała i nie przyniosła wstydu rodzinie?

– Co poszło nie tak? – pytam.

– Co masz na myśli? – mówi Chaja słodko, zwracając się ku mnie ze znużonym uśmiechem. Pomarańczowe światło lampy ulicznej maluje pasy na jej twarzy.

– Z moją matką. Co poszło nie tak?

Samochód rusza gwałtownie i twarz Chai, odsunięta od światła lampy, zapada w cień.

– Załamanie nerwowe. Oszalała po tym, jak cię urodziła. Nie mogliśmy jej pozwolić się tobą opiekować. Trzeba ją było wysłać do szpitala.

– Myślałam, że po prostu mnie porzuciła.

– Cóż, na jedno wychodzi. No wiesz, mogła wziąć się w garść i być dla ciebie silną matką. Ale wybrała inaczej.

Jak to, czy osobie szalonej można po prostu powiedzieć, by wzięła się w garść? – zastanawiam się. Nie zdołam jednak odpowiedzieć, bo taksówka podjeżdża pod mój dom i Chaja otwiera drzwi, żebym mogła wysiąść, zanim ona pojedzie dalej do swojego domu.

Chaja idzie ze mną do gemachu, gdzie mogę wybrać i wypożyczyć suknię ślubną. Jest tylko osiem letnich sukien w moim rozmiarze, wszystkie obsypane dżetami i cekinami, z girlandami tiulu i koronek oraz mnóstwem błyskotek. Wygląda to, jakby ktoś rozebrał na kawałki kilka sukien ślubnych i zszył je w jedną. Wybieram najprostszą, która i tak jest wymyślna, z koronkową spódnicą, okalającą moje kostki ostrymi skosami, i szeroką talią, przepasaną taśmą ozdobioną klejnotami. Ale przynajmniej góra jest prosta i biała, a wysoki gorset jest skośnie wycięty pod szyją tuż ponad mostkiem. Kobieta z wypożyczalni zapisuje datę mojego ślubu. Mogę trzymać suknię przez dwa tygodnie, ale muszę ją zwrócić na czas, oddawszy wcześniej do pralni. Niesiemy suknię do domu w wielkim worku na śmieci, uważając, by nie wlec go po chodniku. W domu suknia układa się w pionie pod własnym ciężarem; gdy spoglądam na nią tuż po obudzeniu, wygląda jak intruz, który wślizgnął się nocą do pokoju. Jej obecność jest przytłaczająca, mam wrażenie, że mnie zdominuje, że zniknę i zgubię się w jej obfitych fałdach.

W ostatni piątek przed ślubem wślizguję się do łóżka tuż przed północą. Ulice za oknem są ciche, cudownie wolne od hałasu ruchu ulicznego w ciągu tygodnia; blask latarni rzuca równe pasiaste cienie na ściany pokoju. Gdy zasypiam, pościel jest wciąż chłodna, a mój sen oświetla blady blask dwóch szabasowych świec, migoczących pomarańczowymi płomieniami – które rosną i rosną, aż widzę tylko jeden wielki ogień. Widzę Bube i moje ciotki, Chaję i Rachel, pochylone nad wielkim garnkiem, mieszające w nim nad moją głową. Uświadamiam sobie, że siedzę wewnątrz garnka, że debatują nade

mną jak nad jakąś wymyślną świąteczną potrawą. Otaczają mnie ścianki z nierdzewnej stali, są niemożliwie wysokie, twarze jaśnieją daleko nade mną. Babcia i ciotki marszczą czoła w skupieniu i furii; płomienie strzelają ciągle w gniewnej ciszy ponad ich głowami. Jak to możliwe, że nie widzą, że się pali? – zastanawiam się. Mieszają coraz szybciej – i słyszę, jak mieszając, rozmawiają o mnie, o wszystkich moich złych uczynkach, i o tym, jak nigdy nie dają im powodu do dumy. Dotąd nie słyszałam, by rozmawiały o mnie tak otwarcie. Jasne, zawsze czułam ich niechęć, jej ledwie wyczuwalny powiew, którego nie potrafiłam określić, ale ani razu nikt nie zadał sobie trudu, by wyartykułować, co jest jej powodem. Zawsze zakładałam, że przypominam im o niedoskonałości tamtej rodziny. Skoro nic nie dawało się zrobić w kwestii mojego pochodzenia, czy miało jakieś znaczenie, jak się zachowuję?

– Ale tym razem wyjdzie jak trzeba – mówią. Pot skrapla się na czole Rachel i spływa z niego, gdy ciotka miesza drewnianą łyżką wywar, który ze mnie gotują. To jakby dostały drugą szansę, by zrobić mnie lepszą, jakby pojawiło się nagłe i cudowne rozwiązanie zadawnionego problemu mojego niskiego i podłego statusu. Mimo wszystko mogą ze mnie zrobić sukces i na zawsze zakończyć smutną sagę, którą uosabiam.

Upieką mnie. Słyszę, jak się kłóca, na jak długo mnie wstawić do pieca, żebym się udała. Rozgrzewają piekarnik do dwustu dwudziestu stopni i wlewają mnie do aluminiowej foremki. Idealny biszkopt musi się piec tylko przez trzydzieści pięć minut, by osiągnąć doskonały balans między waniliową pulchnością a zwiewną puszystością, mówi Rachel. Gdy się upiekę, pozwolą mi wyjść z pieca. Ciągle je widzę przez zamazaną szybkę w drzwiczkach piekarnika, jak stukają palcami w cyferblaty zegarków na przegubach. Leżę, zastanawiając się, czemu tak naprawdę nie czuję gorąca. Mam za to poczucie bezpieczeństwa, ukryta w ciepłym, bezpiecznym piecu, z dala od ich okrutnych, wyrachowanych spojrzeń. Rozbrzmiewa brzęczyk minutnika, drzwiczki piekarnika się otwierają i czuję, jak wysuwam się na zewnątrz wraz z rusztem. Spoglądam na nie, mając nadzieję zobaczyć uśmiechnięte twarze, ale zamiast tego widzę otwarte z wrażenia usta. Oto jestem, pieczone prosię, z rumianą skórką i małym czerwonym jabłuszkiem w pysku. Nawet ja sama jestem porażona tak skandalicznym rozwojem wypadków.

Budzę się przed czasem, w pokoju wciąż panuje ciemność. Widzę przed sobą gniewną twarz Rachel, otoczoną przez jaskrawo pomarańczowe płomienie, z furią mieszającą swą drewnianą łyżką. Czuję tęsknotę do bycia pięknym biszkoptem i piekące upokorzenie, wynikające z obnażenia mojej prawdziwej natury.

Odwracam się na bok, odgarniam włosy ze spoconej szyi i próbuję zdystansować się od tego okropnego, szokującego obrazu – spoglądania na samą siebie i dostrzegania prawdziwego oblicza mej zdrady. Na pewno nie tym jestem. Tak naprawdę dobra ze mnie dziewczyna i sprawię, że wszyscy będą ze mnie dumni. Jeśli to mi się uda, cały mój wstyd zostanie na zawsze zmazany. Gdy zostanę szczęśliwą, posłuszną kurą domową, nikt więcej nie będzie krytykował mojej rodziny.



Kosztowne ambicje

Okupujemy bowiem pewną ceną wszystko, co zdobywamy lub otrzymujemy w życiu. Zaspokojenie cennych ambicji wymaga nakładu pracy, trzeba je czasem okupić niepokojem i samozaparciem, a nawet chwilami załamania.

Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*^[7]

Poranek w dniu mojego ślubu jest tak jasny i przejrzysty, że widzę krople rosy błyszczące na bujnych liściach klonu kołyszących się za oknem – i każde szkiełko przyszyte do szarfy mojej sukni ślubnej migoce w świetle dnia. Poszczę cały dzień, jak to jest w zwyczaju, ale w ogóle nie czuję głodu. Otwieram psalterz i bezgłośnie wypowiadam modlitwę: moim obowiązkiem jako panny młodej jest wykorzystać okazję, gdy Bóg słucha, i pomodlić się za wszystkich potrzebujących porady i zbawienia.

Jestem niezwykle podekscytowana pierwszą w swoim życiu sesją z profesjonalną stylistką. Przychodzi do nas do domu, żeby zrobić mi makijaż. Ma z sobą kasetkę pełną błyszczących cieni do powiek i połyskliwych błyszczaków. Cały mój makijaż do tej pory ograniczał się do podkładu i odrobiny różu. Stylistka wywija mi rzęsy metalowym przyrządem; boję się, że je utnie. Gdy w końcu patrzę w lustro, niemal się nie poznaję. Wyglądam bardzo dojrzałe i wyrafinowane: powieki ciężkie od leśnozielonego cienia, rzęsy obciążone tuszem tak bardzo, że ledwo je mogę unieść – moje oczy wydają się nie do końca otwarte, w senny, delikatny sposób. Niektóre dziewczyny pewnie są podekscytowane perspektywą ślubu, dlatego że mogą doświadczyć pełnego makijażu. Tylko pannom młodym pozwala się przyozdabiać w ten sposób.

Suknia układa się na mnie zgrabnie, jedziemy do sali bankietowej, mieszczącej się w szkole męskiej przy Bedford Avenue. O piątej po południu światło dnia wciąż jest jasne. Szybko wchodzimy do środka, by uciec przed spojrzeniami gapiów. Zasiadam na specjalnym fotelu panny młodej, zrobionym z białej wikliny, ozdobionym wplecionymi na brzegu jedwabnymi kwiatami, a Bube rozkłada równo tiulową spódnicę sukni, by jej koronkowy brzeg tworzył idealny łuk na podłodze. Błyska flesz aparatu. Pozuję pospiesznie, w taki dzień nie ma wiele czasu na drobiazgi bez znaczenia. Uśmiecham się nieznacznie, nie rozchylając ust, patrzę poważnie w obiektyw sponad półprzymkniętych powiek. Koniec fotografowania.

Przychodzą goście – moje koleżanki ze szkoły, które specjalnie zjechały wcześniej do domu z wakacji, by być na moim ślubie, i przyszły ubrane w najlepsze sukienki, by zrobić dobre wrażenie na swatkach, rozglądających się za uśmiechniętymi dziewczętami o różowych policzkach i smukłych kostkach. Ustawiają się w kolejce, by ucałować mnie, nie dotykając, złożyć gratulacje i najlepsze życzenia. Bube siedzi tuż przy mnie na platformie dla panny młodej i pochlipuje w chusteczkę ze smutnym uśmiechem na twarzy. Podchodzi do mnie mnóstwo ludzi, których nigdy nie poznałam, a którzy mówią, że są przyjaciółmi mojej teściowej albo żonami przyjaciół mojego przyszłego męża – uśmiecham się życzliwie, a wyraz zadowolenia, malujący kurze łapki w kącikach oczu,

ani na chwilę nie schodzi mi z twarzy.

Wszystkie szwagierki nalegają na zdjęcie ze mną i wszystkimi swoimi dziećmi, więc uśmiecham się i łaskoczę najmłodsze w podbródek, by uśmiechnęło się do kamery. Kątem oka zauważam moją matkę: stoi daleko i wygląda na zdezorientowaną. Chaja, z zaciętym wyrazem twarzy, ujmuję ją pod ramię. Matka ma na sobie jakąś fioletową suknię, jej złotoblond peruka jest lekko przekrzywiona. Zważywszy, jak daleko stoi od panny młodej, nikt nawet nie skojarzy, że to moja matka. Chaja obiecała, że nie pozwoli jej urządzić sceny. Domyślam się, że to oznacza, że dopilnuje, by matka trzymała się ode mnie z daleka.

Wydaje się, że upływają całe godziny, zanim rozlega się muzyka i rozpoczyna marsz weselny. Kobiety rozstępują się na boki, by zrobić miejsce dla mężczyzn udających się na ceremonię *badeken*. Zajde niesie białą zasłonę, która wkrótce zakryje moją twarz. Po *badeken* nie będę mogła nic zobaczyć aż do zakończenia ceremonii pod chupą, kiedy to ja i Eli oficjalnie będziemy małżeństwem.

Zajde błogosławi mnie, życząc mi, bym była płodna i rozmnażała się – a ja przygryzam usta, by nie okazać żadnych emocji poza powagą, którą usilnie próbuję utrzymać. W tym najświętszym momencie ceremonii radość byłaby mocno niestosowna. Spoglądam na Eliego, który wydaje się dziwnie mały pod nowiutkim sztrajmelem z nerek, tkwiącym na czubku jego głowy jak przestraszone zwierzątko. Ramiona sterczą mu sztywno po obu stronach nowego satynowego płaszcza. Nie chcę, by nasze spojrzenia się spotkały, bo mogłabym się uśmiechnąć.

W końcu przykrywają mnie i uśmiecham się w sekrecie sama do siebie: bycie anonimową w tłumie ludzi skupionych na mnie sprawia mi osobliwą przyjemność. Przez całą drogę pod baldachim udaję, że pochlipuję; ktoś podaje mi chusteczkę, wsuwając ją pod zasłonę. Przyjmuję ją delikatnie, chwytając elegancko zamaszystym gestem. Przyglądam się stopom mężczyzn, gdy oprowadzają mnie wokół Eliego, dokładnie siedem okrążeń, zanim pozwolą mi stanąć obok niego; wciąż nie będę nic widzieć. Stopy wyglądają tak samo, odziane w czarne sznurowane półbuty, cicho postukujące o podłogę. Poprawiam się szybko pod suknią, ale sztywne halki skutecznie ukrywają to poruszenie.

Gdy już *mesader kidduszin* wygłosi małżeńskie błogosławieństwo, Eli wsuwa mi obrączkę na palec, wystawiony spod ciężkiej zasłony. Słyszę dźwięk tłuczonego szkła, Eli podnosi zasłonę i bierze mnie za rękę. Razem idziemy przez tłum do pokoju *jichud* – specjalnego pomieszczenia tylko dla państwa młodych. Tu zjemy razem naszą ślubną kolację – po raz pierwszy sami, bez niczyjego nadzoru. To oczywiście tylko symboliczna intymność – nie zamkniemy drzwi od środka. Musi przyjść szejtelmacher i włożyć mi perukę, a potem z powrotem welon. Ledwie mamy czas zjeść zupę.

Jak to jest w zwyczaju, w pokoju *jichud* Eli daje mi parę brylantowych kolczyków, które wybrała jego matka. Zdejmuje proste perłowe sztyfty, które mam w uszach, i zamieniam je na ciężkie, nabijane kamieniami kwadraty. Płatki uszu opadają mi lekko pod ich ciężarem. Eli pochyla się naprzód i wydaje mi się, że może próbować mnie niespodziewanie pocałować, ale powstrzymuję go.

– Poczekaj, ktoś może wejść – mówię. – Później. – Światło jest za jasne, bym mogła być tak blisko jego twarzy.

Szajtelmacher rzeczywiście przybywa, niosąc świeżo zrobioną perukę w wielkiej skórzanej walizie. W skupieniu upycha moje piękne, lśniące włosy pod biały koronkowy czepek, upewniając się, że nawet mały kosmyk nie wystaje. Teraz, gdy oficjalnie jestem zameżna, żadnemu mężczyźnie z wyjątkiem męża nie wolno oglądać choćby paru milimetrów moich własnych włosów. Kobieta umocowuje perukę na mojej głowie, pociągając za końce wokół uszu, by przylegała do okrytej koronką czaszki. Nawet nie myślę, jak wygniecione będą moje włosy, gdy wreszcie zdejmę perukę. Bracia Eliego „uprowadzają go”, by zrobić jakieś zdjęcia, a ja samotnie kończę zupę, dziobiąc bez zainteresowania kawałek chałki spoczywający obok talerza. Wiem, że powinnam coś zjeść, bo zemdleję, ale nie jestem w stanie nic przełknąć. Przeżuwam w kółko ten sam kęs chleba, ale gardło mam zbyt zaschnięte i skurczone, by cokolwiek przepuściło.

Choć włożyłam wygodne białe buty, by móc tańczyć, nie jestem gotowa na wysiłek z tym związany. Materiał sukni jest tak sztywny, że ociera mnie na każdym zagięciu – ramiona, łokcie, nawet nadgarstki. Nadludzkim wysiłkiem utrzymuję uśmiech na twarzy, podczas gdy kolejne osoby nalegają, bym pokręciła się z nimi po parkiecie. Noszą mnie na stołach, przeganiają przez tunele z uniesionych ramion, machają nade mną wstążkami na kijkach i bukietami – a ja ze wszystkich sił staram się trzymać oczy szeroko otwarte i spoglądać wesoło.

Trąbki i puzony grają głośno do pierwszej w nocy. Potem większość tłumu rozchodzi się, żegnając sentymentalnie – tylko bliższa i dalsza rodzina zostaje na *micwa tanc*. To wreszcie moment, gdy mogę odpocząć. Piję wodę szklankami, ustawiam się tuż przy klimatyzatorze w pokoju dla panny młodej i modlę się, żeby ciało się ochłodziło. Słyszę, jak pianista zaczyna *arpeggio*, i dołączam do rodziny w głównej sali balowej, gdzie po obydwu stronach ustawiono rzędami krzesła, by pomieścić męską i damską widownię. Pan młody usiadzie obok mnie, na samym przodzie, żeby mieć najlepszy widok. Moje nowe siostrzenice przynoszą mi winogrona na półmisku; mam się nimi podzielić z panem młodym.

Wszystkie dziewczynki, którym pozwolono zostać do tak późna, przemykają się do mnie ukradkiem i przyglądają kątem oczu – tak jak ja przemykałam się do panien młodych z mojego dzieciństwa, zazdroszcząc im statusu prawie księżniczek. Zajde przynosi mi czarny *gartel*, długi szal, który połączy mnie z tańczącymi. Ja trzymam jeden koniec, członkowie rodziny na zmianę przytrzymują drugi. W międzyczasie, jak to jest w zwyczaju, poeta weselny wychwala w zabawnych rymach kolejnych krewnych.

„Eli każdemu Żydowi pomaga jak bratu – oby takich chłopaków nigdy nie zabrakło. Mówią, że bardzo zdolny był on do nauki; oby był równie dobry w zbieraniu gotówki. Niechaj potomstwo przyniesie mu wiele radości – lada chwila na syna ślub zaprosi gości”. Rymy są banalne i nierówne, ale wszyscy upili się wystarczająco, by uważać, że to śmieszne.

Ostatni taniec jest zarezerwowany dla mnie i Eliego, ale to nie taniec właściwie, a przeplatanka. Jak obyczaj nakazuje, Eli stoi na dwie długości ramienia ode mnie; ledwie sięga koniuszkami palców do moich, co ma oznaczać, że jakkolwiek zaślubieni, pozostajemy skromni. Patrzymy w ziemię, bo jeśli nasze oczy się spotkają, wybuchniemy śmiechem. Nie muszę zrobić nawet kroku, poruszam tylko lekko spódnicą, jakbym się

przemieszczała. W końcu muzyka cichnie i oddycham z ulgą. Nie wiem, czy byłabym w stanie dłużej powstrzymać chichot.

Sala weselna zaczyna się opróżniać, w miarę jak krewni ruszają z powrotem do domów. Większość gości za kilka godzin musi iść do pracy. Niektórzy podchodzą życzyć mi *mazel tow*, ale ja posyłam im tylko roztargnione uśmiechy. Jedyne, o czym mogę myśleć, to żeby zdjąć suknię. Zagięcia łokci mam otarte do żywego. Gdy rodzice Elięgo odwożą nas pod nasz dom, kręcę się niecierpliwie. Gdy się żegnają i kiedy tylko drzwi się za mną zamkną, zrzucam pocierane białe pantofle i zaczynam rozpinąć tył sukni, zmierzając do łazienki. W środku powoli zsuwam rękawy, bo przylepiają się boleśnie do ramion. Delikatnie rozcieram czerwone zagniecenia na przedramionach i ramionach. Kto by przypuszczał, że suknia ślubna może spowodować tyle bólu?

Pod prysznicem zmywam lakier ze zmatowiałych włosów i pozwalam im się zsunąć na ramiona, ostatni raz – woda spływa z końców i parzy moje obolałe plecy. Stoję przez kilka minut przed zaparowanym lustrem, aż poczuję na ciele lodowaty chłód powietrza. Gdy para schodzi z lustra, widzę swoje odbicie spoglądające na mnie martwym wzrokiem i instynktownie odwracam się od niego. Wychodzę z łazienki w szlafroku.

– Możesz wziąć prysznic – wołam w głąb ciemnego mieszkania. Eli jest w kuchni, wciąż ubrany, odkorkowuje butelkę taniego koszerzego szampana.

– Chaja mi powiedziała, że to twój ulubiony – mówi. Uśmiecham się. Tak naprawdę nie przepadam za winem.

Podczas gdy on się kąpie, ja idę do sypialni z kieliszkiem w ręce; stawiam go na nocnym stoliku. Moja teściowa już rozłożyła na jednym z łóżek warstwę tanich ręczników i postawiła obok buteleczkę z lubrykantem. Wkładam długą, białą koszulę nocną.

Siadam na łóżku obok nocnego stolika, z ciekawości otwieram buteleczkę z lubrykantem i wyciskam na palce małą kulkę żelu. Jest zaskakująco zimny i lepki. Ostrożnie układam się na łóżku tak, by moje biodra znalazły się na ręcznikach, i sięgam, by namaścić się ostrożnie przejrystym, chłodnym żelem. Nie chcę zabrudzić nowej pościeli. Jest bardzo ciemno aż do chwili, gdy Eli otwiera drzwi łazienki i światło wlewa się miękko w głąb mieszkania. Wchodzi do sypialni z ręcznikiem owiniętym na biodrach; kontury jego ciała są dla mnie nowe, inne. Uśmiecha się z zażenowaniem, a potem przykuca nade mną, tak jak mówiła instruktorka, i pozwala, by ręcznik się ześlizgnął. Przysuwa się bliżej, rozkładając ciężar ciała na rękach, a ja rozluźniam i rozsuwam kolana. Czuję, jak coś twardego muska wewnętrzną stronę mego uda. Jest większe, niż się spodziewałam. W ciemności Eli spogląda na mnie niespokojnie. Próbuje wszędzie, pewnie czekając na jakieś wskazówki ode mnie, ale cóż ja wiem? Dla mnie to taka sama tajemnica jak dla niego.

Wreszcie trafia, jak sądzę, we właściwe miejsce, ja unoszę się, by go tak spotkać, i czekam na obowiązkowe pchnięcie i depozyt. Nic się nie dzieje. On pcha i pcha, pojękuje z wysiłku, ale zdaje się, że nic się nie otwiera. Nawet nie wiem, co powinno się otworzyć. Co powinno się tutaj wydarzyć?

Po jakimś czasie Eli się poddaje i przesuwa na jedną stronę łóżka, plecami do mnie.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak. Jestem tylko bardzo zmęczony – mruczy.

Wkrótce słyszę jego ciche chrapanie. Wczołguję się na drugie łóżko i leżę, nie śpiąc przez dłuższy czas, zastanawiając się, czy to się stało, czy nie, i jakie są konsekwencje w wypadku obydwu opcji.

Gdy rano otwieram oczy, słabe światło słoneczne przenika przez żaluzje, a klimatyzator z wolna mieli wilgotne sierpniowe powietrze. Lekko unoszę okno i wychylam się na zasnutą smogiem ulicę, przyglądam się ciężarówkom i miejskim autobusom, jak podskakują na stalowych płytach przykrywających dziury w jezdni przy Wallabout Street. Drzwi garażu w magazynie naprzeciwko są otwarte, robotnicy biegają tam i z powrotem przez kanały załadunkowe.

Eli ubiera się szybko i chwyta swoje tefilin, gdy jego ojciec puka do drzwi, wołając „*Men geit dawenen!*”. Czas na poranną modlitwę. Rozkosznie brykam po czyściutkim mieszkaniu w swojej organdykowej podomce z nadrukiem w kwiaty maku. Włosy po wyschnięciu wciąż mam sztywne i łamliwe. Otwieram bieliźniarkę i przebiegam palcami po nowiutkich ręcznikach i obrusach, pachnących lawendą z saszetek, które powkładałam pomiędzy nie. Otwieram kredens i patrzę na swoje nowe srebrne sztucce i porcelanę, upojona myślą, że wszystko to należy do mnie.

Za chwilę przychodzi Chaja z elektryczną golarką i ustawiamy taboret przed łazienkowym lustrem. Jestem zaskoczona, jak mało mnie wzrusza perspektywa utracenia włosów. Jeśli cokolwiek czuję, to że właśnie mam się stać dorosła, że wkraczam w nowe życie. Dziwnie jest patrzeć, jak moje włosy opadają do kosza, ale oto lecą, zbite w kosmate brązowe kłębki. Tak szybko jest po wszystkim, że czuję się, jakbym nigdy nie miała włosów – moja czaszka naprawdę błyszczy w łazienkowym świetle. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, jaki kształt ma moja głowa – ale teraz, gdy ją widać, z podziwem patrzę na perfekcyjne proporcje i niespodziewaną symetrię swojego oblicza. Czuję się lekka, jakby zdjęto mi brzemię z ramion, jakbym miała nagle unieść się nieważka nad ziemię. Nagle chcę uchwycić się czegoś, co mocno stoi na ziemi, by nie odlecieć w kosmos. Chaja przynosi mi frotowy turban w pięknym odcieniu amarantu. Pachnie jak świeże ręczniki, miękko i delikatnie leży na moim czole i trzyma przy ziemi jak przycisk do papieru.

Chcę powiedzieć do Chai coś znaczącego, ale nic odpowiedniego nie przychodzi mi do głowy, więc uśmiecham się tylko i mówię:

– I po robocie. Nic wielkiego, co? – Czuję się dzielna i dorosła, mówiąc to tak spokojnie.

– A co miałoby być w tym wielkiego? – Chaja wzrusza ramionami, zwija kabel od golarki i odkłada ją na bok. – Zwyczajna rzecz.

Sięgam rękami ku mojej nieważkiej głowie, przez moment głaszcząc węzeł turbanu. Nic wielkiego, to naturalne.

Słyszę kroki w korytarzu. Myślę, że to Eli, ale to teściowa: stoi, wydymając usta, z rękami splecionymi przed sobą i odchyła się od wizjera w drzwiach.

Chaja odkłada golarkę z powrotem do swojej dużej czarnej torebki i wymienia krótki pocałunek z moją *szwiger*, zanim pobiegnie dalej korytarzem. Proponuję matce Eliego herbatę – to pretekst, by użyć nowych naczyń – kiedy zaś ona grzecznie odmawia, nalegam, że ułożę ładnie czekoladki na srebrnej tacce.

– No i jak poszło? – pyta teściowa.

Uśmiecham się grzecznie, ale jestem zmieszana. Nie tym, że nie wiem, o co jej chodzi – ale tym, że w głowie nie chce mi się pomieścić, że może pytać o to tak wprost. Ledwo słyszalnym i niepewnym głosem mruczę „Och, w porządku” i zbywam ją jak natrętną muchę. Myślę sobie – to między mną i Elim, możemy sami się tym zająć. On by sobie nie życzył, żebym angażowała w to inne osoby.

Twarz teściowej tężeje, zdejmuje ręce z obrusa.

– Mąż mi powiedział, że sprawy nie zostały doprowadzone do końca.

Zaniemówiłam. O nic nie pytam. Siedzę tylko, skamieniała ze zgrozy, znowu czując tę nieważkość: jeśli nie uchwycę się nogi stołowej, ulecę w niebo jak wypełniony helem balonik.

Zanim zdołam coś powiedzieć, drzwi się otwierają i stoją w nich Eli z ojcem. Teściowa wstaje i schyla się ku mnie, by obdarzyć mnie bezdotykowym pożegnalnym pocałunkiem. Nie pochylam się ku niej; wychodzi wraz z mężem i zamyka drzwi za sobą. Kieruję wzrok na Eliego, ale on wbija spojrzenie w ziemię. Mam wrażenie, że moje ciało jest twarde na zewnątrz, ale w środku miękkie jak krem. Rozleję się, jeśli zewnętrzna warstwa odpadnie – myślę, patrząc w dół na nietknięte czekoladki na stole.

– Co się stało? – pytam Eliego. – Dlaczego powiedziałeś ojcu?

Eli krzywi się w reakcji na mój stanowczy ton.

– Nic mu nie powiedziałem; sam zapytał! – protestuje pośpiesznie. – Byłem tak zaskoczony, że powiedziałem mu prawdę. Nie myślałem, że komuś powie!

– Powiedziałeś ojcu? Twoja matka wie! Wszystkim rozpowie! Prawdopodobnie cała twoja rodzina już wie! O czym ty myślałeś?

– Nie wiem, pewnie w ogóle nie myślałem, byłem kompletnie zaskoczony!

– Nie uważasz, że to sprawa między nami i sami powinniśmy się tym zająć? Nie uważasz, że to coś intymnego, co para powinna rozwikłać bez niczyjej pomocy? Nie pomyślałeś, jak upokorzona się poczuje tym, że wszyscy wiedzą o naszych intymnych sprawach?

Ogarnia mnie panika, myślę o tym, co się może stać, o tym, jak jedni szepczą drugim, jak w moim świecie plotki roznoszą się niczym błyskawica – i już widzę, jak to będzie iść Lee Avenue i słyszeć, jak ludzie o mnie gadają – o mnie, dziewczynie, która nie może. Zgroza. Nie przeżyję tego.

– Wszystko będzie dobrze – wtrąca Eli z bolesnym wyrazem twarzy. – Ojciec mówi, że musimy tylko zrobić to dziś w nocy. Zrobimy, co trzeba, i nikt słowa nie powie. Spróbujemy wyjść, jak tylko *szewa berachos* się skończy, zanim będziemy zbyt zmęczeni. Może w tym był wczoraj problem, może byliśmy zbyt zmęczeni!

– Może – odpowiadam, ale wiem, że nie w tym problem. To nie wyjaśnia, dlaczego moje łono nie otworzyło swych wrót mimo głośnego i upartego pukania. Moje dziwne, buntownicze łono nie życzy sobie gości.

Po południu Eli proponuje, żebyśmy się zdrzemnęli, żeby wypocząć na później – ale nie zasypiam, gapię się tylko na jego śpiącą twarz i ręce spoczywające pod brzegiem poduszki. Dzwoni dzwonek przy drzwiach, drepnę do przedpokoju, żeby odebrać domofon. To Chaja; przyciskam guzik, by ją wpuścić.

– Słyszałam, co się stało – mówi, siadając przy moim stole w jadalni i ustawiając stopy równiutko pod krzesłem. Czekam, że powie coś na moją obronę, że mnie jakoś uspokoi.

Jej twarz wygląda na stanowczą, gdy ciągnie dalej.

– Jeśli udane małżeństwo od czegoś zależy, to od przestrzegania jednej zasady: w sypialni mąż jest królem – mówi. – Jeśli jest królem w sypialni, czuje się jak król wszędzie indziej, niezależnie od tego, co się dzieje.

Przerywa, patrzy na mnie uważnie. Jej ręce zaciskają się na pasku workowatej torebki.

– Rozumiesz, co mówię? – pyta, czekając, aż potwierdzę, że tak.

Kiwam głową, zbyt osłupiała, by cokolwiek powiedzieć.

– To dobrze – mówi z naciskiem, wstając i wygładzając spódnicę. – Skoro tak, wszystko będzie dobrze. Nawet nie wspomnę o tym Bube i Zajde; po co ich martwić złymi wiadomościami, są starzy i schorowani. – Słyszę, co insynuuje ta wypowiedź, i natychmiast mam poczucie winy.

Mimo to dopiero gdy drzwi zamykają się za nią, dociera do mnie, co zaszło, i zastanawiam się: jak właściwie rozwiązać ten problem? Czy Chaja ma jakiś plan? Bo ja nie.

Najlepsze w siedmiu dniach błogosławieństw jest to, że można się ładnie ubrać. Panna młoda jest zawsze najlepiej ubraną osobą wśród uczestników siedmiodniowych uroczystości ze składaniem życzeń – ten obyczaj ma przynieść szczęście nowożeńcom. Co wieczór ubieram się inaczej, każdy strój został starannie wybrany na zakupach i przerobiony przez krawcową, by leżał na mnie jak ulał. Moje peruki są świeżo uczesane i polakierowane. Na wszystkich przyjęciach moja szwagierka Szprynca – sama świeżo zamężna, dwa miesiące po ślubie, bo nie chciała czekać, aż my się pobierzemy, jak to jest w zwyczaju – siedzi w ciemnym kącie, nadąsana jakąś smutną goryczą, której przyczyn nijak nie rozumiem. Ignoruję ją jednak, bo, niestety, jestem zajęta myśleniem o zadaniu, którego przez cały tydzień nie zdołaliśmy wykonać.

Pierwsze dni po ślubie, które powinny być najszczęśliwszymi w moim życiu, wypełnia troska o skonsumowanie małżeństwa. Wszystkie wysiłki spełzają na niczym, Eli jest coraz bardziej niespokojny, a jego rodzina wywiera na nas coraz większą presję, żeby doprowadzić sprawę do końca. Przy trzecim podejściu Eli nie jest w stanie zmusić własnego ciała do entuzjazmu, a ja nie mogę ulec czemuś, czego nie ma. Tłumaczy mi, jak działa jego podniecenie, i do piątej nad ranem staramy się ukoić jego nerwy, i zrelaksować go na tyle, by mógł spróbować, ale pod koniec tygodnia obydwójce jesteśmy zdesperowani i na skraju obłędu.

Eli mówi, że w jesziwie chłopcy masturbują się nawzajem. Ponieważ nie widują dziewczyn, tylko chłopaków, on reaguje podnieceniem na widok chłopca. Po tylu latach dziwnie jest musieć się przestawić.

– Nie wiem nawet, czy powinienem czuć pociąg do ciebie. Zanim cię zobaczyłem, nie wiedziałem nawet, jak wygląda dziewczyna.

Nagle czuję się straszliwie onieśmielona. Przyjmowałam jako oczywistość, że sam widok mojego ciała go podnieci. Teraz jednak patrzę na własne ciało jego wzrokiem –

obce, tajemnicze, nieznanne.

Pod koniec tygodnia rabini każą nam przestać, bo krwawię od podrażnienia i nie da się stwierdzić, czy jest to wynikiem przerwania błony dziewiczej, co z kolei czyni mnie nieczystą. Orzekają, że jestem *nidda* i muszę postępować jak wszystkie inne mężatki – odliczyć siedem dni albo czternaście szmatek, a potem zanurzyć się w mykwie.

Proces oczyszczenia zajmie dwa tygodnie i dopiero potem mogę znowu próbować, ale tydzień przed wyprawą do mykwy budzę się z potwornym swędzeniem na lewym ramieniu. Myślę, że to komar mnie ugryzł, i przez całą noc drapię się z furją, z przerwami na płytką drzemkę, ale kiedy budzę się rano, widzę ławicę złośliwych czerwonych krost na całej ręce. Nigdy w życiu nie widziałam takiej dziwacznej wysypki, więc zamawiam wizytę w klinice przy Heyward Street. Zwykle nie chodzę do lekarza w tej przychodni ODA – finansowanej przez rząd, ale prowadzonej przez społeczność chasydzką; przyjmuje wszystkich, ale najczęściej jest brudna i zatłoczona. Nie udaje mi się jednak umówić na pilną wizytę gdzie indziej.

Doktor Katz ogląda mnie od stóp do głów i krzywi się na widok wysypki, ale przez dłuższą chwilę najwyraźniej nie może sformułować jednoznacznej diagnozy. Ostatecznie mówi, że na osiemdziesiąt procent to jakaś odmiana ospy wietrznej, ale nie ma całkowitej pewności. Przepisuje mi lek antywirusowy, na wszelki wypadek, gdyby tak się okazało.

– Jest skuteczny tylko wtedy, gdy zażyje się go do czterdziestu ośmiu godzin od wystąpienia objawów – mówi – ale myślę, że jeszcze nie jest za późno. Nie zabije wirusa, ale złagodzi objawy infekcji i skróci czas jej trwania.

Nie mogę uwierzyć, że mam ospę wietrzną. Zaszczepiono mnie jako dziecko i miałam wcześniej kontakt z chorobą, więc jak to? Wydaje się idiotyczne nawet wspominać o tym Eliemu. Ale teraz nie mogę iść do mykwy, czego i tak nie chciałam robić, i mogę wziąć krótkie wakacje od całego stresu. Nikt nie będzie dyskutował z ospą wietrzną.

Wysypka się rozszerza i wychodzi na lewej nodze, po lewej stronie brzucha, aż w końcu także po lewej stronie twarzy. Jakby ktoś narysował czerwoną kreskę flamastrem wzdłuż mojego ciała i kazał krostom trzymać się z jednej strony. Strasznie swędzi; kąpię się w owsiance i nacieram wszystko grubą warstwą maści przeciw swędzeniu. Wstydzę się wyjść na ulicę i pokazywać twarz w takim stanie, więc siedzę w domu, aż przejdzie.

– Dobrze się składa, że jesteś teraz *nidda* – mówi Eli. – I tak nie mogę cię tknąć.

Trzy tygodnie później wysypka ciągle nie zeszła, choć na krostach zaczynają się formować strupy. Budzę się w środku nocy z silnym bólem brzucha i wymiotuję godzinami, zanim Eli dzwoni z prośbą o radę do kolegi, który pracuje w pogotowiu.

Michoel należy do lokalnego oddziału organizacji Hatzolah, która ma własne karetki i pracowników pogotowia. Mówi, że za każdym razem, gdy kobieta ma bóle brzucha, procedura nakazuje zabrać ją do szpitala na wypadek, gdyby się okazało, że problem dotyczy macicy. Odwożą nas na pogotowie w szpitalu uniwersyteckim, gdzie większość oczekujących to okoliczni mieszkańcy próbujący zdobyć leki przeciwbólne. Przez dłuższą chwilę nikt się mną nie zajmuje, dają mi tylko coś na zabicie gorączki – ale gdy wreszcie przyjmuje mnie lekarz, dzwoni po specjalistę od chorób zakaźnych, żeby przyszedł mnie zbadać. Doktor, drobny Azjata z pomarszczonym czołem i tłustą cerą,

mówi mi, że mam półpaśca ocznego, którego, jak sądzi – przyglądając się chasydzkiemu strojowi Eliego – mogłam złapać w łaźni rytualnej. Wstrząsa mną na wspomnienie basenu z letnią wodą, który zapewne dzieliłam z setkami innych kobiet. Nie przyszło mi do głowy, że wykonując Boże przykazania, mogę nabawić się choroby. Zawsze mnie uczono, że nic złego nie może się stać przy wypełnianiu micwy, przykazania; ono ma nas chronić.

Czuję się, jakby ciążyła na mnie jakaś klątwa. Odkąd Eli i ja się pobraliśmy, spotkały nas wszystkie możliwe nieszczęścia. Odziedziczyłam po Bube skłonność do przesądów, czy to znak? Jeśli tak, to trochę za późno. Teraz nic nie mogę poradzić na okoliczności, w których się znalazłam.

Mój budynek ma osiem pięter, na każdym jakieś dwadzieścia mieszkań – w większości mieszkają młode małżeństwa takie jak Eli i ja. Ale jakie było prawdopodobieństwo, że Golda zamieszka dosłownie kilka metrów od nas?

Moja stara przyjaciółka, z którą wiele lat temu przyłapano mnie na *gan jehuda*, jak się po niej zawsze spodziewałam, wyrosła na piękną kobietę. Jej oczy lśnią jeszcze bardziej niż kiedyś, ciało zaokrągliło się w ładne łuki, ale talia została tak wąska jak dawniej. Jej sposób bycia się zmienił: jest nieśmiała, mówi cicho, kompletnie inna, niż ją pamiętałam. Gdy rano jej mąż wychodzi do szulu, zaprasza mnie do siebie na kawę. Jak wszystkie młode mężatki, ochamy i achamy nad jej nową zastawą i pościelą oraz przeglądamy jej ślubny album. Prowadzi mnie do sypialni, żeby mi pokazać śliczne mahoniowe meble, z ogromną szafą i ciężką komodą. Masywne meble przytłaczają swym ciężarem małe pomieszczenie.

Przysiada na jednym z łóżek, wyglądfa narzutę szczupłą, elegancką dłonią. Patrzy na mnie, jej twarz jest pełna bólu.

– Żebyś ty widziała noc poślubną – szepce. – Było tyle... tyle krwi. – Jej głos załamuje się pod koniec drugiego zdania. Nie wiem, czy rozumiem, co chce mi powiedzieć. Jeśli mówi o tym, jak straciła dziewictwo, nie chcę o tym słuchać. Nie zniosę nowych opowieści o udanej nocy poślubnej, nie kiedy ja sama nie uroniłam jeszcze ani kropli krwi. – Krew była wszędzie. Na łóżku, na ścianach. Musiałam iść do szpitala.

Jej twarz marszczy się nagle i myślę, że zaraz się rozpłacze, ale ona bierze głęboki wdech i uśmiecha się dzielnie.

– Poszło nie w to miejsce. Rozerwało mi jelito. Och, Dewojre, nie wyobrażasz sobie, jak to bolało. Straszne to było!

Jestem oszołomiona ze zdziwienia. Prawdopodobnie szeroko rozdziawiam usta. Jak to możliwe, żeby rozerwać jelito?

– No wiesz, ich uczą na zajęciach przedmałżeńskich, żeby zrobić to szybko, zanim stracą odwagę, a my się wystraszymy. Więc po prostu wepchnął, wiesz? Ale nie w to miejsce. Skąd miał wiedzieć? Nawet ja nie wiedziałam na pewno, które to miejsce.

– A jak się teraz czujesz? – pytam, głęboko poruszona jej opowieścią.

– Och, już w porządku! – Uśmiecha się szeroko, ale kąci jej oczu nie marszczą się jak dawniej, a dołeczki w policzkach ledwie się zarysowują. – Mój mąż wróci za chwilę, powinnaś już iść. – Nagle spieszy jej się, by wyprowadzić mnie za drzwi, jakby się bała, że przyłapią ją na rozmowie z sąsiadką.

Po powrocie do mieszkania zamykam się w łaźience i przez dwadzieścia minut non

stop szlocham w ręcznik. Gdzie, pytam się, jest w tym wszystkim rodzina Goldy? Dlaczego po tych wszystkich latach i niezliczonych wypadkach nikt nie zdecyduje się wreszcie czegoś powiedzieć?

Przy naszej ulicy otwiera się kosztowna chińska restauracja. Rabinowie występują przeciwko przyzwoleniu na nieżydowską kulturę, ale młode pary mieszkające w sąsiedztwie są zachwycone możliwością spróbowania czegoś nowego – i jakkolwiek nie mamy odwagi siedzieć tam, gdzie nas mogą zobaczyć, zamawiamy jedzenie na wynos. Po wieczornej modlitwie Eli idzie odebrać nasze zamówienie.

Wykładam żeberka w jasnoczerwonym, galaretowatym sosie na nasze nowiutkie, obramowane srebrem porcelanowe talerze. Siadamy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Patrząc, jak pożera żeberka, ale ja ledwie ruszam swoje. Ostatnio nie jestem w stanie nic utrzymać w żołądku. Podejrzewam, że jestem bardzo chora na jakąś tajemniczą chorobę – mimo że półpasiec już mi przeszedł. Może ma to coś wspólnego z moją zablokowaną waginą.

Chaja rozmawia z rabinami, którzy wysyłają nas do wybranego przez nich seksuologa. Właściwie jest ich dwoje, małżeństwo. Żona rozmawia ze mną, mąż z Elimem. Potem sadzają nas w jednym pokoju i pokazują plastikowe części ciała, złożone razem na rzepy. Lekarka cierpliwie objaśnia nam każdy element mojego układu rozrodczego. Nie mam pojęcia, jak ma nam to pomóc. W tym kontekście wszystko wygląda jeszcze bardziej klinicznie.

Kiedy lekarka omawia z Elimem moje „tam na dole”, czuję się odrobinę lepiej na myśl, że w tym momencie to nie ja jedna jestem tutaj winna.

Potem doktor mężczyzna oznajmia, że zbada mnie, by upewnić się, czy wszystko jest jak trzeba. Z początku protestuję. Nigdy wcześniej nie przeszłam badania ginekologicznego, panikuję i odmawiam wejścia na stół. W końcu lekarz mówi, że mnie znieczuli; zanim zacznie badać okrytym rękawiczką palcem, aplikuje trochę lidokainy. Po chwili niezręcznego macania ogłasza swą diagnozę:

– Masz dwie błony dziewicze. Konieczna będzie operacja.

To znaczy, że mam dwa dziewictwa. Eli powtarza matce, co lekarz powiedział, ale teściowa go wyśmiewa. Jeśli jest mowa o operacji – oznajmia – nie można wierzyć lekarzowi. Trzeba iść po opinię innego lekarza. Teściowa daje Eliemu numer do ginekolożki na Manhattanie – to specjalistka od ciężkiego ryzyka, przyjmowała na świat wszystkie jej dzieci.

Gabinet doktor Patrick jest w Piątej Alei, z widokiem na zaśniewany kwartał Central Parku. Wyglądając z okna, widzę taksówki przecinające zawałone topniejącą breją ulice; niektóre zatrzymują się przed hotelem Pierre, wezwane gestem odźwiernego. W tym gabinecie czuję się bardzo mała, w tym aroganckim zakątku Manhattanu, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że lekarze i pielęgniarki będą mnie traktować z góry, bo wyszłam za mąż jako siedemnastolatka za mężczyznę, który nosi czarny aksamitny kapelusz i długi jedwabny surduty, i którego pejsy kołyszą się energicznie przy każdym ruchu.

Twarz doktor Patrick jest surowa i marszczy się w skupieniu, gdy lekarka wpycha we mnie stalowy wziernik i przekręca go na wszystkie strony.

– Możesz mieć przegrodę – mówi. – Wygląda, że są zrosty, a przy zrostach to się zdarza. To jak dodatkowa ścianka w pochwie. Skieruję cię na rezonans magnetyczny, żeby to potwierdzić.

Wznosi ku mnie spojrzenie, kiedy o tym mówi, ale nie wydaje się oczekiwać reakcji. Jakby już uznała, że nie wzbudzi to we mnie żadnych uczuć. Jeszcze się ubieram, kiedy ona wypada z gabinetu, wyglądając, jakby się śpieszyła do jakichś ważnych spraw. Przychodzi pielęgniarka i bez uśmiechu wręcza mi recepty. Nie mam pojęcia czemu, ale w tym gabinecie czuję przytłaczający wstyd, że w ogóle istnieję – uczucie, którego nie zaznałam na Williamsburgu.

Gdy po raz pierwszy robię badanie rezonansowe, odkrywam, że mam klaustrofobię – płaczę w tunelu maszyny tak strasznie, że aż się cała trzęsę, technicy nie mogą odczytać wyników i krzyczą na mnie przez głośnik: „Nie ruszać się!”. Doktor Patrick oznajmia, że wynik badania jest niejednoznaczny. Czasami przegroda podłużna nie jest widoczna w rezonansie magnetycznym. Oznajmia, że jedyne, co można zrobić, to zasięgnąć porady terapeuty, i daje mi skierowanie.

Eli już nie zbliża się do mnie tak jak na początku, kiedy każda noc niosła szansę przerwania naszego długiego ciągu niepowodzeń – kiedy myślał, że ciągle będzie w stanie pozbierać, co pozostało z jego strzaskanej męskości, i zrobić coś z naszym małżeństwem. Gdy tak biegamy od lekarza do lekarza, on twierdzi, że to bez sensu, dopóki się nie dowiemy, co jest nie tak. Chyba ma nadzieję, że będzie to coś poważnego, coś, co zdejmie ciężar winy z nas, i z niego. Choć nigdy nie wierzyłam, gdy nam mówili, że to moja wina, myślę, że on w to wierzył. Eli traktuje bardzo serio to, co mówi jego rodzina.

Teraz wraca z pracy później każdego dnia, a ledwie wejdzie do domu, zaraz biegnie na wieczorną modlitwę. Na początku często opuszczał modlitwy, żeby pobyć ze mną. Nie przeszkadza mi to, niech idzie – ale kiedy wraca, upominam go za to, że mnie opuścił. Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju, ale nie chcę się czuć niekochana. Czego więc chcę naprawdę?

Kiedy go nie ma, biorę długie kąpiele. Nowa łazienka jest dla mnie wielkim pocieszeniem po wszystkich tych ciężkich ostatnich miesiącach. Są w niej wielka wanna i błyszczące, drogie kafelki – gdy zapalę wewnątrz kilka aromatycznych świec, łazienka staje się moją prywatną oazą spokoju.

Eli czasem zastaje mnie wciąż w kąpielni. „Zmarszczysz się jak rodzynek” – mówi. Oglądam opuszki palców, ale nie są szczególnie pomarszczone. Gdy w końcu wychodzę z wanny, zawsze kręci mi się w głowie i czuję się słaba. To pewnie od gorącej wody.

Pewnego wieczora jak zwykle wchodzę do wanny i odkręcam gorącą wodę, z przyjemnością czując, jak jej strumień rozgrzewa moje wiecznie zmarznięte stopy. Ale po paru minutach całe ciało zaczyna mnie palić. Nawet twarz, której nie zanurzyłam w wodzie, piecze jak ogień. Wychodzę i staram się ochłodzić, ale wrażenie gorąca nijak nie chce minąć. Unosi się falami ku piersi i głowie; ponieważ nie rozumiem, co się dzieje, wpadam w panikę, puls przyspiesza mi jak szalony. W kilka minut cały obiad, który zjadłam, wznosi się w górę przełyku, silne strumienie wymiotów chlustają do muszli klozetowej. Pierwszy raz w życiu zdarza mi się zwymiotować bez wcześniejszych problemów z żołądkiem. Nie mam pojęcia, dlaczego to się stało, więc przez chwilę jestem

przekonana, że coś było w jedzeniu, mimo że Eli nie zdradza żadnych objawów. Zawsze mówi, że ma strusi żołądek.

Po pewnym czasie Eli znowu zaczyna próbować. Rabini powiedzieli mu, żeby nie przestawał, bez względu na to, co mówią lekarze. Nasze życie jest wyraźnie naznaczone rytmem dni czystych i nieczystych: przez dwa tygodnie nieśmiało próbujemy zbliżeń, wiedząc, że nasze wysiłki pozostaną bezowocne, a przez dwa następne unikamy się nawzajem, pilnując, by nie złamać zasad *nidda*. Ten rytm wywołuje we mnie nieustanny niepokój. Kiedy pod koniec dwóch tygodni wymuszonych zbliżeń zaczynam wreszcie odnajdywać się w nowym klimacie naszej relacji, łąduję znowu w stanie *nidda*, czując się odrzucona i niechciana.

To musi być emocjonalna tortura dla Eliego, to nieustanne przerzucanie się ze stanu, gdy chce być przy mnie, do odsuwania się ode mnie tak daleko, jak to tylko możliwe. Nie rozumiem, jakie uczucia naprawdę żywi do mnie, skoro tak łatwo mu przychodzi przestawić się z jednego w drugie i z powrotem, włączyć i wyłączyć. Dlaczego ja nie potrafię wykazać takiej samej samodyscypliny? Eli żyje w myśl litery prawa; wydaje się, że jedyne, co kocha, to Boże przykazania. Chce mnie tylko wtedy, gdy spełniam wymagania jego pobożnego posłuszeństwa prawom *halachy*.

Moje uczucia są jak kruche, wystraszone zwierzątka: trzeba im dać czas, by powoli wyszły z ukrycia; ledwo poczują się komfortowo, zaraz kryją się na nowo. Wkrótce nie jestem w stanie w ogóle otworzyć się dla męża, bo przeraża mnie perspektywa, że za moment on znowu mnie odrzuci. Zauważam, że stałam się bardzo chłodna, z każdym upływającym dniem ludzie oddalają się ode mnie coraz bardziej, aż wydają się ledwie odległymi okruchami. Moje własne ciało także jakby oddziela się ode mnie: jestem w stanie robić rzeczy, czując się, jakbym nawet nie była obecna.

Niespodziewane torsje zdarzają mi się ostatnio często; jedyną metodą unikania ich jest przestać jeść. Jeśli mam pusty żołądek, nie mogę nic zwymiotować. Łatwo jest mi przestać jeść, bo kompletnie straciłam apetyt. Na widok tabliczki czekolady, kiedyś tak kuszącej, skręcają mi się wnętrzności. Ponieważ nie mogę jeść, chudnę. Zauważam to, dopiero gdy inni mówią mi, jak duże wydają się na mnie ubrania, które kupiłam zaledwie kilka miesięcy wcześniej: spódnice zjeżdżają z talii na biodra, rękawy opadają na knykcie zamiast na nadgarstki. Wszyscy się zawsze śmiali z moich pyzatyńskich policzków – teraz stały się zapadnięte i blade.

Gdy znajduję się w zbyt dużej grupie ludzi, czuję, jak serce zaczyna mi walić, a wszystkie części ciała ogarnia drżenie i poczucie słabości. Boję się, że mogę być chora na jakąś straszną chorobę. Jeśli zmuszę się, by coś zjeść, natychmiast mam intensywne torsje i potem godzinami nie mogę powstrzymać odruchu wymiotnego. Moje ciało jest zmęczone i zniszczone jak ciało starej kobiety. Lekarz wysyła mnie na niezliczone badania, prześwietlenia i tomografie.

Pewnego dnia, gdy siedzę w jego gabinecie, z życzliwym spojrzeniem daje mi garść białych tabletek.

– To Xanax – mówi. – Połknij, jeśli poczujesz, że zbiera ci się na mdłości. Będzie ci lepiej.

– Na co to jest? – pytam z wahaniem.

– Na stany lękowe.

– Ależ ja się nie martwię! – protestuję. – Dlaczego miałabym ich potrzebować?

– Może ty nie czujesz lęku, ale twoje ciało owszem – wyjaśnia lekarz. – Objawy nie ustąpią, dopóki nie zajmiesz się tym problemem.

Nie mogę się zdobyć na to, by wziąć tabletki z jego ręki, więc wstaję i wkładam płaszcz, szykując się do wyjścia.

– Cóż, jeśli nie chcesz wziąć tabletek, weź przynajmniej skierowanie – wręcza mi białą wizytówkę. – To moja dobra znajoma, może będzie mogła pomóc.

Na wizytówce napisano: „Jessica Marigny. Biofeedback”.

Gabinet jest na Upper East Side, w budynku z odźwiernym, nieopodal Park Avenue – dzielnicy najbardziej nieżydowskiej z możliwych. W poczekalni atakują mnie krzykliwe okładki magazynów, kartkowanych przez wymanikiurowane ręce kobiet o długich paznokciach i lśniących, niezakrytych nogach.

Gdy Jessica zaprasza mnie na badanie do gabinetu, nie widzę w nim typowego wyposażenia. Nie ma kozetki, na której miałabym się położyć – jest tylko wygodny fotel. Po prawej stoją jakieś maszyny, ale nie takie, jakie zwykle widuje się w gabinetach lekarskich. Kawalkami szarej taśmy Jessica przykleja mi do rąk elektrody i przyciska jakieś guziki na maszynie, do której są podłączone. Na małym ekraniku pojawia się numer – dziewięćdziesiąt osiem – ale zmienia się co chwila: dziewięćdziesiąt dwa, sto dwa, sto pięć.

– Zestresowane jesteśmy, co? – mówi z uśmiechem Jessica, odgarniając za lewe ucho swoje blond włosy.

Ja także się uśmiecham, niepewna, co ma na myśli.

– Ten numer odzwierciedla twój poziom stresu – mówi życzliwie. – Biofeedback polega na tym, by nauczyć się czytać sygnały, które daje ci ciało, i rozumieć, jak na nie odpowiadać. Nauczę cię, jak rozpoznawać objawy niepokoju i jak go łagodzić, żebyś nie wymiotowała.

Co tydzień przez godzinę siedzę na jej fotelu, ucząc się oddychać tak, by stymulować gruczoły nadnerczy, oczyszczać umysł i odprężyć mięśnie – aż numery na czytniku same z siebie zaczynają spadać.

– Pamiętaj, zawsze to ty decydujesz. Lęk nie będzie mieć nad tobą władzy, jeśli sama mu jej nie dasz – mówi Jessica.

Gdy wychodzę z mojej ostatniej lekcji, żegna mnie jak zawsze, mówiąc:

– Triumf ducha nad materią. Triumf ducha nad materią. – I puka dłonią w czoło.

Eli przygląda się, jak spędzam wieczory, leżąc na kanapie, skupiona na ćwiczeniach oddechowych. Jego obecność powoduje fale niepokoju i bez przerwy muszę walczyć z nimi, odpierając każdy ich przyływ głębokim, mocnym oddechem. Mam wrażenie, że kiepsko się bronię, że walczę jak w oblężeniu, świadoma, że moja energia skończy się szybciej niż zasoby przeciwnika i że klęska jest nieuchronna. Mimo to ciągle wykonuję ćwiczenia. Lęk nie znika, ale mogę trzymać go z daleka, mając oko na niego, na wypadek gdyby znów zaczął podchodzić bliżej i próbował mnie zaskoczyć. Czasami nocą budzi mnie gwałtowny koszmar, w którym koce i prześcieradła próbują mnie pożreć. Wyskakuję z łóżka i kryję się w kuchni, dopóki uczucie bycia atakowaną nie osłabnie

trochę, choć czasem wydaje mi się, że nawet powietrze próbuje mnie zadusić. Pokój zdaje się skręcać i zaciskać, próbując mnie zmiążdżyć; nawet krzesło, na którym siedzę, nie jest stabilnym oparciem. Mam wrażenie, że nie mam się gdzie schronić. Co za przekleństwo, nie czuć się bezpiecznie nawet we własnym ciele, gdy wszystko wokół idzie źle. Moje własne ciało powinno być tym oparciem, na którym zawsze mogę polegać. Zamiast tego jest moim najgorszym wrogiem, udaremnia wszystkie moje wysiłki.

Eli przygląda się atakom lękowym, ale nie rozumie, co się dzieje. Może myśli, że popadam w obłąd i nigdy nie wyzdrowieję. Pewnego czerwcowego dnia nie wraca do domu, a gdy próbuję do niego zadzwonić, nie odbiera. Czekam do późnego wieczora, ale ciągle się nie odzywa, więc dzwonię do jego matki zapytać, czy wie, gdzie on jest – zanim jednak zdołam choćby zadać pytanie, teściowa mówi chłodno:

– Eli nie wróci dziś do domu.

– Jak to?

– Tak to, że nie chce więcej wracać do domu, w którym ty jesteś. Nie chce też z tobą rozmawiać.

Rozłączam się, kompletnie zaszokowana. Dzwonię do ciotki Chai, która już wie, co się dzieje. Mówi, że zdaniem teściowej Eli powinien rozwieść się ze mną, bo nie mogę mieć stosunku. Nie mogę pojąć, jak Eli mógł tak impulsywnie podjąć tę decyzję, jak to możliwe, że wybrał matkę, a nie żonę, i nawet mnie o tym nie poinformował.

Nagle czuję ścianę gniewu wyrastającą tam, gdzie przedtem był lęk. Nie wiem, na co i na kogo jestem wściekła, ale cała niesprawiedliwość, której wydaje mi się, że doświadczałam do tej pory, budzi mój wielki gniew. Mam dosyć bycia obwinianą za wszystko.

– W porządku, nie będę się kłócić – mówię z naciskiem. – Jeśli naprawdę chce rozwodu, będzie go miał. Nie obchodzi mnie to. – Rozłączam się, zanim ciotka zdoła coś powiedzieć.

Obchodzi mnie to, gdzieś głęboko – bo boję się zostać sama. Jeśli mój mąż się ze mną rozwiedzie, nie mam ani domu, ani przyjaciół. Prawdopodobnie nigdy więcej nie zdołam wyjść za mąż. Teraz jednak nie myślę o tym, bo fakt, że Eli mnie zdradził, przerasta wszystko inne. Nie śpię aż do świtu, odrętwiała z zimna.

Jaka to sprawiedliwość, myślę sobie, że muszę brać wszystko na siebie tylko dlatego, że mam waginę, naczynie? Co, jeślibym miała penisa – czy ktokolwiek winiłby mnie za nieumiejętność wsadzenia go gdzie trzeba? A te wszystkie noce, które spędziłam na pocieszaniu Eliego, bo nie był w stanie utrzymać erekcji? Czy za nie także jestem odpowiedzialna?

Doprowadzam samą siebie do obłądki takimi myślami, ale nie wiem, na kogo najpierw powinnam być wściekła: czy na Chaję, która zawsze mówi mi, co robić, nie zasłużywszy nawet na taki przywilej? Na Zajde, który nie ma o niczym pojęcia do tego stopnia, że uznał, iż mogę być szczęśliwą małżonką chłopaka z durnej, fanatycznej rodziny, w której byłam jedyną kobietą nienoszącą szpicla ani kapelusza? Czy na Eliego, który od początku nie miał za grosz kręgosłupa jako mąż, który bez zastanowienia wygadał ojcu prawdę, nie dając nam nawet szansy na odrobinę prywatności? Czy na swoją teściową, która zawsze się wtrąca i obgaduje mnie z córkami za moimi plecami, za to, że

kazała synowi się ze mną ożenić po to tylko, by zaraz kłaść mu do głowy, że mógł trafić lepiej? Czy na teścia, który, jak się zdaje, czerpie niezwykłą przyjemność z faktu, że nie zdołaliśmy skonsumować naszego małżeństwa i wykorzystuje każdą okazję, by pouczać Eliego na temat halachicznych praktyk seksualnych? Nie widać końca tej listy. Tuż przed świtem ogarnia mnie lęk, że ta wściekłość całkiem mnie pochłonie. Uciszam własny szloch, by nie pobudzić sąsiadów.

O siódmej rano Eli wraca do domu. Pada na płask przede mną i przeprosza bez końca, ale nawet nie słyszę, co mówi. Widzę tylko, że porusza ustami, i myślę jedynie o jego słabości i braku charakteru. W głębi serca już odcięłam się od niego. Wiem, że jeśli zostanę w tym małżeństwie, codziennie będę odgrywać rolę dobrej, kochającej żony, ale nigdy nie będę widzieć w nim osoby. Bez słowa przytakuję na wszystko, co mówi. Ściska mnie, gdy zgadzam się przyjąć go z powrotem.

Matka mu przykazała, by zabronił mi czytać książki z biblioteki – jakby to, że nielegalnie je podczytuję, było przyczyną wszystkich naszych problemów. Jeśli mam kiedykolwiek znowu móc czytać, muszę powrócić do sztuczek z dzieciństwa – a sama myśl o takich podchodach sprawia, że czuję zmęczenie. Jestem za stara, by walczyć o takie małe swobody. Nie tak miało być.

Muszę się pozbyć wszystkich moich książek. Kiedyś wprawiało mnie w ekscytację to, że leżały nagie na stoliku przy kanapie – i to, że mieszkałam we własnym domu i nie musiałam się dłużej kryć ze swoim ulubionym zajęciem. Teraz nie mogę sobie pozwolić na to, by je ktoś zobaczył i doniósł teściowej. Wkładam cały swój księgozbiór do plastikowego worka na śmieci. Eli wyrzuca go do kontenera koło swojej pracy.

Przekartkuję swój zaczytany egzemplarz *Ani z Zielonego Wzgórza*, zanim wrzucę go do worka, w ślad za *Wodnikowym Wzgorzem* i *Jane Eyre*. Jak wszystkie moje ulubione bohaterki z lektur młodości, miała pecha, ale lubiłam ją najbardziej, bo zaskarbiła sobie miłość wszystkich wokół siebie swoją odwagą i psotnością – ja też zawsze chciałam być taka. Myślałam, że to Eli będzie tą osobą, która pokocha mnie, pomimo tego że nie potrafię być zwyczajna – tak jak mi to obiecał, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy i ostrzegłam go, że niełatwa ze mnie osoba. Może jednak nie miłość miał na myśli, gdy powiedział, że da sobie ze mną radę, ale władzę, którą może mnie zmusić do spełniania jego życzeń i dopasowania do jego świata.

Eli mówi, że to jego siostra Szprynca stoi za jego niespodziewanym zniknięciem. Teraz, gdy myśli, że z powrotem jest u mnie w łasce, spieszo mu, by zrzucić winę za wszystkie nieprzyjemności na kogoś innego. Opowiada, że dowiedział się, jak to Szprynca cały czas obgadywała mnie przed jego rodziną, zmyślając o mnie kłamstwa. Uwierzyli jej i dlatego przekonali go, by mnie porzucił. Przypominam sobie gorzki, wściekły wyraz twarzy Szprynicy na *szewa berachos* i nagle wszystko układa się w logiczną całość.

– Myślisz, że była zazdrosna, że to nami się wszyscy interesują? – pytam Eliego. Zwykle rodzina przez okrągły rok hołubi świeżą mężatkę, zanim wszyscy przeniosą uwagę na kolejną pannę młodą. O Szprynicy zapomniano, gdy tylko ja wyszłam za mąż. Tyle, że to był jej wybór: mogła poczekać i odciągnąć uwagę rodziny ode mnie. Nie sądzę, bym miała coś przeciwko temu.

– Nie wiem – odpowiada Eli. – Może tak, a może po prostu była zazdrosna, że ty jesteś bliżej ze mną niż ona. Kiedy mieszkaliśmy u rodziców, byliśmy zawsze bardzo blisko. Może Szprynca uważa, że jesteś zagrożeniem dla jej relacji ze mną.

– Ale przecież ma własnego męża! Który był twoim najlepszym przyjacielem! Czy ty nie masz powodu czuć się zagrożony tym, że ona weszła pomiędzy was dwóch?

– Nie, ja to co innego. Wyszła za mojego najlepszego przyjaciela po to, by zawsze być w moim kręgu. Wiesz, że od początku miała go na oku. Powiedziała swatce, żeby go zasugerowała.

Nie mogę uwierzyć, że siostra Eliego to taka manipulantka. Wygląda na to, że Eli zawsze był jej obsesją. Myśl o tym sprawia, że czuję się wybitnie niekomfortowo, choć nie wiem, dlaczego. Mimo to nie zamierzam zrzucić na nią całej winy. Martwi mnie, że Eli nie potrafił przejrzeć manipulacji swojej rodziny. Jak to możliwe, że okazał się tak słabej woli, gdy ja byłam przekonana, że taki nie jest? I dlaczego, skoro odkrył, że to Szprynca jest winowajczynią, nie pociągnął jej i reszty rodziny do odpowiedzialności za ich czyny? Mógł przynajmniej spełnić swój męzowski obowiązek i wziąć mnie w obronę.

Ponieważ obiecałam Eliemu, że znajdę sposób, by rozwiązać nasz problem, umawiam się na wizytę u seksuolożki, którą poleciła mi doktor Patrick. Terapeutka mówi, że zobaczywszy, jak się wiję na kozetce, może stwierdzić, że problem tkwi w mojej głowie. Moja głowa – powiada – ma więcej kontroli nad ciałem, niż jestem skłonna przyznać. Moja vagina się zamyka, jeśli głowa tak zechce, choćbym nie wiem jak przekonywała samą siebie, że chcę ją otworzyć: moja podświadomość wie swoje i to ona kontroluje sytuację.

To się nazywa pochwica. Terapeutka daje mi książkę na ten temat. Czytam w niej, że to schorzenie występuje najczęściej u kobiet, które wychowały się w opresyjnym religijnym środowisku. Zaczynam rozumieć, że przez te wszystkie lata, gdy ukrywano przede mną moje ciało, ono nauczyło się ukrywać przede mną.

Jak wyjaśnia książka, istnieje coś takiego jak pamięć ciała, której ciało używa, by zachować umiejętności takie jak chodzenie czy pływanie. Nie bez powodu nie da się zapomnieć, jak się jeździ na rowerze. Nawet jeśli osoba zapomni, jej ciało pamięta. Mięśnie włączają się, gdy tylko stopy dotkną pedałów.

Jeśli mięśnie nauczą się, jak chodzić, nigdy tego nie zapomną. Nie da się wymazać tego wspomnienia bez przejścia ogromnego urazu psychicznego. Podobnie, jak wyjaśnia autor, jeśli mięśnie pochwy nauczono, by się zaciskały, trudno jest przełamać ten rodzaj pamięci ciała. Trzeba przekonać do tego nie tylko umysł, ale i właściwy mięsień.

Pierwszą rzeczą, jaką powinnam zrobić – poucza książka – to nabyć zestaw dilatorów, tulejek różnej szerokości, które należy wsuwać do pochwy w ramach ćwiczeń. Proces może trwać miesiącami, aż do czasu, gdy wsunięcie najszerzej tulei przebiega bez uczucia dyskomfortu. Chodzi o to, by mięśnie pochwy nauczyły się naturalnie rozluźniać. Procedurze towarzyszą specjalne ćwiczenia mięśniowe i oddechowe.

Powinnam przychodzić do terapeutki i ćwiczyć z dilatorami u niej w gabinecie, ale to zbyt upokarzające, więc znajduję zestaw w sklepie internetowym i zamawiam przesyłkę do domu. Przychodzi tydzień później, w niepozornym białym pudełku. Tulejki, powkładane jedna w drugą, spoczywają w aksamitnym woreczku zaciągany tasiemką.

Są beżowe, z lekko zwężającym się czubkiem. Instrukcja nakazuje używać dużo lubrykantu.

Co wieczór, gdy Eli idzie na modlitwę, ja kładę się na łóżku, żeby poćwiczyć. Przez pierwsze dwa tygodnie długo walczę, by wsunąć najwęższą tulejkę, ledwie grubości mojego palca. Muszę leżeć z nią w środku przez dłuższą chwilę, a potem przećwiczyć wyjmowanie jej i wkładanie z powrotem, starając się przy tym oddychać jak najspokojniej. To wykańczająca i nudna robota.

Co wieczór po powrocie do domu Eli dopytuje o postępy. Zajmuje mi trzy miesiące, zanim dochodzę do najszerszego dilatora, ale bez względu na to, ile czasu spędzam, ćwicząc z nim, ból się nie zmniejsza. Mam wrażenie, że fizycznie wszystko robię jak trzeba, ale mentalnie i emocjonalnie nic się nie zmienia – i dociera do mnie, że to jest sedno problemu.

W rocznicę ślubu Eli i ja idziemy zobaczyć pokaz hipnozy w Las Vegas. Nikomu nie mówimy, bo wiemy, że spotkałoby się to z dezaprobatą. Eli mówi matce, że jedziemy do Kalifornii, żebym mogła odpocząć. Po pokazie hipnotyzer obiecuje wyleczyć widzów, którzy nie mogą rzucić palenia, i zahipnotyzować tych, którzy chcą schudnąć. Kiedy wracamy do hotelu, doznaję olśnienia – może to by zadziałało, gdybym zahipnotyzowała moją waginę, żeby się otworzyła!

Po powrocie do Nowego Jorku umawiam się do licencjonowanej hipnoterapeutki na Manhattanie, w Midtown. Wizyta kosztuje dwieście pięćdziesiąt dolarów, mówi mi kobieta, ale jest pewna, że może mnie wyleczyć. Kładę się na fotelu w jej gabinecie; ona włącza kojącą muzykę i każe mi głęboko oddychać. Sesja trwa godzinę. Nie czuję się zahipnotyzowana, ale z tym nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Mówię Eliemu, że teraz naprawdę możemy znowu spróbować. Gdy idę do mykwy, kobieta, która dokonuje inspekcji, zna mnie z poprzednich wizyt i z ciekawością spogląda na mój płaski brzuch.

– *Szafele* – mówi mi – nie martw się, skarbie. Czasami to trochę trwa.

Udaję pełen wdzięczności uśmiech.

W domu przebieram się w koronkową koszulę nocną, bo chcę, by Eli był zrelaksowany i nie denerwował się zbytnio – po tym wszystkim on także nie jest zbyt pewien siebie. Udaję, że jego penis to tulejka, i to działa, mimo że bardzo boli, szczypie i pali przy każdym rytmicznym ruchu w górę i w dół, ale co miłe, to że szybko jest po wszystkim, że jest w stanie zrobić to prędko. Eli jest tak szczęśliwy, że przez niezmiernie długi czas śmieje się i płacze jednocześnie. Jego ciało trzęsie się gwałtownie nad moim.

Potem osuwa się na plecy i opiera głowę na zgiętym ramieniu. Uśmiech satysfakcji jaśnieje na jego twarzy. Ciągle stara się złapać oddech.

– Jakie to uczucie? – pytam cicho. Jestem naprawdę ciekawa.

– Co? Myślisz o samym doświadczeniu?

– Tak.

Odwraca się i patrzy na mnie, próbując znaleźć odpowiednie słowa:

– To najwspanialsze uczucie na świecie. – Oczy mu wilgotnieją.

– Hmm – nie mówię nic więcej, ale zastanawiam się: skoro dla niego to najwspanialsze uczucie na świecie, dlaczego dla mnie takie nie jest? Dlaczego dla

mężczyzny to takie wspaniałe, a dla kobiety taka ciężka praca? Czy kiedykolwiek będzie mi się to podobać?

Cóż, tak czy inaczej cieszę się, że już po wszystkim. Nazajutrz dzwonię do Chai, żeby jej powiedzieć, a ona obdzwania wszystkich, by przekazać dobrą nowinę. Prywatność przestaje mnie w tym momencie obchodzić. Jak zresztą wszystko inne.

W piątek wieczorem Eli chce to zrobić jeszcze raz. Ekscytuje go to nowe doświadczenie w naszym życiu. Przychodzi do łóżka po szabasowym posiłku, jego oddech ostro pachnie coca-colą.

– Piłeś coś gazowanego? – pytam. – Pachniesz jak cola.

– Nie! O czym ty mówisz? Nie mamy w domu żadnej coli. Jak miałbym się jej napić?

– Ale pachniesz jak coca-cola! I to mocno. Idź chociaż umyj zęby.

Gdy Eli wraca, wciąż pachnie nieświeżo, jak gazowany napój, z którego uciekły bąbelki. Nie jestem w stanie znieść bliskości tego zapachu. Eli uważa, że to zmyśliłam, ale dla mnie to bardziej realne niż prześcieradła, na których śpię.

Gdy nazajutrz rano Eli wraca z synagogi, mówi do mnie:

– Może jesteś w ciąży. Mój przyjaciel z szulu mówi, że czasami kobiety w ciąży czują dziwne zapachy, których naprawdę nie ma.

Nie mogę być w ciąży, nie tak szybko. Czy to naprawdę tak działa? Czy to przychodzi tak łatwo? Z drugiej strony, ciąża nie jest wynikiem wielu odbytych stosunków; wystarczy tylko jeden. Dlaczego nie od pierwszego razu? Pewnie to możliwe.

Gdy kończy się szabas, kupujemy test – w niespełna pięć minut pokazują się dwie różowe kreski. No więc jesteśmy w ciąży. Od razu czuję, że to będzie chłopiec. Nazajutrz idę prosto do księgarni i kupuję poradniki dla ciężarnych, po czym spędzam dwa tygodnie na kanapie, czytając je. Postanawiam w ogóle nie pić alkoholu, mimo że moja szwagierka twierdzi, że odrobina nie zaszkodzi. To będzie najzdrowsza ciąża i najzdrowsze dziecko. Przynajmniej nad tym mam kontrolę. Ignoruję fakt, że nie budzi to we mnie żadnych emocji, mimo że Eli właściwie szłocha z radości i włosy rwie z głowy, zastanawiając się, komu powinien powiedzieć, i czy w ogóle powinniśmy wspominać komukolwiek przed upływem wymaganych trzech miesięcy. Ja mam głowę zajętą myśleniem o praktycznych rzeczach – jak zdobędziemy wszystko, co potrzebne, gdzie to kupimy oraz o tym, że wkrótce nie będę się mieścić w żadne ubrania.

Słyszę, jak w sąsiednim pokoju Eli rozmawia przez telefon ze swoją matką. Uśmiecham się w sekrecie sama do siebie. Więc nie mógł się powstrzymać. Po chwili przychodzi do jadalni i siada obok mnie na kanapie, kładąc mi rękę na brzuchu.

– Popłakała się – szepce. – Jest taka szczęśliwa, szkoda, że nie mogłaś jej słyszeć. Myślała, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

Jasne. Bo mam osiemnaście lat i co najmniej parę płodnych przed sobą. Myślała, że nie „naprawimy” tego drobnego problemu, aż mi czterdziestka stuknie. Cóż, Chaja zaszła w ciążę po raz szósty w wieku czterdziestu dwóch lat. Potrząsam głową z niedowierzaniem. Niezła parka z tych dwóch, mojej teściowej i Chai: obie uwielbiają dramaty.

– A wiesz co – mówi Eli – teraz, gdy jesteś w ciąży, jesteś czysta. Przez całe

dziewięć miesięcy. Nie będziesz musiała chodzić do mykwy. Przez cały czas będę mógł cię dotykać.

Śmieję się tak, że aż zaczynam chrząkać.

– I to cię tak cieszy? Od kiedy mykwa to jakiś problem dla ciebie? To ja muszę chodzić, nie ty.

– No wiem – mówi Eli – ale zawsze mi powtarzasz, jak tego nie znosisz. Cieszę się, że teraz nie musisz.

To, co go cieszy, to fakt, że sam nie musi się martwić. Właśnie odkrył, jaką przyjemność daje mu seks, i teraz będzie to miał przez dziewięć miesięcy bez żadnych ograniczeń. Utrudzeni nie zaznają spoczynku.



Sprawiedliwość zwycięża

Wedle Talmudu Bóg także się modli. A cóż to za modlitwa? „Och, oby moje Miłosierdzie wzięło górę nad Sprawiedliwością”.

A Treasury of Jewish Folklore, pod redakcją Nathana Ausubela

Podaję decyzję, że nijak nie mogę wychować dziecka w naszym mieszkaniu na Williamsburgu. Jest za małe, nie ma miejsca na kojec ani zabawki. Chcę mieć ogród i drzewa. Nawet dorastając w mieście, byłam rozpieszczona, bo mieszkałam w prywatnej kamienicy z ogrodem, a nie w blokowisku, jak większość moich rówieśników.

Jestem zmęczona mieszkaniem na Williamsburgu. Nie mieści mi się w głowie, że wciąż muszę znosić to, że wszyscy gapią się i osądzają, wieczne plotki sąsiadów, niemożność zachowania jakiegokolwiek prywatności. Nie możemy nawet wymknąć się na kręgielnię bez obawy, że ktoś wścibski nas tam wyśledzi. Nie takiego życia oczekiwałam. Miałam nadzieję, że małżeństwo da mi więcej swobody, ale na Williamsburgu nawet dorosła zamężna kobieta jest ciągle na cenzurowanym, dokładnie tak samo, jak gdy była dzieckiem. Eli również nie przywykł do brooklyńskiej ciasnoty; tam, gdzie dorastał, ludzie nie żyli tak na kupie. Nie było codziennością, że jeśli przyłoży się ucho do ściany, podsłucha się kłótnię jakiejś pary sprzeczącej się o zakupy.

Ciągle obmyślam, jak tu zmienić naszą sytuację mieszkaniową. Eli ma trudności z dostosowywaniem się do zmian, z natury jest niechętny jakimkolwiek ryzyku. Tygodniami urabiam go, przypominając, jak męczące są jego dwugodzinne dojazdy do pracy i jak poważnie ograniczą czas, który będzie mógł spędzić z dzieckiem. Przypominam też, że całe jego rodzeństwo mieszka na północy stanu. Nic go tutaj nie trzyma.

Eli dzwoni do brata, żeby zapytać go o zdanie. Oczywiście Aaron jest od razu pełen entuzjazmu i wymienia całą listę powodów, dla których Eli powinien się przeprowadzić. Wie nawet o mieszkaniu, w którym moglibyśmy zamieszkać, i mógłby dopilnować, żebyśmy dostali je za supercenę. Gdy jedziemy z Elim obejrzyć to mieszkanie, nie jestem zachwycona jego stanem, ale myślę, że jeśli się przeprowadzimy, mogę na miejscu rozejrzeć się za czymś lepszym. Na razie zachwyca mnie perspektywa opuszczenia Williamsburga i wszystkiego, czego tu nienawidzę.

Gdy mówię o przeprowadzce ciotce Chai, połowa rzeczy jest już w pudłach. Mimo to czuję, że powinnam oficjalnie ją zawiadomić. Ku mojemu zaskoczeniu wydaje się aprobować ten pomysł. Gdy oznajmiam jej nowinę, obrzuca mnie oceniającym spojrzeniem i mówi tylko:

– Monsey? Myślę, że to znakomity pomysł, żebyś się tam przeniósła.

W jej stwierdzeniu wyraźnie słychać niepewność, ale przynajmniej próbuje być otwarta na pomysły. Może jest zmęczona tym, że jestem blisko i ciągle stanowię dla niej ciężar. W Airmont, małym miasteczku nieopodal Monsey, nikt nie będzie musiał zwracać sobie mną głowy – i po raz pierwszy wreszcie będę naprawdę niezależna.

Nasze nowe mieszkanie mieści się na parterze domu w farmerskim stylu, w małej ślepej uliczce niedaleko autostrady New York State Thruway. Dźwięk przejeżdżających aut w połączeniu z cykaniem świerszczy wpływa kojąco na moją miejską duszę.

Uwielbiam wieś. Nie wyobrażam już sobie mieszkania w mieście, z jego wścibskimi spojrzeniami i ciasnymi mieszkaniami. Chodzę po zakupy do centrum miasteczka wzdłuż lokalnej drogi numer 59, ale po pewnym czasie zaczynam się martwić, że gdy zrobię się większa, nie będę już w stanie. Wiem, niektóre kobiety w Monsey jeżdżą samochodami. Nawet moja szwagierka ma prawo jazdy na wypadek nagłej potrzeby, chociaż szkoła jej syna oficjalnie nie pozwala jej jeździć. Ja jednak nie jestem aż tak religijna jak ona i nie mam jeszcze dzieci w wieku szkolnym, więc postanawiam zapisać się na kurs prawa jazdy. Przekonuję Elię, że to się nam przyda – będę mogła zmieniać go za kierownicą podczas dłuższych wyjazdów.

Moim instruktorem jest Steve. Mówi, że jest Żydem, ale nie religijnym. Kawaler, w średnim wieku, mieszka w piwnicy domu starej kobiety, pije piwo z puszki i ogląda mecze w telewizji. Nie wspomina, że jestem w ciąży, bo Steve wygłasza obraźliwą uwagę o chasydzkich kobietach, które nazywa maszynkami do produkcji dzieci. Nie chcę, by patrzył na mnie w taki sposób. Budzę się wcześnie, żeby mieć z głowy wymiotowanie. Do czasu, gdy podjeżdża pod dom i przyciska klakson, mój żołądek jest na tyle spokojny, że mogę ukryć mdłości.

Spodziewam się żartów na temat kobiet za kierownicą, ale Steve uczy mnie, jak być silną i agresywną i nie dać się zastraszyć innym kierowcom. Po tym, jak zarysowuję karoserię na parkingu, przez moment zastanawiam się, czy nie zrezygnować. Przez całe życie wysłuchiwałam szyderczych uwag o nieporadnych kobietach kierowcach i wciąż mam poczucie, że nie mam prawa być na drodze. Steve podchodzi i nalega, żebyśmy natychmiast kontynuowali; chociaż jestem przerażona, robię, co każe. Zabiera mnie na autostradę. Nie mogę uwierzyć – czuje się ze mną tak pewnie, że jedziemy na granicy dozwolonej prędkości, sto kilometrów na godzinę.

Gdy wracamy, Eli siedzi na ogrodowym fotelu na trawniku przed domem, czekając na mnie.

– To twój mąż? – pyta Steve.

Kiwam głową.

– Ha! Wygląda na superkolesia.

Gdy wchodzę do domu, powtarzam Eliemu, co Steve powiedział, i śmiejemy się histerycznie na myśl, że ktokolwiek może nazwać mojego męża, z jego kołyszącymi się pejsami, superkolesiem.

Egzamin na prawo jazdy zdaję u gderliwego starucha, który mamrocze coś na każdym zakręcie i prycha na mnie gniewnie przez cały czas, ale zaliczam. Widzę, że nawet Steve jest trochę zaskoczony.

Jestem tak podniecona, że od razu chcę wszędzie jeździć – i nawet gdy mój ciężarny brzuch wciska się w kierownicę, nadal czytam mapy i robię wycieczki, do hrabstwa Orange i dalej, aż do New Jersey, tylko żeby pozwiedzać. W niedzielę jeździmy szosą 9W i fotografujemy rzekę Hudson wijącą się pod nami. Eli uwielbia robić zdjęcia, ale ja nie znoszę do nich pozować. Nie chcę nawet pamiętać, jak wyglądałam w ciąży.

Jedziemy odwiedzić teściową w Kiryas Joel. Rzuca mi chmurne spojrzenie, gdy widzi, jaka jestem ogromna. Kiedy przechodzi obok sofy, na której siedzę, nieustannie obciąża brzeg mojej spódnicy za kolana, jakby chciała powiedzieć, że to nieprzyzwoite, że siedzę w jej domu w tak oczywisty sposób ciężarna. Jestem wielka: ludzie pytają mnie, czy spodziewam się bliźniaków. Doktor Patrick mówi, że to dlatego, że miałam niedowagę, zanim zaszłam w ciążę – to prawda, ale ważyłam ze trzy do pięciu kilogramów za mało. Bardzo schudłam przez wszystkie lęki pierwszego roku.

Teraz jestem tak ogromna, że nie mogę znaleźć ubrań, w które bym się mieściła. Moja szwiger chce, żebym nosiła sukienki namioty, ale ja myślę, że nie muszę wyglądać szkaradnie tylko dlatego, że jestem w ciąży. Miewam migreny i nie mogę zbyt długo wytrzymać w peruce. Zaczęłam też zapuszczać własne włosy – nie muszę już chodzić do mykwy i nikt mnie nie sprawdza. Są jeszcze krótkie, może z pięć centymetrów.

Po comiesięcznej wizycie kontrolnej u lekarza w Nowym Jorku zachodzę do salonu fryzjerskiego. Zdejmuję perukę i pytam fryzjerkę, czy może coś zrobić z moimi włosami – może ostrzyć mnie jakoś ładnie, króciutko, a może zrobić pasemka.

– O matko, ma pani dziewicze włosy! – wykrzykuje stylistka. Jej włosy mają czerwone pasemka i są zaczesane do tyłu, jak u chłopaka.

– Co to znaczy? – pytam ze śmiechem.

– To znaczy że nigdy nie były farbowane, obcięte w jakiś konkretny sposób, czysta karta!

Nie wspomina o peruce, ale potem, gdy mnie strzyże, mówi, że ten salon obsługuje dużo pacjentek z rakiem, którym włosy dopiero odrastają, więc personel ma duże doświadczenie z takimi krótkimi fryzurami, i że nie muszę się martwić.

Pod koniec dnia mam fryzurkę pixie, rudawą z bależajem koloru miodu na końcach. Wyglądam inaczej – Zajde powiedziałby, że wyzywająco – ale podobam się sobie.

Eli zdaje się nie zauważać żadnej odmiany, ale potem pyta mnie, czy zacznę znowu golić głowę, bo, jak mówi, włosy wystają mi spod krawędzi turbanu i ludzie je widzą, a on nie chciałby, żeby źle o mnie – o nas – mówili.

– A któż miałby źle o nas mówić? – pytam. I chociaż zbywa moje pytanie, wiem, że mówi o swojej siostrze. Cały czas słyszymy od innych osób, jak to Szprynca roznosi oszczercze plotki na nasz temat, ale nic jej nie powiedzieliśmy, również dlatego, że nam jej żal. Wiem, że robi to z zazdrości, choć nie mam pojęcia, co też mamy takiego, czego ktoś mógłby nam zazdrościć. Szprynca zaszła w ciążę, jak tylko wyszła za męża, i już ma tłustego chłopca o imieniu Mendel, na cześć dziadka Eliego.

– Jak damy dziecku na imię? – pytam Eliego. – Wiesz, że zwykle żona wybiera imię dla pierworodnego, ale musi to być imię nieżyjącego członka rodziny, więc nie mam za wiele do wyboru. Wybierzmy jakieś ładne imię, które nie jest zbyt poważne. I z którego inne dzieci nie będą się śmiały.

Po długim przeglądzie drzewa genealogicznego rodziny wybieram swojego ciotecznego dziadka, brata Zajde. Miał na imię Izaak Benjamin; wszyscy zawsze opowiadają, jaki to był mądry i przyjacielski. To hebrajskie imię dosłownie znaczy „śmiejący się, syn, prawa ręka”. Jest od niego całe mnóstwo słodkich zdrobnień: Icyk, Benni, Jumi – wszystkie świetnie nadają się dla dziecka.

Gdy technik na ultrasonografii powiedział nam, że to chłopiec, Eli się popłakał. Trzymał mnie za rękę i mówił, że zawsze chciał mieć syna, żeby móc mu dać to wszystko, czego sam nie dostał od własnego ojca. Ojciec Eliego jest najchłodniejszą i najbardziej zdystansowaną osobą, jaką kiedykolwiek poznałam, więc cieszy mnie, że Eli chce być inny – zastanawiam się jednak, czy on zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest podobny do reszty swojej rodziny, jak podświadomie naśladuje swojego ojca. Obiecuje mi, że będzie najlepszym ojcem, jakiego sobie mogę wyobrazić – i przez moment mu wierzę, bo jego łzy są prawdziwe.

Z zachwytem oglądam zdjęcie USG, które pielęgniarka dla nas zrobiła, podziwiam maleńką sylwetkę w kształcie dziecka, z ręką wygiętą ku ustom, z kciukiem tuż przy wargach. Aż trudno uwierzyć, że coś tak żywego może rosnąć wewnątrz mojego niewinnego brzucha.

Na całym moim brzuchu robią się malutkie czerwone kreski. Wyglądają jak żyłki. To rozstępy, ale nie takie zwyczajne, jakie tworzą się z boku. Wyglądam, jakby tysiące małych napiętych gumek recepturek piasnęło o skórę brzucha.

Gdy dziecko zaczyna lekko kopać, kładę się na kanapie i unoszę sweter, żeby móc w odpowiedzi dziobnąć palcem w ten wciąż rosnący kopiec, popchnąć te drobne wybrzuszenia, które pojawiają się raz tu, raz tam po różnych stronach brzucha. Chwilami zastanawiam się: może to łokieć, pięta albo maleńka główka przyciska się do mojego brzucha?

Czasami popadam w dziwny nastrój, włączę do łóżka i płaczę, a gdy Eli pyta dlaczego, mówię, że sąsiad za głośno gra na pianinie albo że nie mogę spać, albo że nie mamy wanny i tak mi strasznie brakuje kąpeli. Eli dowiedział się od brata, że kobiety w ciąży często płaczą, i mówi mi, że nie powinnam się martwić, bo najwyraźniej daleko mi do Szpryncy, która szlochała dzień w dzień przez dziewięć miesięcy. Nie jestem jednak pewna, czy aby nie mówi tak tylko po to, żebym poczuła się lepiej.

Chasydom nie wolno się masturbować, powtarza mi Eli. I dlatego, jak mi wyjaśnia, mam obowiązek go zaspokajać, żeby frustracja seksualna się w nim nie piętrzyła. Jeśli odmawiam, zmuszam go do grzechu, a w związku z tym brzemień jego winy spoczywa na mnie.

Kiedy Eli jest pobudzony, co ostatnio często się zdarza, zbliża się do mnie w ten sam sposób, co, jak sobie wyobrażam, pies do nogi stołowej – ocierając się intensywnie o moje ciało, jakbym była kawałkiem drewna, którego używa się, by dzięki tarciu wywołać uczucie przyjemności. Nie mogę mu wytłumaczyć, dlaczego napinam się jak struna gitary w reakcji na te jego byle jakie próby osiągnięcia satysfakcji, ponieważ on nie pojmuję, dlaczego miałabym odmówić mu przyjemności. Jednak te sesje ocierania się przerażają mnie bardziej niż próby penetracji. Gdy się to dzieje, sztywnieję nieruchomo pod zagarniającymi ruchami jego ciała i czuję, jak umykają moje godność i poczucie własnej wartości.

Im bardziej widoczna jest moja ciąża, tym więcej mam wymówek, by uniknąć seksu. Nawet Eli boi się zrobić krzywdę dziecku. Ma absurdalne przekonanie, że dziecko może go zobaczyć, i jakkolwiek wiem, że to idiotyczne, nie mówię mu, co wyczytałam w książkach o ciąży i porodzie; pozwalam, by dalej tak myślał, i z ulgą przyjmuję święty

spokój.

Mimo to wiem, że najlepsza metoda, by dostać to, co chcę, to odpowiedzieć na zaloty Elięgo. Seks zmiękcza go trochę, sprawia, że jest bardziej skłonny mi ustąpić – no i milej jest patrzeć, jak się do mnie uśmiecha, kiedy jest po wszystkim, niż czuć jego spojrzenia pełne pretensji o wszystko, co robię źle. Gdy mu odmawiam, złości się.

Jak tylko jest po wszystkim, Eli ubiera się i wychodzi. Zawsze. Jak tylko jego pożądanie wyparowuje, zachowuje się, jakby zapomniał, dlaczego w ogóle wszedł do łóżka. Wybiega z domu, jakby się miał spóźnić na bardzo ważne spotkanie. Kontrast między jego atencją naznaczoną głodem a nagłym zniknięciem jest niepokojący. Mam poczucie, że jedyne, czego ode mnie chce, to fizyczne zaspokojenie, a ledwo je osiągnie, zostawia mnie samą. Nienawidzę go za to, że każe mi się czuć taką małą, ale gdy mu o tym mówię, wyśmiewa mnie.

– Nie bądź śmieszna – odpowiada. – Co niby mam robić, posiedzieć z tobą? Jak skończymy, mogę równie dobrze iść odwiedzić kolegów w szulę. Czy coś jeszcze twoim zdaniem powinienem robić? – pyta. – Powiedz mi, proszę. Bo jeśli nie, łaskawie przestań mnie wpędzać w poczucie winy za wszystko, co robię w tym domu.

Szczerze mówiąc, wcale nie chcę, żeby ze mną siedział. W ogóle nie chcę go widzieć w swoim łóżku. Ale tak bym chciała, żeby moja rola w tym domu nie była tak oczywista. Chciałabym wiedzieć i wierzyć, że mój mąż ceni mnie za więcej niż tylko te proste przyjemności, których dostarcza moje ciało.

Jestem w szóstym miesiącu, gdy do miasteczka przybywa reb Chaim z Jerozolimy. To słynny kabalista z Izraela, który podróżuje do Stanów raz do roku, a kiedy przyjeżdża, wszyscy stają na głowie, żeby dostać się do niego. W tym roku Eli zdobył miejsce dla mnie, przez znajomego, bo jestem w ciąży. Nie czuję głębokiej potrzeby zobaczenia kabalisty, bo jestem sceptyczna wobec wszelkiego mistycyzmu w ogóle, a poza tym od pewnego czasu mam wątpliwości względem własnej wiary w Boga. W dodatku sekretnie obawiam się osób, które uchodzą za wszytkowidzące – nie wiem, czy chciałabym, żeby mnie przejrzeni.

Mój brzuch pod bluzą uformował się w zgrabną piłkę. Z rękami w kieszeniach chronię go jak w kołysce, czekając, aż rebe zechce mnie widzieć. Gdy wreszcie mnie wprowadzają, jest druga w nocy. Żona rabiego siedzi w kącie, żebyśmy nie łamali przepisów zakazujących kobiecie i mężczyźnie przebywania sam na sam w jednym pokoju. Reb Chaim prosi mnie, żebym zapisała swoją datę urodzenia, i spędza kilka minut, robiąc obliczenia na kawałku papieru.

– Gdzie są twoi rodzice? – pyta. – Dlaczego nie są z tobą? Nie jesteś sierotą, widzę to, ale i tak ich brakuje.

Pokrótkie wyjaśniam historię moich rodziców.

– Twoje narodziny spowija tajemnica – oświadcza rebe. – Więzy krwi nie są krwią. Gdy narodzi się twoje dziecko, wszystko wyjdzie na jaw. Prawda ujrzy światło dzienne. Poznasz samą siebie poprzez swego syna.

Pyta, jakie imię planuję dać dziecku, i deklaruje aprobatę dla mego wyboru.

– Pamiętaj – mówi, patrząc wprost na mnie swym przenikliwym wzrokiem. – To dziecko odmieni twoje życie w sposób, jakiego nawet jeszcze nie rozumiesz. Gdy zdaje

ci się, że rzeczy nie mają znaczenia, szlak twego życia jest już rozrysowany. Jesteś starsza, niż twój wiek wskazuje; wszystko w twym życiu ma znaczenie. Nie ignoruj znaków. Zapamiętaj liczbę dziewięć. To bardzo ważna dla ciebie liczba.

Kiwam poważnie głową, ale w głębi ducha myślę, że to idiotyczne. Że nie ma mowy, by ten człowiek, który nigdy mnie wcześniej nie spotkał, mógł wiedzieć, jaka jestem naprawdę.

Zanim wyjdę z pokoju, podnosi wzrok i prosi, bym zaczekała.

– Twoja *szadchan*, swatka, jest niezadowolona – mówi. – Uważa, że nie dość jej zapłacono za tę pracę. Źle mówi o twojej rodzinie i rodzinie twego męża. Jej rozgoryczenie wisi jak chmura nad twoim małżeństwem. Dopóki jej nie udobruchacie, ty i Eli nie możecie być szczęśliwi ani błogosławieni.

Nawet nie wiem, kto był naszą *szadchan*. Muszę zapytać Elię, czy to w ogóle ma sens. Eli z niepokojem oczekuje mnie w domu, ciekaw przebiegu mojego spotkania z reb Chaimem. Jest zaskoczony, gdy wspominam o rozgoryczonej swatce.

– Muszę zapytać matkę – mówi z zadumą w głosie. – Nigdy o tym nie myślałem.

Nazajutrz Eli dzwoni do matki, żeby powiedzieć jej, co mówił reb Chaim. Teściowa natychmiast przyjmuje taktykę obronną, mówi, że zapłaciła swatce tysiąc dolarów (co jest przeciętną kwotą). Ale nie było łatwo wyswatać takiego chłopaka jak Eli, który był starszy niż większość kawalerów. Później teściowa oddzwania i mówi, że pytała tu i tam, i słyszała, że plotki się potwierdzają – nasza swatka narzeka przed innymi, że za mało jej zapłacono. Niezadowolona swatka to gwarancja pecha: wszyscy to wiedzą. Eli mówi, że to my powinniśmy ją udobruchać, ale nie mamy pieniędzy, by jej zapłacić.

Zastanawiam się, czy to mógł być powód mojego pecha od początku małżeństwa, czy jej gorycz ma bezpośredni związek z naszymi nieszczęściami. Czy Bóg pozwala, by taki prosty system wymiaru sprawiedliwości funkcjonował wewnątrz Jego systemu nagród i kar? Z pewnością jedna malkontentka nie mogła mieć dość władzy, by dokonać tyle zniszczenia. Jeśli ja i Eli zostaliśmy za coś ukarani, to niewątpliwie nie tylko za niezadowoloną swatkę. Przychodzi mi do głowy długa lista o wiele bardziej istotnych powodów.

Pod koniec drugiego trymestru tyję sześć kilo w ciągu jednego tygodnia. Brzuch sterczy przede mną jak balon i waży tyle, że muszę podtrzymywać go obydwoma rękami, kiedy chodzę. Brzuch obciąża plecy i ramiona, powodując ból nie do zniesienia. Gdy wkraczam w trzeci trymestr, stopniowo muszę zrezygnować z kolejnych aktywności; nawet najprostsze czynności sprawiają mi trudność. Tkwię na kanapie, znudzona i sfrustrowana. Jasnym punktem mojego dnia jest wysłuchiwanie plotek, które Eli przynosi, gdy wraca z pracy. Stałam się jenta, kurą domową, pragnącą wścibiać nos w sprawy innych ludzi – osobą, jakich zawsze nienawidziłam.

Pewnego wieczoru, gdy Eli wraca z wieczornej modlitwy ze zmarszczonymi brwiami, czuję przyływ desperackiej ciekawości. Mam nadzieję usłyszeć interesującą historię, która rozjaśni mój dzień, więc robię mu herbatę i pytam, co też mówią mężczyźni w szulu.

– Znasz tego Bronfelda, co mieszka na naszej ulicy? Jego syna wyrzucono z jesziwy.

– Za co? – pytam zaskoczona.

– Za to, że był molestowany seksualnie – głos Eliego brzmi poważnie.

– O czym ty mówisz? Opowiedz mi wszystko – nalegam.

– Znasz tego dziwnego faceta, który utyka na jedną nogę, taki staruch, z szulu dalej przy drodze?

– Tak, znam. Więc? – Niecierpliwie kiwam głową.

– No więc chłopak Bronfeldów dziwnie się zachowywał w szkole i dlatego dyrektor wezwał go do gabinetu, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. A chłopak powiedział, że ten staruch, który miał go przygotowywać do bar micwy, molestował go od miesięcy.

– Niemożliwe! – zachłystuję się powietrzem, wstrząśnięta, ale także ciekawa szczegółów. – Ale dlaczego to chłopaka wyrzucili? To nie była jego wina.

– Cóż, dyrektor powiedział ojcu chłopca, że nie może go zatrzymać w jesziwie, bo demoralizowałby inne dzieciaki. A teraz podobno żadna jesziwa nie chce go przyjąć. – Eli milknie na moment i miesza herbatę. – No wiesz, myślę sobie czasem, że nigdy i nigdzie nie jesteśmy bezpieczni. To mógłby być ktokolwiek. Nasz sąsiad obok. Dobry przyjaciel rodziny. Jak można chronić dziecko przed tym wszystkim?

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że ten stary molestował dzieci. Skąd mogą wiedzieć na pewno?

– No wiesz, właściwie to wszyscy mężczyźni w szulu uważali, że to ma sens. To znaczy, od pewnego czasu myśleliśmy, że stary jest gejem, bo zawsze siadał o wiele za blisko... Poza tym opowiadał o kupowaniu chłopcom drogich prezentów i tak dalej. To było dziwaczne. Zdecydowanie dziwaczne.

– Zamierzasz to zgłosić? – pytam.

– Myślę, że ojciec chłopaka chce uniknąć rozgłosu. Jeśli wszyscy się dowiedzą, to będzie jeszcze gorsze. Ale ktoś się tym zajmie, zobaczysz.

Rzeczywiście, parę dni później staruch znika w tajemniczych okolicznościach. Plotka głosi, że rodzina zmusiła go, żeby się ukrył. Po jego wyjeździe kilka osób ze społeczności zakrada się do domu starego i grzebie w jego rzeczach. Eli mówi mi, że znaleźli całe pudełka po butach pełne zdjęć roznegliżowanych w różnym stopniu dzieci. Z dowodów wynika, że stary molestował je przez całe życie. Ofiar mogło być setki.

Oskarżony pedofil wraca do domu kilka tygodni później, kiedy jego rodzina uznaje, że hałas już przycichł. Codziennie widzę go na spacerze, jak powoli porusza swoje wątle, zgarbione ciało. Czuję wstręt, ale i zdziwienie, że mężczyzna w jego wieku wciąż może się dać ponieść tak obrzydliwej obsesji. Za każdym razem, gdy przejeżdżam obok niego, walczę ze sobą, by nie opuścić okna i nie napluć na niego, ale nie posuwam się dalej niż podjechać do krawężnika i gapienie się prosto w jego oczy. Zawsze zachowuje się, jakby tego nie zauważał, a jego pełen samozadowolenia uśmiech wypala się w mojej pamięci.

– Jest za stary, by iść do więzienia – mówi Eli, co doprowadza mnie do pasji.

– Co, nie za stary, by molestować dzieci, ale za stary, by iść do więzienia?

Chasydzi zawsze twierdzą, że słyną ze swego współczucia dla innych Żydów. To dla mnie niebywale liberalna forma współczucia, skoro rozciąga się bez wyjątku na ludzi,

którzy popełniają obrzydliwe zbrodnie. To jednak właśnie rodzaj miłości, jaką chasydzi, jak twierdzą, żywią do siebie nawzajem: miłości, która nie dyskryminuje i nie wymaga usprawiedliwienia. Zdaniem tej społeczności to niebiosa będą się martwić o sprawiedliwość, my musimy tylko żyć w jak najlepszej harmonii z innymi. Czyń bliźniemu twemu, co i tobie miłe, a kiedy tamten nie wywiązuje się ze swojej części umowy, niech Bóg zajmie się resztą.

Co tydzień Eli zaprasza kogoś innego do nas do domu na szabas. Przygotowujemy wielką wyżerkę, gotuję ogromny gar tłustego czulentu na kościach i z mięsem z policzków, takiego, jak mężczyźni lubią. Nie przeszkadza mi, że się napracuję, skoro mamy mieć gości. Zawsze ciekawiej jest posłuchać, co inni mają do powiedzenia, niż siedzieć przy stole tylko z mężem i z wysiłkiem podtrzymywać konwersację. Ludzie, którzy tutaj mieszkają, w niczym nie przypominają nadętych typów, wśród których się wychowywałam. Wielu z nich to czarne owce w rodzinie i przenieśli się na wieś z tych samych powodów co ja – by uciec od wścibskich spojrzeń. Fakt, że mieszkają w Airmont, oznacza również, że nie kłują w oczy własnych rodziców, nie przypominają im nieustająco o tym, że dzieci nie muszą spełniać oczekiwań pokładanych w nich przez starszych. Gdy odwiedzają rodziców, udają, że są tak oddani, jak powinni być, ale tu, w małym miasteczku, nikt nie przygląda się, co też wyprawiają, a już z pewnością nikt na nich nie doniesie.

Rzecz jasna w tym tygodniu wszyscy plotkują o starym zboczeńcu. Nikt nie może uwierzyć, że molestował dzieci. Jedni mówią, że widzieli oznaki, że tak jest; drudzy, że znają jego dzieci i że to niemożliwe. Mój sąsiad Josef twierdzi, że stary jako dziecko przeżył Holokaust dzięki protekcji strażnika w obozie koncentracyjnym – rzekomo sprzątał w domu, ale tak naprawdę był wielokrotnie molestowany przez swego protektora. Chłopiec miał jasne włosy i niebieskie oczy, więc Niemcom łatwo było patrzeć na to przez palce. Josef twierdzi, że to dlatego stary został pedofilem i że powinno nam być go żal.

Uważnie przysłuchuję się szczegółom. Nie mieści mi się w głowie, że ten człowiek trzymał w domu pudła pełne fotografii. Któż może być tak perwersyjny, żeby robić zdjęcia? I któż jest tak durny, by trzymać je jako dowód? Głównie jednak zastanawiam się nad halachą. Prawo żydowskie reguluje wszystko. Tora zna karę za każde przewinienie, choćby nawet najmniejsze. Ale co z molestowaniem dzieci? Z pedofilią? Czy jest na to halachiczny przepis? Czy istnieje rabiniczna procedura? Wygląda na to, że Tora nie mówi nic o tym, jak postępować z mężczyznami, którzy chcą uprawiać seks z dziećmi. Z innymi mężczyznami i ze zwierzętami – i owszem. To niewybaczalne grzechy. Ale nie ma ani słowa o molestowaniu seksualnym dzieci.

Gdy przy szabasowym stole daję wyraz swemu oburzeniu, Eli próbuje mi to wytłumaczyć. Wyjaśnia, że w dawnych czasach ludzie żenili się bardzo wcześnie, więc nie było jasnego rozróżnienia między dorosłymi i dziećmi, jakie znamy dzisiaj. Dziewczęta wychodziły za mąż jako dziewięciolatki, więc jak można było ustanowić prawa zakazujące życia pod jednym dachem z dziećmi? Nie było tabu społecznego, które by tego wymagało.

– Dziś – mówi Eli lekceważąco – wrażliwość jest inna. Każdy jest dzieciątkiem aż do ostatniej minuty przed ukończeniem osiemnastego roku życia, a potem nagle staje się

dorośli? To czysta semantyka – upiera się, machając ręką w geście kontestacji.

Pozostali dołączają do dyskusji, przyznając mu rację. Przyglądam się, jak mężczyźni siorbią rosół, który z takim zaangażowaniem przygotowałam dziś rano, jak nakładają cieciorkę i siekaną rzodkiew na talerze i ugniatają je z kluskami i cukinią. Jedzą moje jedzenie przy moim stole, ale równie dobrze mogłabym być przezroczysta. Kobiety właściwie nie mają udziału w rozmowie. Powinny być zajęte jedynie podawaniem do stołu i sprzątaniami brudnych naczyń.

Gapię się we własny talerz, czując, jak policzki czerwienieją mi z zażenowania. Eli zawsze upomina mnie, jeśli zbyt się angażuję w dyskusję przy szabasowym stole.

– Dlaczego musisz być taka wściekła na wszystko? – narzeka zawsze. – Inne kobiety się tak nie zachowują. Nie możesz się wyluzować?

Ale ja się martwię. Martwię się, że skoro nikt dookoła nie traktuje mnie poważnie, czy ktokolwiek kiedykolwiek będzie? W Talmudzie napisano: „Jeśli nie ja, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?”. Jeśli mam we wszystkim być posłuszna naszym rabinom, czy nie dotyczy to także tego wersu?

Wygląda, że ciąża potęguje moje wszelkie możliwe lęki. Im więcej słyszę o koszarach dziejących się w świecie, w którym żyję, z tym większą obawą myślę o tym, że mam wydać na ten świat dziecko. Zaledwie kilka lat temu nie byłam ich świadoma. Teraz jestem coraz bardziej zorientowana, jakie niebezpieczeństwa czyhają wokół, ale nie wiem jeszcze, jak bezpiecznie nawigować z dala od nich. A co dopiero chronić przed nimi dziecko!

Kilka tygodni później tematem lokalnych plotek stał się brat Eliego. Przy szabasowym stole nie rozmawia się o niczym innym. Wszyscy wiedzą, że od trzech lat spotykał się w tajemnicy z sefardyjską dziewczyną z Williamsburga, ale jej ojciec się dowiedział i teraz nie wypuszcza córki z domu.

Mój szwagier Jossi jest czarną owcą w rodzinie, to chłopak, który pali marlboro i odszczekuje się ojcu, strzyże brodę krótko i pejsy nosi schowane za uszami. Wszyscy są przerażeni jego niekontrolowanym zachowaniem.

W ten szabas idziemy w gości do teściów. Obserwuję, jak Jossi wypija za dużo koniaku jeszcze przed rozpoczęciem porannego posiłku. Gdy wreszcie teść jest gotów pobłogosławić wino, Jossi pada na podłogę.

– Oddycha? – pyta teść chłodno, a Heskell, brat Eliego, pochyla się niefrasobliwie, żeby sprawdzić. Gdy spogląda w górę, jego twarz jest biała jak ściana.

– Musimy go zabrać do szpitala!

Przybywa karetka Hatzolah i zabiera Jossiego, a my musimy zaczekać do końca szabasu, żeby dowiedzieć się, co się stało, bo nie wolno nam używać telefonu.

Heskell dzwoni, jak tylko szabas się kończy, i mówi, że Jossi przeszedł płukanie żołądka w Cornwall Hospital, ale ma się dobrze. Eli i ja jedziemy do szpitala, żeby go odebrać. Jossi wyłania się zza podwójnych szklanych drzwi z wciągniętym brzuchem, jakby trzymanie się prosto sprawiało mu ból. Twarz ma napuchniętą i bladą. Nie chce rozmawiać.

Wszyscy wiemy, dlaczego nadużywa alkoholu. Ostatnio dużo pije, bo jest przygnębiony przez tę swoją dziewczynę – czas, by się ożenił, ale on chce być tylko z nią.

Jest piękna, z czarnymi włosami i bladozielonymi oczami obramowanymi długimi rzęsami. Jej ojciec chce, by wyszła za dobrego, prostolinijnego sefardyjskiego chłopca o ciemnobrązowej skórze. Małżeństwo Jossiego z Kajlą byłoby wielkim skandalem, bo zdaniem satmarów sefardycy to niższa klasa, a Żydzi aszkenazyjscy zawierają małżeństwa wyłącznie w obrębie swojej własnej klasy.

Jossi przez tydzień leży w łóżku i odmawia opuszczenia go, więc teściowa wzywa Elię, żeby porozmawiał z bratem i przekonał go, by dał sobie z tym spokój. Później tego samego wieczora Eli wraca do domu, potrząsając głową z niedowierzaniem.

– Nie chce zapomnieć o tej dziewczynie. Odmawia wyjścia z łóżka, jeśli nie pozwolą mu się z nią ożenić.

– To powiedz matce, żeby mu dała się z nią ożenić, na miłość boską! Czemu się tak uparła? Naprawdę, o co tyle zamieszania?

– Wszyscy będą gadać. Jeśli Jossi ożeni się z sefardyjską dziewczyną, to się odbije na całej rodzinie. Wszyscy będą myśleć, że coś z nim jest nie tak.

– Więc twoja matka raczej pozwoli Jossiemu się zabić, żeby uniknąć paru plotek?

Eli waha się, ale obiecuje porozmawiać z matką. Ta ostatecznie wyraża zgodę: jeśli druga strona zgodzi się na to małżeństwo, teściowa nie będzie próbowała temu zapobiec. Pewnego wieczora Eli konferuje z braćmi przy naszym stole w jadalni i postanawiają posłać kogoś do ojca Kajli. Wydaje mi się, że batalia została zakończona, ale po szabasie Jossi wraca do łóżka i nie chce z nikim rozmawiać.

Idziemy razem z Elim odwiedzić Jossiego. Nie mogę się nadziwić, jak są podobni – z tą tylko różnicą, że Jossi zawija pejsy za uszy i przycina brodę bardzo krótko. Okazuje się, że ojciec Kajli zabrał ją do kabalisty, który orzekł, że jeśli ona wyjdzie za Jossiego, w przyszłości stanie się jej coś okropnego – wrzody i zaraza. Jossi dowiedział się potem, że ojciec Kajli zapłacił kabaliście, żeby jej to powiedział, ale dziewczyna jest tak przerażona, że nawet nie chce rozmawiać z Jossim.

Siadam na krześle przy łóżku Jossiego, obciążam spódnicę na wielkim brzuchu i patrzę mu poważnie prosto w oczy.

– Spójrz na mnie, Jossi – mówię ze współczuciem. – Jak długo znasz Kajlę? Trzy lata? Myślisz, że jeden moment lęku zmaże to wszystko? To nie tak działa. Jeśli zależy jej na tobie, w końcu zapomni o tym całym kabaliście. Oczekaj kilka dni, zobaczysz, sama zadzwoni, obiecuję ci!

Jossi siada, podpierając się na łokciu; jego platynowoblond włosy są zwichrzone pod jarmułką. Patrzy na mnie błagalnie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście! Jeśli naprawdę coś jest między wami, byle kabalista was nie rozdzieli, obiecuję ci.

I rzeczywiście, trzy dni później Kajla dzwoni do Jossiego i przyrzeka, że będzie walczyć z ojcem. Bracia Elię organizują innych, żeby naciskali na ojca Kajli i w końcu ten ulega, godząc się na małżeństwo.

Zaręczyny odbywają się szybko i po cichu. Datę ślubu wyznaczono na sześć tygodni później, by uniknąć zbyt dużego skandalu. Chodzą plotki, że Kajla jest w ciąży. To na pewno tylko czcza gadanina.

W ten weekend, gdy Jossi i Kajla biorą ślub, zatrzymujemy się w domu Szpryncy w Kiryas Joel. Przebywanie tam jest dla mnie koszmarem: szwagierka jest taka słodka przy Elim, ale ledwie mój mąż wyjdzie do szulu, jakby cała jej osobowość się zmieniała. Fakt, że może być tak ostentacyjnie dwulicowa, budzi we mnie obrzydzenie.

Muszę się dotoczyć wraz ze swoim wielkim brzuchem, okrytym szpetną ciążową sukienką, do synagogi leżącej za kilkoma pagórkami. Moja teściowa urządza tam *szewa berachos*. Ostatnio nie czuję się najlepiej. Przez większość czasu jest mi niedobrze i słabo – i po tak wyczerpującym marszu ciężko mi przychodzi przykleić uśmiech do twarzy. Gdy w piątek wieczór wracam do naszego pokoju, nie mogę spać, bo mam skurcze żołądka i mdłości. W końcu o trzeciej nad ranem wytaczam się z łóżka do łazienki w samą porę, żeby zwymiotować – z takim impetem, że wymioty wylatują mi nosem i czuję, jak żyłki wokół oczu napinają się i pękają.

Eli słyszy mnie i przychodzi, by przytrzymać mi głowę – przywykł do tego, że czasami potrzebuję jego pomocy. Ból brzucha nie ustępuje. Jestem w szóstym miesiącu. Mówię Eliemu, że musimy wezwać lekarza, mimo że to szabas. Jeśli to sprawa życia lub śmierci, prawo zezwala użyć telefonu. Dzwonimy z mojej komórki, zostawiamy informację na maszynie i czekamy, aż do nas oddzwonią.

Usłyszawszy, jakie mam objawy, lekarka dyżurna mówi, żebyśmy przyjechali: skurcze żołądka i wymioty w ciąży są zwykle objawem, że zaczął się poród, ale w moim wypadku to jeszcze za wcześnie. Eli każe mi zapytać, czy możemy poczekać do końca szabasu – to ponad dwanaście godzin. Lekarka mówi, że to nasza decyzja, zależy, jak się z tym czujemy. Czuję, że nie rozumie, po co w ogóle dzwonimy, skoro zamierzamy zwlekać z przyjazdem. Kiryas Joel jest o co najmniej godzinę jazdy od szpitala.

Gdy odkładam słuchawkę, Eli błaga mnie, żeby poczekać, aż skończy się szabas.

– Jeśli wyjedziemy teraz, wszyscy się dowiedzą, matka będzie się zamartwiać na śmierć, no i zepsujemy wszystkim całe *simcha* przed ślubem – mówi.

Mam ochotę go udusić. Czy on w ogóle rozumie, co mówi? Jak ja mam dyskutować z jego wizją rzeczywistości? Jest dla mnie oczywiste, że jego zdaniem prosi mnie o drobiazg. Czy naprawdę jest tak naiwny i głupi, że nie rozumie powagi sytuacji? Czy jak zwykle bardziej zależy mu na swojej rodzinie niż na mnie?

Nie chcę budzić Szpryncy i jej męża, więc zgadzam się zaczekać tak długo, jak zdołam wytrzymać. Nie chcę się kłócić z Elim i dostarczać jego siostrze nowych argumentów do oczerniania mnie. Gdy szabas dobiega końca, pakujemy się jakby nigdy nic i jedziemy do szpitala. Najpierw pielęgniarka prowadzi mnie do pomieszczenia pełnego ciężarnych kobiet, którym wydaje się, że rodzą, ale jeszcze nie zaczęły. Podpina mnie do jakiejś maszyny i mówi, że zaraz wróci. Po kilku sekundach słyszę dzwonek alarmu w pokoju personelu i pielęgniarka jest znów przy mnie, patrzy na wyświetlacz. Z rozdziawionymi ustami pokazuje mi pasek papieru z dramatycznym wykresem ostro skaczących linii.

– Czuje to pani? – pyta mnie.

Kiwam głową.

Przewożą mnie do izolatki, gdzie przy łóżku stoi mały plastikowy inkubator, z otworami na górze, jak te, w których trzyma się wcześniaki. W tej chwili nie dociera do

mnie jeszcze, co to dla mnie oznacza.

Lekarz robi mi zastrzyki w udo, żeby zatrzymać skurcze. Od tego lekarstwa zaczyna mi się strasznie kręcić w głowie. Majaczą albo śnię – nie wiem dokładnie.

Eli przyciąga do pokoju dwa szpitalne fotele pokryte plastikowymi obiciami, zestawia je razem w zaimprovizowaną kozetkę, po czym natychmiast na niej zasypia. Przez całą noc ciskam się na łóżku z elektrodami przypiętymi do skóry. Kilka razy budzą mnie pielęgniarki mierzące mi ciśnienie. Na monitorze serce dziecka wali: bum-bum – a na schodach postukują kroki ludzi biegnących z góry na dół. Patrzę, jak kobieta w ciąży kolebie się, drepcąc powoli korytarzem za drzwiami; jedną rękę trzyma na dole pleców. Wygląda na samotną i smutną.

Wypisują mnie dopiero dwa dni później. Lekarz daje mi receptę na terbutalinę i każe leżeć. Nie wspomina nikomu o całym zajściu i wracamy do codziennej rutyny – poza tym, że Eli jest teraz trochę miłszy dla mnie i nie narzeka, gdy naczynia nie są pozmywane albo obiad niegotowy, kiedy wraca do domu.

Przez parę kolejnych tygodni leżę w łóżku. W piątki Eli wraca wcześniej z pracy, żeby przygotować wszystko na szabas – sprząta i podgrzewa kupioną w sklepie chałkę, bo ja nie mam już dość siły, by piec i gotować. W pewien deszczowy piątek leżę w łóżku, po raz enty czytając *W oczekiwaniu na dziecko*, gdy nagle słyszę, jak Eli w kuchni pomrukuje z ożywieniem. Rozmawia przez swoją komórkę przyciszonym, ale nerwowym tonem. Zastanawiam się, o co może chodzić.

Gdy kończy rozmowę, truchtam do kuchni i ostrożnie osuwam się na krzesło.

– Z kim rozmawiałaś przed chwilą? – pytam niewinnie.

– Z Heskelem, moim bratem. Wiesz, że jest sanitariuszem pogotowia Hatzolah. Właśnie odebrał wezwanie, tuż przed szabasem, ale kiedy dojechał na miejsce, chłopiec już nie żył.

– Chłopiec? Jak to? Co się stało?

– Hessel mówi, że zabronili mu komukolwiek o tym wspominać, ale zadzwonił do mnie, bo, jak mówi, jest w szoku. Nie wie, czy będzie mógł w nocy spać.

– Czemu? Co się stało? – Prostuję plecy, oczekując na wyjaśnienia.

– Kiedy tam przyjechał, ojciec wskazał mu drogę do piwnicy. Chłopiec leżał w kałuży własnej krwi, penis obcięty laubzegą i poderżnięte gardło. A ojcu nawet powieka nie drgnęła. Powiedział, że złapał syna na masturbacji.

Zajmuje mi chwilę, zanim dociera do mnie, co znaczy to, co Eli właśnie mi powiedział.

– Zabił własnego syna za to, że ten się onanizował, a potem wezwał Hatzolah? Nie rozumiem!

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków! Hessel mi powiedział, że nie jest pewien, co zaszło. Sąsiedzi mu mówili, że słyszeli awanturę w domu. Gdy zadzwonił do dyspozytora, ten kazał mu wracać do domu i trzymać buzię na kłódkę, bo oni się wszystkim zajmą. Hessel mówi, że pogrzebali chłopaka w pół godziny później, nie wystawili nawet aktu zgonu!

– Więc nawet nie zaraportują tego? Pozwolą potencjalnemu mordercy zostać na wolności, żeby chronić własną reputację? – Czuję ukłucie w dole pleców i nagle

przypominam sobie, że powinnam leżeć, żeby nie zaszkodzić dziecku. – Oj – wzdycham – co to za świat, w którym kara spotyka za drobiazgi takie jak przykrótka spódnica, ale gdy ktoś łamie dziesięć przykazań, wszyscy siedzą cicho.

– Ach, nie wiesz na pewno. Tora mówi, że aby człowiek stanął przed sądem za morderstwo, potrzeba dwóch świadków. I co z tym zrobisz? Tak czy inaczej, nie wróci to chłopcu życia i lepiej, żebyśmy nikomu o tym nie wspominali, bo Hessel może mieć duże nieprzyjemności. Wiesz, do czego ci ludzie są zdolni.

– Och, tak, wiem. Wiem dokładnie, do czego są zdolni.

Aż mnie skręca, żeby komuś powiedzieć. Przy szabasowym stole powstrzymuję się, bo wiem, że jeśli o tym wspomnę, Eli nigdy mi nie wybaczy. W tym tygodniu nikt wyjątkowo nie ma nic do powiedzenia, zastanawiam się więc, czy może ktoś jeszcze wie, ale po prostu trzyma język za zębami.

Zachowuję tajemnicę przez długi czas, ale bez przerwy mam koszmary z nią związane. W moich snach ten chłopiec to mój własny syn i Eli stoi nad jego leżącym na ziemi wykrwawionym ciałem z miną pełną okrutnej satysfakcji. W tym koszmarze zawsze jestem jak sparaliżowana, całe moje ciało zamiera w bezruchu, język jest bezwolny i apatyczny. Budzę się w środku nocy i natychmiast kładę rękę na brzuchu, żeby sprawdzić, czy dziecko kopie. Martwię się, że przez ten stres skończę jak ciotka Chawka, która była w dziewiątym miesiącu, kiedy nagle dziecko zmarło w jej łonie. Nieustannie sprawdzam brzuch, by się upewnić, że czuję w nim oznaki życia. Dziecko musi myśleć, że moje ciało to wyjątkowo nieprzyjazne środowisko. Wyobrażam sobie, że zawsze będzie miało do mnie żal o to.

Komunikuję się bez słów z istotą poruszającą się w mym łonie. Mówię jej: nie chcę wydać cię na świat, w którym najgorsze zbrodnie skrywa się milczeniem. Nie, jeśli nie mogę cię przed nim ochronić. Obiecuję, kochanie, nie będę milczeć wiecznie. Pewnego dnia zacznę mówić i nigdy nie przestanę.

Robię się tak wielka, że nie mieszczę się w nic poza jedną ciężową bluzką w różowe kwiatki. Muszę kupić więcej ubrań, ale musi to być skromna odzież z żydowskich sklepów – te zaś są drogie, a my nie mamy pieniędzy.

Wściekam się, kiedy Eli mi to mówi – bo skoro nie możemy sobie pozwolić na ubrania ciężowe, jak zapłacimy za wyprawkę dla dziecka i pokryjemy wszystkie inne związane z nim wydatki? Ja wciąż jestem nastolatką. To, co zarabiam w pracy – ucząc dziewczynki w wieku szkolnym podstaw angielskiego – ledwo wystarcza na jedzenie. Eli pracuje jako robotnik w magazynie, ale nie zawsze wystarcza nam na rachunki. Pytam go, jak sobie wyobraża, że nasza sytuacja się poprawi, gdy rodzina się powiększy?

– Żaden z moich braci nie jest przedsiębiorcą ani biznesmenem – odpowiada Eli. – Feldmanowie to najemni robotnicy, nie nadajemy się do innej pracy. Staram się, jak mogę.

Nie mogę pojąć, jak ktoś może patrzeć na siebie w ten sposób, jak może nie być zdolny osiągnąć więcej niż jego rodzina. Sama zawsze wysoko stawiam sobie poprzeczkę; dlaczego on nie może? Skoro mój mąż nie ma zamiaru planować naszej przyszłości – przyszłości mojego dziecka – muszę sama coś zrobić, by to zmienić.

Wiem, że jeśli będę pracować w społeczności chasydzkiej, jako kobieta nigdy nie zarobię nawet połowy tego, co mężczyźni, a jedyny sposób, by dostać posadę gdzie

indziej, to ukończyć studia. Może wtedy mogłabym zostać pielęgniarką albo prawdziwą nauczycielką. Taka praca wciąż byłaby do przyjęcia z punktu widzenia żydowskiego prawa. Obiecuję sobie, że jak tylko dziecko się urodzi, zrobię dyplom, żeby zapewnić mu lepsze życie.

Nie wiem, jak zdołam przekonać Eliego, żeby mi pozwolił, ale na pewno muszę to zrobić. Zanim jednak będę mogła zacząć się rozglądać za szkołą, doktor Patrick mówi mi, że czas iść do szpitala. W czasie jednej z naszych rutynowych kontroli stuka w moje kolano metalowym młoteczkim lekarskim, a noga odskakuje jak z procy.

– Hmm. Nadmierny odruch kolanowy. – Lekarka mierzy mi ciśnienie. – Sto trzydzieści pięć na osiemdziesiąt pięć. – Zdejmuje gumową opaskę z mojego ramienia jednym energicznym pociągnięciem. – Myślę, że już czas.

Oszołomiona zjeżdżam windą na parter, gdzie w samochodzie zaparkowanym na środku ulicy czeka Eli.

– Musimy jechać do szpitala – mówię mu.

– Jak to? Co się dzieje? Coś nie tak?

– Wydaje mi się, że wszystko w porządku – mówię powoli. – Mam tylko jakiś problem z ciśnieniem, nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale to nie może być nic poważnego, bo inaczej kazaliby nam wezwać karetkę, prawda?

Eli kiwa głową. Pokazuje mi drogę do szpitala St. Luke's-Roosevelt; tam wsiadamy do windy i jedziemy na siódme piętro, na porodówkę. Mijamy szkołę rodzenia, gdzie kobiety balansują na ogromnych plastikowych piłkach, oddychając w rytm skurczów. Udaje mi się roześmiać na ten widok.

Kładą mnie w ładnym różowym pokoiku z tapetą w kwiatki i różową patchworkową narzutą, z widokiem na Midtown. Lekarka przychodzi, jak tylko przebiorę się w szpitalną piżamę. Ma króciutkie blond włosy i okulary bez ramek wiszące na koniuszku nosa.

– Pani lekarz zalecił, żebym z panią porozmawiała i powiedziała pani, że powodem, dla którego przyjmujemy panią do szpitala tak wcześnie, jest stan przedrzucawkowy, a to niebezpieczne dla dziecka – mówi. – To tak, jakby ciało miało reakcję alergiczną na tę osobkę w środku. Organizm rozpoznaje płód jako zagrożenie. Nie możemy na to pozwolić, ponieważ dziecko potrzebuje przyjaznego środowiska.

– Och, to co teraz? – pytam cicho.

– No cóż – mówi lekarka pogodnie – delikatnie wywołamy poród. To żaden problem, bo jest pani w wystarczająco zaawansowanej ciąży. Zaczniemy podawać leki bezpośrednio przez szyjkę macicy, co powinno pomóc ją trochę rozszerzyć, gdy będzie pani spała. Rano podamy pani dożylnie oksytocynę, co wywoła skurcze. Jeśli będzie bardzo boleć, możemy podać znieczulenie zewnątrzoponowe, więc proszę się nie martwić.

– To znaczy, że jutro rodzę?

– Tak jest! – podśpiewuje lekarka, rozsmarowując niebieski żel na moim napiętym brzuchu. W jej głosie wyczuwam odrobinę południowego akcentu. Nie mogę uwierzyć, że już jutro o tej porze będę miała prawdziwe dziecko, a nie tylko wielki brzuch.

Lekarka wychodzi. Pielęgniarka – przedstawia się jako Fran – zaczyna wypełniać

moją kartę na komputerze. Gdy zwraca się w moją stronę, odgarnia za ramię swoje ciemne włosy.

– Ile masz lat, kochana? – dopytuje. – Wyglądasz tak młodo!

– Dziewiętnaście.

– Jej, myślałam, że ze dwadzieścia, ale nawet mniej! – Milknie na moment. – No cóż, dobrze, że wcześniej zaczynasz.

Uśmiecham się blado, bo wiem doskonale, że nie o to jej chodzi; osądza mnie.

Dwadzieścia cztery godziny później doktor Patrick budzi mnie, potrząsając za ramię z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Już czas! – podśpiewuje na głos.

Eli nie może mnie już tknąć, więc czarnoskóry pielęgniarz podtrzymuje mnie za nogę. Jego ręce wyglądają na szokująco ciemne przy mojej bladej skórze. To przychodzi mi na myśl jakieś straszne tabu. Zastanawiam się, jak to możliwe, że lepiej, by zamiast męża jakiś obcy czarny mężczyzna oglądał moje intymne części ciała. Teraz jednak jestem nieczysta i to nie ja jestem tu ważna, ale to, żeby Eli pozostał czysty.

Nagle czuję straszliwe pociągnięcie wewnątrz brzucha, jakby mi coś wysysało wnętrzności. W ułamku sekundy olbrzymi ciężar wysuwa się ze mnie i brzuch zapada się tak szybko, że czuję, jakbym spadła z wielkiej wysokości. Ruch jest tak gwałtowny, że zapiera mi dech.

Doktor Patrick pyta, czy chcę od razu wziąć dziecko, czy wolę, by je najpierw umyli.

– Nie, jeszcze nie teraz, najpierw umyjcie.

Przez moment widzę coś oślizgłego i różowego, od czego zbiera mi się na wymioty. Eli już jest przy łóżeczku, zagląda lekarkom przez ramię. Chcę pamiętać to uczucie, jak wysysa ze mnie wnętrzności, ale jego siła szybko słabnie. Przez całe życie nie czułam nic podobnego. Będę się potem zastanawiać, czy to był jedyny moment przez pięć lat mojego małżeństwa, gdy naprawdę czułam, że żyję. W porównaniu z nim każda inna chwila wydaje się fałszywa i pozbawiona czucia, jak halucynacja. Myślę, że to ten właśnie moment obudził we mnie wolę dalszej walki.

Doktor Patrick sięga do wewnątrz, wyciąga łożysko i kładzie na stole obok siebie. Pyta Eliego, czy chce je zatrzymać; niektórzy Żydzi urządzą łożysku pogrzeb, by je w ten sposób uczcić. Potrząsam głową, że nie, kiedy Eli na mnie patrzy. W Talmudzie nazwano łożysko „drzewem życia”, ponieważ ma na wierzchu wzór przypominający drzewo i jest dla płodu źródłem życia. Wygląda ohydnie, kiedy tak leży, dygocąc na tacy. Nie ma mowy, żebyśmy zabrali to do domu.

Chwilę później przynoszą mi dziecko, zawinięte w czysty niebieski kocyk – widzę czubek jego głowy, z maleńką kępką blond loków pociemniałych od wilgoci. Twarz ma pomarszczoną, ale skórę najbardziej złocistą, jaką kiedykolwiek widziałam u noworodka. Tuż przy mnie Eli z trudem powstrzymuje łzy, ale ja jestem spokojna.

– Cześć – mówię do zawiniątka. – Jak się czujesz?

Tylko to robię przez pierwszą godzinę. Mówię do niego, paplając o wszystkim i o niczym – a dziecko spogląda na mnie swymi ciemnymi, wilgotnymi oczami i ani na moment nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. Gdy tak gadam, staram się połączyć tę

małą osobkę w moich ramionach z ciałem, z którego się ona wydobyła, ale nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, że to, co do tej pory nosiłam w brzuchu, było zaledwie częścią mojego ciała, a teraz dosłownie zrzucono na mnie odpowiedzialność za dziecko.

Czy powinnam mieć uczucia macierzyńskie? Dlaczego po wszystkich tych miesiącach, gdy obmacywałam swój brzuch i chichotałam, kiedy części małego ciała obijały się o wnętrze mojej macicy, teraz czuję się tak, jakby dziecko było obcą osobą? Paplam, myśląc sobie, że dzięki słowom zdołam przekonać siebie, to dziecko i wszystkich innych, że jestem zakochana.

Po jakimś czasie przychodzi pielęgniarka, żeby zobaczyć, jak się czuję, i marszczy czoło, patrząc na mój brzuch. Mówi mi, że nie kurczę się tak, jak powinnam, i masuje mi brzuch, żeby zainicjować ten proces. Skóra przywodzi mi na myśl łóżko wodne: układa się nierówno, gdy pielęgniarka ugniata ją jak ciasto na chałkę.

Ból po porodzie jest gorszy, niż się spodziewałam. Szwy, które doktor Patrick założyła, kiedy już było po wszystkim, swędzą i bardzo pieką. Pielęgniarka nie chce mi na to dać nic mocniejszego niż ibuprofen. Próbuję przystawić dziecko do piersi, żeby je nakarmić, ale zalewa mnie fala bólu tak intensywna, że prawie je upuszczam. Wszystko się przed moimi oczami rozmywa i osuwam się na poduszkę.

Mijają dwa dni rekonwalescencji i Eli zawozi mnie do ośrodka dla świeżo upieczonych matek w New Square. Zostanę tam przez dwa tygodnie. Eli odbierze dziecko, gdy nadejdzie czas, by je obrzezać, i od razu przywiezie z powrotem.

Mnie nie wolno przyjść na ceremonię obrzezania. Ma to chronić matkę przed emocjonalnym stresem – lub gorzej, atakiem hysterii – jaki może wywołać przyglądanie się, jak jej syn idzie pod nóż. Eli nie chce mi nawet powiedzieć, jak poszło, czy mały płakał – ale po powrocie dziecko śpi przez osiem godzin. Cały czas krążę nad świeżo nazwanym Ickiem jak jastrząb, przerażona, że może się nigdy nie obudzić. Dziecko w innym pokoju zaczęło sinieć, bo rabin za ciasno założył bandaże. Sto razy sprawdzam gazowy opatrunek, żeby upewnić się, że jest wystarczająco luźny, by nie blokować Ickowego krążenia. Pracownica ośrodka mówi mi, żebym się nie martwiła, że krople wina, którego używa się do znieczulenia, mogą powodować tak głęboki sen.

– Idź spać – mówi mi. – Ja go popilnuję. Nie martw się tak bardzo.

Wszystkie inne kobiety w ośrodku siedzą przy wspólnym stole i jedzą – twierdzą, że dodatkowe kalorie są niezbędne, gdy karmi się piersią. Ja nie mam apetytu – ani pokarmu. Muszą do mnie wezwać specjalistkę od laktacji, żeby pomogła, ale Icyk się nie przysysa, a nawet jeśli próbuje, z piersi nic nie płynie. Siedzę z nim godzinami, próbując skłonić go, by jadł, ale to nic nie daje. W końcu muszą go karmić pokarmem z proszku i to mnie bardzo zawstydzia – żadna z innych matek nie ma z tym problemu. W tym tygodniu tylko ja jestem po pierwszym porodzie, wszystkie pozostałe mają już doświadczenie. Tylko ja czytam książkę i wszystkie gapią się na mnie, gdy odpoczywam przy lekturze, leżąc na sofie, zamiast przyłączyć się do rozmowy przy jedzeniu.

Do czasu, kiedy opuszczam ośrodek dla rekonwalescentek, poporodowa opuchlizna się zmniejsza, krwawienie trochę też. Wkładam połyskliwy czarny trenz, który nosiłam, zanim zaszłam w ciążę – dobrze na mnie leży. Tak przywykłam do ciągłych przekształceń mojego ciała, że nie rozpoznaję tych nowych kształtów. Mimo to

miło jest znowu wyjść z domu i czuć się niespodziewanie lekką, maszerując z piętami odbijającymi się lekko od asfaltowego podjazdu.

Eli wysprzątał mieszkanie na wysoki połysk. Gdy przybywamy do domu, wszystko jest przygotowane dla dziecka. Przyjaciele Eliego przysłali nam prezenty: dziecinną huśtawkę, plecioną kołyskę i mnóstwo pluszowych zwierzaków. Siedzam Icka na huśtawce: głowę natychmiast przechyliła na bok. Próbuje podłożyć kocyki. Twarzyczka Icka jest idealna, gdy tak drzemie, odprężony, z zamkniętymi oczami: gładkie czółko, pełne, rumiane policzki. Gdy otwiera oczy, wygląda dziwnie, marszczy czoło, aż występują na nim głębokie bruzdy, a usta wyginają się w nierówny kształt litery O. Eli żartuje, że z taką zafrasowaną miną wygląda jak staruszek. Ja lubię patrzeć na moje maleństwo, gdy jest spokojne. Wtedy i ja się uspokajam.

Ponieważ obydwójce z Elim wywodzimy się z izraelskich rodzin, Icek musi odbyć ceremonię *pidyon haben* – wykupienia pierworodnego – gdy mały skończy miesiąc. To prastary obyczaj, sięgający czasów, gdy Izraelici musieli wykupywać synów od kapłanów, którym przysługiwało prawo zatrzymania każdego pierworodnego na usługi świątynne.

Dziś ceremonia ma charakter czysto symboliczny, niemniej jest bardzo ważna. Moja teściowa wynajmuje elegancką salę i firmę cateringową, która po zakończeniu obrzędu poda gościom wykwintny posiłek. Przysłała nam też specjalne ubranko dla dziecka, całe białe i uszyte specjalnie na tę okazję. Gdy wszyscy się zbierają i przybywa honorowy kohen, mężczyzna z kapłańskiego rodu, kładą Icka na złotej tacy, następnie wszystkie kobiety zdejmują biżuterię i jak obyczaj nakazuje, dekorują nią dziecko. Gdy przenoszą chłopca na męską stronę, gdzie odbędzie się właściwa ceremonia, jest szczelnie zakryty perłowymi naszyjnikami i złotymi broszkami. Gdy go zabierają, widzę, jak zwraca swoją maleńką, wykrzywioną twarzyczkę w moją stronę i z niepokojem nieustannie śledzi mnie wzrokiem.

Sześciu mężczyzn chwyta tacę z moim nowo narodzonym synem i unoszą ją w górę. Icyk leży spokojnie i cicho; kobiety nie mogą się nadziwić, jaki jest grzeczny. Ceremonia trwa krótko. Gdy tylko kohen odmówi specjalne błogosławieństwo, Eli i jego bracia przynoszą mi dziecko z powrotem. Ledwie ląduje w moich ramionach, spogląda na mnie i zaczyna płakać – teściowa podsumowuje, że mały ma wycucie odpowiedniej chwili.

Sześć tygodni po porodzie Eli już mnie męczy, żebym poszła do mykwy. Nawet nie zaczęłam myśleć o odliczaniu siedmiu dni czystych. O ile wiem, już nie krwawię, ale nie miałam odwagi ani siły, by zbadać sytuację w wiadomych miejscach. Podejrzewam, że sporo się tam zmieniło, i to nie na lepsze.

Proces odliczania czternastu czystych szmatek jest odrażający, szczególnie teraz, gdy całe moje życie kręci się wokół zmiennego planu zajęć związanych z dzieckiem. Przeraza mnie to, że z pewnością będzie to niekończąca się procedura wymagająca wypraw do rabina za każdym razem, gdy na mojej bieliźnie pokaże się jakaś podejrzana plamka. Czy nie powinnam najpierw przygotować się psychicznie na spojrzenie we własną waginę, zanim zdecyduję się na nowo otworzyć sklepik? No i jest jeszcze sprawa antykoncepcji. Nie wolno jej stosować, rzecz jasna, ale moje ciotki mówią mi, że jeśli

będę miała „czyste karmienie” – co oznacza, że będę cały czas karmić piersią i nie dostanę okresu – to mało prawdopodobne, żebym zaszła w ciążę. Nie wiem, czy jestem gotowa zaryzykować i sprawdzić, czy to faktycznie tak działa.

Mówię Eliemu, że chcę zasięgnąć opinii doktor Patrick i upewnić się, że ona nie ma zastrzeżeń, zanim zdecyduję, co robić. Zostawiam go z dzieckiem w poczekalni, żeby móc porozmawiać z lekarką na osobności. Na plakacie wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi gabinetu jest lista co najmniej dwudziestu metod antykoncepcji. Doktor Patrick widzi, że na nie patrzę, gdy ona wypisuje kartę. Podsuwa mi kilka bezpłatnych próbek.

– Na wszelki wypadek – mówi. Z wdzięcznością chowam je do kieszeni.

Zbadawszy mnie, zdejmuje rękawiczki i uśmiecha się do mnie.

– Załatwione – mówi. – Masz zielone światło.

W jej głosie wyczuwam więcej ciepła niż kiedykolwiek wcześniej – może dlatego że przeszłam inicjację dopuszczającą do klubu matek, a może dlatego że lekarce jest mnie żal. Myśli, że przez następne dwadzieścia lat będę przychodzić do niej regularnie, produkując potomstwo i przynosząc jej klinice wspaniałą dochód. No ale jeszcze zobaczymy, jak to z tym będzie.

Tydzień później idę do mykwy. Zawstydzona mnie obnażanie mojego nowego ciała przy kąpielowej. Mój brzuch jest obwisły, mam czerwone rozstępy na udach. Czuję, jakby cała struktura mojego ciała się zmieniła, jakby biodra się przemieściły, a kręgosłup wygiął w nowy sposób. Przed ciążą wyglądałam jak zagłodzona nastolatka. To nowe ciało przypomina starą kobietę.

Nie powinnam się była martwić. Kąpielowa z pewnością widziała gorsze rzeczy. Wydaje się niewzruszona jak zawsze. Kąpielowe w mykwie w Monsey są dużo sympatyczniejsze niż te na Williamsburgu, mniej wścibskie i bardziej efektywne. Nigdy nie spędzam w mykwie więcej niż godzinę.

Jeśli Eli zauważy jakąś odmianę w moim wyglądzie, nie okazuje tego. Domyślam się, że jest podekscytowany, gdy po powrocie do domu zastaję przyćmione światła i płatki róż rozsypane na pościeli. Chichoczę bezgłośnie, nie mogąc się doczekać, kiedy się dowiem, które z jego rodzeństwa tak mu doradziło. Zawsze wiem, gdy wyskoczy z czymś takim, że to nie jego pomysł. To śmieszne, bo prawo wymaga, by to, co dzieje się między mężem a żoną, zostało między nimi – okazuje się jednak, że rodzina musi wiedzieć wszystko.

Na nocnym stoliku stoi butelka koszerne szampana, a obok niej para plastikowych kieliszków, które kupiliśmy w pobliskim Walmarcie. To mój pierwszy łyk alkoholu od ponad roku i natychmiast uderza mi do głowy. Eli już przesuwa ręką w górę moich ud. Czuję, jak jego broda łaskocze mnie w szyję. Gdy opadam na łóżko, próbując się zrelaksować, pocieszam się myślą, że przez następnych parę dni Eli będzie dla mnie nadzwyczajnie miły. Zawsze taki jest po seksie.

Mam problem. Budzi mnie swędzenie w wiadomym miejscu. Przez kilka następnych dni swędzenie narasta, aż w końcu czuję się, jakbym miała mały pożar w majtkach. Wkrótce jestem cała podrażniona i opuchnięta; Eli musi mnie znów zawieźć do doktor Patrick, zaledwie półtora tygodnia po ostatniej wizycie.

Lekarka wygląda na zaskoczoną naszym przybyciem, ale bada mnie, przy Elim.

Gdy unosi głowę znad prześcieradła, nie uśmiecha się.

– Masz infekcję – mówi.

Podjeżdża na swoim stołeczku do biurka i wypisuje receptę. Wręcza ją Eliemu.

– Musisz brać to lekarstwo – mówi do niego. – Cokolwiek ci dolega, powinno po tym przejść.

Doktor Patrick odwraca się do mnie i poklepuje mnie po nodze.

– Oczekaj tydzień, aż lekarstwo zadziała, potem nie powinnaś więcej mieć problemów.

– Jak to, dlaczego to on musi brać leki? – pytam.

– Cóż, cokolwiek złapałaś, złapałaś od niego. Jeśli będę leczyć tylko ciebie, on dalej cię będzie зараżał.

Lekarka nie udziela żadnych dalszych wyjaśnień. Jestem zdezorientowana. Infekcja w wiadomych regionach to dla mnie całkowita nowość. Do tej pory wszystkie moje dolegliwości były czysto psychosomatyczne. Co ważniejsze, miały źródło w moim własnym ciele, nie zaraziłam się nimi od nikogo. Ten nowy koncept – że bakterie mogą się przenieść z Eliego na mnie – nie chce mi się pomieścić w głowie. Nawet przez myśl mi nie przechodzi, że źródło infekcji może być poza naszym związkiem.

Nowa komplikacja w naszym pożyciu intymnym budzi mój gniew. Dlaczego to zawsze ja muszę cierpieć? Eli nie ma żadnych objawów, ale to on to przywłókł! To takie niesprawiedliwe.

Nagle doznaję olśnienia: w tym małżeństwie nie ja jedna mam tajemnice. Tak się martwiłam sobą, że przestałam myśleć o tym, iż Eli może ukrywać przede mną swoje myśli i uczucia. Im bardziej jednak dociera do mnie, że on mnie okłamuje, tym bardziej uświadamiam sobie także, że nie obchodzi mnie to. Jeśli coś odciąga jego uwagę, to tylko dobrze dla mnie. Moja przyszłość może wyglądać jaśniej, jeśli przestanie spoglądać w moją stronę czujne oko Eliego.



Zbuntowana

Dziś okiem widzę beznamiętnym
 Machiny owej samo tętno;
 Byt, co rozważnie technieniem dyszy,
 Co w podróż w stronę śmierci wyszedł [...]
 William Wordsworth, *Zjawiskiem była mi uroczym*^[8]

Gdy zamieszanie wokół narodzin dziecka przycicha, dociera do mnie, że zostałam matką. Jakoś do tej pory nie uświadamiałam sobie tego, bo byłam zbyt zajęta, by nawet o tym pomyśleć. W głębi ducha przepelnia mnie lęk, bo nie czuję się jak matka – czyż mogę być aż takim potworem, który patrzy na własnego syna i kompletnie nic nie przeżywa?

Im bardziej staram się poczuć więź z dzieckiem, tym bardziej jej nie odczuwam. Nie rozumiem, jak mogę darzyć miłością to pokraczne stworzenie, które na przemian płacze i śpi w moich objęciach. Co, jeśli nie mam w sobie miłości, którą mogłabym mu dać? Czy to możliwe, że doświadczenia własnego dzieciństwa przetrąciły mnie emocjonalnie na tyle mocno, że pozbawiły mnie umiejętności kochania? Pół biedy, że nic nie czuję do mężczyzny, którego poślubiłam na drodze arbitralnie zaaranżowanego małżeństwa. Ale niemożność nawiązania więzi z własnym dzieckiem to już całkiem inna historia.

Zawsze myślałam, że kiedy zostanę matką, wreszcie poczuję, jak to jest kochać kogoś całą sobą i bez ograniczeń. Teraz jednak, mimo że odgrywam rolę troskliwej mamy, boleśnie odczuwam pustkę w swoim sercu.

Część mnie obawia się przywiązać za bardzo. Ostatnio myślę o tym, by odejść od Eliego i porzucić życie, jakim zawsze żyłam. Co, jeśli pewnego dnia postanowię nie być chasydką? Wtedy będę musiała oddać także i dziecko. Nie zniosłabym tego, gdybym pokochała Icka i musiała go opuścić. Wykonuję rodzicielskie obowiązki, ale karmiąc i przewijając syna, nawet kołysząc go do snu nocą, staram się chronić tę część siebie, która chce się zaangażować w macierzyństwo, ale także w głębi duszy pozostać nietknięta.

„Cóż to za teatr, bycie młodą matką”, myślę sobie, gdy kolejna obca osoba na ulicy zatrzymuje się, by pogaworzyć do dziecka. Przyklejam do twarzy dumny uśmiech i gram swoją rolę, jak wszyscy oczekują, ale wewnątrz mam pustkę. Czy naprawdę nikt nie widzi, że ja nic nie czuję? Czy nikt nie dostrzega, że jestem zimna i zdystansowana?

Latem wracam na Williamsburg, by odwiedzić Bube i pochwalić się dzieckiem. Wkładam długą perukę ułożoną w loki i ładną sukienkę, którą kupiłam w sklepie Ann Taylor i kazałam przedłużyć, by zakrywała kolana. Mimo to jest bardzo obcisła – podoba mi się, jak łuki moich bioder zaokrąglają się pod cienkim bawełnianym materiałem.

Popychając wózek, który dostaliśmy w prezencie, idę przez Penn Street i nagle słyszę, jak chłopiec, góra sześćioletni, szepce do kolegi z podwórka: „*Far was wekt zi du,*

di szikse?” – „Dlaczego ta gojka tutaj chodzi?”. Uświadamiam sobie, że to o mnie. Jestem zbyt dobrze ubrana, by pasować do jego wyobrażenia na temat chasydzkich kobiet.

Starszy kolega szeptem do niego pospiesznie:

– To nie gojka, to Żydówka. Tylko wygląda jak gojka.

– Nie może być! Żydówki tak nie wyglądają!

Pełna niedowierzania odpowiedź młodszego chłopca daje mi do myślenia. Uświadamiam sobie, że to prawda: w naszym świecie Żydzi nie wyglądają jak goje. Wyglądają inaczej.

Pamiętam, jak jako małe dziecko latem bawiłam się na ulicach. Lepka od potu pod wieloma warstwami odzieży przykucałam na ganku kamienicy i beczynnie wysiadywałam tam z innymi dzieciakami z sąsiedztwa, popijając mrożoną sztucznie barwioną oranżadę, i gapiłam się na przechodzących ludzi. Za każdym razem, gdy szła nieskromnie ubrana kobieta, deklamowaliśmy wyliczankę: „Wstyd, wstyd, mała... Goła, goła baba...”.

Ta prześmiewcza wyliczanka była rytuałem tak zakorzenionym w naszej dziecięcej świadomości, że nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, co znaczy, pamiętam jednak powszechną niechęć, jaką budzili w nas obcy, i jak odmienni i lepsi czuliśmy się, różniąc się od nich. Byliśmy zjednoczonym, monolitycznym patrolem policji obyczajowej. Mieliśmy też aparat przymusu: czasami rzucaliśmy w obcych przedmiotami – może nie kamieniami, ale żwirkiem albo śmieciami. Naszą ulubioną rozrywką było wylewanie wiadrem wody z okien na pierwszym piętrze na niczego niespodziewających się przechodniów. Gdy tamci podnosili głowy, zszokowani i wściekli, my już zdążyliśmy skryć się w środku i śmialiśmy się do rozpuku.

Minęły lata i role się odwróciły. Teraz to ja chodzę williamsburskimi ulicami i słucham, jak dzieci naśmiewają się ze mnie – nie na tyle głośno, bym się zatrzymała i skomentowała ich brak szacunku, ale dość wyraźnie, by płonęły mi policzki. Kiedy to się stało? Kiedy zostałam odrzucona? Nagle nie przynależę już tutaj: jestem obca.

Najmniejszy nawet krok ku niezależności ma konsekwencje. Trudno mi nawet wyobrazić sobie, co też powiedzieliby ludzie z mojej dzielnicy, gdyby znali moje plany na przyszłość.

Przestałam chodzić do mykwy. Gdy jeszcze chodziłam, denerwowałam się tym tak, że na tydzień przed terminem zaczynał mnie boleć żołądek. Najbardziej nienawidziłam pytań tych kobiet, które muszą wiedzieć wszystko o nie swoich sprawach: w którym momencie cyklu jestem, czy poroniłam, czy próbuję znowu zajść w ciążę. I te spojrzenia: jeśli mam na twarzy makijaż albo lakier na paznokciach, gapią się, jakby były lepsze ode mnie tylko dlatego, że same nie okazują zainteresowania takimi głupstwami.

Teraz w wieczór mykwy wychodzę na kilka godzin, zabierając z sobą jakiś magazyn do czytania, żeby się nie nudzić. Czasami po prostu parkuję przed Starbucksem przy szosie 59 i przyglądam się, jak żydowskie dziewczyny z neoortodoksyjnych rodzin uczą się do egzaminów.

Prawo mówi, że jeśli nie chodzę do mykwy, Eliemu nie wolno mieć ze mną stosunku, ale on nigdy się nie waha – nie wiem więc, czy siła jego pożądania przerasta religijne lęki, czy nawet nie podejrzewa, że mogę go zwodzić w tak straszliwy

i niewybaczalny sposób. Tora mówi okropne rzeczy o kobietach takich jak ja: nazywa mnie Jezabel, podłą uwodzicielką, która wciąga za sobą w grzech swojego męża. Jeśli zaszłabym w ciążę, dziecko byłoby nieczyste przez całe swoje życie. Ale nie zajdę w ciążę, bo biorę tabletki antykoncepcyjne i nie zamierzam ich nigdy odstawić.

Eli lubi grę wstępłą bardziej niż ja. Zanim dojdzie do stosunku, chce całować i dotykać, czuć się kochany. Ponieważ jednak bez przerwy się kłócimy albo nie odzywamy do siebie, moment przed seksem zwykle nie jest szczególnie romantyczny.

– Dlaczego nadal tego chcesz, skoro wiesz, że udaję? Czy naprawdę wydaje ci się, że to autentyczne okazywanie uczuć, skoro dopiero co kłóciliśmy się przy kolacji?

Eli zaczyna sprzątać kuchnię, gdy ja powinnam być w mykwie, żebym po powrocie była zadowolona, że nie muszę krzątać się przy domowych obowiązkach. Musi uważać, że jestem bardzo nieskomplikowana, skoro oczekuje, że mniej prac domowych mnie uszczęśliwi i uczyni uległą.

Tak więc całujemy się przed. Ale niedługo. Ja zaczynam gryźć, z powodów których sama nie rozumiem. On próbuje mnie nauczyć, jak się całować powoli – ale mnie nie podobają się te ślimaczące się, niezgrabne pocałunki i to, że jego zarost drapie mój podbródek i skórę nad wargami. Gryzę jeszcze przez moment, potem Eli poddaje się i przechodzi do następnego etapu.

On chce, żeby doświadczenie trwało tak długo, jak to tylko możliwe. Ja chcę, żeby jak najszybciej było po wszystkim. On wie i nie obchodzi go to.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie stałam się ateistką. Kiedyś wierzyłam w Boga; później nadal wierzyłam w Niego, ale go nienawidziłam, teraz myślę sobie, że może wszystko to jest przypadkowe i nieznaczące. Bez wątplenia żadna kara nie spada na tych ludzi, którzy po prostu żyją swoim życiem i nie są chasydami.

Wypożyczam z biblioteki film dokumentalny o gejach ortodoksyjnych Żydach, którzy próbują pogodzić swą seksualność z wiarą. Osoby, które się w nim wypowiadają, mówią o tym, że chcą być jednocześnie Żydami i gejami, i jak trudno im przychodzi pogodzić te dwa sprzeczne aspekty własnej tożsamości. Ja zaś nie mogę się nadziwić, jak mogą chcieć należeć do wspólnoty religijnej, która jest tak nietolerancyjna i opresyjna. W napisach końcowych jest lista osób, z którymi rozmawiano na potrzeby filmu. Rozpoznaję na niej nazwisko swojej matki. Rachel Levy. Co więcej, gdy przewijam do początku, widzę ją przez moment w jednej scenie, gdy schodzi z chodnika przed domem i mówi: „Odeszłam z Williamsburga, bo jestem lesbijką”.

Czy gdy Chaja mówiła, że matka zwariowała, właśnie o to jej chodziło? Jestem zdumiona. Najgorsze, że domyślałam się, iż wszyscy poza mną wiedzieli. Czy to znaczy, że wsadziłam głowę w piasek? Nigdy nie przemknęło mi to przez myśl.

Przed świętem Szawuot wyszukuję jej adres i zamawiam wielki bukiet, żeby jej go wysłać na święta, z dołączoną kartką. Nie jestem jeszcze gotowa, by z nią rozmawiać, ale chcę wykonać jakiś miły gest, coś, co sama chciałabym, żeby moja córka zrobiła dla mnie, gdybym miała córkę.

Dzwoni do mnie kilka dni później, ale nie odbieram, więc nagrywa się na sekretarce, dziękuje za kwiaty. W jej głosie pobrzmiewa radość zaskoczonego dziecka, ale pod nią kryje się dorosły o grubej skórze.

Słuchając chrapliwego nagrania, nie mogę się nadziwić, że ta kobieta jest moją matką. Ta kobieta, tak kompletnie inna ode mnie, wydała mnie na świat. Nie czuję zupełnie nic. Zastanawiam się, czy to tylko ja jedna nie jestem zdolna do emocjonalnej więzi z kimkolwiek, nawet jeśli jestem z tym kimś spokrewniona.

Jesienią, kiedy udaje mi się wreszcie zrzucić dość kilogramów po ciąży, a Icyk zaczyna sypiać, nie budząc się przez całą noc, zaczynam rozglądać się za uczelnią. Zrobię wszystko, by nasze życie było lepsze. Hannah, ortodoksyjna Żydówka, która mieszka obok, poradziła mi, żebym zainteresowała się programami dla dorosłych – młodej matce takiej jak ja łatwiej będzie uczyć się w tym trybie studiów. Ona sama dostała dyplom z Ramapo College w New Jersey i program zajęć bardzo jej odpowiadał.

Wynajduję uniwersytety niedaleko nas – Pace, Sarah Lawrence, Bard i Vassar. Wszystkie mają program studiów zaocznych. Ściągam z internetu formularze aplikacji, ale do Sarah Lawrence można zadzwonić i umówić się na rozmowę kwalifikacyjną, więc zaczynam od tej szkoły. Kobieta, z którą rozmawiam, jest spokojna i zupełnie niezaangażowana. Mówi mi, żebym przyszła w pierwszy poniedziałek marca, bo jest już za późno, by ubiegać się o miejsce w jesiennym semestrze.

Przygotowuję eseje z wyprzedzeniem, najpierw pisząc je ręcznie, potem na komputerze. Pierwsze dwa są autobiograficzne. Myślę sobie: to jest moja działka. Muszę wykorzystać to, co mam. Nie wspominam Eliemu, że staram się o przyjęcie na studia, mówię mu za to, że chcę zrobić kurs biznesowy, ale nie sądzę, by mnie przyjęli. On się nie sprzeciwia. Jestem pewna, że myśli sobie: kto by tam przyjął *chasidiszer* do gojowskiej szkoły?

Dzień, w którym jadę do Sarah Lawrence, jest pochmurny i mokry od deszczu padającego kolejną dobę. Gałęzie dębów, zwieszające się na betonowe alejki kampusu, są ciężkie od świeżo rozwiniętych liści. Studentki, odziane w kalosze, z elegancko udrapowanymi skórzanymi plecaczkami i pewnymi minami, spacerują grupkami po soczystozielonych trawnikach. Zostawiam samochód na głównym parkingu i ze spuszczoną głową przechodzę na drugą stronę Wrexham Road, kierując się pod adres, który podano mi przez telefon.

W krótkiej czarnej peruce i długiej spódnicy wyróżniam się bardziej, niż się spodziewałam: tu wszyscy chodzą w dżinsach. Pewnie gdybym mogła nosić dżinsy, nie wkładałabym już niczego innego. Tak bym chciała wyrzucić wszystkie spódnice i do końca życia chodzić w spodniach.

Na rozmowie kwalifikacyjnej Jane jest bardzo konkretna.

– Chcielibyśmy panią przyjąć – mówi – ale wszystko zależy od talentu pisarskiego. To jest szkoła dla pisarzy. Nie ma egzaminów ani stopni, przygotowuje się tylko prace pisemne i je ocenia. Byłoby z naszej strony okrucieństwem przyjąć panią bez pewności, czy w najważniejszym wymaganym zakresie da sobie pani radę na odpowiednim poziomie.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście. Doskonale rozumiem. – Wręczam jej swoje trzy starannie przygotowane eseje i pytam, kiedy mnie poinformuje o tym, czy się dostałam, czy nie.

– Dostanie pani zawiadomienie pocztą za kilka tygodni – odpowiada.

No i rzeczywiście, dwa i pół tygodnia później przychodzi list na kremowej papeterii z nadrukowanym logo Sarah Lawrence. „Z wielką przyjemnością zawiadamiamy, że została pani przyjęta w ramach programu kształcenia ustawicznego w Sarah Lawrence College”. Noszę list w ręku przez calutki dzień, wyobrażając sobie siebie jako studentkę Sarah Lawrence, może nawet w dzinsach i pasującym do nich żakieciku z J. Crew.

W końcu dzwonię do matki, żeby jej powiedzieć, że mnie przyjęto. Chcę, żeby wiedziała. Wiem, że nie pochwała faktu, że żyję pośród chasydów – i myślę, że w ten sposób mogę dać jej sygnał, że chcę czegoś więcej. Słyszę dumę w jej głosie, kiedy mi gratuluje – ale także nieme pytanie, czy wybór Sarah Lawrence ma związek z moją seksualnością. Matka mówi tylko:

– Słyszałam, że to szkoła bardzo przyjazna gejom.

Mam ochotę jej powiedzieć, że te rzeczy nie są dziedziczne.

Eliemu mówię – zajęcia z biznesu. Nauczają mnie księgowości i marketingu, i podobnych rzeczy. Będę mogła gdzieś dostać dobrą pracę albo może kiedyś otworzyć własny biznes. Eli chce tylko wiedzieć, ile czasu to będzie zajmowało i czy będę w domu o stosownej porze, żeby jak zawsze odebrać Icka ze żłobka i ugotować obiad.

W kwietniu szkoła organizuje dni otwarte, żebyśmy mogli poznać profesorów, którzy będą prowadzić zajęcia dla dorosłych w czasie letniego semestru. Już po przestudiowaniu programu wiem, że chcę chodzić na zajęcia z poezji, bo zawsze pragnęłam umieć czytać, rozumieć poezję i rozmawiać o niej oraz o sławnych poetach. Nigdy jednak nie poznałam nikogo, kto znałby się na tym.

James, profesor od poezji, ma zgrabnie przycięte szpakowate włosy, sterczące nad wysokim czołem, ledwie widoczną szczerbę między przednimi zębami i smukłe, szczupłe ciało opakowane w dandysowski, dziergany na drutach sweter i dzinsy, w jakich ludzie jeżdżą konno po Nowej Anglii – a przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Wygląda dokładnie jak osoba, która czyta poezję. Gdy mówi, jego głos jest spokojny i gęsty jak miód spływający z łyżki – idealny do czytania wierszy.

Na koniec pytam Jamesa, czy to ma znaczenie, że nigdy wcześniej nie studiowałam poezji, albo czy mogę się jakoś przygotować, ale odpowiada mi, że wiele osób, które przychodzi na jego zajęcia, nic nie wie o poezji.

– W tej dziedzinie jest więcej ignorancji, niż przypuszczasz – mówi z lekkim uśmiechem. Czuję się, jakbym była uprzywilejowana, tylko dlatego że mogę z nim rozmawiać.

Zamawiam w bibliotece *The Norton Anthology of Poetry*. W pierwszy poniedziałek czerwca wkładam moje najcieńsze beżowe rajstopy i niebieskie espadryle od Prady, które znalazłam na wyprzedazy, zawożę Icyka do żłobka i przez most Tappan Zee, rozciągnięty ponad rzeką Hudson, jadę do hrabstwa Westchester. Słońce iskrzy się jasno na powierzchni wody i dachów wzdłuż brzegów rzeki. Tafla betonowej szosy migoce odbita w moim lusterku wstecznym. W samochodzie klimatyzator mruczy, zalewany głośnym dźwiękiem europopu płynącego z głośników. Otwieram okno i wystawiam ramię na zewnątrz, w letnie powietrze. Kiwam głową i postukuję palcami o kierownicę w rytm muzyki. Wciągam torbiasty brzuch, wciąż zwisający po ciąży, starając się dostrzec swoją

dawną talię w cieniu bawełnianej bluzy z długimi rękawami.

Sala wykładowa ma małe lukarny, przez które kwadraty słonecznego światła padają na wielki okrągły stół – ale gdy profesor rozpoczyna zajęcia, siedzi nas przy nim tylko troje. Nigdy nie przypuszczałam, że grupa będzie tak mała.

James przedstawia się i prosi, by każde z nas powiedziało kilka słów o sobie. Mój jedyny kolega z grupy to facet w średnim wieku o imieniu Brian, śniadej twarzy i ciemnej skórze. W jednym uchu ma kolczyk, chude ramiona zwisają mu z rękawów koszulki z jakimś dzikim nadrukiem. Opowiada coś o tym, jak podróżował z kimś o nazwisku Mick Jagger i o programie MTV, ale ja nie mam pojęcia, o czym mówi – poza tym, że lubi muzykę i palenie. Brian co jakiś czas przeprasza i wychodzi na zewnątrz na dymka. Zastanawiam się, co z nim jest nie tak, że nie może wytrzymać godziny bez papierosa.

Ja niewiele mówię o sobie, poza tym, że jestem chasydką. James zwraca się w moją stronę z wyrazem zaskoczenia i zaciekawienia na twarzy.

– No proszę – mówi. – Mój teść jest chasydem. Nie urodził się w tej społeczności, ale później zdecydował się przejść na chasydyzm.

– Do których chasydów należy? – pytam. Są węgierscy, noszą sztrajmele, są Rosjanie, ci noszą czubate filcowe kapelusze i odsłonięte frędzle.

– Wydaje mi się, że jest lubawiczerem.

To rosyjski odłam.

– Och – odpowiadam – ja jestem satmarką. To całkiem co innego, choć trudno wytłumaczyć.

Nie mogę pojąć, jak ktoś mógłby zrezygnować z życia na wolności na rzecz zamknięcia się w zakazach i ograniczeniach. Zastanawia mnie, co naprawdę myśli James o swoim teściu.

Zajęcia zaczynamy od czytania wiersza Williama Wordswortha pod tytułem *Anegdota dla ojców*. James czyta go na głos. Zauważam, z jaką rewerencją traktuje słowa – słyhać to w sposobie, w jaki je wypowiada. To sprawia, że i ja słyszę je inaczej, każde słowo staje się całym kosmosem znaczeń. Język Wordswortha jest kwiecisty, ale rymy są dokładne i równe, a każda zwrotka gęsto wypełniona nimi jak mała poduszka na igły. Historia o ojcu spacerującym z synem wydaje się prosta i jasna; zaczynam myśleć, że w gruncie rzeczy poezja nie jest aż taka skomplikowana. James prosi nas, byśmy odnaleźli sekret w wierszu o chłopcu, który woli zielony brzeg morski od lesistych wzgórz na farmie z prostego powodu – na brzegu nie ma wiatrowskazu. W wierszu budzi to wielką radość ojca, który mówi: „Och gdybym mógł nauczyć cię / Choć ćwierć tego, czego ty mnie uczysz!”.

– Co tak porusza ojca w wyborze, którego dokonuje chłopiec i w jego wytłumaczeniu? – pyta James. – Czy naprawdę wiatrowskaz jest dostatecznym uzasadnieniem tego wyboru?

Z początku nie wiem, o co chodzi, ale James wyjaśnia, że w wierszu – w przeciwieństwie do powieści, gdzie różnie z tym bywa – nic nie jest przypadkowe. Jeśli więc coś przykuwa naszą uwagę, z pewnością znajduje się w tekście z jakiegoś powodu. To pierwsza i najważniejsza lekcja dotycząca poezji. Ten wiersz, tłumaczy James, jest o naturze dziecka i o tym, czego dorosły może się od niego nauczyć na temat nieistotności

rozumowania: jedyne, czego życie od nas wymaga, to byśmy słuchali instynktu, emocji. Nie wszystko wymaga wyjaśnienia.

Nigdy nie spodziewałam się, że nauczę się z tego wiersza, że należy cenić instynkt bardziej niż logikę, emocje bardziej niż intelekt. Teraz jednak, gdy patrzę wstecz na swoje dzieciństwo, widzę, że zawsze ufałam swoim przeczuciom, nawet gdy logika wyraźnie nakazywała powściągliwość. Cokolwiek odważnego dokonałam w życiu, zawdzięczam uczuciom, a nie racjonalnemu myśleniu. Tak się składa, że nawet to, iż jestem teraz w Sarah Lawrence, jest rezultatem tego, że kilka miesięcy wcześniej poddałam się impulsowi. To prawda, nie wiem, jak długo będę mogła tu zostać ani co da mi taka edukacja, ale ufam temu, czego nauczyłam się w dzieciństwie, i postanawiam nie racjonalizować swojej decyzji.

Ten wiersz jest odzwierciedleniem pragnienia Wordswortha, by odejść od racjonalizmu i intelektu na rzecz emocji i romantyzmu, które zaczęły objawiać się w poezji jego czasów. James mówi, że Wordsworth był pierwszym wielkim romantykiem. Podnoszę rękę, by zadać pytanie.

– Jak to możliwe – pytam – że tak kwiecisty mężczyzna żyjący w takich czasach mógł czuć się komfortowo, a jego męskość na tym nie ucierpiała? Czy romantyzm nie jest cechą kobiecą?

James śmieje się z mojego użycia słowa „kwiecisty”.

– Nie sądzę, by ktoś określił Wordswortha takim mianem – mówi z uśmiechem – ale rozumiem, skąd to pytanie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że w tamtych czasach poezja należała do domeny mężczyzn. Niezależnie od tego, jakkolwiek „kwiecisty” by był, Wordsworth ciągle parał się męskim zajęciem. Nikt nie postrzegał tego jako czegoś kobiecego. Możemy porozmawiać o tym więcej, kiedy usiądziemy we dwoje na indywidualnej rozmowie, będzie to nasze cotygodniowe spotkanie po zajęciach, podczas którego będziemy rozmawiać o twojej pracy i badaniach.

Jakie to wspaniałe, myślę sobie, móc przyjmować własną męskość za coś tak oczywistego, że nie ma czegoś takiego jak obawa utracenia jej. Czy linie podziału istniejące w mojej społeczności zarysowały się dlatego, że z jakiegoś powodu taki strach się pojawił? Być może w świecie, gdzie kobiety mają więcej swobody poza społecznością, męskość nagle przestaje być wartością, którą można utracić.

Na indywidualnej rozmowie po zajęciach James pyta mnie, czy czytałam poezję w jidysz.

– Nawet nie wiedziałam, że jakaś istnieje – mówię zaskoczona.

– Och, było mnóstwo poetów piszących w jidysz, większość z ich poezji przetłumaczono na angielski. Może ciekawe byłoby dla ciebie przeczytać obie wersje i zobaczyć, jak to wypada w przekładzie.

W drodze do domu myślę o tym, jakie to niezwykle, że profesor w Sarah Lawrence tyle wie na temat mojego małego światka. Spodziewałam się kompletnej ignorancji.

*

Icyk wyciąga do mnie swoje pulchne rączki, gdy tylko widzi mnie w drzwiach żłobka. Jego twarz rozjaśniona jest uśmiechem, gdy mnie rozpoznaje. Jego szczęście daje mi poczucie absolutnej wyjątkowości. Nijak nie rozumiem, dlaczego mnie tak uwielbia,

ale po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę kochana. Śmieje się nieustająco i zawsze patrzy z wyczekiwaniem, czy będę cieszyć się wraz z nim. Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Często patrzę na niego i zastanawiam się, jak to się stało, że jest tak idealny: z całą pewnością to nie moja zasługa. Czasami wydaje mi się, że dostałam to dziecko na znak, że mimo wszystko nie tkwię w potrzasku.

Jednak mimo że Icyk jest taki cudowny, to, co dzieje się między mną i Elim, boli mnie i rozprasza. Nasze małżeństwo jest najeżone konfliktami i zawsze któreś z nas jest naburmuszone. Nasze kłótnie wybuchają całkiem niespodziewanie i cichną w równie nieprzewidywalnym momencie.

Piątkowa noc to czas, gdy Eli i ja musimy uprawiać seks. W Talmudzie napisano, że wędrowny kupiec musi mieć stosunek z żoną co sześć miesięcy, robotnik trzy razy w tygodniu, a badacz Tory w każdy piątek wieczór. Ponieważ chasydzi uważają się przede wszystkim za uczonych w Piśmie, trzymają się tej dyrektywy. Ja nie przepadam za tym, bo po szabasowej kolacji zawsze czuję się przejeżdżona i zmęczona. Eli i tak chce uprawiać seks, nawet jeśli byliśmy wobec siebie bardzo chłodni ledwie chwilę wcześniej. Nie mogę pojąć, jak potrafi oddzielić seksualną intymność od charakteru naszej relacji.

Ostatnio Eli krytykuje sposób, w jaki przygotowuję jedzenie. Uważa, że nie dość uwagi przywiązuję do zasad *kaszrut*, żydowskich reguł dotyczących diety. Czasami przez nieuwagę kładę nóż do mięsa na nabiałowym blacie – ale wiem, że to nie jest złamanie prawa, a zaledwie powód do narzekania. Musiałabym włożyć ten nóż do gorącej nabiałowej, na przykład kremowej, zupy, żeby naprawdę złamać prawo. Mówię Eliemu, że każdy rabin zaleciłby mi cenić wyżej *szalom bajis*, spokój w domu, niż prawa *kaszrut*. Jego krytyka prowadzi do sprzeczki, a potem kompletnie psuje szabasowy posiłek, nad którym tak się napracowałam – bo zamiast, jak na dobrego żydowskiego męża przystało, pochwalić moją kuchnię, stara się tylko wynajdywać potknięcia. Gdy piątkowa kolacja dobiegnie końca, czasem mogę odmówić seksu, bo jest też prawo, że mężczyzna nie może uprawiać seksu z żoną, jeśli się z nią kłócił. Najpierw musi przeprosić – a Eli nie zawsze chce mnie przeprosić.

Kiedy się nie złości, Eli jest bardzo spokojny. Wszyscy myślą, że taki miły z niego mąż, bo gdy jesteśmy między ludźmi, przynosi mi szklankę wody, „na wypadek gdyby ci się pić chciało”. W domu sama muszę chodzić po wodę.

Drobiazgi wprawiają go w gniew – na przykład szafka kuchenna, która nie chce się domknąć, bo gdy rano spieszyłam się do szkoły, wstawiłam do niej pudełko z płatkami nie w tę stronę. Wtedy trzaska drzwiami albo rzuca książkami o podłogę – potem nawet jednak nie pamięta, że się wściekł.

Tuż przed drugimi urodzinami Icka postanawiam nauczyć go korzystać z ubikacji. Moje przyjaciółki mówią, że to za wcześnie, ale ja czytałam, że to właśnie najlepszy wiek, żeby spróbować, bo im starsze dziecko, tym trudniej zmienić jego nawyki. Moje sąsiadki mają dzieci trzy- i czteroletnie, które ciągle chodzą w pieluchach.

Zostaję w domu z Ickiem przez kilka tygodni. Pierwszego dnia trzymam go cały dzień w łazience, jak długo tylko mogę, czytam mu książeczki o korzystaniu z toalety. Kiedy wreszcie odwraca to na moment jego uwagę i wypuszcza mały strumień, patrzy na mnie z buzią w podkówkę, zszokowany tym, co zaszło, a ja entuzjastycznie biję mu

brawo.

Jednak mimo że już raz tego dokonał, skłonienie go, by zrobił to znowu, okazuje się o wiele trudniejsze. Gdy po powrocie z pracy Eliego proszę go, by zmienił mnie na godzinę, Icek kręci się i wyrywa, próbując zejść z klozetu. Mówię Eliemu, by nie dał mu zejść, dopóki nie zrobi, co trzeba.

Po kilku minutach słyszę płacz dochodzący z łazienki. Gdy otwieram drzwi, by zobaczyć, co się dzieje, widzę, jak Eli trzyma Icka za ramiona i potrząsa nim ze złością.

– Przestań natychmiast! – mówię, widząc lęk na twarzy synka. – Oszalałeś? On ma dwa latka! Wydaje ci się, że zaczniesz się załatwiać w łazience, jeśli go wystraszysz? Wszystko popsujesz!

Po tym incydencie nie pozwalam Eliemu uczestniczyć w nauce korzystania z toalety. Nie daję mu też kąpać dziecka, bo jeśli Icyk zacznie się kręcić i próbować wywinąć ojcu z rąk, Eli wpadnie w szewską pasję. Kiedy się to dzieje, Eli robi dziwne rzeczy – na przykład mocno popycha Icka, mimo że mały ledwo co wyrósł z niemowlęctwa. Doprowadza mnie to do wściekłości i zawsze straszę, że zadzwonię na policję, ale nigdy tego nie robię.

Jedyny raz, gdy zadzwoniłam na policję w Ramapo, był wtedy, gdy jeden z naszych sąsiadów z ulicy przejechał koło mnie z opuszczonymi oknami, krzycząc: „Co z wami, Żydzi? Dlaczego nie możecie być tacy jak wszyscy?”, a Icyk zaczął płakać.

Jednak policjant nie uwierzył mi, bo, jak powiedział, zna tego człowieka od wielu lat i wie, że tamten nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Policji nie podoba się, że w Airmont mieszkają chasydzi. Kiedy przychodzą wybory, zawsze pędzimy do urn i zakreślamy na liście te nazwiska, które rabini nam przykazali, wybierając polityków, którzy pozwolą nam naginać przepisy o zagospodarowaniu gruntów i administrować funduszami i środkami wedle naszych planów i na naszą korzyść. Nie mam pretensji do gojów, że nas nienawidzą. Chciałabym tylko móc im powiedzieć, jak bardzo odmienna i osaczona się czuję w tym kostiumie, w tej roli.

Odkąd przeprowadziłam się do Airmont trzy lata temu, społeczność się rozrosła. Kiedyś to była mała grupka chasydzkich rodzin, które przywędrowały z takich miejsc jak Williamsburg czy Kiryas Joel, gdzie zasady życia są zbyt radykalne i sztywne, by mogli tam być szczęśliwi. Kilka młodych par takich jak my – żony w długich perukach z naturalnych włosów i dzinsowych spódnicach, mężowie pijący piwo i palący marihuanę na pokerowych wieczorkach. Ktoś, kto na Williamsburgu zostałby obwołany łachmaniarzem, w tej nowej, rozrastającej się i zróżnicowanej społeczności hrabstwa Rockland był zaledwie jeszcze jednym lekko wykolejonym chasydem. Różnica między życiem na Williamsburgu i życiem w Airmont polega na tym, że tutaj można łamać zasady, jak długo nie mówi się o tym głośno. Można żyć w spokoju swoim życiem tak długo, jak człowiek nie zwraca na siebie uwagi. Ja jeżdżę samochodem, lakieruję paznokcie u nóg na czerwono, czasem wymykam się do kina – ale nikt nigdy nie zauważa tego, gdy człowiek ogranicza się do własnego kawałka ziemi i się z niczym nie wychyla. Ale to nie wystarczy. Eli uważa, że niezależnie od tego, ile mam swobody, zawsze znajdę powód do narzekania. Twierdzi, że jestem niezdolna do bycia szczęśliwą.

Problem w tym, że ledwo przezwyciężam jedno ograniczenie, zaraz pojawia się za nim następne. Nic nie poradzę, że nieustannie myślę o tym, jak wielu rzeczy nigdy nie będę w stanie doświadczyć. Nie mogę znieść świadomości, że spędzam cały swój żywot na tej planecie i nie mogę robić wszystkiego, o czym marzę, tylko dlatego że mi nie pozwalają. Nie sądzę, by ta wersja wolności kiedykolwiek mogła mi wystarczyć, jeśli nie obejmuje wszystkiego. Myślę, że nie będę mogła być szczęśliwa, dopóki nie osiągnę pełnej niezależności.

Usadzam Icka w wózku i idę do synagogi, by spotkać się z Elim po wieczornej modlitwie. Gdy mężczyźni wysypują się ze środka, gapią się na mnie bezczelnie, jak stoję w swojej obcisłej czarnej sukience i czarnych szpilkach. Ładnie ubrana osoba natychmiast zwraca na siebie uwagę. Tu mężczyźni nie wbijają wzroku w ziemię, gdy widzą przechodzącą kobietę. Ale nie są wcale lepsi – zamiast tego wygłaszają nieprzystojne komentarze i sprośne dowcipy. Ich poziom oświecenia nie pozwala na więcej.

Moja sąsiadka Chawi, która mieszka dziesięć minut drogi piechotą od nas, przy tej samej drodze, układa dla mnie perukę. Właśnie kupiłam od niej swoją pierwszą perukę długości maxi – jest z dziewiczych ludzkich włosów, które nigdy nie oglądały żadnej chemii, więc opada falami miękko na moje ramiona. Ilekolwiek by jednak przycinała i jakkolwiek fachowo by układała peruki wokół mojej twarzy, ciągle widać ostrą linię, która zdradza od razu, że to nie moje włosy. Nikt by z pewnością w to nie uwierzył.

Czasami, gdy idę do centrum handlowego i zabieram Icka w wózku, czuję, że jego blond loczki, niebieskie oczy i amerykańska twarz nienaznaczona jeszcze pejsami zbliżają mnie odrobinę do innych ludzi tutaj. Jego śliczna buzia i pulchne ciało sprawiają, że wszyscy zatrzymują się, żeby nad nim pogruchać. Ja stoję obok, w peruce i długiej spódnicy, i udaję, że jestem jak wszyscy.

Zaczęłam zdejmować perukę w szkole, choć własne włosy pod spodem zawsze mam trochę zmatowiałe. Gdy mam na głowie perukę, czuję się niezręcznie, podobnie jest ze spódnicą, ale nie mam żadnych normalnych ubrań i do tej pory zbyt się bałam, że mnie ktoś zobaczy, żeby wybrać się na zakupy. Idę do sklepu T.J. Maxx w White Plains i nerwowo przebieram w džinsach na wieszaku, nie mogąc zrozumieć różnic między kolorami, krojem i kształtem kieszeni. Wybieram wytartą na biodrach parę z dużym haftem w kształcie brązowych pętelek na tylnych kieszeniach. Przymierzam. Są odrobinę za długie, ale do butów na obcasie będą w sam raz. Nie mogę się nadziwić, jak inaczej wygląda moje ciało w džinsach – jest takie krągłe, tak pełne siły.

Gdy w środę przyjeżdżam na zajęcia, zdejmuję długą czarną spódnicę w samochodzie. Pod nią mam džinsy. W sali wykładowej moja koleżanka Polly piszczy podniecona:

- O matko, nosisz džinsy? Czy to seveny?
- Co?
- Marka. Seveny, nie?
- Nie wiem. Kupiłam je w T.J. Maxx za piętnaście dolarów. Kolor mi się podobał.
- Świetna cena za parę sevenów. Super wyglądasz!

Gdy zaczynamy zajęcia, nie słyszę nic z tego, co mówi profesor, bo cały czas gapię się na swoje nogi i wygładzam palcami materiał. Gdy wychodzę z budynku, ogrodnicy

pracujący na zewnątrz pogwizdują na mój widok; automatycznie spuszczam wzrok, zła na siebie, że przyciągnęłam uwagę. Myślę sobie: to na pewno nie zdarza się innym dziewczynom, które chodzą w dzinsach.

W domu upycham spodnie pod swoim materacem, żeby Eli nie znalazł. Nie wiem, czy zdołałabym się z tego wyłgać.

Polly to moja nowa najlepsza koleżanka z Sarah Lawrence. Ma lśniące blond włosy, dołeczki w policzkach, gdy się uśmiecha, ubiera się ładnie i z ożywieniem dyskutuje na każdy temat. Jest jak postać żywcem wyjęta z książki, którą czytałam, gdy byłam młodsza. Co ja bym dała, żeby mieć włosy tak złote jak ona, oczy tak błękitne, zęby tak śnieżnobiałe. Gdy pierwszy raz przedstawiałam się jej, powiedziałam, że jestem chasydką – popatrzyła na mnie i roześmiała się, jakby usłyszała dowcip. Potem jednak zrozumiała, że nie żartowałam, i przeprosinom nie było końca – ale ja się nie gniewałam. Pochlebiali mi, że Polly nie zauważała mojej odmienności. Myślała, że moja peruka to prawdziwe włosy.

Gdybym miała taki nos jak Polly, moje życie byłoby inne, jestem pewna. Zawsze decydująca jest kwestia nosa. Bube mówi, że tak Hitler odróżniał Żydów od nie-Żydów. Ze mną z pewnością łatwo by mu poszło. Mój los jest dla mnie nierozzerwalnie związany z moim nosem. Życie Polly pasuje do jej nosa, co ma sens. Dobre rzeczy zdarzają się ludziom o zadartych nosach.

W styczniu Polly zabiera mnie w swoją okolicę na Manhattanie i idziemy do restauracji. Polly uwielbia jeść: była szefową kuchni, zanim wraz z mężem założyli wytwórnię czekolady. Mówię sobie: zjem wszystko prócz ryby i mięsa, i nawet jeśli to jest niekoszerne, nie będzie tak źle. Gdy przychodzimy, zauważam, że sufit jest taki wysoki, bo ludzie są długonodzy, z nosami uniesionymi do góry – jestem zafascynowana i jednocześnie trochę onieśmielona takim otoczeniem. Nawet kelner jest zabójczo przystojny; chodząc, zgrabnie kołysze biodrami.

– Gej – bezgłośnie mówi do mnie Polly za jego plecami. Kiwam głową, że niby rozumiem, zastanawiając się, jakim cudem mogła go tak szybko zidentyfikować.

Szef sali podchodzi do nas, by zapytać, czy wszystko w porządku, a Polly flirtuje z nim bez cienia wstydu, dogadując mu z powodu jego dziwnie ułożonych włosów. Przyglądam się zawstydzona, odwracam wzrok. Gdy mężczyzna odchodzi, Polly pochyla się do mnie podniecona.

– Ty, no gapił się na ciebie jak nie wiem! Nie zauważyłaś?

– Czego nie zauważyłam? – pytam zaskoczona.

– Eee, nic. Z czasem się nauczysz.

Jak to: gapił się? Po co? Ukradkiem spoglądam na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę stojącego przed restauracją. W moim odczuciu wygląda pospolicie, jak każdy inny goj. Z ich gładko ogolonymi policzkami i krótko przyciętymi włosami wszyscy wyglądają jak identyczni kosmici. Taki facet na pewno nie zainteresowałby się kimś takim jak ja, z tym moim żydowskim nosem. Tacy faceci interesują się kobietami takimi jak Polly.

Gdy przynoszą jedzenie, jest ono prześlicznie podane i wygląda piekielnie egzotycznie. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie złamać własnych reguł – w końcu

zjadam kawałek czegoś, co wygląda jak pastrami z indyka, ale Polly mówi, że to prosciutto, czyli wieprzowina. Przepraszam i wychodzę do łazienki, spodziewając się wymiotów – moje nauczycielki zawsze mówiły, że to właśnie się dzieje, jak ktoś zje *chazer*.

Żadnych sensacji w żołądku. W lustrze łazienki widzę siebie, w peruce i bluzce z długimi rękawami, i jestem niemal zaskoczona własnym obiciem – jakbym spodziewała się wyglądać z zewnątrz równie szykownie jak wszyscy inni goście restauracji. Ucisząc uczucie małości, które zaczęło rosnąć we mnie na widok własnego odbicia, odchodzę od zdradzieckiego lustra i idę z powrotem do restauracji, trzymając plecy wyprostowane aż do bólu. Wracam do stolika i próbuję innych potraw. Jem tak żarłocznie, jakbym wróciła z wojny. Spring rolls z jagnięciną, carpaccio wołowe, ceviche z łososia – ależ dziwne rzeczy jedzą ci goje! Nie rozumiem idei surowego mięsa albo ryby, ale i tak próbuję. Mówię Polly:

– To zabawne, większość chasydów, którzy schodzą ze ścieżki prawa, idzie tylko na burgera w McDonald’s. Ja tymczasem próbuję zakazanej kuchni dla smakoszy.

– I tak to się powinno robić – odpowiada Polly. – Jak już grzeszyć, to z biglem.

Podoba mi się jej stwierdzenie. To właśnie ja – elegancka buntowniczką. W drodze powrotnej zatrzymujemy się w sklepie z okularami słonecznymi. Kupuję parę w szylkretowych oprawkach, jakiegoś projektanta, o którym Polly mówi, że jest super. Gdy zakładam je i patrzę w lustro, wyglądam jak supermodelka.

Spoglądam na Polly i zastanawiam się, czy kiedyś będę miała tyle pewności siebie, co ona.

– Nie chcę dłużej być chasydką – oświadczam nagle po wyjściu ze sklepu.

– No to nie bądź – mówi Polly. – Nie musisz.

W głowie mi się jednak nie mieści, jak mogłabym być kimś innym. To jedyne życie, na jakie mi pozwolono. Nawet jeśli chciałabym zostawić to wszystko, jak znajdę inne, nowe życie, którym mogłabym zastąpić stare?

Im Icyk jest starszy, tym bardziej martwię się o jego przyszłość. Gdy skończy trzy lata, zacznie nosić pejsy i chodzić do chederu, szkoły, w której codziennie od dziewiątej do czwartej po południu chłopcy uczą się Tory. Nie jestem w stanie znieść myśli, że te loki i szal modlitewny, który będzie musiał nosić, mogą zniszczyć jego dziecięcą perfekcję. Nie jestem w stanie znieść, że nagle to mężczyźni będą mieć najważniejszy wpływ na jego życie, podczas gdy ja zostanę odsunięta na dalszy plan.

Jak mogę skazać swojego syna na życie w małości i ograniczeniu? Jak mogę pozwolić, by uwięziono go w chederze czy jesziwie na resztę dzieciństwa, podczas gdy ja korzystam z okazji, by poszerzyć własne horyzonty? Coś tu się nie zgadza. Nie mogę dłużej myśleć, że mogłabym go zostawić w tym ciasnym, dusznym życiu, gdy ja sama tak bardzo pragnę żyć swobodnie.

Jednak obydwójce jesteśmy w potrzasku. Nie mam dokąd pójść, nie mam środków na to, by zmienić tę sytuację. Zamiast uciec, prowadzę sekretne podwójne życie, ukrywając myśli i opinie zamknięte w tej części mózgu, którą zarezerwowałam dla swojej nowej, buntowniczej tożsamości.

Na zewnątrz przestrzegam koszeru, ubieram się skromnie, udaję, że szczerze mnie

obchodzi bycie pobożną chasydką. W środku pragnę wyrwać się ze wszelkich okowów, zburzyć wszystkie bariery, wzniesione po to, bym nie mogła zobaczyć, poznać, doświadczyć.

Moje życie to sekrety, z których największym jest moje prawdziwe „ja”, a priorytetem stało się skrywanie go przed Elim. Gdy byłam młodsza, spisywałam swoje przemyślenia w dzienniku, ale po wyjściu za mąż przestałam, bo martwiłam się, że Eli może go znaleźć i przeczytać – i w ten sposób mnie przejrzeć. Teraz skupiam się na tym, by nie zdradzić się ze swoimi nowymi odkryciami; nie chcę zostawić na widoku żadnych obciążających dowodów, które mogłyby zdradzić, jak wielka zmiana dojrzewa we mnie.

Tyle myśli kłębi się w mojej głowie, że pisanie staje się koniecznością. Decyduję się pisać anonimowy blog – mogę publikować notatki online, pisać osobisty pamiętnik w internecie. Bardzo pilnuję, żeby nie można mnie było wysledzić. Tytułuję blog „Chasydzka feministka”. Główną inspiracją dla niego są badania, jakie prowadzę w Sarah Lawrence: publikuję fragmenty zainspirowane feministycznymi lekturami na wykładach z filozofii oraz eseje napisane przy okazji zajęć z teatru i pisarstwa.

Pierwszy post, jaki zdecydowałam się napisać, był o problemach ze skonsumowaniem mojego małżeństwa. Nigdy szczerze się nikomu nie przyznałam, jak długo trwało moje dziewictwo po ślubie, tym bardziej nie wzięłabym pod uwagę możliwości zrobienia tego publicznie – ale tydzień wcześniej odbyłam rozmowę telefoniczną, za sprawą której zmieniłam zdanie. Zadzwoiła do mnie nieznajoma kobieta z Williamsburga. Powiedziała, że moja ciotka Chaja dała jej mój numer. Jej córka, która niedawno wyszła za mąż, od ośmiu miesięcy nie może skonsumować małżeństwa – i spytała, czy mogłabym coś doradzić.

Ta prośba mnie zaskoczyła, bo zawsze myślałam, że to ja jedna mam problem z seksualną sprawnością swojej pochwy – że jestem wybrykiem nie tylko w społeczności chasydzkiej, ale w ogóle. A tu proszę, jest matka zmartwiona tym, że córka nie jest sprawna seksualnie, na dodatek bez wyraźnego powodu – i starająca się za wszelką cenę znaleźć jakąś odpowiedź i pomoc. Dzielę się z nią wszystkimi poradami, jakie mi przychodzą do głowy – mimo że sama nie zaczęłam jeszcze rozumieć, dlaczego musiałam przejść przez to wszystko, co mnie spotkało.

Dziwnie jest publikować – oczywiście anonimowo – historię swojego niesprawnego organu w miejscu, gdzie każdy może ją przeczytać. Ledwo dodaję post, pojawia się deszcz komentarzy – większość z nich od osób takich jak ja: zbuntowanych chasydów, czasem byłych chasydów, nowych ortodoksów, a nawet nie-Żydów. Nie wiem, jak wszyscy ci czytelnicy odkryli mój mały blog, mój okruszek cyberprzestrzeni – ale najwyraźniej wszyscy mieli wiele do powiedzenia.

Niektórzy nie wierzyli. Nie mogli pojąć, jak dziewczyna może przejść przez pokwitanie, nie zauważając swojej waginy. Inni współczuli. Jeszcze inni opowiadali o podobnych doświadczeniach. Czytelnicy dyskutują między sobą, używając mojego bloga jako forum – a dla mnie obserwowanie tej wymiany zdań jest niesamowitym doświadczeniem. W pewien sposób daje mi to poczucie, że jestem w centrum czegoś wielkiego, a przy tym bezpieczna za ekranem komputera, gdzie nikt mnie nie widzi i nie może rozliczyć mnie z tego.

„Jak zatrzymasz dziecko?” – pytają czytelnicy. „Jeśli żyjesz w społeczności religijnej, mowy nie ma, żeby pozwolili ci zabrać dziecko z sobą” – mówią. W jednym z komentarzy czytam: „Jestem prawnikiem i wiem z całą pewnością, że czegoś takiego nigdy nie udało się zrobić”.

Ostrzegają, że żaden sąd rabinacki nie pozwoli mi zabrać z sobą syna. Choćbym nawet przestrzegąca wszystkich przepisów, i tak nigdy nie uznają mnie za wystarczająco pobożną, by być rodzicem dla swojego dziecka. Czytelnicy cytują przykłady, podają nazwiska kobiet, które próbowały – ale ich komentarze nie budzą we mnie strachu. Wiem, że jestem inna niż tamte kobiety, że mam coś, czego one nie miały. Nie wiem, jak ani kiedy to się stanie, ale pewnego dnia będę wolna, i Icek wraz ze mną. Będzie mógł pójść do prawdziwej szkoły i czytać książki bez obawy, że ktoś go nakryje. Podświadomie już zaczęłam się żegnać z ludźmi i rzeczami ze swojego życia, jakbym przygotowywała się na śmierć, mimo że nie mam żadnego planu. Czuję tylko w głębi serca, że nie jest mi przeznaczone zostać tutaj.

Po raz ostatni odwiedzam Bube i Zajde w marcu 2009 roku, w święto Purym. Ciągłe nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam naprawdę odejść, ale myślę, że na wypadek, gdybym to zrobiła, będzie mi łatwiej, jeśli przetnę więzy wcześniej niż później.

Dom, w którym dorastałam, obraca się w ruinę. Nie wiem, czy Bube i Zajde nie mają już pieniędzy, czy brak im energii, by dopilnować napraw, jakich wymaga utrzymanie takiego budynku. Smuci mnie, że pozwalają rozsypać się takiej pięknej kamienicy o bogatej historii. Jaki to znaczący zbieg okoliczności, że właśnie gdy fundamenty mojej wiary praktycznie wałają się w gruzy, fundamenty domu mojego dzieciństwa także się rozsypują. Przyjmuję to za kolejny znak, że już dawno temu weszłam na tę ścieżkę i że wytyczyła ją siła znacznie większa ode mnie. Bóg chce, bym odeszła. Wie, że nigdy nie byłam do tego przeznaczona.

Farba w korytarzu się łuszczy, linoleum na schodach w wielu miejscach kompletnie się przetarło. Bube chce sprzedać dom deweloperowi, który już złożył siedmiocyfrową ofertę, ale Zajde jest zbyt dumny, by zrezygnować z kontroli nad najlepszą inwestycją swojego życia. Zastanawia się, jak tu odwrócić sytuację na swoją korzyść.

Od razu widzę, że z wieloma rzeczami nie będę musiała się żegnać, bo przestały istnieć. Bube i Zajde mojego dzieciństwa postarzelili się strasznie. Bube nie ma już tej pełnej życia energii, którą miała kiedyś – chodzi powoli i z trudem, dezorientowana. Zajde jest jeszcze bardziej roztargniony, niż był, a gdy mówi, w jego głosie brak werwy i dawnej precyzji. Wszystko, co lubiłam w domu mojego dzieciństwa, obróciło się w perzynę.

Podczas uroczystego purymowego obiadu pojawia się mój ojciec – z przekrwionymi oczami, widać, że pijany. Widzi mnie i podchodzi do mnie. Przetykam ślinę, spodziewając się długiego powitania. On jednak przewraca się na mnie i zawisa w dziwnym niby-uścisku, opiera swoje ramię o moją szyję. Jest ciężki, a uścisk staje się coraz mocniejszy. Prawie mnie dusi, odór alkoholu jest tak gęsty, że ledwie mogę oddychać. To, że jest brudny, sprawia, że i ja czuję się brudna – umazana tym lepkiem brudem, którego nie sposób wyczyścić. Będę szczęśliwa, uwalniając się od obowiązków wobec niego. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego muszę odgrywać rolę córki dla człowieka,

który nie próbował być dla mnie ojcem.

Eli przygląda się całej scenie bez słowa. Ten jeden jedyny raz, gdy chciałabym, żeby zachował się jak mężczyzna – może chociaż odciągając uwagę ojca – zostawia mnie samą sobie. Potem patrzy na mnie z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami, ale pilnuję, by moja twarz nawet nie drgnęła.

Dziwnie jest przyglądać się stołowi – aż poskrzypuje pod ciężarem półmisek z wędzonym mięsem i karafek z winem – i wszystkim zgromadzonym przy nim ludziom, których nazywam rodziną. Ciotki, wujowie, cioteczne rodzeństwo i dalsi krewni już za rok mogą być jedynie mglistym wspomnieniem. Oczywiście jest, że moja obecność jest dla nich czymś naturalnym, że dziś nie różnię się od nich – wydana za męża, z dzieckiem na rękę i ciężką peruką na głowie. W gruncie rzeczy jestem związana z tym miejscem. Jednak prawdę mówiąc, wszystkie te pewniki są w umyśle – jeśli mój umysł nie da się spętać, jeśli moje marzenia się nie skurczą, żadne bariery nie zagwarantują, że poddam się bez hałasu.

Zastanawiam się, co o mnie powiedzą, gdy odejdę. Czy będą udawać, że są w szoku, czy też pokiwiają konspiracyjnie głowami i powiedzą, że od początku wiedzieli, że mam nierówno pod sufitem, bo czegoż więcej można się było spodziewać po takim dziecku jak ja, od urodzenia nadpsutym?

Kobiety studiujące na kursach dla dorosłych w Sarah Lawrence chodzą na lunch po zajęciach. W większości są białe, zamożne i po trzydziestce, mogą wydawać pieniądze na astronomicznej wysokości czesne i torebki od Prady. Ja jestem anomalią: dwudziestojednolatka z małym dzieckiem, która za każdym razem wciąga na siebie w samochodzie tę samą parę džinsów, podczas gdy jej włosy dopiero się przyzwyczajają do światła dziennego.

Jak się przekonuję, świecki świat jest równie materialistyczny jak mój. Pamiętam dziewczynę, z którą chodziłam do szkoły jako dziecko – nosiła buty od Ferragamo i garsonki od Ralphi Laurena, przerobione tak, by prezentowały się skromnie. Dziś łaknę takich samych symboli statusu jak wtedy, tyle że teraz rozumiem, co te symbole zapewniają: rodzaj szacunku, jakiego mnie świat jakoś nie okazuje.

Okazjonalnie, gdy mam czas, towarzyszę koleżankom z klasy w tych lunchach. Słucham cicho, jak opisują swoje życie: kosztowne wakacje, zmartwienia związane z prywatnymi szkołami, do których chodzą ich dzieci, narzekania na wysokie ceny karnetu na siłownię, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę tak uprzywilejowana, by mieć takie problemy: męża, który za długo pracuje, dom za wielki, żeby móc go utrzymać, lot do Europy, który jest wykańczający nawet pierwszą klasą.

Rzecz jasna ktoś taki jak ja nie ma przed sobą prawdziwej przyszłości. Jeśli odejdę i pozbędę się widocznej części chasydzkiej tożsamości, jakie życie mnie czeka jako nie-Żydówkę? Samotna matka, walcząca, by wychować dziecko w najdroższym mieście na świecie, bez wsparcia rodziny, bez męża, który wynosiłby śmieci, bez choćby dolara oszczędności przy duszy i nawet bez talonów z pomocy społecznej na jedzenie.

Obiecuję sobie teraz, że jeśli odejdę, nie zostanę kolejną rodziną żyjącą z pomocy społecznej, jak te kobiety ze świata, który opuszczam, wydające na świat więcej gąb, niż są w stanie wykarmić, wymieniające kupony WIC^[9] na gotówkę w Żydowskiej Unii

Kredytowej.

Polly, której blond włosy opadają teraz na opalone ramiona, zwierza mi się, że też wyrosła na pomocy społecznej, w biednej, zapuszczonej części stanu Utah, z matką, która została świadkiem Jehowy, i ojcem, który w dygocącej pięści zaciskał zwykle działkę koksu.

– Ty? – pytam z niedowierzaniem. – Wyglądasz na kogoś, kto ma wszystko, czego można chcieć.

– Dopiero jakieś siedem lat temu zaczęłam być taka – odpowiada Polly. – Po tym jak otworzyliśmy wytwórnię czekolady, jakby spadł na nas deszcz pomyślności. Ale zawsze wiedziałam, że nadejdzie mój czas. Tak długo czekałam na swój kawałek szczęścia, na swoją nagrodę, całymi latami przyglądając się innym, uprzywilejowanym ludziom, którzy pławili się w luksusie. W końcu to nastąpiło, ale czas, który musiałam przeczekać, wydawał mi się wiecznością.

Mam dopiero dwadzieścia parę lat. Kto wie, co może się zdarzyć w ciągu następnych dziesięciu? Nawet jeśli będę musiała przeżyć dekadę biedna i nieszczęśliwa, przynajmniej jest szansa, że i mnie przytrafi się taki cud, jaki przydarzył się Polly, która zasłużyła na szczęście. Czy naprawdę mogę się odwrócić plecami od takiej szansy?

– Musisz to sobie powtarzać – mówi rozsądnie blond piękność. – Ja przez lata wbrew wszystkim przeciwnościom wierzyłam, że kiedyś mnie to spotka. Do dziś budzę się co dzień z przekonaniem, że najlepsze jeszcze przede mną. Jeśli w to uwierzysz wbrew wszystkim przeszkodom, to się stanie. Tak działa kosmiczna potęga.

Mimo że Polly także odwróciła się od religii, ma jednak własny system wierzeń, którego się trzyma. Czy ktokolwiek może przetrwać bez wiary, jakkolwiek ją nazwiemy? Najwidoczniej bez względu na to, jak kto idzie przez życie, potrzebuje wiary, by przetrwać i by odnieść sukces.

W jakiej dziedzinie chciałabym odnieść sukces? Czy naprawdę chcę zrezygnować z siebie, by żyć tak jak te wszystkie kobiety? Czy te gospodynie domowe tak bardzo różnią się ode mnie? Z wyjątkiem oczywistych różnic – większe domy, lepsze ubrania – wydają się tkwić w potrzasku tak samo jak ja. Wszystkie poszłyśmy do Sarah Lawrence z tego samego powodu – by znaleźć drogę ku czemuś bardziej satysfakcjonującemu.

Mnie para dzinsów czy designerskie okulary nigdy nie dadzą poczucia spełnienia. Owszem, takie rzeczy są miłe, ale ja chcę coś osiągnąć, pozostawić po sobie w tym świecie jakiś ślad. Krater wielki jak góra, jak napisałam w aplikacji o przyjęcie na studia. Może zawsze z trudem będę wiązać koniec z końcem, ale życie w luksusie nigdy nie było moim celem. Jeśli luksus jest grzechem, jak to mawiał Zajde, to dlatego że prowadzi do wygodnictwa i lenistwa, rozmiękcza kości i osłabia umysł. I przede mną zdarzali się buntownicy. Gdy dorastałam, było paru takich, którzy otwarcie łamali przepisy i wszyscy o nich mówili. Gdzie jednak są ci buntownicy dzisiaj? Nikt nie wie. Odchodzą, by móc bywać w nocnych klubach, pić alkohol, używać narkotyków i robić, co chcą, bez ograniczeń, ale takie życie nie dostarcza *menuchas hanefesz*, wewnętrznego spokoju. Zajde zawsze mi mówił, że ten wewnętrzny spokój to najważniejsze, co człowiek może osiągnąć w życiu, że w nim tkwi tajemnica szczęśliwości. Nie wydaje mi się, by dziadek kiedykolwiek czuł, że osiągnął ten stan, ale może zbliżył się do niego. Jak powiadał, każdy

ma swoją drogę. Dokąd ja muszę wyruszyć, by znaleźć swój własny wewnętrzny spokój?

Zajde poświęcił życie dążeniu do *harchawas hadas*, rozszerzenia umysłu. Jakże ja mam rozszerzyć swój umysł w świecie tak ciasnym, na zewnątrz i wewnątrz?

Gdy wczesną wiosną 2009 roku Eli spędza tydzień w podróży, po raz pierwszy jestem sama w domu. Jeśli nie dam sobie rady przez tydzień, nie ma mowy, żebym mogła rozważać niezależne życie, więc staram się zebrać wszystkie siły, by mi się udało. Zawsze trochę się wstydziałam swoich lęków nocnych – gdy zapada ciemność, byle hałas czy trzask przyprawia mnie o szcęknięcie zębami i leżę, nie śpiąc aż do świtu, tuląc się do kołdry.

Część mnie myśli, że z powodu tych lęków sobie nie poradzę. Jestem przekonana, że jako kobieta jestem krucha i zawsze będę potrzebować, by ktoś się mną opiekował, zwłaszcza dlatego że mam dziecko. Zastanawiam się: jak zajmę się synem bez nikogo do pomocy, jeśli zachoruję? Czy na serio jestem skłonna poświęcić bezpieczeństwo, jakie mam teraz, tylko w imię wolności?

Jednak już w szabasowe popołudnie, kiedy siedzę na trawniku w otoczeniu sąsiadek i słucham bezsensownych plotek, przypomina mi się, jak ziejącą dziurą jest moje życie, jak wielki głód strawi mnie od środka, jeśli go nie zaspokoję. Wydaje mi się, że wolę być samotna i przestraszona niż znudzona. Że także i kosmos o tym wie. Myślę, że zostałam stworzona do czegoś innego niż to tutaj.

Ostatnio przesiaduję godzinami między bibliotecznymi regałami i myślę o swojej przyszłości. Patrzę na książki poustawiane na półkach, wspominając, jak będąc dzieckiem, tęskniłam za przywilejem czytania, ile ryzykowałam, by zdobyć wiedzę, jak radość lektury zawsze była ważniejsza niż strach. Kiedyś zachwycało mnie, że ci autorzy uważali, że mają niezbywalne prawo mówić, co myślą, w każdy sposób, jaki uznają za odpowiedni – że wolno im przelewać na papier najbardziej intymne myśli. Dla mnie nie było dnia, w którym nie czułabym potrzeby zachowania tajemnic.

Jestem taka zmęczona wstydem siebie swojego prawdziwego ja. Jestem wyczerpana tymi latami spędzonymi na udawaniu pobożnej i upominaniu samej siebie za odwrócenie się od wiary. Chcę być wolna – nie tylko fizycznie, ale w każdy inny sposób. Chcę mieć wolność, która pozwoli zdefiniować, kim naprawdę jestem, i zaprezentować światu moje prawdziwe oblicze. Chcę znaleźć się na bibliotecznej półce obok innych autorów, dla których prawda jest wrodzonym prawem.

Polly wysyła mojego bloga wszystkim znajomym pracującym w wydawnictwach, a ja czuję determinację, by spróbować każdego kontaktu. Dostałam już e-mail od agenta literackiego; jestem przytłoczona ogromem tej szansy i przerażona tym, że może się ulotnić. Jak mogę udowodnić, że warto mnie publikować?

Jadę na Manhattan, by spotkać się z Patricią, której biuro znajduje się przy eleganckiej ulicy na Upper East Side. W samochodzie zdejmuję długą, czarną spódnicę z dzianiny i odsłaniam nowe spodnie, kupione w The Limited. Pod swetrem z długimi rękawami mam jedwabną bluzkę z krótkimi, w malutkie kwiatuszki. Gdy wysiadam z samochodu i odbieram kwit od parkingowego, czuję, jak chłodna, miękka tkanina spodni opływa moje łydki, okrywając czarne pantofle na szpilkach. Moje obcasy stukają głośno i pewnie na chodniku, mój krok wydaje się długi i swobodny, kiedy chodzę

w spodniach. Patrę na swoje odbicie w oknach wystawowych na Madison Avenue: wyglądam w nim na niemożliwie wysoką i pełną siły. W niemodnej spódnicy nigdy tak się nie prezentuję.

Na rogu ulicy, na której miałyśmy się spotkać, widzę już Polly rozmawiającą ze szczupłą brunetką przy stoliku na zewnątrz kawiarni. Podchodzę i mówię dzień dobry. Polly jak zwykle wita mnie z entuzjazmem, ale Patricia sprawia wrażenie, jakby nie miała pojęcia, kim jestem. Po chwili dociera do niej, że naprawdę jestem tą chasydką poszukującą agenta literackiego – i otwiera usta z wrażenia.

– Zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałam – mówi, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. – Wyglądasz tak efektownie!

– Cóż, to wina Polly. Sprowadziła mnie na złą drogę. – Uśmiecham się, w cichości ducha zachwycona, że Patricia potwierdza, iż mogę wpasować się tutaj, że wyglądam jak wszyscy inni. Z radością myślę że tu, na Upper East Side, wreszcie wiem, jak to jest nie wyróżniać się, tak jak zawsze się wyróżniałam.

Polly wyciąga rękę w stronę moich włosów i trzyma ją przez chwilę tuż nad nimi.

– Masz na głowie perukę? – pyta przyciszonym głosem. – Nigdy nie wiem.

– Nie, to moje prawdziwe włosy. – Śmieję się. – Peruka została w samochodzie. – Bawi mnie, że Polly nie potrafi odgadnąć; peruka jest gęsta i z lokami, a moje prawdziwe włosy są delikatne i proste.

– Jesteście jak Betty i Veronica – mówi Patricia, uśmiechając się do nas obu.

– A kto to? – pytam naiwnie.

– Mój Boże, nie wiesz nawet, kto to są Betty i Veronica? Z Archie Comics?^[10] – pyta Polly. Mimo że od naszego poznania upłynęło trochę czasu, wciąż nie dowierza, gdy kompletnie nie łąpię odniesień kulturowych.

Patricia mówi, że kolejny krok to przygotowanie oferty wydawniczej. To jak tekst promocyjny, który ma zareklamować moją książkę. Taka oferta ma sprzedać pomysł. Jeśli wydawca podchwyci go, ja napiszę książkę. Wracam do domu z postanowieniem spędzenia każdej wolnej chwili na pracy nad ofertą. Przygotowanie dobrej oferty może zająć nawet rok, a minimum trzy miesiące – ja jednak postanawiam, że przygotuję najszybciej napisaną ofertę w historii. Jeśli ta książka to mój bilet ku wolności, chcę go dostać tak szybko, jak to tylko możliwe. Za bardzo wyrosłam z mego starego świata, by móc tam powrócić.

Ósmego września 2009 roku zostaję do późna w kampusie Sarah Lawrence, spędzając czas z koleżankami. Perspektywa porzucenia dotychczasowego życia dodaje mi energii. Wprawilam w ruch co trzeba, teraz muszę tylko zrobić pierwszy krok. Wiem, że stanie się to niedługo. Mogę czekać już tylko na to, by Eli przebrał miarękę, a może na jakiś znak – lecz jeśli tak, to od kogo? Z drugiej strony to idiotyczne, że bym uważała się za tę dziewczynę z Williamsburga, dla której wszystko jest duchowym przesłaniem.

W tym rozchwianiu decyduję się wysepić od kogoś pierwszego w życiu papierosa. Bardzo się staram powstrzymać kaszel, bo wiem, że nowicjusze tak właśnie reagują, a ja chcę uchodzić za bywałą w świecie i naturalną. Wciągam więc w usta odrobinę dymu i trzymam tak przez sekundę, zanim wypuszczę cienką smużkę – więc dym nawet nie dociera do płuc.

Stoję tak przed biblioteką uniwersytecką, z papierosem dyndającym nonszalancko pomiędzy dwoma palcami, i przyglądam się przechodzącym ludziom, spieszącym w różne strony. Ich krok jest tak pełen determinacji, że aż im zazdroszczę. Też chcę chodzić z taką świadomością celu w każdej chwili. Chcę patrzeć w przyszłość z takim samym poczuciem pewności i przekonaniem, że mam do niej prawo, jak te kobiety i mężczyźni, którzy spoglądają w moją stronę, ale nigdy nie patrzą mi wprost w oczy.

Mam na sobie dzinsy i sweter w serek, długie, proste włosy ześlizgują mi się z ramienia i zwisają z boku jak szeroka, ciemna wstążka. Muszę wyglądać dokładnie tak samo jak inni tutaj. Wreszcie mam to błogosławione poczucie anonimowości, przynależności – czy to nie to samo? Czy ktokolwiek potrafi mnie przejrzeć i dostrzec nerwową radość, skrytą pod nonszalancką pozą?

Jestem taka szczęśliwa, że mogę być częścią tego miejsca! Chce mi się krzyczeć do ogromnych, strzelistych dębów strzegących wejścia do kampusu. Chcę się kręcić jak bączek z rękami w górze i brykać po trawniku. Nigdy więcej nie będę tą zawstydzoną dziewczyną w peruce i spódnicy, boleśnie niepewną siebie. Będę normalna, tak normalna, że nikt się nigdy nie domyśli. Zapomnę o tym, że byłam inna.

Powrót do Airmont zajmuje mi godzinę, więc wyjeżdżam, zanim poczuję się zbyt zmęczona. Szosy są ciemne i puste. Wrzucam do odtwarzacza płytę ze składanką, którą dostałam od znajomej ze szkoły. The Pierces grają cicho, gdy zjeżdżam z mostu Tappan Zee i skręcam na autostradę stanową. Nagle słyszę głośne puknięcie i zanim zdolałam się rozejrzeć, tracę panowanie nad kręcącym się szaleńczo samochodem. Od strony szosy słyszę pełne protestu popiskiwanie, a samochód wiruje tak szybko, że nocne kolory rozmazują się na przedniej szybie. Trzymam się kurczowo kierownicy, napinając oparte o nią ramiona. Widzę, jak przednia szyba rozbija się spektakularnie przy zderzeniu, gdy samochód uderza w barierkę i przewraca się niezgrabnie. Każde uderzenie powoduje nowy impuls bólu przenikający moje naprężone ciało. W ostatnich kilku sekundach uświadamiam sobie, że umrę, i myślę, że to świetny moment, by zakończyć życie: umrzeć, stojąc na progu wolności. Bóg jednak istnieje i teraz mnie ukarze. To ostatnia myśl, jaka przebiega mi przez głowę, zanim wszystko ogarnia ciemność.

Budzę się i zajmuje mi chwilę, zanim sobie uświadamiam, że wiszę głową w dół i dotykam nią betonu. Samochód jest zmiażdżony, więc nie mogę otworzyć drzwi. Przy drzwiach od strony pasażera leżą rozsypane odłamki rozbitej szyby. Powoli odpinam pasy i zaczynam macać ręką w poszukiwaniu torebki. W miarę jak wzrok przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam, że zawartość torebki się rozsypała, a w moim blackberry odpadła kulka do sterowania. Staram się wykombinować, jak obsługiwać telefon bez niej, ale jestem w zbyt wielkim szoku, bym mogła zadzwonić. Nagle uświadamiam sobie, że jeśli zostanę w samochodzie dłużej, auto może wybuchnąć, muszę się stąd wydostać. O północy na drodze panuje cisza, od czasu do czasu słychać tylko szum pędzącego samochodu. Nikt się nie zatrzymuje. Łapię portfel, telefon i kluczyki i powoli zaczynam się wyczołgiwać z samochodu. Pełznąć na brzuchu w ciemności, czuję, jak potłuczone szkło kaleczy mi dłonie i kolana. Gdy wreszcie wywlekam całe ciało na chodnik zasłany odłamkami z rozbitego samochodu, oklepuję się, jakby upewniając, że jestem cała i zdrowa. „Nic mi nie jest – powtarzam sobie raz za razem, próbując dodać sobie otuchy. –

Nic mi nie jest”. A potem, pytająco: „Czy na pewno nic mi nie jest?”. Nie mogę przestać powtarzać. Po kilku minutach ktoś mnie zauważa, opartą o barierkę, i się zatrzymuje.

Policja pyta, czy piłam, a ja śmieję się histerycznie, bo zawsze miałam słabą głowę – oni jednak myślą, że chichoczę, bo jestem pijana, i traktują mnie opryskliwie. Wszystko mnie strasznie boli, ale nie mogę się skupić na ich pytaniach głównie dlatego, że zastanawiam się, dlaczego żyję. Dlaczego przydarzył mi się ten wypadek, skoro nie było mi pisane w nim zginąć?

Przyglądam się z drogi, jak odholowują zgnieciony wrak samochodu. Obserwowanie, jak znika, to jak żegnanie się z własnym, pobijanym ciałem. Spoglądam na siebie: moja skóra wydaje się całkiem nowiutka, jakby zdarto starą, a nowa odrosła na jej miejscu. Moje nowe bioniczne członki jakimś cudem zostały nietknięte po wypadku, który powinien był złamać mnie na pół.

W drodze do szpitala nie mogę myśleć o niczym innym. Wypełnia mnie pałaca dezorientacja. Nie rozumiem, co to znaczy. Czemu coś takiego przydarza mi się zaledwie parę dni przed momentem, w którym miałam na dobre rozstać się z przeszłością? To miałoby sens tylko wtedy, gdyby wypadek miał mi uniemożliwić zrobienie tego, co postanowiłam. Czy powinno mnie to przestraszyć tak, bym posłusznie się wycofała? Spoglądam na swoje ciało i nadziwić się nie mogę jego zdolności przetrwania czegoś tak przerażającego. Zatrzymuję wzrok na własnych członkach, jak gdyby w moich żyłach krążyła magiczna krew. Jakież to nieprawdopodobne, żyć, kiedy powinno się być umrzeć.

Wypadek wydarzył się z wybiciem północy, gdy data zmieniała się na 09.09.09. Dziewiątka – tak mi powiedział kabalista. Dziewięć, liczba śmierci i odrodzenia, końca i początku – to miał być znak, na który powinnam mieć baczenie. Pewnie zawsze będę postrzegać ten dzień jako moment, który rozdzielił moje życie na dwie części.

Gdy Eli przychodzi odwiedzić mnie w szpitalu, jestem na niego wściekła. Od dawna mi mówił, że opony w samochodzie są za cienkie, ale nie zgadzał się na ich wymianę. Twierdził, że go na to nie stać.

– Ale na to, by mnie stracić, to cię stać? – pytam gorzko. – Icyk mógł być w tym aucie.

Eli nie ma jednak najmniejszych wyrzutów sumienia. Odmawia przyjęcia odpowiedzialności za wypadek. Nie chcę go więcej oglądać na oczy. Mówię mu, żeby wracał do domu, że zadzwonię po przyjaciółkę, żeby ze mną była. Nie chcę go więcej widzieć.

Czy w takim razie to mógł być znak boski? To oderwanie się od przeszłości, którego pragnęłam, wyraźne oddzielenie starego życia od nowego? Być może fakt, że żyję, jest cudem, na który czekałam, wiedząc, że kiedyś mnie spotka. Dopiero teraz, gdy przeszłam przez najgorsze, naprawdę mogę się czuć niezwykła. Nie będę dłużej zdenerwowana ani niepewna. Nie mam przeszłości, do której pragnęłabym przylec – ostatnie dwadzieścia trzy lata należały do kogoś innego, kogoś, kogo już nie znam.

Nazajutrz podpisuję kontrakt na spisanie wspomnień osoby, która już nie istnieje, kogoś, kogo będę chciała uczcić w tym ostatnim geście przypomnienia. Moje dwie tożsamości wreszcie się rozdzieliły. Zabiłam tę drugą, zamordowałam ją brutalnie, ale

miałam prawo. Ta książka to będzie jej ostatnie słowo.

Zanim na dobre opuszczę Airmont, Eli i ja idziemy do religijnego doradcy rodzinnego, by zobaczyć, co możemy zrobić z naszym małżeństwem – czy raczej z tym, co z niego zostało. Eli uważa, że odwiedzając doradcę, pokazuje mi wreszcie, że zależy mu na poprawie stosunków między nami, ale jest za późno. W głębi serca już wiem, że więcej nie wrócę.

Mimo to robię, czego ode mnie oczekuje. Opowiadam doradcy o pierwszym roku naszego małżeństwa i o tym, jak Eli mnie porzucił, bo nie mogłam odbyć stosunku, i jak nigdy nie stanął w mojej obronie, gdy jego rodzina mnie źle traktowała. Mówię, że nigdy nie będę w stanie mu tego wybaczyć.

Doradca, który był jedynie rabinem, a nie terapeutą, powiedział Eliemu, że powinniśmy iść do specjalisty.

– Wasze problemy to więcej niż zwyczajne, powierzchowne konflikty, które zdarzają się w małżeństwach – mówi rabbi. – Wy nie kłóćcie się o to, kto ma wynieść śmieci albo kto nie okazuje dość miłości. Nie wiem, jak pomóc wam przewyciężyć coś takiego. To poważny problem.

Potem Eli zwraca się do mnie i mówi:

– Powinniśmy się po prostu rozwieść, no nie? Mało prawdopodobne, żeby to kiedykolwiek miało działać.

Wzruszam ramionami.

– Możemy wziąć rozwód, jeśli tak chcesz.

Wypożyczam maleńką białą kię i upakowuję w nią tyle rzeczy, ile tylko się zmieści. Siedzam w foteliku samochodowym i zauważam, że spogląda dokoła na pudła i worki na śmieci, które poupychałam w każdą wolną przestrzeń. Nic nie mówi, wkłada tylko kciuk do ust i zasypia, gdy tylko wyjedziemy na autostradę. Kiedy utykamy w korku na Tappan Zee, kurczowo chwytam kierownicę i w jednej chwili odżywa we mnie wspomnienie wypadku sprzed ledwie paru dni.

Zanoszę swój pierścionek z brylantem i niektóre ze starych prezentów ślubnych do jubilera w Westchester, który daje mi za nie górę banknotów. Przyglądam się, jak pakuje do torebek ostatnich pięć lat mojego życia, jakbym miała kiedyś po nie wrócić, i pytam, co z nimi robi.

– Prawdopodobnie przetopimy – odpowiada.

Oddycham z ulgą. Myśl, że te przedmioty nie pojawią się na czyimś nadgarstku czy szyi, że znikną na zawsze, sprawia mi radość. W ogóle nie powinnam ich była mieć.

Na początku trochę mi smutno z powodu niektórych rzeczy, które muszę zostawić. Łatwo było się rozstać z biżuterią, ale dużo trudniej jest zapomnieć o naczyniach i pościeli, które z takim zaangażowaniem wybierałam pięć lat temu, o przyjaźniach, nad zbudowaniem których tak się napracowałam, o całej dalszej rodzinie, której częścią niegdyś byłam. To dziwne i nowe, gdy trzeba nagle radzić sobie, mając tak niewiele. Cicha panika ogarnia mnie na myśl, że posiadam ledwie parę rzeczy, które trzymają mnie w miejscu. Poczucie braku korzeni wrzyna się w moje mięśnie jak wyczerpanie następujące po intensywnym ćwiczeniu. Tęsknię za uczuciem przywiązania do czegoś. Dryfowanie bez celu i bez balastu rozpała w mojej duszy ogień czystego przerażenia.

Po tym, jak odeszłam, zmieniłam numer telefonu i nie podałam nikomu nowego adresu. Nie mogłam ryzykować, że mnie wytropią. Potrzebowałam trochę czasu dla siebie – by się urządzić, by poczuć stabilizację. Jednak pierwsze, co zauważyłam, to to, że w tym nowym miejscu nawiązała się bliskość między mną a Ickiem. Musimy poznać siebie nawzajem, w tym obcym świecie, w którym nie znamy nikogo więcej. Czuję, jakby nie pozwalano mi naprawdę być matką, aż do teraz, gdy nikt nie wtrąca się w relację pomiędzy mną a synem.

Pierwsze, co robię, to uczę Icka angielskiego. Czytamy razem książki i oglądamy *Ulicę Sezamkową*. Szybko się uczy i jestem wdzięczna, że mogę to dla niego zrobić, gdy wciąż jest na tyle mały, by łatwo się przystosować. Strach mnie ogarnia na myśl, co by mnie czekało, gdybym była zmuszona zostać dłużej. W kilka tygodni Icyk staje się całkiem inną osobą, mówi czarującą dziecinną angielszczyzną. Śpimy w podwójnym łóżku, które kupiłam po odejściu, a przed zaśnięciem prowadzimy urocze rozmowy. On martwi się o mnie – domyślam się po tym, jak obsypuje mnie spontanicznymi komplementami.

– Masz ładne włosy – mówi, zauważając, że teraz noszę je odkryte.

Wiem, że wysiłek, jaki wkłada w to, by pomóc mi czuć się dobrze, wynika ze zrozumienia, że przechodzę przez coś trudnego. Świadomość, że o tym wie, łamie mi serce. Myślę, że jest za mały, by być tak spostrzegawczy i tak się martwić naszą sytuacją.

Icyk nie zapytał jeszcze o tatę. Raz tylko, zjechawszy radośnie ze zjeżdżalni na placu zabaw, spojrzął na mnie z zainteresowaniem i zapytał poważnie:

– Ty i tatuś już się nie kłóćcie, prawda?

– Nie, już nie – mówię z uśmiechem. – Mamusia jest teraz szczęśliwa. A ty?

Icyk szybko potakuje skinieniem głowy i biegnie przyłączyć się do innych dzieci bawiących się na drabinkach. Nowa, pozbawiona pejsów fryzura sprawia, że Icyk wygląda jak każde inne amerykańskie dziecko. Czuję głęboką satysfakcję, patrząc, jak dobrze się dopasował, i wiedząc, że mój syn może czuć się swobodnie w relacjach z innymi ludźmi – coś, czego ja nigdy nie miałam.

To wstyd sprawiał, że przez pierwszy rok trzymałam się tak daleko od Williamsburga, jak tylko mogłam. Za każdym razem, gdy zauważyłam znajomy chasydzki strój po drugiej stronie ruchliwej ulicy, aż mnie skręcało w środku, jakby mnie ktoś obcy zauważył. Nie mogłam znieść wspomnienia przeszłości. Szybko odkryłam, co naprawdę myślą o chasydach ludzie z zewnątrz, którzy mieli z nimi do czynienia: różne osoby wprost mówiły mi, że chasydzi są natrętni, niegrzeczni, niehigieniczni – nie przypuszczając nawet, że mogę wziąć taką krytykę do siebie. Byłam zbyt przestraszona, by przyznać się przed kimkolwiek, skąd przyszłam. Prawda ostatecznie zawsze wychodziła na jaw, a momentowi, w którym to następowało, zawsze towarzyszyła panika.

Mija bardzo dużo czasu, zanim wstyd osłabnie. Co zaskakujące, pod nim kryje się duma. Gdy wreszcie powróciłam na Williamsburg jako ta nowa osoba, owinęłam się szalem i założyłam ciemne okulary, by mnie nie rozpoznano, ale spacerowałam po obrzeżach swojej dawnej dzielnicy pełna zadziwienia, jak bardzo odległe wydaje mi się miejsce, które kiedyś było jedynym domem, jaki miałam. Gdy wreszcie spojrziałam na

swoje dawne życie z dystansu, nagle przeszłość wydała mi się niezwykle kolorowa i egzotyczna. To, co kiedyś zdawało się najbardziej nieznośną wizją monotonnej codzienności, przeobraziło się w bogatą i tajemniczą historię. Przez całe dzieciństwo marzyłam o podmiejskiej scenerii stereotypowego amerykańskiego wychowania, bo nic nie było bardziej odległe i obce w owym czasie. Później jednak odkryłam, że amerykańskie dziewczęta, którym zazdrościłam, przez całą młodość pragnęły czegoś innego, unikalnego, doświadczeń, które zdefiniowałyby je jako odmienne – i że walka o znalezienie takich doświadczeń była dla nich nieskończenie frustrująca. Te dziewczyny spoglądają na mnie z jakąś zazdrością, bo pomimo wszystkich trudności moje życie naznaczyło mnie tatuażem odmienności i wyjątkowości, którego nijak nie da się usunąć.

To właśnie przechodząc przez niedawno odnowioną Kent Avenue, pomyślałam sobie, jak zgrabnie odwróciły się role. Krajobraz mego dzieciństwa zmienił się drastycznie. Zamiast zaniedbanych magazynów, stoją tam apartamentowce z połyskliwego szkła, hipsterzy w obcisłych dżinsach pochylali się nad kierownicami rowerów przemykających obok. Uświadomiłam sobie, że wszystkie marzenia mego dzieciństwa się spełniły. Kiedyś stałam tu, na brzegu rzeki, pragnąc przenieść się na jej drugą stronę. Długo pragnęłam wkupić się w ten świat zawrotnych wysokości i zapierającego dech w piersiach blasku i odrzucić jakąkolwiek więź z Brooklynem. Wciąż nie lubię odwiedzać Brooklynu, żadnej jego części, z tego właśnie powodu. Jeśli spędzam tam zbyt wiele czasu, zaczynam czuć się jak w potrzasku. Przyjeżdżam jednak, ciągnie mnie tam dreszcz emocji związany z rozkosznym wspomnieniem i satysfakcją, gdy pomyślę, że tak nieprawdopodobne zakończenie mojej opowieści czyni ją tym bardziej cudowną i baśniową. Sam Roald Dahl nie wymyśliłby tak fantastycznej podróży. Uwolniłam się od swojej przeszłości, ale nie pozbyłam się jej. Doceniam chwile i doświadczenia, które mnie ukształtowały. Ta opowieść to moje życie.

Któraż dwudziestoczteroletnia dziewczyna może powiedzieć sobie, że wszystkie jej marzenia się spełniły? Czegoż więcej mogłabym pragnąć od życia? Są dni, gdy przepelnia mnie poczucie przeogromnej wdzięczności, że zaszłam tak daleko, dalej, niż spodziewałam się w najśmielszych oczekiwaniach. Jakkolwiek ekscytacja próbowaniem nowych rzeczy blednie, w miarę jak się je powtarza, entuzjazm płynący z bycia wolną nie przestaje mnie satysfakcjonować. Za każdym razem, gdy tego doświadczam, czuję nową radość sączącą się przez moje ciało jak syrop. Nie chcę nigdy utracić choćby odrobiny tego cudownego uczucia.



Epilog

Gdy ta książka została opublikowana po raz pierwszy w lutym 2012 roku, wywołała falę oburzenia wśród ultraortodoksyjnych Żydów. Chasydzi publikowali gniewne filipiki i oskarżali mnie o kłamstwo na stronach i forach internetowych stworzonych po to, by mnie zdyskredytować. Przywódcy religijni deklarowali, że przez publiczne pranie rodzinnych brudów przyniosłam wstyd całej światowej społeczności żydowskiej. Jeden z artykułów w chasydzkiej gazecie porównywał mnie do Josepha Goebbelsa i ostrzegał, że mogę być katalizatorem kolejnego Holokaustu. Nazywano mnie następną wielką antysemitką; wiele razy sugerowano, że umawiam się z Melem Gibsonem.

Niewielu z moich krytyków czytało książkę, ale jej zawartość nie miała dla nich aż takiego znaczenia, istotniejsze było, że jestem kobietą, która ośmieliła się otwarcie wypowiadać. Skąd tyle złości? Czy naprawdę wywołałam tyle strachu, publikując swoją historię? Rzeczywiście, należę do nielicznych pionierów, którzy unieśli zasłonę skrywającą bardzo zamkniętą żydowską sektę. Jej członkowie mają wiele powodów, by ukrywać prawdę o swoim stylu życia, a istnienie tej społeczności to niewygodny fakt, o którym wielu Żydów wolałoby zapomnieć. Przyznaję, nie mam zamiaru przeproszać za to, że wystąpiłam na forum. Gdy kontrowersje przycichną, po nich nieuchronnie przyjdzie dyskusja – a ja zawsze miałam nadzieję, że taki dialog mógłby wywołać reformy i zmiany w fundamentalistycznej kulturze żydowskiej. Głęboko mnie obchodzą prawa kobiet i dzieci. Jestem bardzo świadoma, jak prawa te mogą być łamane w społeczności, w której się wychowałam. Jestem przekonana, że zainicjowanie zmian w tych radykalnych grupach służy interesom społeczeństwa, które je wspiera.

Dlaczego zdecydowałam się przerwać milczenie? Ktoś musiał to zrobić i wypadło na mnie. Mimo że w pierwszym odruchu chciałam zachować przeszłość w tajemnicy, cieszę się, że opublikowałam swoją historię. Nie muszę się więcej zmagać ze wstydem i lękiem wynikającym z bycia ekschasydką. Opowiedzenie swojej historii dodało mi sił. To fantastyczne uczucie przyznać, jak było, i wiedzieć, że może będzie to inspiracja dla innych. Cudownie było patrzeć, jak po publikacji tej książki zaczęły się wypowiadać inne buntowniczkę – jedne pisały wnikliwe artykuły o reformie edukacji, drugie zgadzały się na wywiady na temat złego traktowania, którego doświadczyły. Ich wysiłki mnie zachęciły, choć wiem, że to dopiero początek.

Kiedy wciąż byłam chasydką, nasłuchiwałam się historii o kobietach, które opuściły społeczności religijne i straciły prawa rodzicielskie w sądowych walkach o prawo do opieki nad dziećmi. Gdy zdecydowałam się odejść, wiedziałam, że nie pozwolę, by mnie to spotkało. Dziekan wydziału prawa na Uniwersytecie Columbia powiedział mi, że moje szanse są w najlepszym razie małe, a najprawdopodobniej żadne. Choć szefowa kobiecego klubu Izby Adwokackiej zgodziła się mnie reprezentować, nawet ona nie była pewna wygranej. A jednak połączenie starannego planowania, ryzykownej strategii prawnej oraz pełnego pasji wykorzystania medialnego rozgłosu zaowocowało dla mnie otrzymaniem tak świeckiego, jak i religijnego rozwodu oraz prawa do opieki nad synem. Tak się składa, że mój rozwód orzeczono w dzień przed świętem Paschy 2012 roku.

Poszłam na seder, by świętować nie tylko wyzwolenie narodu żydowskiego z niewoli, ale i moje własne. W wieku lat dwudziestu pięciu, dwa lata po odejściu, dwa lata po tym, jak skończyłam spisywać swoje wspomnienia – wreszcie byłam wolna.

Jak zbudować nowe życie od zera? Nie miałam nic. Moja promotorka z Sarah Lawrence powiedziała mi, że rozwód to najkrótsza droga do ubóstwa. Zapytała mnie, czy jestem gotowa zrobić tak olbrzymi skok w przerażający i nieznany świat samotnego macierzyństwa, nie mając żadnego wsparcia. Słusznie zadała to pytanie: gdy odchodziłam, traciłam na zawsze swoją rodzinę i społeczność. Co prawda wcześniej zdarzały się przypadki opuszczenia chasydzkiej wspólnoty, odchodzili głównie mężczyźni, wysadzeni z siodła przez dzieci. Tych drażniła moja potrzeba znalezienia drogi dokądś raczej niż donikąd. Ich samych interesowało tylko przyjemne życie.

Nie miałam żadnego doświadczenia zawodowego, a przynajmniej nie takie, które by coś znaczyło. Nie miałam dyplomu. Musiałam znaleźć równowagę pomiędzy zdobywaniem edukacji, wychowywaniem syna i zarabianiem na wszystko a nauką, jak się poruszać w tym obcym świecie. Szukałam nowego miejsca, w które mogłabym się wpasować, ale nie byłam jeszcze gotowa zamienić opresyjną przeszłość na równie opresyjną przyszłość. Podróżowałam po Ameryce, starając się dowiedzieć więcej o kraju, w którym się urodziłam, i o krajobrazach, których nigdy nie widziałam. Szukałam społeczności, w której byłabym rozumiana i akceptowana. W końcu wróciłam do Nowego Jorku i odkryłam, że to miasto jest moim prawdziwym domem bardziej niż jakiegokolwiek inne.

Cena za opuszczenie religii, wspólnoty i rodziny jest wysoka. Musiałam nauczyć się odnajdywać spokój nawet w obliczu nienawiści i obelg, którymi obrzucała mnie moja dawna społeczność. Oparcie znalazłam ostatecznie w tych samych zasobach, do których zwracałam się jako dziecko: czytałam książki. Opisywane w nich historie były jak powiewy wiatru pozwalające przeżeglować przez ten burzliwy czas. Znalazłam nowych przyjaciół i rodzinę, którzy zastąpili mi to, co utraciłam. Teraz czuję, że mnie kochają i troszczą się o mnie bardziej, niż kiedykolwiek myślałam, że można. Wciąż czuję się Żydówką, bo to moje dziedzictwo kulturowe – ale moja duchowość w żaden sposób nie czerpie z judaizmu. Staram się, by mój syn miał czyste konto, nie chcę, by moje doświadczenia zabarwiły jego osąd. Kiedy patrzę, jak odkrywa świat bez lęku i daleko od chaosu, zachwyca mnie, że Icyk ma dzieciństwo, o jakim ja zawsze marzyłam. Jeśli jako dorosły postanowi zostać rabinem lub badaczem Talmudu, będę pewna, że judaizm będzie jego osobistym wyborem, a to zmienia wszystko. Na razie oboje cieszymy się niezależnością i elastycznością.

Choć pierwsze lata wolności były trudne – ciągle mnie skręca na wspomnienie różnych niezręcznych momentów – przekonałam się, że mam zdolności niezbędne do poruszania się w świeckim społeczeństwie. Odnalazłam swoje miejsce w świecie, na przekór wszystkiemu. Panorama Manhattanu, na którą kiedyś patrzyłam tak tęsknie, stała się moim prawdziwym domem. Pytają mnie, czy znalazłam szczęście – ale to, co znalazłam, jest nawet lepsze: autentyczność. Jestem wreszcie wolna i mogę być sobą, a to fantastyczne uczucie.

Mam nadzieję, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, że jeśli ktokolwiek zmusza

was do bycia kimś, kim nie jesteście, znajdziecie dość odwagi, by głośno zaprotestować.

Podziękowania

Ta książka jest wynikiem wysiłku licznych osób, a ja jestem tylko jedną z wielu. Nie stałabym się pisarką, jaką jestem dzisiaj, gdyby nie moja agentka i mentorka, Patricia van der Leun, której rady zawsze sprowadzały mnie na właściwą drogę. Jestem wdzięczna mojej wydawczyni Sarah Knight, która uznała mój rękopis za wart przeczytania. Jestem pod wrażeniem pracy całego zespołu wydawnictwa Simon & Schuster, który poświęcił wiele czasu, by pomóc mi uczynić tę książkę najlepszą, jaką mogła być. Dziękuję Molly Lindley, której winna jestem dożywotnią wdzięcznością za jej poświęcenie i efektywność: rozsupłała pogmatwane wątki dla mnie, autorki swojej pierwszej książki, szukającej swojej drogi w ciemności. Dziękuję Brianowi, Kate i Jessice za entuzjazm i cierpliwość. Dziękuję Nancy Singer, Monice Gurevich / Julie Metz Ltd., Sybil Pincus i Peg Haller, dzięki którym ta książka rzeczywiście jest książką. Rozpieściliście mnie wszyscy.

Dziękuję Carolyn Ferrell, która pozwoliła mi traktować swoje zajęcia warsztatowe dla pisarzy jako osobistą odskocznnię dla początków tego pamiętnika. Jej wskazówki, jak również przemyślane uwagi moich kolegów z Sarah Lawrence, były bezcenne. Szczególne podziękowania należą się Katherine Quinby Stone, Adamowi Singerowi i Julii Sternberg, których szczerłość w odniesieniu do mojej pracy wiele dla mnie znaczy. Byliście moimi pierwszymi czytelnikami.

Trudno opisać, jak bardzo jestem wdzięczna Sarah Lawrence, instytucji, która jako pierwsza dała mi szansę coś w życiu osiągnąć. Dziękuję Joann Smith, dzięki której mogłam zdobyć prawdziwe wykształcenie. Dziękuję wspaniałym profesorom: Carol Zoref, Ernestowi Abubie, Neilowi Arditiemu i Brianowi Mortonowi, którzy popchnęli mnie ku samopoznaniu. Dziękuję Ci, Paulette, za to, że byłaś przy mnie, inspirując mnie swoją odwagą i nadzieją. Bez Ciebie nie byłabym tam, gdzie jestem dzisiaj. To samo chcę powiedzieć wszystkim wspaniałym ludziom, którzy byli moimi pierwszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w obcym, nowym świecie. Zawsze będę Wam wdzięczna za wsparcie i zrozumienie.

Dziękuję Diane Reverand, która przekonała moją agentkę, by dała mi szansę. Dziękuję Amandzie Murray za to, że była pierwszą osobą, która z całego serca wierzyła, że zdołam opublikować tę książkę. Takie same podziękowania należą się Davidowi Rosenthalowi, który zechciał poświęcić swój czas na spotkanie ze mną – ten gest ogromnie mnie wzruszył.

Dziękuję Sandrze i Rudy'emu Woerndle'om oraz Kathryn i Jonowi Stuardom, którzy wyciągnęli do mnie pomocną dłoń, gdy dopiero starałam się złapać równowagę. Jestem wdzięczna za wsparcie wspaniałej grupie kobiet, które poznałam w Midland w Teksasie.

Chciałbym ogromnie podziękować za poświęcenie Patricii Grant, która zgodziła się reprezentować mnie pro bono, gdy wszystko wydawało się zwracać przeciwko mnie. Dało mi to inspirację, by być silniejszą i lepszą kobietą.

Juliet Grames, BJ Kramer, Joel Engelman, Malka Margolies, Claudia Cortese, Amy Donders i Melissa D'Elia: dziękuję wam ogromnie, byliście jednocześnie wspaniałymi przyjaciółmi i mentorami. Dziękuję także innym buntowniczkom, których historie – te

o triumfach i o trudnościach – pomogły mi zmniejszyć ból płynący z oderwania się od swojej rodziny i społeczności. To była niesamowita podróż, która byłaby niemożliwa bez udziału, nawet skromnego, moich towarzyszy podróży.

Jestem niezmiernie szczęśliwa, że mam syna. Od dnia, w którym przyszedł na świat, stał się inspiracją dla tej podróży. Gdyby nie pojawił się w moim życiu, nie znalazłabym dość siły i determinacji, by zrobić to, co zrobiłam. Nie mogę się doczekać, synku, aż dorośniesz i staniesz się wspaniałym młodym człowiekiem. Mam nadzieję, że będę taką matką, na jaką zasługujesz.

Dziękuję wreszcie mojej mamie, która wspierała mnie we wszystkich twórczych wysiłkach, choć wiem, że nie było jej z tym łatwo. Szczęściara ze mnie, że mam wolność pozwalającą napisać tę książkę – mam nadzieję, że zmieni coś w życiu innych. Dziękuję, że ją przeczytaliście.

Przypisy

[1] *Zajde* (jidysz) – dziadek; *bube* – babcia. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Roald Dahl, *Matylda*, przeł. Mariusz Arno Jaworowski, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2002.

[3] W transkrypcji angielskiej *hersh*.

[4] Cytaty z Księgi Psalmów na podstawie Biblii Jerozolimskiej.

[5] Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*, przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, Świat Książki, Warszawa 2006.

[6] Louisa May Alcott, *Małe kobiety*, cz. 2, przeł. Ludmiła Melchior-Yahil, Wydawnictwo Tenten, Warszawa 1992.

[7] Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*, przeł. Rozalia Bernsteinowa, Nasza Księgarnia, Warszawa 1970.

[8] William Wordsworth, *Zjawiskiem była mi uroczym*, przeł. Stanisław Kryński, w: *Angielscy „poeci jezior”*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1963.

[9] WIC (*Women, Infants and Children*) to federalny program pomocy żywnościowej dla matek w ciąży i z małymi dziećmi żyjących poniżej poziomu ubóstwa.

[10] Wydawnictwo Archie Comics jest znane z komiksów.